

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości

/.../

Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena 150,—

a

1

1 (31) 1988

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



M. Czudakowa: Bulhakow nieznany
Listy Edwarda Stachury
Kłak o Kuncewiczowej, Święch o Jeleńskim
Historia Orderu Orła Białego
Rysunki Szczepana Sadurskiego

Magyar Könyvtár

Magyarországi Magyar Könyvtár

Magyarországi Magyar Könyvtár

Magyarországi Magyar Könyvtár

Magyarországi Magyar Könyvtár

Magyarországi Magyar Könyvtár

Magyarországi Magyar Könyvtár

a

akcent

nr 1 (31) 1988

akcent

literatura i sztuka

Magyarországi Magyar Könyvtár
Magyarországi Magyar Könyvtár
Magyarországi Magyar Könyvtár

Magyarországi Magyar Könyvtár

Magyarországi Magyar Könyvtár

Magyarországi Magyar Könyvtár

kwartálnik

Redaguje kolegium

MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
IZABELLA GAWARECKA-ADAMCZYK
TADEUSZ KWIATKOWSKI-CUGOW
WALDEMAR MICHAŁSKI (sekretarz redakcji)
DOMINIK OPOLSKI, FRANCISZEK PIĄTKOWSKI
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)
BOHDAN ZADURA

Redakcja: *torbyta 200*
Janusz: *Solecki*

Współpraca w dziedzinie plastyki i historii sztuki:
Lechosław Lamertki

Korespondent:
Janina Hurek

Wydano przy pomocy finansowej
Wydziału Kultury i Sztuki
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 35207

© Copyright 1988 by „Akcent”

a

rok IX

nr 1 (31) 1988

akcent

literatura i sztuka

WYDZIAŁ

IZABELLA GAWARECKA-ADAMCZYK: *Współpraca w dziedzinie plastyki i historii sztuki* 128

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

WYDZIAŁ KULTURY I SZTUKI
URZĘDZU WOJEWÓDZKIEGO W LUBLINIE

kwartalnik

Na pierwszej stronie okładki:
Kryz orderu Orła Białego wg wzoru z 1713 r. pochodzący z kolekcji Jana
Henryka Dąbrowskiego (fot. Mirosław Ciunowicz)

Na czwartej stronie okładki:
Brytynek Szczepana Sadurskiego (fot. Czesław Herda)

Adres redakcji:
23-022 Lublin
ul. Okopowa 7. I piętro
tel. 27-469

Materiał do samodzielnego edycja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótn.

Cena prenumeraty: półrocznie 300 zł, rocznie 600 zł.

Warunki prenumeraty

1. dla osób prywatnych — instytucji i zakładów pracy:

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których
miejscu znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch” numerują prenumeratę w tych oddziałach;

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—
Książka—Ruch” i na terenach wojewódzkich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i w dyspensjach;

2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów:

— osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma Oddziału RSW „Prasa—
Książka—Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i w dyspensjach;

— osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch”
opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca
zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dołączają w formie: „Miesięczna wpłata” na rachunek bankowy
najbliższego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch”;

3. prenumerata na obecnym wywózku na granicy przyjeżdżając RSW „Prasa—Książka—Ruch”, Centralni
Kadry Partii i Wydawnictwo ul. Tymonowa 28, 00-928 Warszawa, kassa NBP XV Oddział w Warszawie
Nr 1133—201045—139—11. Prenumerata na obecnym wywózku za granicę poczyniły tylko post drobnym od
prenumeraty krajowej o 50%, dla kramarzy i w indywidualnych i o 100%, dla stałych czytelników instytucji
i zakładów pracy.

Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:

— do dnia 10 listopada na I półroczną roku następnego oraz cały rok następnego

— do dnia 1 czerwca na II półroczną.

Wydawca: Laboralia Wydawnictwa Prasowe
RSW „Prasa—Książka—Ruch”
20-077 Lublin, ul. Janka 6

Zam. 1052, Podpisano do druku 14 X 1987 r.
Druk układowy w maszyni 1908 r.
Makład 5000 egz. Cena zł 150 — A-4

SPIS TREŚCI

- Urszula Jarowicz: *wiersze* /7
Kazimierz Kania: *Poza grą* /11
Zbigniew Rudko: *Z cyklu „Spojrzenie w lustro”* /37
Jerzy Świąć: *Jeleński i jego antologia* /40
Konstanty Jeleński: *Thumaczyć poezję* /45
Kazimierz Brakoniec: *Z cyklu „Wiersze wigilijne”* /52
Maretta Czudakowa: *Bulhakow nieznan* /55
Janusz B. Roszkowski: *opowiadania* /69
Kazimierz Nowosielski: *wiersze* /77
Tadeusz Klak: *Legenda Kazimierza w twórczości Marii Kuncewiczowej* /80
Urszula Gierszon: *opowiadania* /94
Marcin Świąć: *wiersze* /101
Jan Klimecki: *Próba* /104
Jerzy Janiewicz: *Inne spojrzenie Craiga Raina* /113
Craig Rain: *wiersze* /121

FILOZOFIA

Izabella Gawarocka-Adamczyk: *Historyzm na cenzurowanym* /128

PRZEKROJE

- Tadeusz Szkołot: *Seneka, czyli filozofia jako anti-los* /142
Stefan Żółkiewski: *„Między misterium a jarysą”* /145
Arkadiusz Bagajewski: *Wprowadzenie do „Norwidologii”* /147
Grzegorz Filip: *Odejścia. powroty..* /150
Józef Fert: *Fotograf na dachu* /154

PIASTYKA

Lechosław Lamęński: *Kto to jest Szczepan Sadurski* /157

TEATR

Zofia Zielńska: *Przyroda słowa* /163

MUZYKA

Krzysztof Karpiński: *Mieczysław Kosz* /167

HISTORIA

Zbigniew Puchalski: *Order Orła Białego* /173
Ildikó Rosonczy: *Postawa korpusu oficerskiego armii carskiej na
Węgrzech w 1849 roku* /184

ARCHIWUM

Listy Stachury do Kluczkowic w Lublina /190

NOTY

Marek Zdrojewski-Aremi: *Wszeczhronny Ramigani (Wspomnienie o
Janie Lawrusiewiczu)* /201

URSZULA JAROS

Tu na tej ziemi

kiedy zacinęły się szczęki
potwora który miał ludzkie twarze i ręce
niebo było zamknięte
Bóg był bardzo zajęty

tu na tej ziemi
która przecież nie cała jak kamień
nosimy swoją bezbronność
całodzienny strój

nosimy swoją biedną
pokaleczoną wiarę
wierząc że jakiś czas
inny ją wyleczy

Truczizna

która karmiła która ochraniała
kazala mówić rzeźbiła kryształ słów
truczizna
która uderzyła teraz
i cały kosmos wyobraźni
zwalila z nog

ociemniała
nie spojrzeliście tobie w oczy prawdo
przestrzeni słońca i strzelistych drzew
i tobie matko której los
zabronił na tej ziemi spełnienia

Kim jesteś

nieczuły na pamięć sponiewieranych lat
twój głos rozkazujący wciąż powtarza — żyj
kim jesteś
że nie bliższych ale ciebie słucham

może echem tylko
mojego wołania

Przemoc

chwila w której się chciała modlitwy nauczyć
myślała o tym który gardło jej zacisnął:
„to dlatego że kiedyś ktoś mu zabrał światło
on pragnie z oczu moich strach wydusić większy
niż ten który go wtedy na zawsze ogarnął”

albo myślała że „prawie jak dziecko
ujrzy motyla chce go mieć dla siebie
wiotkich skrzydełek tęczę w palcach kruszy
jak to się stało dlaczego
nie wie”

chwila w której się chciała modlitwy nauczyć
gdy krew zdrewniała biła w ściany serca
szarawy fiolet brzeg paków wypielniał
anioł stróż
oniemiał

* * *

a jeżeli jeszcze chciałam być
to tylko ręką
trzymającą pióro
nie ręką nawet
piórem
nie piórem nawet
atramentem
ślądem na papierze

— słowem

przeżona cielesnością istnienia
tego lata i w tych latach gdy kobieta
najbardziej kwinnie wydobyla na światło
wszystkie kolory z siebie najtrafniej układa

nie potrafię unieść żadnej twarzy
ani władczyni ani też poddanki
dumna wyniosła czy łagodna cicha
pogardzająca czy też pogardzana
wszystko tak obce że nawet nie maska

lecz przecież wiem że trzeba było mieć
tyle krwi sity ciała piękna zmysłów
żeby uderzyć w każdą strunę życia
— do ogłuszenia tym co nienawistne

słowem być tylko
celnym bezimiennym

Pamięć i przeszłość

to nie jest grób pamięci
gdy pod zwalami czasu ona wciąż oddycha
na każdy sposób deptana i bita
podnosi się coraz bardziej żywa

oblaskawiałam ołowiane serca
ale wydrwiły gorzka tajemnica
ból co przetrwał nie da się oderwać
od doznawania nowego lepszego
czułość wydrwiona jest krwawiącą raną

nie wiem jak wielki przełom może zdarzyć
że jeszcze spojrzę jak kiedyś bez lęku
nie pęknie struna nadziei nim zagra

na każdy sposób deptana i bita
jednak to ona włada a ja tylko
czas oplakuję straconej przyszłości

Przewrotność tego wiersza

gdyby dało się słyszeć
łękliwy szepc ciała
można by go zamienić
na krzyk z całej piersi

jest tak że to co zbroi
nie zawsze ochrania
co znaczyć mogły moje
zaciągnięte pięści
chyba tylko w nich kamień
o niezemskiej mocy

lecz nie było kamienia
i milczały usta
krople krwi w bełsi śniegu
jak garscie czerśni

przewrotność tego wiersza
dedykuję śmierci
nie wiedząc czy nie mogła
czy jeszcze nie chciała

Urszula Jaros



KAZIMIERZ KANIA

POZA GRĄ

1.

Dlaczego w tym domu tak pusto? Dlaczego tych ścian nie ogrzewa życie? Przedmioty wypełniają dom, kosztowne przedmioty. W garażu auto. Wokół wieczorną ciszą osiada syty dzień. Za chwilę stanie wszystko, zatrzyma się w bezruchu. Można zawiesić się w tym i trwać. I nic nie robić. Wylączyć się. Wyczołfać się. Być poza niepokojem. Gdybyż się tak dało! Pobyt trochę w próżni, w interwale, w przerwie między napięciami. Nie podobna jednak. Wieczorne i nocne przepływy mają swoją wzmogoną natarczywość. Nic im nie stoi na przeszkodzie. Żadne szumy i trzaski, powstające w pośpiesznym zderzaniu się ze sobą ludzi za dnia. Wieczorna fala przyplitwu wdiera się w samotność i sięga wysoko, ogarnia głowę, pieni się wzburzeniem. Bezpieczniej więc zapalić światło, rozzerzeć się w pokoju, dotknąć miłych przedmiotów, wejść z powrotem w potoczny, niezbyt głęboki nurt życia. Tylko dlaczego nikt nawet drzwi nie otworzy, dlaczego nikt nie zawoła po imieniu, dlaczego nikt nie podejździe z uśmiechem i wyciągnie ręką? Przecież nie jestem sam. Ona tam jest w swoim pokoju. Cóż teraz robi? Jesteśmy sami. Zdrowi, jeszcze młodzi. Nie idziemy ku sobie. Nie niesiemy sobie wsparcia i rozjaśnienia. A kiedyś tak do siebie lecieliśmy, pokonywaliśmy czas i odległość. Niedzielne popołudnie czerwcowe. Żyto wysokie i zielone. Puszysta miedza pośród łądów. Lecimy do siebie po takiej miedzy, ledwie dotykamy ziemi. Unosimy się, jak szczęśliwe ptaki ponad padolem, coraz bliżej, już przy sobie, zlewają się nasze spragnione oddechy, zapachy ciał, opadamy w skudlaną trawę, napromieniowani od wewnątrz, czyści, ufní. Bylem czysty. Drzałem zbliżając się do dziewczyny. Przerazało mnie piękno jej ciała. Niemiałem z uniesienia. Najleższe przekroczenie granicy niosło lęk, było niepokojem. Biegłem nazajutrz do spowiedzi, ścigany udreżeniem, że coś popsułem, pobrudziłem. Chciałem ztrzeć plamę i patrzeć przy najbliższym spotkaniu bez zmaczenia. Było z tym coraz trudniej, coraz mroczniej. Pewnego wieczoru cień zawstyżenia zasnuł nam oczy. Rozeszliśmy się rozdzieleni mikżeniem i smutkiem. Na drugi dzień rano nie umówieni, spotkaliśmy się w kościele u konfesonatu. Jeszcze byłem czysty. Choć wewnętrznie odrzucałem młodzieńcze prywatne ślubowanie czystości aż do śmierci. Z biegiem czasu osądzałem je jako nieświadome, głupie, niedojrzałe. Wstępowałem w dojrzałość, oswajałem się z namiętnością jako czymś koniecznym w życiu ludziom. Ale jeszcze byłem czysty i ona

była czysta. A już mi ksiądz w konfesjonale, miał to być psycholog przenikliwy, powiedział, że będę musiał walczyć z opanowującą mnie zmysłowością, aż do bardzo późnej starości. I tak spadło na mnie owo piętno, wydobyte ze mnie samego. To wtedy się zaczęło. No, jeżeli już jestem taki, to przywrę tymi zmysłami do uciech życia. To nie będę się obstrugiwał na kształt martwej kukły. Wprawianie ich w ruch sprawiało mi więcej cierpienia niż radości. Czyż nie jest tak i dziś? W czasie studiów koledzy sprowadzali sobie dziewczyny do domu akademickiego, ja czytałem Biblię, Tomasza à Kempis, żywoty świętych. Miłość do Elżbiety ukazywała mi przyszłe szczęśliwe życie, skupione w domu, w rodzinie, w cichej pracy, w prostocie, szczerości i wierności. Ona też tylko tego chciała i aż tyle. Pięknie się zapowiadało. I tak mogło być. Ślub z oprawą, jakiej mi zazdrościli. Lecz w tej oprawie już był robak. Lecz w tej zewnętrznej radości już tkwił ościel. Lecz ten dzień już był kłamstwem, które podpełzło wcześniej, wcześniej.

Paręnaście lat. Elżbieta jest tam, w drugim pokoju. Co w tej chwili wyraża jej twarz? Jest pewnie w szafroku, roznieglizowana, rozluźniona, po kąpieli, naperfumowana, leży, przegląda „Przekrój”. Zdrowa, ładna, pełnita kobieta, potrzebująca miłości. Umiarkowany przybór ciała uwydatnia tę potrzebę miłości. Twarz nieco przypiępiona rosnącą skłonnością do mizdrzenia się. Włosy w nieladzie, trójkącik nad czołem rozsypany. Wejść do jej pokoju, usiąść na brzegu łóżka, pogładzić jej rękę, potem...? Złamać zapórę. Przypomnieć sobie razem tamten pierwszy lot nad miedzą pośrodku życia. Zaczepnąć wiary z tamtych wieczorów. wiary, że jeszcze można.

A tamto było tak dawno, tak daleko. Trzeba by przebyć powrotną drogę przez wertepy, wiry, przepaście, ciemności. Przez urazy, jątżenia, zdrady. Przez zasięki wznoszone między sobą. Trzeba by mieć tyle sily, nadziei, odwagi. Jestem zmęczony.

Gdyby żył Franek, poszedłbym do niego, może by pomógł. Dużo rozumiał i umiał mówić niekieszówskim językiem. Nie ma go. Miał być intelektualistą w swojej diecezji. I byłby. Zabił go zawał niedługo po powrocie ze studiów rzymskich. Mawiał często, powtarzając za Hiobem, że dni nasze na ziemi są jak cień. Przesnął się nagle, jak cień, jak wieczność. Zanim to się stało, wyczuwał, że jest coś że ze współżyciem jego siostry z mężem. Był dyskretny, wyrozumiały. Niepokoił milczeniem.

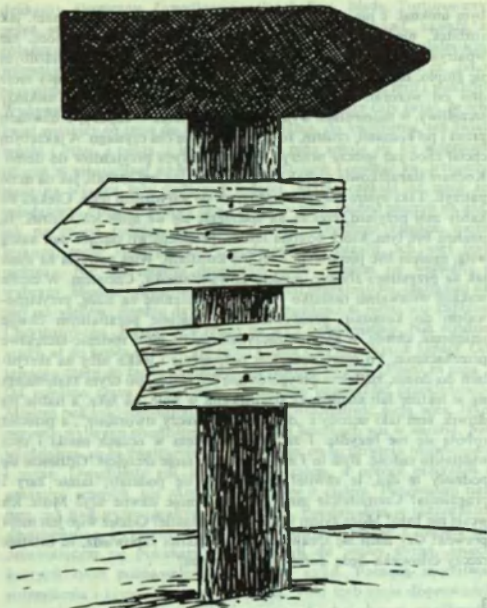
Może by jednak pójść do Elżbiety. Spróbuj. Sam tu nic siedź. To niebezpieczne. Odezwij się do kogoś. Niech się ktoś do ciebie odezwie. Jest twoją żoną, matką Urszuli. A jeśli ona potrzebuje twojej bliskiej obecności? Nie zamykaj się tak, nie zamykaj. Co z tego, co z tego, że się otworzę? Tamtego nie przekroczę, nie wykreślę. Powiedzieć jej? Nie wytrzymałaby tego. I poniosłaby ze sobą prawdę groźną, zdolną rozwalić cały gmach pozorów. Po co pójść do niej? Odłóż „Przekrój”, popatrz na mnie z grymasem drwiny, zacznij jej drgać koniuszek górnej wargi. Wypadną z powrotem, trzasnę drzwiami i odejdę.

Samy w domu. Każde z nas samotne w swej samotności.

2.

Szpakowaty, okrągłutki ksiądz Józef. Nerwowy, chudy ksiądz Jan. Dostojny ksiądz Stefan. Filozoficznie zamyślony ksiądz Piotr. Potem byli jeszcze inni, o innych imionach, o innych właściwościach fizycznych i duchowych. Drzałem przed nimi z respektu, z tremy, z napięcia prawie religijnego. W każdym spotkaniu emanowali kościelnym zapachem, szeleścili zakrystajno-oltarzowymi, krocchalonymi koronkami, siali nabożną poświatą, jakby przed nimi awarowała ze świętych obrazków. Czasem mi się wydawało, że już należą do innego świata, że zstąpili ze sfer, aby się nam opiekować, chłopcami, którym się przywydliwiali, że ich ktoś zawolał: weni, sequere me! Nie kochałem ich. Nie mówiłem im wszystkiego o sobie, choć tego od każdego z nas oczekiwali, ani u krates konfesjonalu, ani podczas „kanapkowych” rozmówek sam na sam. Nic mówiłem, poza zwierzeniami koniecznymi, usprawiedliwiającyymi mój pobyt w małym seminarium. Byli zbyt dalecy, żeby ich kochać i powierzać im własne tajemnice, byli dalecy i schowani za nieprzeniknioną izolacją świętobliwości. Byli zawodowymi sługami Bożymi, byli obciążeni obowiązkiem kreowania siebie na chodzące przykłady kapłana Chrystusowego. Tak bardzo się starali robić to jak najlepiej. Tak bardzo mieliśmy się w kadzrze wystawionego nam do podpatrywania i naśladowania wzorca. Ich msze pełne skupienia i uniesienia. Ich kazania i pouczenia wysłodzone księżowską żarliwością. Byli bezbłędni, doskonali w swoich wychowawczych funkcjach, absolutnie pozbawieni jakiegokolwiek śmiechoty czy słabości. Za mało byli ludźmi indywidualnymi. Swoje serca i wyobraźnię uformowali podług potrzeb instytucji, regulaminu, wychowawczego drylu. Dlatego ich tam posłano. Żadne uczucie z nimi mnie nie łączyło. Dziś ich imiona nie budzą we mnie żadnych wrażeń. Raczej żal, żeśmy razem nie wykorzystali szansy, jaką nam dano przez te cztery lata mieszkania pod jednym dachem, zasiadania przy wspólnym stole, wspólnej modlitwy, jakichś tam rozmów i wzajemnego patrzenia na siebie. Gdybym wam to mógł powiedzieć, czcigodni ojcowie duchowni i prefekci, może byłoby wam przykro, że wasz były wychowanek, obiekt troski serdecznej, taką oto wdzięczność się odplaca. Patrzę na naszą zbiorową fotografię, jedną, drugą, trzecią... Stoicie pośrodku nas, rozłożone ładnym gestem ręce trzymanie na naszych ramionach, na naszych głowach, uśmiechacie się niby po ojcowsku, lecz uśmiech mąci się kościelną skazą, czai się w nim kościelny chłód. Nigdy nie poddałem się temu uśmiechowi, a dziś patrzę na was, widzę, że miałem rację. Instykt samoobrony kazał mi się zamknąć i strzec własnych tajemnic. To nie wasza wina. Nic byliście w pełni sobą jako ludzie. Przynigotła was formacja i tradycja kapłana — wychowawcy. A żał mam dlatego, żeście się nie zdobyli na odwagę zwyczajnej otwartości i prawdy między nami. Baliście się tej prawdy, taka była wtedy moda wychowawcza i duszpasterska w Kościele. I nas uczyniście strachu przed prawdą, przed sobą samym, przed światem, przed myślami, przed pytaniami, przed radością, przed pięknem. Trzymaliście nas w strachu, jak w pudle, z którego wyszano życie,

wypędzono ludzkie ambicje, wyświęcono chłopięce tęsknoty do bycia samodzielnym i mocnym. Wyrzec się siebie, wyrzec się pychy. Być nikim. Szarym. Pokornym. Cichym. Nie chcieć. Nie myśleć po swojemu. Przymiwać wszystko bez sprzeciwu. Przecież wiecie. Taki był ideał. Taki był wzór bohatera. Przepisnąć każdego przez tę samą foremkę i formułkę, poobcinać każdemu wszystkie kany, narodziła i wybryki. Obrówać, obstrugać, puszczać na spacerzy i pilnować jak przedszkolaków, w kolumnie ustawionej z par, tylko wyznaczoną trasą. Odciąć od świata, od zła. Skruszyć każdego w sobie, zasuszyć, obkleić infantylnymi obrazkami, owionąć błękitnym kadzidłem. Spłaszczyć do dwóch wymiarów na podobieństwo tych obrazków. Zepchnąć na samo dno, do ślepej kieszki, to, co w chłopcu jest zadatkami na męskość, na odwagę, co powoduje w nim wzrost siły, chęć zmierzania się z niebezpieczeństwem, zdolność do ryzyka. Cóż wówczas zostaje w kandydacie na księdza katolickiego? Co zostało w takim, jak ja, chłopaku z biednej wsi, z ubożego domu? Co zostało w chłopaku wyniesionym do światła wiedzy, wprowadzonym w regulamin dzwonek, modlitw, rozmyślań, spowiedzi, komunii? Co zostało w chłopaku w cagowym ubraniu, doprowadzonym przed wielkość biskupa, polyskującego świętym pierścieniem, odśladającego w swym uśmiechu całą laskawość Kościoła? Co zostaje chłopakowi na obronę, kiedy mu wyrzucą wszystkie kamienie z kieszeni? Jest rozbrojony i poddaje się. Głowę spuszcza w dół i idzie za smugą blasku, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo. Więc szedłem prościutko i równiutko, bez zbożeń i odskoczeń, i przyznacie, że byłem wzorowym alumnem zarówno w nauce, jak i w zachowaniu, mieliście mnie za pewniaka, za młodzieńca, w którego sercu rozbrzmiewało owo święte wezwanie: „Pójdź za mną”. Nie mieliście ze mną kłopotów, co wcale nie znaczy, że ich nie miałem z sobą. Czulem, że w najurodzajniejszych moich głębiach kiełkować zaczynało coś nowego, czego się bałem i co wprawiało mnie w dziwne drżenie, w nadzieję na przygodę. Lecz nie mogłem z tym do was pójść, bo wiedziałem, że się nie rozumiemy, że w świętym zapale rozdepciecie te wykluwające się zarodki. Dlatego byłem nadal przykładnym alumnem, wypełniającym regulamin z niegasnącą neoфіcką żarliwością, wstawiałem na pierwszy głos dzwonka, przestrzegałem sileńtium religiosum, rozmyślałem przed mszą i w czasie mszy, komunikowałem, płonąłem świętym płomieniem wewnętrznym, piąłem się po szczytach doskonałości duchowej, utwierdzałem się w przekonaniu o nędżnej marności tego świata, pragnąłem służyć Bogu i ludziom, mocowałem się z własnymi namiętnościami i ambicjami, żeby wyrzec się siebie jak to czynili święci bohaterowie lektur duchowych, które tak obficie i niefrasobliwie zalecaliście nam i nakazywali, o czcigodni księża prefekci. Czyż nie wiedzieliście o tym, że dusza młodego prostaczka ze wsi, lanknie, jak gleba świeżo ku niebu plugiem odwrócona, ekscytującego zasiewu, wzrostania w kwitnieniu i owocowaniu, że plody książkowe zбочonych dewocyjnie autorów mogą przyczynić się do nieodwracalnych deformacji w takiej duszy, że wiskanie takiemu chłopakowi lektur o ekstazach mistycznych może być zabiegiem niszcycielskim? Czyż to nie w takiej



SADURSKI.

atmosferze chorobliwego podniecenia religijnego ciężko chory Rysiek odmawiał przyjmowania lekarstwa, co spowodowało śmierć tego delikatnego i nadwrażliwego chłopca? A kiedy matka po jego śmierci, zrozpaczona i bliska szaleństwa, przychodziła do naszego wspólnego domu i prawie nieprzytomna biegła wśród nas szukając spazmatycznymi gestami swojego jedyne go syna, uspokajaliście ją opowiadaniem, że Rysiek umierał jak święty, że pozostanie dla wszystkich wzorem do naśladowania, że cieszy się teraz na pewno szczęściem w niebie. Gdybyś żył, przyjacielu mojej wczesnej młodości, kim byś był? Pewnie poetą. Albo współczesnym Franciszkiem z Asyżu. Nie widzę ciebie jako księdza proboszcza albo profesora teologii. Wszystko w tobie kruche i świetliste, nastawione na inne fale. A może rzeczywiście tamto było dla ciebie najlepszym wyjściem? Tak, były takie chwile, kiedy ci zazdrościłem. Gdybyś był wiedzy poszedł za tobą, ileż głupich i strasznych rzeczy

bym uniknął. I nie siedziałbym tu teraz w swojej kamienicy sam, jak rozbiitek, nie szedłbym poprzez czarne fale ku wspomnieniom, nie wpatrywałbym się teraz w te zółtkie już trochę fotografie i nie ludziłbym się głupio, że poirafię zniszczyć ten ponury interwał rozdzielający moje dziś od wczoraj. Nie zlorzęcę tamtych dniom, bywałem niekiedy szczęśliwy, w momentach wyjątkowego skupienia w kaplicy, w chwilach przed i po komunii, czulem, że obejmuje mnie coś czystego. A jakżebym chciał choć raz jeszcze przeżyć jeden z tamtych przyjazdów do domu. Kochani staruszkowie czekali na mnie. Ach, jak oni czekali, jak na mnie patrzyli. Taki byłem dla nich wazy, aż się wstydzilem tego. Czekali na każdy mój przyjazd, czekali na spełnienie się we mnie ich nadziei. Ja miałem być tym, który pokona fatum, przekleństwo ciążyące nad naszą wsią, miałem być pierwszym z tej wsi księdzem. Wiś patrzyła na mnie jak na przyszłego zbawcę, miałem powalić smoka. Chciałem. W czasie wakacji wstawałem rano i biegłem codziennie na mszę, przystępowałem do komunii, przeżywałem w kościele parafialnym chwile uniesienia, chwile, w których zaczynało się na mnie spełniać szczęśliwe przeznaczenie. Po mszy wracałem pośpiesznie i lekko niby na skrzydłach do domu, zjadłem przygotowane śniadanie, po czym zagłębiałem się w lekturę lub szedłem ze staruszkami w pole, na łąkę, a ludzie się dziwili, żem taki uczony i „do wszystkich rzeczy stworzony”, a przecież robią się nie brzydziej. I za każdym razem w oczach matki i ojca widziałem radość. Była to i moja radość, i moje szczęście. Gdzieś się podziły te dni, te chwile? Gdzieżście się podziły, tamte żary i pragnienia? Czemużście mnie opuścili, moje dawne siły? Może ich wcale nie było? Może żyłem w chłopięcej uludzie? Gdzież więc jest moja prawda? Czy musi się sprawdzać owa staruszka zapowiedź, że ostatnie rzeczy człowieka będą gorzej niżli pierwsze?

3.

Te zeszyty — dzienniki intymne z moich dawnych lat leżą na biurku, tak jak je położyłem. Nikogo nie zainteresowały, bo nikogo w domu nie ma. Gdyby nawet... Co kogo obchodzi moje życie? Moje napięcie młodzieńcze struny? Dla mnie samego one już zwiotczały i zetlały. Kiedyś to było moje wieńcowstępowanie. Kiedyś... Kwiaty na ołtarzu, tabernakulum, słowa konsekracji, śpiew gregoriański, niektóre sceny z Ewangelii, wystawiona monstrancja, życiorysy świętych, akty strzeliste, i jeszcze coś, i jeszcze, cały ten kolorowy i kadzidlany świat przekłwał mnie co dzień aż do zachwycenia. Byłem jak stygmatyk. Unosiłem się nieco nad ziemią. Umartwiałem się. Wyrzekałem się. Ślubowałem. Szedłem w egzaltacji za ognistym słupem, lekko co prawda zróżżanym i zbłkintonionym. Byłem porwany. Dopadnięty przez Jeźdźca Niebieskiego, czulem się raz na zawsze w Jego władzy, a więc na skraju kosmicznej tajemnicy, a więc prawie w niebie. Czyli jednak ponad zwykłymi ludźmi, ciągle niesytymi chleba i pieniędzy, opętanymi przez krąg cielesnej miłości, ponurej śmierci i niezמודowanego rodzenia, ponad ludźmi rozmowywanymi w wódce i ordynarynych kawalch. Byłem

delikatny, alergiczny, Zamyślony i melancholijny. Błdy. Torturowany przez sny erotyczne. Obstawiony świętymi obrazkami, zawsze z różańcem w kieszeni, przestrzegający z pedantyczną skrupulatnością wszystkich zalecanych modlitw i ćwiczeń duchowych. Jak ja, jako maloseminarzysta, biegałem co rano do kościoła w czasie ferii i wakacji! Wydawało mi się, że biegnać nosię Bogu przed ołtarz cały świat, że ten świat wstający co rano do życia, do śpiewania, do kwitnienia, ten świat ludzki i ptasi, i polny, i leśny razem ze mną schyla się ku stopniom ołtarza w nieustannej adoracji. Moje codzienne komunie św. wznosiły mnie na wysoką falę duchowej radości. Mama czekała na mnie ze śniadaniem. Potem szliśmy z tatą i mamą w pole. Ludzie patrzyli na nas, jak na świętą rodzinę, we mnie widzieli przyszłego księdza, może biskupa, może świętego, który podniesie ich parafię, ich wieś pod niebiosa. Nie nie miałem przeciwko temu. Czulem się wezwany i wybrany. Miałem odczarować swoją wieś od przekleństwa, ciążyącego na niej od wieków. Bardzo dawno temu znieważono w mojej wsi kapłana Chrystusowego. Kapłan ten rzucił na wieś przekleństwo: Nic wyjdzie nigdy, aż do końca czasów, ani jeden ksiądz z tej wsi. Wyrok zapadł. Od tamtego czasu do żadnego chłopca nie zawołał tu Pan: „Pójdz za mną”. Od tamtego czasu aż do teraz. Ja miałem unieważnić przekleństwo. Miałem pokonać niewidzialnego sfinksa i uszczęśliwić moją wieś. Jako przysły bywawca chodziłem po drogach i ścieżkach wsi w aureoli. Nie wiedziałem, co to zwątpienie czy zawahanie, co to zgrzyzota niepewności i pytań. Dwudziesty rok życia przekraczałem, a oprócz przerażeń i omamień sennych, nie raznałem kłopotów z ciałem. Panowałem nad nim, jak nad wytresowanym zwierzęciem. Poddawałem je różnorakim umartwieniom i rygorom, aby w razie potrzeby ucinąć z miejsca łeb pojawiającym się pokusom. Wzorem byli mi wielcy święci, asceci, których życie poznawałem ze starych ksiąg. Pomocą modlitwa, rozmyślenia i życia w lasce uświęcającej. Taki tryb życia doprowadził mnie do stanu wysokiego uduchowienia, do wyjątkowej wrażliwości moralnej, w końcu do skrupulantwa.

Po maturze oczywiście poprosiłem o przyjęcie mnie do seminarium duchownego, co było tylko formalnością, ponieważ jako wzorowy maloseminarzysta należałem do pewniaków. Wkrótce otrzymałem od biskupa list w języku łacińskim, oznajmujący mi, że zostałem przyjęty. Ogarnęła mnie radość i duma. Pokazywałem ludziom ten list i tłumaczyłem co on znaczy. Przez wieś przebiegło nowe podniecenie, pewność, że będzie ze mnie ksiądz, że trzeba się już szykować do uroczystości prymicyjnych. Rodzice moi, bracia, siostra, krewni poplakiwali z radości.

Świadectwo tamtych wlotów, te moje plowięjące zapiski. Czytam strona po stronie. Czy to rzeczywiście ja pisałem? Czy tamten święty młodzieniec i dzisiejszy samotnik z ciężarem doświadczeń wieku męskiego — to ten sam człowiek?

Notatki z kilkunastu wstępnych rekolekcji w seminarium. Nauki rekolekcyjne, modlitwa, milczenie. Wyłączenie się ze świata i skupienie. Napięcie. Wysiłek samoprzebóstwienia. Ad maiora natus sum. Per

aspera ad astra. Mam się wyrzec złego świata, mam się raz na zawsze wyrzec złych skłonności. Mam się wyrzec siebie. Mam ztrzeć siebie na proch i z prochu tego ulepić nowego człowieka, człowieka poświęconego wyłącznie Bogu. Mam być posłany jako alter Christus. Mam być sługą ołtarza, poświęconym, pomazanym, aby dotykać Święte Świętych. Wejść w serce najświętszego w tajemniczenia. Oto idę, Panie, Misterium tremendum et fascinosum. Jedyny smutek to tylko to, że nie jestem świętym. Trzepotania wewnętrzne, paskowi gwałtownego pragnienia brak tchu, brak przestrzeni, brak lotu. Lecieć, lecieć, lecieć, ku niewyobrażalnej wysokości. Postanowienia, postanowienia. Będę taki, będę. Tylko to, nic więcej. Dotrę do krainy, po której stąpa Mistrz, wśród bielejących łań, co czekają na żniwo Pańskie. Upadnę przed Nim, uchwyć się skraju szaty: Oto jestem, Panie, przyjmij mnie do grona uczniów. wezwij mnie, poklij mnie, naznacz mnie swym znakiem, który spała. Postanowienia, postanowienia, postanowienia.

Stylistyka rozegzaltowana, postawa młodzieńczej pewności siebie, wręcz nieomyślności. Pychy wtedy w tym nie dostrzegaliśmy. Ani granic własnych możliwości.

Z tych pierwszych kleryckich rekolekcji wychodziłem z wewnętrznym rozognieniem, z miłością Chrystusowego kapłaństwa i ze wzgardą dla świata, siedziałka wszelkiego zła. Świat był poza seminarium, zaczynał się zaraz na chodniku, za bramą. Wyspa czystości to był nasz dom seminaryjny wraz z ogrodem, chronionym przed światem wysokim murem i drzewami. Wewnątrz tej enklawy świętej szczęśliwości poruszałem się jak w transie.

Rozpoczęły się zwyczajne dni seminaryjne, wypełnianie regulaminu, kaplica, modlitwa, wykłady, własna nauka, lektura ascetyczna. Dni ciekły, podobne do siebie jak kropelki. Wysoki płomień ekscytacji opadał, opadał. Przygasał. Wypelzało skądś zmęczenie i znużenie, które zaczęło obdzierać mój duchowny i duchowy świat z kolorów i blasków. Pozostało tylko uwrażliwienie: trzepotliwe jak nagi nerw, kurczą się z cierpienia w każdym bezlitosnym zderzeniu z życiem, przeskakującym moim świętym postanowieniom. Pojawiały się pretensje do siebie, że nie staję się tak szybko świętym. Gorycz wyrzutów. Pogarda wobec własnej słabości. Żal, a czasem i placz historyczny, że gwałtem ascezy nie niszczy w sobie człowieka i nie wzbudza anioła. Obrzydzenie do ciała, które mnie złościło potrzebami konsumpcyjno-fizjologicznymi. Więc je karcilem, odmawiając mu to jedzenia, to wygody, to znowu oglądania miłych rzeczy. Drażniło mnie lakomstwo i obżarstwo siedzących przy moim stole kleryków, nie mogłem patrzeć na ich opasle gęby, oblane tłustością samozadowolenia. Męczyła mnie natrętna cielesna obecność moich czterech współmieszkańców pokoju, ich rozbieranie się i ubieranie, ich gołenię i mycie. Przejawy żywotności cielesnej u mnie i u innych ściągały mnie do poziomu upokorzeń i zaletności. Kłopoty z przygotowaniem się do spowiedzi. Tortury skrupulatnego sumienia tuż po spowiedzi. Coraz większy strach przed komunią św. Coraz trudniejsze rozmowy z ojcem duchownym. Zawzięte milczenie i opryskiwanie słowa. Coś się napinało niebezpiecznie i zaczynało w moim zapakowanym

dążeniu do doskonałości. Zwielokrotnilem czujność wewnętrzną. W każdym poruszeniu wyobraziłem, w każdym ludzkim odruchu serca podejrzewałem zchianie szatana i pokusę wciągnięcia mnie w odmetn. Przesłałem dobrze spać. Po kilku miesiącach szarpania się ze sobą pierzchła gdzieś moja młodzieńcza zdolność szybkiego zasypiania i spokojnego spania przez całą noc. W spokojniejsze nawet noce pochliwy i nerwowy sen rwał się co godzina pod uderzeniami dużego korytarzowego zegara, który wybił upływanie nocnego czasu ze zdwojoną siłą. Kiedy, umęczony nocnym bojobaniem, zasypiałem nad ranem, zjawiała się w koszmarnym śnie młoda siostra Filotea z kuchni seminaryjnej, którą widywałem w refektarzystym oknie. Przychodziła do mojego łóżka prawie naga, a mając niejaki kłopoty ze zdjęciem kornetu, prosiła mnie o pomoc. Robiłem to drżącymi rękami, po czym patrzyłem z zachwytem i przestachem, jak po jej ciele rozsypany się długie, jasne włosy. Wtedy się budziłem, wypadłem z łóżka cały w potach i biegłem do umywalni, aby się oblać zimną wodą.

4.

Jeżeli mam już leżeć, lekarz mówi, że to poważnie, to muszę się oderwać od kołujących wokół mnie ostatnich wydarzeń wiosnych i powrócić do moich doświadczeń kleryckich. Ten zeszyt leżący na biurku nie daje mi spokoju. I sam nie wiem, skąd ta chęć, rosnąca chęć, spotkania się i rozmawiania z proboszczem. Tyle spraw między nami, starych i nowych. Moja postępcza żywota miała mi dać zdecydowaną i ostateczną przewagę nad nim i całkowitą niezależność wobec tego, co nas ze sobą związało. Myślałem, że uda mi się te więzy zerwać. Traktowałem go niby to życzliwie, ale naprawdę to lekceważąco, z góry. Wychwalałem jego postępcową orientację, a w gruncie rzeczy chciałem mu w ten sposób zaszkodzić w opinii dla niego najważniejszej, w opinii kościelnej. Nasyłałem mu ludzi do potajemnych chrztów i ślubów, bo chciałem ludziom pomóc w sytuacjach głupich i skomplikowanych, ale tylko Bóg wie, czy jeszcze bardziej nie chciałem go przez to narazić na kłopoty. Nie demontowałem rozpowszechnianych podejrzeń. Przeciwnie, scyłem się tymi podejrzewaniami, słuchałem o nich z zaciekawieniem, mając nadzieję, że to go skompromituje albo że wreszcie ja sam kiedyś rozprawię się z nim i to przy pomocy kurii oraz udowodnię wszystkim, że jest to niedźna kreatura i nie należy mu wierzyć, choćby powiedział o mnie rzecz najpotworniejszą. A on nigdy nie zlego o mnie nie mówił. Miał mi jedynie za złe, że przestałem chodzić do kościoła. Czy mi w czymś zaszkodził? Rywalizował z mną do najlepszych ocen na roku w seminarium, zawsze cieszył się większą niż ja sympatią.

Czy jest we mnie pycha i egoizm? Pewnie, że jest. Wszakże patrzę na te arcyłudzkie właściwości nieco inaczej niż moi seminaryjni wychowawcy, zwłaszcza ojciec duchowny. Po pierwszym i po drugim semestrze tylko my obaj mieliśmy same emnenter i valde bene. Jemu szło świetnie nawet bez tej mojej żarliwości, miał do książek więcej dystansu, lubił pograć w siatkówkę, pośmiać się i pożartować, dzielił się z wdziękiem przysyłałą mu z domu smaczną walówką, nauczył się szybko pisać na

maszynie, przepisywał dla całego roku skrypta na matrycy, powielał. Przy tym był przystojny, obdarzony dużym urokiem osobistym, co w zamkniętym kleryckim światku liczy się niemal, o czym rychło się przekonałem. Był typem społecznym, ja byłem indywidualistą, zamkniętym w sobie, przeżyłem doskonalenie siebie. Sukcesy przyjaciela okraszone dezynwolturą zaczęły mnie złościć. Mieszkaaliśmy w jednym pokoju. Ciężko znosiłem jego obecność. Pocięsałem się, że jestem jednak wyższy, bardziej uduchowiony, wyposażony dzięki pracy nad umysłem i duszą w głębsze widzenie rzeczywistości. Pragnąłem, żeby było jeszcze głębsze i przenikliwsze, żeby dotyczyło tajemnicy. Jak ja się starałem! I po raz pierwszy w życiu odczułem gwałtowną potrzebę syntezy jako warunku ocalenia własnej integralności. Biblia, historia, filozofia, literatura, wiara, doktryna, modlitwa, życie sakramentalne, współżycie z otoczeniem, doświadczanie samego siebie — wszystko to nieustannie, we dnie i w nocy, przesytywało się we mnie rozżarzoną piaskiem, zgrzytało, kłóciło się ze sobą. Usiłowałem w tych ścierających się elementach ulepić przejrzystą całość i mieć taki pewny wziernik w przepaść tego świata i we własne wewnętrzne niepokoje. Co ulepiłem, to się rozsypany, wydawało mi się wówczas, że sam się rozpadam w obec siebie kawałki. Przystępowałem wtedy do scalania siebie, do łączenia w jedno wiary i filozofii, Biblii i historii, łaski i ascezy, sakramentu i metafizyki. Wzorem był mi ksiądz profesor wykładający metafizykę, który potrafił z niej wywieść intelektualne argumenty na rzeczywistą obecność Chrystusa w Eucharystii. Umiałem ten argument na emnenter, a mimo to nie mogłem go zasymilować osobście, kiedy kłęczalem w kaplicy po komunii św. Przenikała mi wówczas groza, że oto zaczynam tracić wiarę. Mój spowiednik polecał mi bagatelizować te objawy młodzieńczej nerwozy i zapewniał, że wkrótce te lęki mnie opuszczą i odzyskam spokój. Nie odzyskiwałem spokoju, podczas gdy patrzyłem na kwintę samozadowolenie przyjaciela i rywała. Przesłałem sypiać, traciłem apetyt, zacząłem palić papierosa. Drył seminaryjny, ten sam każdego dnia, ponury kolowrotek zajęć i modlitw, brak zielonej panoramy pól — odczuwałem już niby zaciskającą się obrzoję. Wyobraźnia moja raz po raz ośmielała się przelatywać seminaryjne mury i wałęsać się po polach i bliźniach, wśród zwyczajnych ludzi, którzy mają wady, lecz nie dręczą się z tego powodu, którzy są pyszni i samolubni, lecz zdrowi i dążą do czegoś określonego. Nic przecież nie zapowiadało pojawienia się myśli o możliwości wystąpienia z seminaryjum. Z sutanną się zrosłem, z komną, ze światłem kościelno-księzkowskim zawarłem paki niezrywalny; każdym drgnięciem swej istoty należałem do tego świata. Wyjść z niego oznaczałoby dla mnie prawie śmierć.

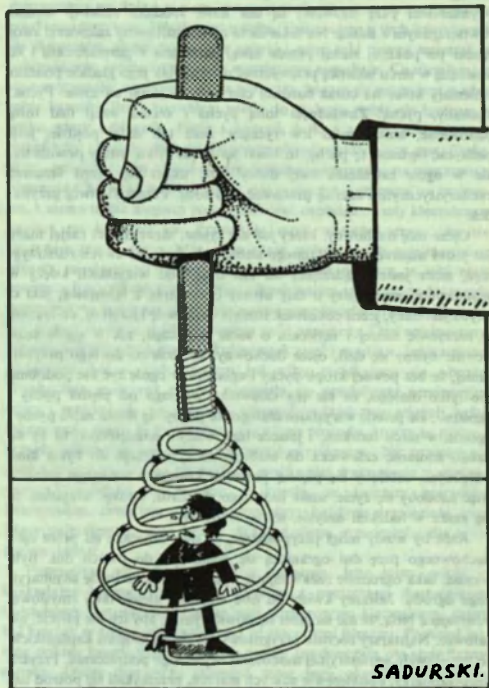
Poprosiłem ojca duchownego o rozmowę. Jego jasny pokój, z kaskadami białych firanek w oknach, z portretami dostojników kościelnych, ogromnym krzyżem nad purpurowym kłęcznikiem, pełen był książek w ciemnych oprawkach i ze złocystemi literami. Pachniał jak inne pokoje księży, które nie wiem czemu zawdychają ów specyficzny zapach. Ojciec duchowny posadził mnie przy okrągłym stoliku, z

którego spływały obficie falbany białego koronkowego obrusa. Moje trzęsące się dłonie zaraz zajęły się tymi trochę za długimi białymi faldami, które zwijałem w trąbkę i mięgiem, ile tylko się dało. Ojciec duchowny usiadł naprzeciw mnie. Miał pulchne, lśniące policzki, okulary pod bardzo wypukłym czołem i krótki nos. Mów — powiedział — i wstał, po czym chodził tam i z powrotem, od stolika do drzwi. Wolalibyśmy mówić, widząc jego okrągłą twarz, ale trudno. Wyrecytowałem przygotowane sprawozdanie o stanie mojej duszy. Przerywał mi co chwila gromkim śmiechaniem aż do tego momentu, kiedy wyznawałem, że moją ambicją jest wyworzyć sobie syntetyczny pogląd na Boga, na świat, na człowieka, na siebie oraz że pragnę zgodnie z tym poglądem urabiać swoją osobowość i przygotowywać się do przyszłej pracy duszpasterskiej. Przyznałem się też, że filozofia starożytna, szczególnie dialogi Platonskie i niektóre poszukiwania filozofii współczesnej (wymieniłem parę nazwisk) są dla mnie źródłem refleksji niemal równorzędny z Biblią. Na takie dicta ojciec duchowny zakończył swój spacer po pokoju, stanął przede mną, patrzyłem z przerażeniem i ze skaczącą w sercu iskierką przewrotnej uciechy, jak jego gładkie policzki zmieniały kolor na coraz bardziej czerwony. Ryknął na mnie. Pycha, kochany, pycha! Zawładnęła tobą pycha i szatan wziął nad tobą panowanie, szatan jako lew ryczący. Jeśli tak dalej pójdzie, jeśli podyskać będziesz też pychę, to bliski jesteś nie tylko utraty powołania, ale w ogóle zatracenia swej duszy! Idź, ukorź się przed Jezusem eucharystycznym i zacznij pracować nad sobą. Przemysśl swój przypadek.

Ojciec mój duchowny, który już nie żyjesz, może miałeś rację, może już jesteś mądrzejszy od samego siebie, tak pewnego wszystkich rozstrzygnąć, może jesteś mądrzejszy od nas obu i od wszystkich księży w seminaryjum, mądrzejszy o cały obszar obcowania z tajemnicą, jaki ci chyba jest dany. Jeżeli cokolwiek istnieje naprawdę i jeżeli to, co myślimy w rozmowie naszej i myśleniu o sobie napoczęli, ma w ogóle sens. Pewnie byśmy się dziś, ojciec duchowny, zgodzili co do tego przynajmniej, że bez pewnej kropli pychy i egoizmu w ogóle żyć nie podobna, nie tylko dlatego, że nie ma człowieka wolnego od piętnej pychy i egoizmu, ale przede wszystkim dlatego, że gdyby się udało zabić pychę i egoizm w sercu ludzkim, i jeszcze inne wady i namiętności, to by się zabiło zdolność człowieka do ambicji, do rywalizacji, do bycia kimś odrębnym, zabiłoby się piękną potrzebę kruszenia własnego serca, a więc zabiłoby się życie, smak ludzkiego dramatu, sztukę, wszystko, co się rusza w ludzkim umyśle, sercu, wyobraźni.

Któż by wtedy mógł przypuszczać, że owe obiecanie mi przez ojca duchownego parę dni ogranicza się dosłownie do dwóch dni. Była wiosna, taka ogromnie rozkwitająca wyłącznie w kwadracie seminaryjnego ogrodu. Jaśminy kwitły po obu stronach alejek taką zmysłową, odurzającą bielą, że nie mogłem się powstrzymać, aby ich nie pieścić, nie całować. Najstarszy rocznik przygotowywał się do święceń kapłańskich, co przysądzało seminaryjnej monotonii ówczesnego podniecenia. Przyszył neoprezbiterzy, bohaterowie naszych marzeń, przemysłali się pośród nas

milzący i skupieni, świadomi ostatniego zatraskiwania przez siebie drzwi za światem. Ja, kiedy tylko można było, brałem książki i zeszyty z wykładami i zaszywałem się w jakiś kąt pod gałęziami jaśminu, siedałem na odrobinie skoszonoj trawy i nie bronilem się przed rozkoszami skondensowanych zapachów wiosny. Czytałem, przygotowywałem się do egzaminów. Tak właśnie było dwa dni po mojej rozmowie z ojcem duchownym. Dnia tego zaprawowany myślą i życiem Abelarda i Heloizy, zadumany nad ich losem, nie mogłem ani rusz oderwać się od ich historii i pójść dalej. W tych minutach całkowitego mojego bezruchu stanął za krzakami jaśminu onże sam ojciec duchowny, i, już z moim zeszytem zawierającym wykłady z psychologii, który mi przed chwilą oddał przyjaciel i położył za mną na trawniku (pożyczył ode mnie celem skompilowania skryptu), odczwał się zniecka nad moją głową: To



tak? Nie mówiles mi nic o tych źródłach swoich niepokojów. Przyjdiesz do mnie zaraz po kolacji. Odpowiedziałem: Nie rozumiem, o czym ojciec duchowny mówi. Dziękuję za zaproszenie, przyjdę natychmiast po kolacji. Poszedłem. Mój zeszyt leżał na białym obrusie okrągłego stołu. Ojciec duchowny: Szatan pożałdliwości i kłamstwa ma do ciebie wolny przystęp. Teraz rozumiem twoje rozterki. To jasne, utraciles powołanie albo go nigdy nie miałes. To nie potrzeba syntezy, lecz potrzeba kobiety, która robi na tobie piorunujące wrażenie, aż tak duże, że tu musiales przemyć jej wyuzdane obrazki. Zeszyt z psychologii służy ci do studiowania jej grzesznego ciała. Dotrzymamy cię tu do końca roku, potem się rozstaniemy, obowiązuje cię tajemnica co do przyczyn opuszczenia seminarium i treści tej rozmowy. Ja: To jakaś pomyłka, proszę ojca duchownego, nic z tego nie rozumiem. Czy mogę zobaczyć ten zeszyt? Ojciec duchowny: Zobaczyc swój zeszyt? Proszę. Tylko nie zechciej przy mnie przyglądać się temu. Spoconymi i roztrzęsionymi rękami wzięłem zeszyt. Otworzyłem, jak się otwiera zeszyt w miękkich okładkach. Błysnęły, jedna, druga, trzecia... kolorowe fotografie półnagich dziewczyn w wyzywających pozach, bezczelnych zalotnym uśmiechem, owianych wiatrem potarganych włosów. Serce mi zabiło. Krew napłynęła z powrotem do twarzy. Rozpoznałem te obrazki z gazety francuskiej, przywiezionej z Paryża przez Zośkę, podsuniętej mi na wsi przed dwoma laty złośliwie, zdaje się, przez świdrowatą Helkę. Wziął to ode mnie (po co?) przyjaciel podczas koleżeńskich odwiedzin w moim domu pod strzechą. Nie oddawał długo. Teraz wkleił do mojego zeszytu (po co?). Mówię do ojca duchownego: To nie ja zrobiłem, to nie moje. On: Zeszyt twój? Ja: mój. On: Mam tu jeszcze listy z twojej wsi, pisane koślawo, ale tym bardziej wiarygodne. Wynika z nich, że masz na wsi dziewczynę, z którą cię coś łączy. Ja (myśląc, że autorem listów jest pewnie Helka): To nieprawda. On: Mnie śmiesz tak mówić?

Egzaminy zdałem na eminenter, jedno valde bene. Po ostatnim egzaminie, w obecności wszystkich współmieszkańców seminarijnego pokoju przedzierzgnąłem się w cywila, spakowałem i powiedziałem, że wyjeżdżam na zawsze. Stanęli jak wryci. Przyjaciel zamrugał do mnie.

Cóż mi zostało do dziś z tego wszystkiego? Po co sobie przypominam te wydarzenia? Poprzez doświadczenia moich lat następnych wyglądają jak zmyślone komedijki. Wówczas były prawdziwe i bolesne.

5.

Cóż to za siła fatalna to moje seminarium. Krótki pobyt, a wrył się we mnie głęboko. Ież to razy potem już, jako działaczowi śniło mi się, że znowu jestem w seminarium, że obleczony w sutannę i komżę kłęczę u stóp ołtarza i trzęcę się ze strachu. Dlaczego ze strachu? Nie wiem. Wiem tylko, że w seminarium duchownym bardziej niż w małym bałem się wszystkiego, bałem się Boga, księży, siebie, myśli wyczytanych i własnych, bałem się nawet snów. Bałem się życia, ponieważ się kłębiło, a zakazy, regulaminy i wyrzeczenia ascetyczne miały to życie pchające się

w górę i wszere przycinać i tłumić. Seminarium zmroziło mnie strachem, uczyniło ze mnie istotę drżącą, galaretowatą. Na długie lata. Na tak długie, że może aż do dziś. Nikt mi tam nie powiedział: Nie bój się. Nie bój się, bo chwalać Boga jest, aby człowiek żył pełnią życia, aby rósł, rozwijał się, radował i miłował. Nie bój się, bo Bóg nie lubi letnich, asekuranckich tchórzów, lecz gorących ryzykantów, którzy na słowa Pana nie lękają się iść po wodzie. Nikt mi tego nie powiedział. Życie we mnie ledwie zipiało, zapędzone w zakamarki, dalo się splaszczac w regulaminowych walcach coraz bardziej, coraz bardziej na podobieństwo bladego papieru. Miałem świadomość, że poddaję się jakiemuś gwałtowi, że muszę się ratować przed wysuszeniem z siebie życia, przed wysuszeniem się na wióry. Ze świadomością, że jestem naznaczony kalectwem strachu, odbierającego mi zdolność do pełnego życia, występowałem z seminarium... Postanowiłem się wszepścić w życie, natychmiast, desperacko, wbrew pętającym mnie strachowi. Postanowiłem wkroczyć w ciemny las, pełen groźnych pomruków i dzikich zwioliów. Zmierzę się z życiem, nie ucieknę przed nim. Zacznę ścierać z siebie seminaryjne piętno strachu.

Ale gdzie się udać? W którą stronę? Do kogo? Co robić potem ze sobą? Wciąż jeszcze kurczę się z bólu na wspomnienie tamtego dnia, kiedy zawarłem bramę seminarium i ruszyłem w świat. Lekko mi niby było, jakbym się zerwał z uwięzi. Zostały za mną regulaminy, ćwiczenia duchowe, czuwania nad każdym grzesznym poruszeniem wyobraźni. Jest oto we mnie radość, że nie będę się w tym dusił przez całe życie. Oddycham. Walizkę tekturową trzymam w prawej ręce, lewą wkładam do kieszeni podnieczonych spodni i układam wargi do gwizdania. Nie wychodzi mi gwizdanie, odwykłem. Mimo to dodaję sobie fasonu beztroskiego i wesolkowatego. Idę na dworzec kolejowy, jestem jak ludzie, których spotykam. Tylko dlaczego ci ludzie przyglądają mi się bacznie, jakbym skądś uciekał? Idę na dworzec i kupię bilet, i pojedę. Dokąd? Przede mną życie, przede mną las, zza każdego drzewa czyha coś groźnego. Nie mam już regulaminu. O, teraz tam za murem dzwonek, koniec rekreacji, siadać, zaczyna się obowiązująca lektura duchowa. Nic mnie to nie obchodzi. Ale za parę godzin będzie się ściemniać, potem będzie noc. Gdzie pójść? Najlepiej byłoby pojechać gdzieś daleko, ominąć swoją wieś, dom rodzinny, nie musieć patrzeć ojcu i matce w oczy, pojechać gdzieś. Może by tak za granicę? Wiedzieć, co ze sobą zrobić, umieć to zrobić i zacząć życie od nowa. Na poczekaniu niczego nie wymyślę, niczego nie załatwię. Przecież ja nie umiem być między ludźmi, nie znam ich sposobu bycia i walki o byt. Przecież ja nie umiem nie robić, oprócz roboty w polu i w stajni. Gdzieś ucieknę i z czym? A po co, mam uciekać, przed czym? Matki i ojca się nie boję, tylko jak się z nimi spotkam? Wiesz mnie wyklinie, że jej odebrałem radość prymicy, że jej nie uwolnilem od sfinksa, od przeleństwa. Trzeba mi się będzie rzucić w ogień wykłęk i pomstań, to nie, doświadczyć siebie, zadawanie sobie cierpienia, ćwiczenie siebie w pokorze, to wszak mój chleb codzienny. Nie tak łatwo z tym zerwać. Zmieni się smak cierpienia, poznam ten nowy smak.

Miało się pod wieczór, późny czerwcowy wieczór, kiedy przechodziłem przez moją wieś i zbliżałem się do domu. Widywali mnie tu już ludzie w sutannie, wychodzili z domów na moje powitanie, przyglądali mi się z rodzajem religijnego oniemiaenia. Teraz też, po całodziennej pracy zmęczeni, ciężcy, podnoszą się sprzed chalup, wstają, wydłużają swoje niezdarne postacie i, wstają, twarzą Milczą Dziwiąją się, że mnie widzą w nieprzystroimym stroju, zgadują moją zdradę. Idę w tym szpalerze nieprzystajnego zdziwienia, idę twardo i milcząco. Wiem, że zaczęła się walka, że nie wolno mi okazać słabości tuż na początku konfrontacji. Rozumiem, że ich zawiodłem i nie naprawię tego teatralnym odsłanianiem ran na duszy. Będą po swojemu gadać i wskazywać na mnie palcami potępienia. Ja muszę to wytrzymać. Będą podglądać z rozmakowaniem moje życie i ubarwiać je plotkami. Stworzą sobie taki mit, żeby sobie zlagodzić smutek niespełnienia marzeń. Ja będę musiał wykrzesać z siebie coś zgoła nowego.

Do domu podszedłem po cichu i od tyłu. Burek rzucił się ku mnie z takim wybuchem radości, że przez moment mój ciężki los wydał mi się snem tylko. Niestety, trzeba było po nasyczeniu psiej tęsknoty podejść w pobliże drzwi domu, położyć rękę na klamce i stanąć na progu. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! To ja. Na wieki wieków. To ty? Mama siedzi z różańcem w rękach, taka malutka i taka smutna, jakby cały świat pracował na to jej pomniejszenie i na ten jej smutek. Stoję. Ojciec, który leży na łóżku pod pierzyną, chowa twarz w poduszkę i odwraca się do mnie tyłem. Matka patrzy na mnie i nic. Nie wytrzymuję dłużej, przypadam do jej rąk. ona po chwili gładzi mnie po głowie. Nic nie mówimy, ona mnie wciąż gładzi, ale tak, że jestem coraz bliżej niej. Poszedłem do swojej izby. Nic spałem, całą noc myślałem, co dalej. Nic nie wymyśliłem. Nazajutrz poszedłem w pole, była pogoda, śpiewały skowronki, a ja buszowałem wśród wysokiego żyta, próbując w ten sposób uspokoić rozdygotane nerwy. Nagle stanąłem oko w oko ze świdrowatą Helką, która, Bóg raczy wiedzieć jak, odnalazła mnie w życie. Uśmiechała się do mnie takim śmiechem, że musiałem uciekać. Uciekałem do lasu, niby ogniem piekielnym parzony.

Mijały dni. Minęły miesiące wakacyjne przepracowane z rodzicami w polu. Pracowałem żarliwie, pragnąłem ulżyć rodzicom, wynagrodzić im choć trochę całą gorzycą zawodu i wstydu z mojego powodu. Czas leczył i przecierał ostrości tamtych moich i nie tylko moich dramatów. Ludzie przyzwyczaili się do tego, że mają między sobą niedosłego księdza. Ksiądz proboszcz powiedział pewnej niedzieli w kazaniu, że jeżeli chcą mieć naprawdę księdza ze swojej wsi, to muszą się dużo modlić, a mniej pić i mniej gniewać się wzajemnie na siebie. Po cóż mi się to wszystko przypomina? Po cóż mi truć się takimi wspominkami? Mam dość tego, co dni bieżące przynoszą.

Pierwsza niedziela po powrocie z seminarium posiała w moim sercu ziarno pychy, innej pychy niż ta, za którą beszał mnie ojciec duchowny. Tej to niedzieli pojechałem na rowerze na mszę odprowadzając najwcześniej, bo chciałem dojechać tam i z powrotem szybko, widziany przez najmniejszą ilość ludzi. Ubrazy zresztą byłem mizernie a to zaczęło już

dla mnie mieć znaczenie. Tuż po mszy puściłem się pędem do domu. Zle obliczyłem czas, bo oto w połowie drogi, przy zjeździe z góry, natknąłem się na falę ludzką zdużającą na mszę następną. Rozstąpili się wszyscy tak, że zrobili mi między sobą ścieżkę do wolnego przejazdu. Ale stanęli, wyciągnęli szyje i wszyscy, wydawało mi się wtedy, że to morze głów ludzkich, wpatrzyli się we mnie, bodli mnie wzrokiem, bodli mnie, jak widłami. Śmiali się chyba ze mnie, ze szmatławego cywila. Stali tak i wbijali we mnie że oczy, a ja jechałem waziątką ścieżką. Nie wytrzymałem tego, przewróciłem się, potlułem sobie kolana i łokcie. Dźwigając się i usiłując wsiąść ponownie na rower usłyszałem nieprzyjemny śmiech po jednej i po drugiej stronie. Wtedy po raz pierwszy odczułem nienawiść do tych ludzi i żądzę wywyższenia się ponad nich, wywyższenia się tu, w tej wsi, na ich oczach, za wszelką cenę, żeby widzieli, żeby mi zazdrościli... Na odcinku drogi od mojego upadku do domu powstał wtedy w mojej głowie ten zmysł.

I zdobyłem wykształcenie, i pozycję społeczną, i wpływy... I wybudowałem nowy dom, i kupiłem auto, i miałem przygody, i ożeniłem się z siostrą księdza. I mam to teraz.

6.

Zadzwonili po mnie. Polityczne trzęsienie ziemi. Zadzwonili, a ja nic. Nie poderwałem się, nie wskoczyłem do auta i nie poleciałem do nich, jak przez tyle lat, jak zawsze. Nic. Siedzę w fotelu, zwinęty w sobie samym, zwrócony w przeszłość. Przeglądam te zeszyty z zapiskami i wierzyć mi się nie chce, że to moje, że to ja pisałem. Naprawdę żyłem już wtedy? I to byłem ja? I taki? Chyba jednak tak. Ten materialny dowód ma wymowę większą, niż moje myśli tu zapisane. Teraz już nie ma takich zeszytów. Grube, w tekturowych okładkach, obciągniętych popielatym marmurkiem w esowate desenie. Brzegi nadgryzione przez myszy. W przeddzień zwalenia starej chałupy w żółtawy proch i pył, kiedy wszystko już z niej zostało wyniesione, wszystko stare, krzywe, poutraćcane, przypomniałem sobie, że na strychu, kolo komina leży wiklinowy kuferek z książkami i tymi zeszytami. Niezrozumiały odruch kazał mi to przechować, a teraz po to sięgnąć. Dowód mojej tożsamości. Kraina, którą opuściłem. To ja, tamten i ten, który teraz siedzi w fotelu, obezwładniony, niezdolny do wejścia w życie, nieważliwy na telefony, choć już trzeci raz dzwonili, który siedzi w fotelu naprzeciw ściany zastawionej książkami, i poddaje się przewrotnym udrepteniom powrotu do krainy, szerokiej i wysokiej, tak śmiesznie splaszczonej i zatrzymanej w tych kruchych zeszytach. Nie mogę zejść na dół i pojechać do Komitetu. Straszyl mnie już nieraz lekarz, żeby się tak nie spalać, bo serce, bo nerwy. Śmiałem się z niego i pędziłem z narady na naradę, ze szkolenia na szkolenie, wykladałem, przekonywałem... Ideologia i filozofia. obie tak ze sobą wymieszane, że stawały się jednością, i znowu filozofia, i propaganda, i teoria, i praktyka, i cała polityka. Uświadamiać, podbijać, zdobywać. Walczyć z wrogami coraz to innymi, z dewiacjami i zagrożeniami, ze wszystkimi i ze wszystkim, co

nie od nas, co nie nasze. Byłem na pierwszej linii, zawsze. Znowu coś nadciąga, jakieś niepokoje. Potrzebują mnie. Wielkie zadania. Uroczysta mina sekretarza. Arcykaplan wojewódzkiej polityki. Celebrans wtajemniczenia przywiezionego ze stolicy. Usiadz przy wielkim biurku nad zeszytem i będzie wygłaszał oryginalne myśli w oryginalnych formach, osnuwając zaniepokojoną twarz ideowo-politycznego tropiciela i odkrywcy słodkawym dymem z fajki, którą ścisła grubą łapą, jak siekiere w rozmachu nad pniakiem. Jego gabinet słyszał i widział niejedno. Konferencje, kawki, koniaki, ceremonial narad i odpraw, powietrze gestniejące od ciężkiej powagi. Liturgia słów, zagajen, wniosków, słów zawsze podobnych, i zwrotów, i gestów, sinusoida zaangażowań i rozluźnień, napięcia i uśmiechów zawsze na tej samej wysokości wznoszenia się i opadania słowotokowej frazy. Twarze, takie podobne do siebie, obrabione przez słowa, ukłony, głębokie namysły, twarze wyglądzone, przeloczone przez ukulturalniające foremki, ponad sztywnymi garniturami, krawatami, kolnierzykami, zmieniającymi się dość chętnie i ambitnie pod wpływem mody. Twarze sztucznie uzbębione, z drobinkami nie zmytego po gołeniu mydła, twarze uroczyste i wulgarnie, chłopskie na zawsze, pod nalotem miejskiego modelunku, rozmiękczone i czynie przyczajone. Tyle godzin wokół zielonego stołu, przed południem, po południu, wieczorem. Tyle tematów, wciąż tych samych, warianty się zmieniały, nastroje, pozory powagi, entuzjazmu, gotowości do walki. Tematy te same. I poetyka dyskusji taka sama, i tonacja końcowych wezwań do czuwania, urabiania, utwierdzania, pomnażania. W tych ścianach bez ustanku przesypuje się szum słów powiedzianych i w porę stłumionych, te ściany drżą nie dopełnionym życiem, które jak słodkawy dym z fajki szefa musiało do nich przywrzeć i każdego dnia budzi się odnawiającymi się sztucznie ekscytacjami.

Dzwonili po mnie, bo się wali gmach ułożony z pozorów. Ale ja tam nie pojadę. Mógłbym sobie zrobić dobre śniadanie, wsiąść do auta i pojechać. Nie jest przecież ze mną tak źle, jak mówił lekarz. Mógłbym. Chyba rozumiem, co się dzieje. Jednak nie mogę. Nie mogę wejść między nich, usiąść przy stole, słuchać, gadać, a potem jechać dalej i wyjaśniać według instrukcji, wykladać, tłumaczyć, przekonywać, mobilizować. Nie mogę. Siedzę w fotelu i przeglądam swoje stare zeszyty, pogryzione przez myszy. Ręce mi się trzęsą. Serce opływa chłodem. Mógłbym wstać i pójść w pola, na łąki, do lasu. Tyle słońca, tyle zielonego życia za oknami. Nigdzie nie pójść. Czuję się pokawalkowa-ny, moje wewnętrzne więzadła, trzymające mnie w kupie, rozluźniły się.

7.

Zdrzemnąłem się. Wydawało mi się, że błędzę w lesie i gadam do siebie jak głupi. Ale to nie było gadanie przez sen, ono wyciskało się ze mnie i wcisnęło się we mnie na powrót... Głuptasie nawiany szkolnym filozofowaniem. Jesteś i będziesz, będziesz dziś, będziesz jutro, konkretny, wyraźny, i gdziekolwiek się ruszysz, pociągniesz za sobą smugę skażenia, jak samolot rysujący czyste niebo. Gdziekolwiek się obrócisz,

A tysięczne nici z przeszłości napinają się we mnie niby wiatrem wydymane. Teraźniejszość coraz halasiłwsza, coraz groźniejsza osacza mnie wsząd i wzywa, wzywa. Znowu mam wybierać? Wybrałem raz. Złe. Wybrałem drugi raz, żeby mieć życie, jakiego pragnąłem, żeby się zemścić. I miałem to życie, rozciągające się między komitetami, wydziałami i komendami, punktowane przepływającymi godzinami, telefonami, spotkaniami, konferencjami. Nie było to życie czule na moje intymne myśli, tęsknoty i lęki. Miałem tylko sprawnie funkcjonować. Miałem być niezawodnym urzędnikiem. Miałem być elementem w konstrukcji podtrzymującej wielki gmach, który teraz trzeszczy. Tamten gmach. I mój dom, wymarzony, wypieszczony, wzniesiony z nuworyszowskiej pychy na mściwy wobec wsi pokaz. Pusty dom. Kurz sieje się przez ciszę i osiada wszędzie. Mogę wstać, zapalać światło i chodzić z pokoju do pokoju, pootwierać wszystkie drzwi, wszystkie szafy i szafki, barki, lodówki i ryczeć, i prac w to młotem albo siekierą, wyrzucić wszystkie książki na podłogę i ułożyć z nich piramidę, aż pod sufity, i wleźć na wierzch, i ryczeć, i ryczeć. Nikt nie usłyszy. Na nikim to nie zrobi wrażenia. Żona wzięła dziecko i wyszła z tego domu. Nie powiedziała ani słowa. Już nie wróci. Wiem. Wiem, dokąd pojechała. Nie wróci. Konczę mi się zapasy jedzenia, w lodówce resztki, w kredensie kawałek czerstwego chleba. Coś jednak trzeba zjeść. Patrzę na przykurzony blask kuchni, na kryształy, porcelanę.

W taką niedzielę, jak dziś, ojciec wracał z kościoła po pierwszej mszy, futrował bydo, potem zasiadał do śniadania, kawa zbożowa z mlekiem, jajka, chleb. Jakże to ojcu smakowało. Przy tym szło od niego tyle dobrego i zabezpieczającego ciepła, tyle zaufania do życia i spokoju, tyle dojrzałości, trochę przepoczonej, swojskiej słodyczy. Pachniał męską starością, w promieniowaniu której wszystko było uporządkowane i rozumiałe. Jadł śniadanie z ogromnym zadowoleniem, w milczeniu, spoglądając przez okno. W kościele śpiewał „Godzinki”, odmawiał różaniec, słuchał kazania, bywało, że się i zdermiał, a w drodze powrotnej politykował z chłopami. W domu czekało na niego śniadanie, gazeta, odpoczynek, gospodarska przechadzka po polach. Ja mogę sobie zrobić śniadanie z tych resztek, okraszę je salonowymi zwyczajami, mogę przy tym wypić pół litra i zwałić się na wersalkę. Takie zadowolenie. Taki smak. Taka nadzieja. Taka powaga. Nie wracam do domu. Nikt na mnie nie czeka, ani człowiek, ani zwierzę, ani ziemia.

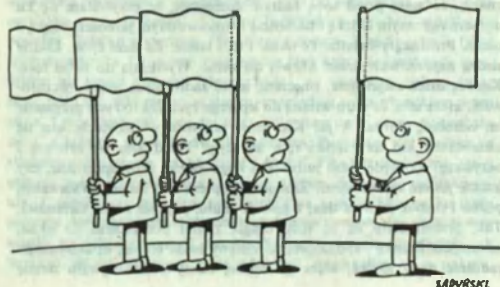
9.

To do mnie szło. To mnie miało ukłuć. I przeszło krzykiem przez świat. We mnie zapadło cichutko. Nie powiedziałem wtedy do nikogo ani słowa. To był wieczór. Wracałem do domu, miałem za sobą wykłady, konferencje, ideologie, plotki, szczucia, wódki... Radio w aucie brzęczało, nie słuchałem. Wtem ten błysk, grzmot. Zatrząsł się czas. We mnie coś pękło i otworzył się prześwit na moje chłopięce i młodzieńcze lata. Za mostkiem zjechałem na polną drogę i stanąłem, wygasiłem światła. Obejmuję tę wiadomość, obejmuję, ogarniam, zdaje

się, że ręce wyciągnąłem. Polski papież! Nie wiem, jak to długo trwało. Nie zwierzyłem się nikomu ze swojej tajemnicy. Nawet zamach na niego tak mną nie wstrząsnął. Był niemal czymś logicznym, nawet koniecznym jako jeden z etapów dopełniania się jego życiorysu. Chciałem jedynie zrozumieć, co to wydarzenie znaczyło, poza strzałem wymierzonym w niego, jego skrzywnią od bólu postacią, pędem białego auta, zamieszczeniem na placu, jakaniem się komentatora w naszej telewizji. Bo znaczenie tego wydarzenia mieści się poniżej tego wszystkiego, głębiej. I działa. Oni się jeszcze spotkają, ten Turek i papież.

10.

Ta kartka jest młodsza od starego zeszytu o kilka ciężkich lat i nie mam pojęcia, dlaczego i kiedy została przeze mnie włożona między nadwerżone okładki. Takie pomieszanie czasów, tamtych i teraźniejszego, sprasowanie odległych czasów do jednej nikłej iskierki przeskakującej z powierzchni w otchłań i z powrotem, to znaczy we wnętrzu mojej świadomości, ożywiającej tego ociężałego facta, któremu tak trudno oderwać się od poręczy fotela. Kartka jest dowodem mojego zwycięstwa i mojego upadku. Miałem stanąć przed bardzo ważną osobą z prośbą o przywrócenie mi praw studenta, po roku kwarantanny, i na tej kartce notowałem swoje przebiegane argumenty ideologiczne. Przed rokiem właśnie wyrzucili mnie z uniwersytetu. Najpierw chodzili za mną i wzywali mnie, i namawiali, i organizowali. Ani się nie zapisałem, ani się nie podpisałem pod oświadczeniem, ani nie napisałem artykułu piętnującego moją klerykalną i fideistyczną przeszłość. Jeszcze wtedy tego nie umiałem, jeszcze to, com porzucił, nie nadawało się do całkowitego odrzucenia. Poza tym studia filozoficzne przysposobiły mnie wciąż jeszcze do postawy godności i wolności wyboru przekonania. Wciąż jeszcze byłem pod urokiem Abelarda i jego odwagi indywidualnego filozofowania. Wezwał mnie dziekan i pokazał pismo podpisane przez ministra — od dziś skreślają mnie z listy studentów. Powodów nie sformulowano. Rok przepracowałem jako robotnik przy wykopach i



SADURSKI

zakładaniu kanalizacyjnych kolektorów dla naszych osiedli. Mieszkalne baraki robotnicze, kufajki, gumki, wódki, piwa, zabawy, bitki... no, co tam jeszcze. Mój plan, żeby być wykształconym, bogatym i ważnym, żeby wsi pokazać, żeby być szczęśliwym, diabli brali dzień po dniu. Grzebałem siebie razem z tym planem. Z czym miałem wrócić na wieś? Trzeba się było ratować. Zapisalem się, stanalem do egzaminu i spowiedzi przed organizacją. Powiedzialem, co chcieli. Przyjęli. Dostalem legitymację. Angażowalem się, udzielałem się, wymarzałem się, popierałem, potępiałem. Szedłem szybko w górę. Zajmowałem coraz to wyższe funkcje w organizacji. Przemieniałem się w działacza. I jak ja chciwie czytałem! A jak to się wszystko we mnie mieszało, łączyło i kształtowało, nie rozumiem do dziś. Jakoś się przeciw ukształtowało, bo stanąwszy przed bardzo ważną osobą, z kartką uporządkowanych na wszelki wypadek argumentów, przkonałem się o własnej przemianie ideologicznej i obywatelskiej dojrzałości. Wróciłem na uniwersytet. Studiowałem i działałem w organizacji. Przewodziłem, przemawiałem, wyjaśniałem, wyjeżdżałem, podróżowałem, reprezentowałem, smakowałem. Przecierałem sobie drogę. Już na nią wstępowałem. Już widziałem swój dom, swoją ważność.

11.

W Polsce dzieją się coraz dziwniejsze rzeczy. Wyłączyłem telefon. Zabarykadowałem się w domu. Wpuszczam tylko siostrę, przynosi mi najniezbędniejsze pożywienie. Niech świat huczy i trzeszczy w posadach.

Wiosna wybuchła oszalającym pięknem. Siedzę w swej kamiennej twierdzy, a za ścianami, dookoła, na polach, na błoniach, w lesie pęcznieje coroczne misterium życia, barw, zapachów, przenikające z ziemi ku nie dające się objąć zmysłami nieskończoności. To przedpołudniowe słońce chce chyba spalić mój dom i wywołać mnie z więzienia. Wczoraj wyszedłem. Po zapadnięciu zmierzchu zamknąłem dom i poszedłem moim szlakiem, polami, łąkami. Doszedłem do lasu i szybko się wycofałem. Bałem się wejść głębiej. Wracałem. Czulem jakąś dawno zapomnianą wdzięczność, że idę po ziemi tak dobrze mi od dziecka znanej, że mam przed sobą ludzkę domostwa, że przybliżyłam się ku domom ogrzanym ludzką obecnością i rozświetlonym jasnością bijącą z okien. Prostokąty światła. Te okna, i te, i tamte. Za nimi życie. Ludzie siedzą naprzeciwko siebie. Mówią do siebie. Wyciągają do siebie ręce. Konczą dzień wczajnie, zmęczeni, może zadowoleni, może rozczarowani, może ufnie, że jutro wstaną do lepszego życia, że to życie przyniesie im odrobinę dobra. A ja? Kto mnie przywitania w drzwicach, kto się uśmiechnie, kto mi zarzuci ręce na szyję? Przed kim się otworzę i oczyszczę? Co będę robił jutro? Do kogo pójść, żeby sprawdzić, czy jeszcze jestem człowiekiem? Zasnąłem dopiero nad ranem. Wstawałem późno i ciężko, jakby z dna, z gęstego mułu, poprzez zwaly ciemności. Tak, przemagałem się ze sobą długo, zanim podszedłem do okna, odsunąłem firankę i spojrzełam na zielony świat bliźni, opanowanego radośnie przez słońce, które po nocnej burzy obdarowywało ziemię

hojnością światła i ciepła. Atawistyczna chłopskość czy sentymentalny estetyzm? Stoję na mieczy, wzdymająca się zieloną pustoziołką, patrząc w lewo, w prawo. Czy mógłbym policzyć, ile razy przeszedłem na przykład to długie pole tam i z powrotem? Od dzieciństwa aż po ten dzień, kiedy ojciec pole sprzedał? Tego się nie da policzyć. Ziemiaki, żyto, ziemiaki, żyto, i rzepa, i karpiele, i lubin... Kopanie, koszenie, oranie, sadzenie, i znowu, i znowu. Święte cykle zakreślały się ciągami i nawrotami tych samych czynności. A siewem najczystszych, przenikającym tę ziemię, i żywym w każdej grudce była chłopska dusza. Schylałam się, biorąc garść ziemi, ścisłam, wyprostowuję dłoń i wpatruję się długo w sypkie, piaszczyste ziarenka, szukam w nich cząstki swojej duszy, sprzedanej cząstki duszy. Ojciec, ile to lat temu?, powiedział: to jest twoje pole, tobie miałem je zapisać, ale idziesz do seminarium, nie trzeba ci będzie tego pola, a wyprawic cię teraz należy dobrze, tyle rzeczy kupię, to muszę to pole sprzedać. I podkręcił ojciec węża, co robił, kiedy był bardzo wzruszony, i odwrócił twarz od mnie. Potem ojciec sprzedal jeszcze inne pole, żeby były pieniądze na moją świecką wyprawę i na studia. Potem już sam sprzedawałem ojcowiznę, żeby mieć z czego dołożyć do budowy nowego domu, na miejsce starego, z którego, kiedy burzono jego spróchniałe ściany, wzbijał się wysoki słup żółtego pyłu.

Cisza się nad polami unosi. Taka cisza, która chwyta za gardło, w której tajemniczo przed mającymi nadejść zdarzeniami wygrywają swoje preludia. Jest duszno. Coś się czai w powietrzu. Zachodni nieboskłon nad lasem ciemnieje, nasza się ciężko kolorem granatowym.

12.

Dni mijają. Z szumów i strzępów informacji dowiaduję się, że mój świat polityczny trzeszczy, że ludzi ogarnia jakaś wielka spontaniczna zawierucha... Co mnie to obchodzi, nie należę ani do starych, ani do nowych. Żadnym nie wierzę, bo wszystko we mnie już się wypaliło i wygasło. Niech na całym świecie wojna, byle mój dom pozostał spokojny. Kontempluję swój stan odrętwienia, napawam się nim. Taka doskonała obojętność i niewrażliwość. Taki raj samotności. Aż tyle lat musiałem na to pracować. Klasztor buddyjskich mnichów mógłby tu powstać. Telefon wyłączony. Telewizor popuszy. Z radia płynie tylko ściszona muzyka. Dom otwieram jedynie Józ, która się lituje nade mną, żebym nie umarł z głodu. Nie wychodzę, na wiosenny, zielony świat błoni, pól i łąk, taki piękny w słońcu, spoglądam sobie ukradkiem przez okna. I oto, kiedy tak parę dni temu patrzyłem przez okno, podjechało auto, z którego wysiadło dwóch mężczyzn. Poznałem ich. Kolega ze studiów, zwariowany, mistycyzujący filozof. I ksiądz proboszcz, ten z mego pokoju seminaryjnego, mający zawsze ciągoty do politykowania. Z obydwoma zerwałem radykalnie i na zawsze. Miałem ku temu powody. Dzwonili i dzwonili, obchodzili mnie i znowu dzwonili, potem usiedli na schodach przed bramą. Nadeszła siostra, nie chciała ich wpuścić, ale zdolali razem z nią wtargnąć. Zamknąłem się w pokoju.

Gadali długo do mnie przez drzwi. Że Polska się radośnie zmienia, że prawda triumfuje, że nie mam się czego bać, że jako pierwszy z prominentów zostałem zrehabilitowany, że moja odmowa została doceniona przez nowe sily, że mi pomogą wydobyc się z impasu. Gadali, gadali. W drzwiach zostawili zaproszenie. Obiecali przyjechać po mnie na tę imprezę. Już nie mogłem wytrzymać. Krzyknąłem, żeby się wynosili, bo jestem chory, do niczego się nie nadaję i nie dam się wciągnąć w żadną awanturę. Opadłem na fotel, zdyszany, spocony. Ta iskierka, która podskoczyła we mnie, ta iskierka nadwężyła mój spokój, wprowadziła mnie w przestrach. Gdzie się skryć? Gdzie uciec? Bezsenność i kolowaczka tych samych pytań wepchnęły mnie w stan takiego osłabienia i bezwoli, że już nie oponowałem, kiedy znowu przyjechali po mnie i wsadzili do auta. W głowie mi szumiały dzwiny słowa napisane w zaproszeniu: Ut mos est zapraszamy na uroczystość otwarcia, poświęcenia i przekazania w usus fractus służbie zdrowia... Po co oni mnie tam wiozą? To kpina. Chcą mnie opluć publicznie. Ośrodek rehabilitacyjny dla dzieci w wiczeście włodzenie. Rodowód budowli niechże odjedzie w niepamięć, osobliwe Tuskulum prominentów, szaleństwo dworsko-dygnitarskich urożeń. Niechże ten pałac stanie się domem dobroci, w którym biedne, kalekie dzieci odnajdą radość bycia człowiekiem, urodę życia i świata... Po co oni mnie tam wiozą? Szarpnąłem się, żeby wyskoczyć w biegu, ale mnie przytrzymali. Już na miejscu. Bywałem tu. Spałem, jadłem, piłem i ważne mądrości wygłaszałem. Sadzą mnie za stołem przydzielonym. Ledwie doszedłem do fotela. Wypijam od razu butelkę wody. Pogrążam się w jakąś czarną komedię. Wiruje wokół mnie karuzela ludzi i zgielku. Za stołem przydzielonym najważniejsze osoby: pomysłodawcy, ofiarodawcy, rewizydatorzy, budowniczości. Z prominentów tylko ja, najmniejszy, ale największy, bo odmówiłem, zdemaskowałem... Teraz siedzę wśród łaskawych zwycięzców. Ten prowadzący spoikanie, co on tu robi? Widziałem go już w różnych akcjach. On tutaj? Tak się przeobrażać, przebarbowywać? Z wdziękiem przedstawia bohaterów dzieła, trochę nie po kolei, myśląc się czasem, ale poprawia swoje uchybienia z jeszcze większym wdziękiem. Po czym uzupełnia informacje, dorzuca szczegóły rzeczowe, personalne, dosypując nieco pikanterii, wciąż z tym mizdrzeniem się dryfującym między patosem a swojskim luzem, żeby nie było asadowo i drętwo, żeby było przyjemnie i dowiecnie, żeby zjadliwe aluzjki miały epokową nośność i polyskliwą galanterię. Uderza odmiennością ta kaharetowa lekkość, opływającą swoim nastrojem powagę wydarzenia. To jest nowy styl! Takim kluczem powinno się otwierać nową epokę. Przemawiają inni panowie zza stołu przydzielonego. Opowiadają o heroicznym trudach wywalczenia i adaptowania obiektu do nowych potrzeb. Słowa, słowa, słowa... Leją się uroczystym potokiem, nabierają waloru poicisków, biorą odwet na wczorajszej przeszłości. W słuchaczy wstępuję podziw. I radość; że odnowa to nie tylko słowa, to czyn, to dzieło. Widąc jak historia zmienia swoją konsystencję na naszych oczach. Na pytania nie ma czasu. Trzeba maszerować naprzód. Na salę wkraczają uczeni, profesorowie, pisarze.

Holdownicze prezentacje. Oklaski. Podniecenie sięga zenitu. Uroczystość współzawodniczy swym blaskiem z luksusem otoczenia i wyposażenia. Poszli zwiędzać pałac. Siedzą na miejscu, nie ruszają się, nie mam siły. Popijam wodę mineralną i plawię się w historii, która bulgoce hałaśliwie i przebiega się przez ciężkie hałdy młuch. Podchodzą do mnie rozegzaltowana dziennikarka i pyta, jak ja się czuję w nowej sytuacji, czy podzielam radość, że tym paniami i panom odebrano taką perwersyjną i kosztowną rozkosz. Odpowiadam jej, żeby się odcepiła ode mnie, bo jestem na wariackich papierach i nie odpowiadam za swoje słowa i czyny. Akcja przenosi się na jeden z tarasów, dźwigam się zatem i wychodzę. Próby mikrofonu przy ołtarzu, kilka kolumn nagłośnieniowych, rozstawionych tak, żeby głos niósł się ze wzgórze jak najdalej. Zjawiają się księża, wśród nich i mój proboszcz, skupiają się przy ołtarzu, czynią ostatnie przygotowania do mszy. Grupa budowlanych w czystych kombinzonach, w białych hełmach, z kwiatami zbiega ku bramie. Po chwili wchodzi z powrotem wijącą się pod górę serpentyną z fioletową sylwetką biskupa pośrodku. Słońce praży, wyaskrawia kolory, obdarza hojnie blaskiem uroczystość. Przed mszą gospodarz uroczystości, ten sam, teraz już jakby główny ceremoniarz liturgiczny, z niezachwianą elokwencją i estradową gracją zapowiada biskupa. Wchodzi biskup. Na chwilę milknie zgłęk agory, tylko na chwilę. Wybuchą wkrótce ze zdwojonym impetem, z niepohamowaną predykcją do pompatycznej grandilo kwencji, z zadziwiająco ochotą do słów branych z wysokich rejestrów nowomowy, słów mających jakoby moc zaczarować cały dostępny świat. Trzeba zaczarować biskupa, żeby on zaczarował całą uroczystość. Niechże zatem ksiądz biskup wysoko podniesioną dłońą zazaczy najpiękniej tysięcletnią obecność Kościoła i poświęci obiekt. Akcja posuwa się i nasycza wrzaskiem, natarczywością propagandy. Duszno. Powietrze sprażone słońcem wburuje rozmiotanym szaleństwem dźwięków i barw. Pcha się na mnie ta lawina. Słabną. Obudzone nerwy krzyczą we mnie, żeby uciekać. Dopadam takśkowi, błagam szofera, placę z góry podwójnie, jadę do domu... Taki teatr. Taki kabaret. Ceremonia jest towarem, jaki ten system wytwarza w nadmiarze. Poprawiać czy burzyć? Systemu robiją to samo. Myślałem, że mam to już na zawsze za sobą. Ileż tego było, tych ekspozycji na cześć własnego imienia, tego osiągnięcia, zdobywania, przekazywania, przecinania wstęgi! Tych okrzyków i umizgów! Przy trąbках, fanfarach, oklaskach i omdleniach z zachwytem! Tych samouwielbiających celebracji i akademii! Dawno się nie modliłem, nie umiem się już modlić, a z jakichś zapomnianych, na nowo poruszonych głębi napływały mi słowa, jakbym miał wygłaszać wielką kwestię na scenie; o, Boże, oczyść nas z kosztownych i wyczerpujących przystrojów, za którymi czai się pokusa pychy i fałszu, daj nam prostotę uczuć, mowy i gestu, daj nam prawdę skromności, autentyczności, wierności, naucz nas tego najpotrzebniejszego, że dobry czyn nie wymaga chwały, reklamy, całej tej oszalelej marności wrzeszczącego pustostolstwa. Mruczałem do siebie w takśkowie, jakby mi na czymś zależało.

Teraz już się z domu nie ruszę. Nie dlatego, że mi lekarz zabronił. Ja sam nie chcę. Tak się skończy moja przygoda z życiem i ze światem. A może nie tak powinna się zakończyć? Może wymyśleć i wykonać coś efektywnego? Jakis wielki heroiczny akt? Jakis zdecydowany wybór za lub przeciw? Oddać się na ofiarę calopalną? Nawrócić się i urządzić na len temat konferencję prasową, a nazajutrz w niedzielę pójść ze wszystkimi ludźmi do kościoła i manifestacyjnie przystąpić do komunii? Albo przynajmniej kiedy będą wychodzić z kościoła uklęknąć na placu, bić się w piersi i kłaniać się wszystkim do ziemi? Tak by się to pięknie zaokrągliło, iamienn upadek z roweru przed laty i to pokorne klęczenie? Ale to już było, i w literaturze, i w teatrze. I we mnie było tyle smutnych szaleństw. Minęło. Przez dni, które mi pozostaną w domu, jaki sobie wybudowałem na własną chwałę, pomstę i więzienie, w samotności i mrokach próbując odszukać ślady. Może mnie one doprowadzą do źródła, ku któremu się schylę w ciszy i usłyszę jeszcze raz to, co jest poza wszelką grą tego świata.

Kazimierz Kania

Książki nadesłane

Lądowa Spółdzielnia Wydawnicza

Seria „Biblioteka Poetów”

Jaroslav Seifert: *Poezje wybrane*. Wstęp Jan Pilar, wybór i posłowie Józef Waczków. Ss. 160, nakład 10 000 egz.

Maciej Kazimierz Sarbiewski: *Poezje wybrane*. Wybór i wstęp Jakub Zdzisław Lichanski. Ss. 112, nakład 10 000 egz.

William Butler Yeats: *Poezje wybrane*. Wybór, słowo wstępne i przekład Ludmiła Marjańska. Ss. 168, nakład 5000 egz.

Elizabeth Barrett Browning: *Poezje wybrane*. Wybór, słowo wstępne i przekład Ludmiła Marjańska. Ss. 144, nakład 5000 egz.

Tadeusz Nowak: *Poezje wybrane*. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Autor. Ss. 152, nakład 5000 egz.

Propercjusz: *Poezje wybrane*. Wyboru dokonał, przełożył i opracował Mieczysław Brotek. Ss. 128, nakład 5000 egz.

Ferenc Juhász: *Poezje wybrane*. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Aleksander Nawrocki. Ss. 100, nakład 5000 egz.

Juliusz Słowacki: *Poezje wybrane*. Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Stanisław Makowski. Wyd. 2. Ss. 142, nakład 5000 egz.

Borys Pasternak: *Poezje wybrane*. Wybór, wstęp, nota biograficzna Józef Waczków. Ss. 140, nakład 5000.

Adriana Szymbalska: *Poezje wybrane*. Wybór i wstęp Autorki. Ss. 156, nakład 5000 egz.

Wojciech Skuza: *Poezje wybrane*. Wyboru dokonał i opracował Józef Bińczak. Ss. 140, nakład 5000 egz.

Marian Piuchal: *Poezje wybrane II*. Wstęp, wybór i nota biograficzna Ziemowit Skibiński. Ss. 132, nakład 5000 egz.

Cena Łódzkiej księki 100 zł

ZBIGNIEW RUDKO

Z cyklu *Spojrzenie w lustro*

Wspólnota

Wszystko już było. Ale to oznacza
Niewolę świata a nie jego więć,
I niepokojów nie tłumaczy —
Wspólnych dla wielu, lecz w lustrze jedynych.

To tylko można powiedzieć na pewno
Żeśmy jak krople miodowe w dzbanie —
Los nam jednak i forma pokrewna.
Lecz każda z innych zapachów zebrana.

Granic

Kiedy czynisz dobro, zło trwa ukryte,
Nie z przerwania, lecz w chytrym zamiarze:
Głębiej raduje zburzenie pomnika,
Niż śmierć idei zaledwie powieje.
Piękno i zbrodnia w jednej idą parze
Linia, gdzie ziemia z błękitem się styka.

Szlachetność równie jest nieujarzmiona,
W żądy zdobyczy — z wielkich pobożników
Wybiera skrytynie każde żywe gnące.
Nic to, że skała przynęciwie zieloność,
A kij rozpedzi nabożeństwo mrowisk —
Z nasienia las się odrodzi szumiący.

Nie poznasz dobra, jeżeli bez szkazy
Lustro twe będzie. (Wtedy świat jest niemych
Duchów ustrojem.) Tak na zło skazani,
W ciągłych wyzwaniach dla srebrnych pejzaży,
Szukamy światła — bo jeszcze nie wiemy,
Że las ma odpowiedź na bunt i płkanie.

Ciemność

Tak trudno bywa, jeżeli nie można
W zwierciadle dostrzec własnego oblicza.
Na ziemi ciemno. Jakże się rozpoznasz
Gdy znikną gwiazdy i pogasną znicze?

Nie ma, nie ma ratunku,
Jeżeli światła nie ma.
Jeżeli niebo dla ziemi jest buntem,
Śmiercią dla ciebie jest ziemia.

Bo światło nie z ziemi płynie,
Lecz w słońcu postrzegasz przedmioty.
Boże! Nadaj nam twarz i imię,
Ocal nam lustra od mroku!

* * *

Gdy widzisz drzewo, ono szumi w tobie.
(W lustrze jest ptaka śpiew i szronu szelest.)
Lecz inne drzewo ujrzyś w cudzych oczach,
Jak inną prawdę. Gdy o swojej powiesz,
I myśl podejmą — na głos — przyjaciele,
Powiemy razem: drzewo nas jednoczy.

Odbicie

Takis̄ ty inny niedojrzały
Jakby połowa może ćwierć
Promienia. A świat — słońce całe.
A poza słońcem — śmierć.

Zagubiony w godzinach — czy masz
Prawo by sięgać wieczności?
Spoglądasz w lustro. Tam gdzie twarz —
Płomyk taneczny blask wolności.

Na samym końcu dnia

Kiedy zmęczenie i tylko zmęczenie,
Konar się łamie pod własnym ciężarem,
Wyparowują studnie źrenice,
I dzień się zwala, niby posąg stary.

Było, minęło? Choć było, nie zniknie.
Zostaną ślady. Nie odejdą sceny
Raz choćby grane. Tylko maski stygną.
Skorupy przeżyć, które czas wycieni.

Pierwszy sen leśny

Kiedy przypomnisz leśną ziemię
Z pierwszego snu sierpniowej nocy? —
Gdyś, leżąc, ciałem czuł jej wnętrze
Jak pulsujący, żywy krzemień
Okryty miękkiej czerni kocem.
Gdyś czuł, jak wszechmoc w niej się spiętrza...

Kiedy przypomnisz zapach trawy,
Miodową duszność sytych wrzosów?
Oto znów jesteś — taki młody,
A ponad tobą — las łaskawy
Igliwim świeżym sprósza włosy,
I spijasz gwiazdę z kropki wody.

Kiedyż, jak dawniej, wargą schwycisz
Goryczkę wiatru, szorstkość kory...
Oto ci w ciele półprzejrzystym
Drzemie, jak światło, liza żywicy,
I wtedy w sercu masz pokorę,
Która przywraca oczom świeżość.

Lecz to nie ty naprawdę jesteś,
A tylko echa się wyrwały.
Jak gdyby ktoś ze starej płyty
Symfonii odtwarzając przestrzeń,
W — pozornie pustych — interwałach
Odnaleźć pragnął sny ukryte.

Zbigniew Rudko

JERZY ŚWIĘCH

Jeleński i jego antologia

4 maja 1987 roku zmarł w Paryżu Konstanty Aleksander Jeleński, pisarz będący na tle życia umysłowego i literackiego ostatniego półwiecza postacią nieprzeciętną, a przy tym — o paradoksie! — prawie z pełni nie znana ogółowi czytelników w kraju. Złożyło się na to wiele okoliczności, o których nie miejsce tu pisać. O Jeleńskim docierały do kraju wieści skąpe i wyrzykowane, przeważnie związane z osobą Gombrowicza, ze wzrostem jego sławy na Zachodzie, do czego Kot — jak przyjaciele nazywali Jeleńskiego — walnie się przyczynił. Międzynarodowa pozycja autora *Operetki* jest w ogromnej mierze jego dziełem, co nie zawsze chętnie przyznają rodzimi „gombrowiczołodzi”. Skutecznie zabiegał o to, by dzieła Gombrowicza mogły pokonać bariery obcego języka i wywalczyć dla siebie prawo obywatelstwa w innej kulturze, jako twory nie w części lecz w pełni przez nią zasymilowane. Akcja jaką samotnie podjął Jeleński miała też niemały wpływ na dzieje recepcji Gombrowicza w kraju. *Pojawił się na moim horyzoncie, hen, w Paryżu. I walczy o mnie... od dawna, może nigdy nie zdarzyła mi się afirmacja tak zdecydowana i zarazem bezinteresowna tego, czym jestem, co piszę, odnotował z niemalą dozą zdziwienia i satysfakcji w Dzienniku sam zainteresowany. Bywał też Jeleński i to wielokrotnie tłumaczem: przekładał sztuki Gombrowicza (inicjując w ten sposób ich sceniczne sukcesy) a także ową przedziwną powieść czy raczej przypowieść o polskim losie, jaką jest *Transatlantyk*. Byłoby jednak poważnym uchybieniem pamięci o Nim, gdyby wkład Jeleńskiego do polskiej kultury i literatury mierzyć wyłącznie zasługami wobec Gombrowicza. Kim był?*

Urodzony 2 stycznia 1922 roku w Warszawie, w zamożnej rodzinie ziemianskiej o rozległych koneksjach krajowych i międzynarodowych, co okazało się rzeczą nie bez znaczenia dla przyszłych losów Jeleńskiego jego „amipolitycznej” orientacji duchowej, należał do pokolenia skrajnie „retreżowanego” przez wojnę. Z jego reprezentantami, na rwanie zapisanymi w naszej historii, zetknął się już w młodości jako uczeń warszawskiego gimnazjum im. Stefana Batoro. W grudniu 1939 roku opuścił kraj, wstępując do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, gdzie — podobnie jak jego rówieśnicy w kraju — ukończył kurs podchorążówki artylerii, po czym, jako artylerzysta Pierwszej Dywizji Pancerniej wziął udział w wielkiej inwazji wojsk alianckich na terenie zachodniej Europy (Normandia, Belgia, Holandia), która przyspieszyła klęskę Niemiec hitlerowskich. Był odznaczony Krzyżem Walecznych, dwukrotnie Medalem Wojska i Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Wrozone predispozycje, kultura, fenomenalna znajomość języków obcych (francuskiego, angielskiego, niemieckiego i włoskiego), którymi władał z tą samą wprawą o czujnym, sprawiły, że już w latach wojny znalazł Jeleński najbardziej odpowiadające mu zajęcia w redakcji takich,

licznych podówczas pism, jak „Dziennik Żołnierza I Dywizji Pancerniej” czy, nieco później, miesięcznik I Dywizji, „Salamandra”, gdzie opublikował swoją pierwszą recenzję (tomu wierszy Miłosza *Ocalenie* z r. 1945. Po wojnie, przenosząc się z Rzymu do Paryża, nawiązuje kontakt z miesięcznikiem „Kultura”, stając się z czasem jednym z czołowych jej przedstawicieli. Eseiystyka Jeleńskiego, o której z konieczności skrótowno należy powiedzieć, iż stanowi okaz pisarstwa wysokiej klasy, dotyczy głównie i niemal wyłącznie spraw sztuki, której był kompetentnym i wrażliwym znawcą, i literatury, na której się znał znakomicie, chociaż odmawiał sobie miana pisarza i krytyka. Działalność w niej różnorodnych opcji politycznych. Pisał nie tyle dużo, co wybrednie, koncentrując się na zjawiskach naprawdę ważnych i godnych uwagi, nie stroniąc przy tym od prawa do subiektywnych ocen, do indywidualnej perspektywy. Dopiero w r. 1981 zgodził się, by wybór jego esejów został udostępniony czytelnikowi krajowemu a w rok później — na emigracji. Całościowa i wyważona ocena spuścizny pisarskiej po Konstantym Jeleńskim należy do przedsięwzięć koniecznych i pilnych, bez których nie podobna mówić o „budowaniu mostów” między krajem a emigracją, do czego przed paroma laty gołostownie zwał pewien krytyk paxowski.

W przypadku Jeleńskiego zadanie o tyle trudne, iż był pisarzem wielojęzycznym, głęboko wrośniętym w klimat intelektualny i artystyczny Francji i Europy, zaprzyjaźnionym z wieloma głosnymi „nazwiskami”: filozofów, artystów, uczonych, literatów. Był współredaktorem znanego miesięcznika „Preuves” i współpracownikiem kilkunastu innych czasopism, mających swoje siedziby w głośnych stolicach europejskich, słowem pisarzem, który wymyka się zarówno określeniu „krajowy”, (tzn. piszący w rodzimym języku, jak i „emigracyjny”, którego działalność bywa nakierowana na cele tzw. środowisk polonijnych. Z Miłoszem i Gombrowiczem, których cenil najwyższymi, dzielił Jeleński absolutną niezależność wobec wszelkich „układów” na emigracji a także żywe i nieskrępowane otwarcie na sprawy krajowe. Ogłosił — w Paryżu, Mediolanie, Londynie, Lozannie, Monachium — siedem książek, które wedle przyjętej terminologii bibliotecznej zwykło się określać jako publikacje zbiorowe, katalogi wystaw, monografie artystyczne, przy czym wszystkie noszą piękno osoby autora, nawet gdy bywa naczelnym redaktorem tomu. Już za życia osoba jego obstrala w legendę, przybyłszy z kraju, mający okazję złożyć mu wizytę w jego mieszkaniu przy ulicy de la Vrillière, w samym centrum Paryża — a piszący te słowa należą do nich — pozostaną na zawsze pod niezatartym wrażeniem jego osobowości.

*Lubię tłumaczyć poezję, każdy nowy zachwył nad polskim wierszem wiąże się u mnie z pokusą przelenienia go na francuski, wyznał Jeleński z okazji „makaronicznego eksperymentu”, jakim było równoległe tłumaczenie, wers po wersie, poematu Miłosza *Dziecie Europy* w czterech językach: włoskim, niemieckim, francuskim i angielskim („Zeszyty Literackie” 15, lato 1986). Z tego zachwyłu powstały na przestrzeni wielu pracowni lat liczne przekłady poezji polskiej, których ukoronowaniem była sporządzona przez Jeleńskiego antologia wydana po raz pierwszy w roku 1965 przez znane Editions de Seuil, następnie zaś powtórzona w wersji znacznie rozszerzonej i zaktualizowanej w roku 1981 jako *Anthologie de la poésie polonaise (1400-1980)*. Ten opasły tom, przynoszący na 526 stronach tłumaczenie kilkunastu wierszy autorstwa 108 poetów, rezultat wysiłku 60 tłumaczy, wydany został w Lozannie, nakładem wydawnictwa L'Age d'Homme, olicyny specjalizującej się w edycji dzieł należących do klasyki słowiańskiej (antologia*

Jeleńskiego stanowi kolejny tom Collection Classiques Slaves). Książka została ułożona ze smakiem i znajomością rzeczy; znać, że pomysłodawca i realizator tego niebywałego przedsięwzięcia poruszał się z dużą swobodą zarówno po rzadko penetrowanych dziedzinach dawnej twórczości, otrzępując z muzealnego kurzu niejedno dzieło godne uwagi, jak i — co zrozumiale — bliższych mu obszarach poezji nowszej, doprowadzając swoje dzieło aż do r. 1980 (wiersz Iwaszkiewicza *Urania*, nb. dedykowany Jeleńskiemu i przez niego tłumaczony, nosi datę 2 lutego 1980).

Między dwoma datami położonymi w tytule: 1400 i 1980 mieści się — bagatela! — sześć wieków rozwoju poezji polskiej, okres znany sukcesywnym następstwem różnych stylów, poetyk i konwencji, pokoleniową zmianą warty, nierozłąką energią, z jaką indywidualni, nie zawsze przecież najwybitniejsi twórcy wzbogacali skarb polskiej mowy. Oddać to wszystko w antologii przeznaczonej dla odbiorcy, który nie zna polskiego języka, którego notoryczna nieznamość spraw historii tego kraju o wciąż zmiennych granicach utrudnia zarazem zrozumienie wytworów kultury duchowej a literatury w szczególności, uczynić z antologii wybór reprezentatywny dla poszczególnych „epok” czy „okresów” a jednocześnie w pełni czytelny, atrakcyjny jako lektura, oto miara trudności, jakie piątrzy się przed jej autorem, świadomym ryzyka i kompromisów, jakie od początku do końca towarzyszyły temu przedsięwzięciu. Czesław Miłosz zaopatrzył antologię w esej *La poésie polonaise*, niezwykle pomocny jako wprowadzenie do lektury tekstów i całych ich zespołów. Autor *The History of Polish Literature* daje tu bowiem imponujący rzut oka na dzieje poezji polskiej od jej średnio-wiecznych początków do chwili obecnej, akcentując ciągłość i zarazem odrębność jej rozwoju na tle innych literatur. „Inny rodzaj baroku”, romantyzm jako „fenomen tak szczególny, iż termin ten łatwo może wprowadzić w błąd”, oto wyjaśnienia wyjęte ze wstępu Miłosza, które w poważnym stopniu zmniejszają ryzyko niewłaściwych odczytań tekstów figurujących w antologii. Wstęp ten, sam w sobie cenny, polecamy szczególnej uwadze czytelników polskich, z uwagi na których winien zostać szerzej udostępniony. Jeleński z kolegi zaopatrzył swą książkę w rodzaj posłowa *Traduire la poésie* (Tłumaczyć poezję!), w którym unaocznił zagranicznemu odbiorcy trudności związane z przekładaniem poezji polskiej na obcy język, wszystkie te przeszkody zrozumiałe w kontekście różnic językowo-prozodycznych, wersyfikacyjnych i wreszcie kulturowo-historycznych, rzutujące w nieodwłamy sposób na końcowy wynik pracy tłumacza. Tylko pisarz twórczo wielojęzyczny, jakim był Konstanty Jeleński, mógł tak przekonywająco i kompetentnie zestawiać ze sobą dwa języki, wskazywać na obszary możliwych analogii i zarazem obrysowywać na tej mapie granice wzajemnej przekładalności, „wylumaczalności”.

Pragnąc poinformować czytelnika polskiego o zawartości *Antologii poezji polskiej* rezygnujemy z przytaczania nazwisk, możemy jedynie zapewnić go, że nawet wybredni konserwatorzy od poszczególnych „okresów” mieliby prawo czuć się usatysfakcjonowani tym wyborem, kładąc bowiem taki „okres” czy „szkółka” ma tu swoich uznanych przedstawicieli, twórcy arcydzieł blizszych na tle nazwisk z pewnością mniej głośnych lecz ważnych jako signum temporis, nie pominięto także anonimowych utworów poezji religijnych z XV wieku a także — pomysł niebanalny! — dzieł przynależnych do folkloru (źródłem była tu znana antologia Juliana Przybosa *Jabloneczka*). Oczywiście, realizator tego przedsięwzięcia nie był — na szczęście! — zawodowym historykiem literatury, przysłowiowym „specem od poezji”, był za to niesłychanie

wrażliwym czytelnikiem wierszy, zauroczonym ich pięknem, ich zwiewną i niepowtarzalną urodą, co także znalazło swój wyraz w prezentowanym zbiorze. Zachwycił go, to pewne, Kochanowski, zwłaszcza jako autor *Trendów*, zniecił — widać to jeszcze lepiej — polski barok, ów dziwny i fascynujący twór wyrosły na pograniczu Wschodu i Zachodu sarmacki i osobiście wyrafinowany. Wśród plejady romantycznej najliczniej reprezentowany jest Norwid, minimalnie lecz jednak ustępują mu Mickiewicz i Słowacki, znalazło się też miejsce dla późnych romantyków i postromantyków, cała ta zresztą epoka, zainicjowana w antologii przez pieśń zapustną z *Miejscami* Malczewskiego kończy się na Staffie, co nie tylko wydłuża tę epokę, ale także i pozwala spojrzeć a nasz romanizem jako postulowany w badaniach przez Marie Janion „czas formy otwarte”.

Nie ulega wątpliwości, że własne upodobania twórcy antologii znajdują dla siebie najwięcej podmiot wśród dzieł przynależnych do naszego wieku. Dwie spośród czterech części antologii zawierają przekłady z poezji XX-wiecznej, utworzone wierszem wileńskiego futurysty Jerzego Jankowskiego *Tram woposzek ulicy* (w wersji francuskiej *Tram atraver laru*), a zakończone tekstami Stanisława Baranczaka. Trudno jest w tej mnogości dzieł i autorów dopatrzyć się jakichś szczególnych predykcji ze strony Jeleńskiego. Z faktu, iż pozostaje obojętnym na retorykę Lechonia a nad wyraz ceni poezje Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, że dużo uwagi poświęca przedwojennej awangardzie, zarówno krakowskiej, jak i warszawskiej (Wat, Wazyk) i zarazem uprzywilejowuje pozycję Galczyńskiego, że do pewnego stopnia wysnuwa wiążące wnioski, co naprawdę Jeleński kocha, kogo lubi a kogo tylko szanuje. Wydawną wskazówką mogą być tutaj uzupełnienia dokonane w drugim wydaniu, dotycząc wyłącznie nazwisk powojennych, przy czym chodziło nie tyle o dodawanie nowych niż właśnie uzupełnianie o nowe teksty autorów już obecnych. A więc: Iwaszkiewicz, Wazyk, Miłosz, Rozewicz, Białoszewski, Szymborska, Herbert, dodajmy do nich Wata i „późnego” Wierzyńskiego a otrzymamy przypuszczalną listę autorów, do których Jeleński żywił szczególny sentyment. Białoszewskiego uważał za najbardziej oryginalnego pisarza swojej generacji, co zresztą w niczym nie osłabiało pozycję Herberta. Do Wata wracał często, zawsze w tonacji najwyższej aprobaty. Miłosza obok Gombrowicza cenił we współczesnej literaturze najbardziej, dając mu wyraz w licznych esejach i recenzjach. To właśnie zaśluga Jeleńskiego jest wydany w r. 1984 przez Luceat Asot Editores w Paryżu obszerny wybór poezji Miłosza *Poèmes 1934-1982*. Z uwagą też siedział Jeleński postępy najnowszej twórczości poetyckiej w kraju i za granicą, darząc szczególnym uznaniem Ryszarda Krynickiego, Ewę Lipską, Stanisława Baranczaka, Adama Zagajewskiego, a więc przynależnych do „nowej fali”, dostrzegając też walory emigracyjnych debiutów, jakie wyszły z londyńskiej grupy „Kontynenty”.

Autor antologii skazany jest jednocześnie na gust i możliwości tłumaczy, jakich zaprasza do swego przedsięwzięcia. Oferując im pomysł musi respektować zarazem ich wybór i uwzględniać ich możliwości. Tak też jest i tutaj. A zastęp tłumaczy jest, jak się rzekło, ogromny, sfornują wśród nich nazwiska znanych poetów, nierzadko przyjaciół Jeleńskiego: Jacques Audiberli, Anne-Marie de Backer, Marcel Beau, Yves Boncoff, Alain Bosquet, Andre Bouchet, Lise Deharme, Charles Dobzynski, Paul Eluard, Pierre Emmanuel, Pierre de la Faille, Lucien Feuillade, Jean Follaine, Jean Grosjean, Louis Guillaume, Edmond Humeau, Armand Lanoux, Lena Leclerc, Michel Manoll, Pierre Oster, Francis Ponge, Armand Robin, Jean Rousselot, Robert Sabatier (wszystkich ich uwzględnia J. Rousselot w swojej

* Przekład tego tekstu drukujemy obok (przyp. red.).

„panoramie krytycznej” *Poetes français d'aujourd'hui* z 1959 r.). Nie znali oni polskiego, tłumaczyli czy raczej adaptowali teksty podane w wersji dosłownej przez Jeleńskiego, Zofię Bobowicz, Zofię Romanowiczową, Olę Scherer-Wirski i Andrzeja Wata. Nietrudno przepowiedzieć, iż „wierność” tych parafraz, często nader swobodnych wobec oryginału, nie pozwala mówić o tłumaczeniach w zwykłym sensie tego słowa. Otrzymałmyś obcojęzyczne wersje wierszy polskich, niekiedy zdumiewająco podobne do tekstów wyjściowych, częściej będące owocem interpretacji translatorskiej, która i czytelnika polskiego często może skłonić do ponownej lektury tekstów figurujących w repertuarze kanonicznym: *Ody do wosów* Książna, *Do Matki Polki* Mickiewicza, *Szlachty w roku 1831* Ehrenberga, *Mojej piosenki* Norwida, *A jak poszedł król na wojnę* Konopnickiej... Pokusa, by usłyszeć jak to brzmi w wersji obcojęzycznej często nawiedza czytelnika Jeleńskiego. Dopiero tutaj zdaje się urzeczywistnić naprawdę polifoniczność słowa poetyckiego.

Wymaganie wierności tłumaczenia było łatwiej osiągalne w przypadku autorów znających dwa języki. Zdolnych więc w każdej chwili kontrolować swoje posunięcia z uwagi na oryginał. Jeleński skwapliwie skorzystał tu z pomocy polskich poetów i tłumaczy: Zofii Bobowiczowej, Jana Brzękowskiego, Jadwigi Kukułczanki (pisanej jako Koukoulchanka), Jerzego Lisowskiego, Mariana Pankowskiego, Andrzeja Wata, przedrukując także dawny przekład dwóch ballad Mickiewicza, *Lilie* i *Switez*, dokonany prozą przez Oskara Miłozsa. Do współpracy zaprosił także znanych francuskich polonistów i tłumaczy, prof. Jeana Bourilly i Paula Cazin, zwanego żartobliwie Kazinkiem przez Boya-Zeleńskiego. Oryginalnym pomysłem było włączenie do antologii poetyckiej monologu Henryka z III aktu *Słubu* Gombrowicza, co następnie zostało powtórzone przez Miłozsa w jego antologii *Postwar Polish Poetry* (I wyd. 1965), choć możliwe, iż ów dawaj autorzy wpadli na ten sam pomysł niezależnie od siebie. Warto też odnotować przekład poematu Karola Wojtyły *Kamieniolom* (*La Carrière*) dokonany wspólnie przez Jeleńskiego i zaprzyjaźnionego z nim wybitnego poetę, niedawno zmarłego, Pierre'a Emmanuela (dziełem tej spółki jest wydany w r. 1979 tom utworów poetyckich obecnego papieża przez Editions Cana-Cerf w Paryżu). Dla pełni obrazu należy dodać, że wybory wierszy opatrzone są notami o autorach, niejednokrotnie zaskakującymi trafnością w ujęciu danej sylwetki, pełnymi i'esprit de finesse.

Tyle w trybie zwizgłej informacji należy się czytelnikowi polskiemu na temat antologii poezji polskiej w tłumaczeniach na francuski, będącej dziełem Konstantego Jeleńskiego. Wolno mieć nadzieję, że rzeczywiste zasługi tego pisarza dla polskiej kultury i literatury przesiągną być tajemnicą poliszynela i staną się ogólnie znane. Należy zatroszczyć się o to, by czytelnik ów otrzymał na początku reprezentatywny wybór eseistyki i krytyki Jeleńskiego, zdolny zaspokoić oczekiwania szerokiego kręgu odbiorców. Dotychczasowa krajowa publikacja jego pism z roku 1981 *Zbiegi okoliczności*, funkcjonuje bowiem w obiegu znacznie ograniczonym, a zagraniczna jest niedostępna.

Jerzy Świąch

KONSTANTY JELEŃSKI

TLUMACZYĆ POEZJĘ*

Świadomi faktu, że mamy poezję bogatą, zróżnicowaną i często zaskakująco niezwykłą, próbujemy niekiedy przekonać o tym naszych zagranicznych przyjaciół, powiadając: „Gdybyście tylko mogli przeczytać ten *Tren* Kochanowskiego, tę księgę *Pana Tadeusza*, ten wiersz *Nawiedzi!*” Czytamy im to w naszym języku syczącym, pełnym spółgłosek, tłumaczymy im to pracowicie słowo po słowie. I nie nie pozostaje z tego piękna, które dopiero co było obecne, zaś przyjaciele pozostają na mówią: „Tak, w oryginale to musi być piękne.”

Antologia poezji węgierskiej, opracowana przez Ladisława Gare udowodniła — jak mi się zdawało — iż można przekazać to, co na pozór nieprzekazywalne.

Sądzę jednak, że nie podjąłbym się nigdy takiej samej pracy w odniesieniu do poezji polskiej, gdyby nie przyjaźń i zachęta trzech poetów: Jana Brzękowskiego, Czesława Miłozsa, Aleksandra Wata Brzękowski to jeden z twórców polskiej awangardy poetyckiej i — obok Tadeusza Pepera i Juliana Przybosa — jej główny teoretyk. Wąt wywodzi się również z awangardy, lecz silniejsze piętino, niż na współczesnych mu polskich poetach, odcisnęli na nim Marks, Freud i Heidegger; jest eksploratorem wielkich mitów naszej epoki. Czesław Miłozs, choć tak często „mroczny” w swej własnej twórczości, jest niezwykle wrażliwy na pierwiastek realistyczny w poezji polskiej, na bezpośrednie świadectwo.

Wąt zwrócił moją uwagę na wiersze dziwne, przez oficjalną krytykę traktowane pogardliwie, a które wydają mi się jednymi z najpiękniejszych w tej antologii — na przykład na *Pajką* Czajkowskiego. Jan Brzękowski wspomógł mnie swoją znajomością teorii awangardowych. Natomiast dzięki Czesławowi Miłozsowi doceniłem „historyczność” poezji polskiej.

Poza tym, za wybór wierszy, które figurują w tej antologii, odpowiadam wyłącznie ja. Kiedy jednak przeglądam kolejne listy wybranych utworów, spoglądam z ulgą, że tylko najczęściej noszą piętno mych osobistych upodobań. W trakcie pracy frapowała mnie coraz silniej różnorodność polskiej poezji i pragnęłam nade wszystko: i antologia o tej różnorodności świadczyła. Z drugiej strony, musiałem naturalnie wybierać wiersze, które w tłumaczeniu nie zatraciłyby swoich najsłotniejszych cech. Te dwa założenia wyjaśniają, myślę, dlaczego niektórzy poeci, bezsprzecznie ważni, są tutaj reprezentowani zaledwie jednym lub dwoma utworami, podczas gdy inni, bynajmniej od nich nie znakomitsi, uzyskali prawo do szerszego wyboru.

Jeśli chodzi o chronologię, to trzymałem się w zasadzie dat urodzenia poetów. Zdecydowałem się jednak użyć parę wyjątków. I

* Postulow do książki *Antologie de la poésie polonaise*, Editions L'Age d'Homme, Lausanne 1981.

tak, kiedy jakiś poeta jest reprezentowany wyłącznie późnymi wierszami, to starałem się umieścić je w czasie, w którym zostały napisane. Co do poetów współczesnych, to szybko uświadomiłem sobie, że antologia stałaby się niezrozumiała, gdybym uszeregowal ich ściśle według dat urodzenia. Dlatego też wybrałem formułę pośrednią, pozwalającą respektować porządek zarówno pokoleń, jak i szkół poetyckich. Nie opatrywałem datą żadnego z wierszy sprzed okresu Romantyzmu. Rzadko wie się z pewnością, kiedy zostały one napisane, a nie ma sensu uwzględniać daty ich publikacji, często o dwaściecia lub trzydzieści lat późniejszej. I tak, *Treny* Kochanowskiego, ogłoszone w 1583 r., są znacznie późniejsze od jego *Fraszek* opublikowanych w roku 1584. Zachowywałem jedynie, w miarę możliwości, porządek chronologiczny. Poczynając od Romantyzmu podawałem, o ile to było możliwe, datę napisania wiersza; jeśli nie — datę jego ogłoszenia. Wiersze ludowe umieściłem na końcu, zważywszy, że chodzi o twórczość anonimową i trwającą nieustannie. Niektóre z zamieszczonych tutaj wierszy ludowych ułożono zapewne w wieku XVI, inne powstawały później, aż do połowy XIX wieku.

Nie po raz pierwszy zdarza się, że poeci francuscy przekładają polskie wiersze nie znając języka. *Śpiewy historyczne* Juliusza Niemcewicz (1757-1841) zostały — według wstępu do wydania francuskiego (u Brockhausa i Avenarius, Paryż 1839) — przetłumaczone dosłownie, prozą, z książki polskiej pana Juliana Ursyna Niemcewicza przez autora *którzy zechcieli ofiarować swą współpracę. Niektóre spośród Śpiewów to wcale nie tłumaczenia, lecz utwory oryginalne.* Wśród owych poetów francuskich byli: Casimir Delavigne, Félicité de Lamennais, Frédéric Soulié, Théophile Gautier. Pozostałe nazwiska wyglądają raczej, prawdę mówiąc, jak przypuszczalna lista gości na wieczorze w Hotelu Lambert, u księcia Czartoryskiego: hrabina Bradi, księżna Constance de Salm, hrabia Ressaiguier, pani Laure Colombat de l'Isère, Jules de Saint-Félix, czy też kilka sawantek: Elisa Mercoeur, Anais Ségalas, Celeste Vieu i Melanie Walder. Tłumaczenia nie są wierne, co jest rzeczą mało istotną, jako że *Śpiewy historyczne* Niemcewicza stanowią pomnik nudnej retoryki. Jedynym wyjątkiem jest przekład wiersza poświęconego królowi Władysławowi III, zabitemu przez Turków w bitwie pod Warną, przekład pióra Théophile'a Gautier. Zachwycony wydawca odnotował u dołu strony: *Ten fragment został oddany wierszem francuskim w taki sposób, że każde słowo odpowiada dokładnie oryginałowi polskiemu (...)*⁸.

Spśród dawnych przekładów tylko jeden wydaje mi się zachowywać sztuczny wdzik oryginału. To *Sofiówka*, w której Trembecki opiewa urok ukraińskiego parku Potockich, długi poemat napisany pod wpływem księża Delille i „przetłumaczony wierszem francuskim przez hrabiego de Lagarde, członka Akademii Neapolitańskiej. Wiedeń 1815”. Jest to wydanie bardzo ładne i przyjemnie się wyobrazić sobie, że — na Kongresie Wiedeńskim — Talleyrand i Metternich czytali być może z przyjemnością do przypomnienia drogiej im sztuki życia:

... mon attention à chaque pas s'éveille,
Un prodige de l'art enfante une merveille,
Un habile hydrauliste a des eaux d'alentour
Cree dans un moment une ame a ce sejour,
Pour ses moindres desirs empressez, attentive,
L'eau tondant rapide et tantot fugitive.

⁸ To i następnę zaznaczone w ten sposób opuszczenia dotyczą wyłącznie przykładów tłumaczeń francuskich.

S'arrondit en cascade ou dans de longs canaux
Accourant nous offrir des prodiges nouveaux,
Des monts en un seul jet vont surpasser les cimes
Ou tomber des rochers en creusant des abimes,
Puis, nappes transparentes ou gerbe qui jaillit:
Le goût veut, l'art ordonne, et la nymphe obéit.

Montalembert dokonał swego pięknego przekładu Mickiewiczowskich *Ksiąg pielgrzymstwa polskiego* na podstawie dosłownego tłumaczenia przygotowanego przez Polaka, Bogdana Jańskiego. Wiek XIX obfituje w tłumaczenia z polskiego na francuski — są to wistocie przede wszystkim przekłady wierszy Mickiewicza. Te, które zawiądzamy Polakom, są niestety żalonne. Dopiero w naszych czasach udało się polskim poetom dwujęzycznym, takim jak Jan Brzękowski czy Marian Pankowski, przełożyć wiersze polskie na autentyczną poezję francuską. Niewielu Francuzów zna język polski, to oczywiste. Zawiądzamy jednak świetne tłumaczenia profesorom i filologom takim, jak Burgaud des Marets, współczesny Mickiewiczowi, lub, w naszych czasach, Paul Cazin i Jean Bourrillier, tłumacz Słowackiego.

Dwa wyjątki będące dziełem przypadku: Oscar V. de Lubiez — Miłosz, który uważał się za Litwina, wychował się na kulturze polskiej; natomiast Charles Dobzynski jest Polakiem z pochodzenia. Tylko oni spośród poetów francuskich mogli wsłuchać się w polską poezję i odwarzali ją w języku francuskim nie uciekając się do pośrednictwa tłumaczenia dosłownego zrobionego przez innych.

W poezji polskiej wykształcił się trzy systemy metryczne, a nawet cztery, jeśli policzymy prymitywny system średniowieczny. Dzisiaj niektórzy filologowie twierdzą, że tworzy się pięć.

W średniowieczu akcent toniczny był ruchomy. Od szesnastego wieku pada on zazwyczaj na przedostatnią sylabę (co prawda, w wyrazach długich, pojawia się także jeden lub więcej akcentów pobocznych, zależnie od ich długości).

Odkąd akcent ustalił się definitywnie, poeci renesansowi, a przede wszystkim Jan Kochanowski, wypracowali sylabiczny system metryczny o dość swobodnej strukturze. Stała była jedynie liczba sylab a przedostatnia sylaba była obowiązkowo akcentowana. Przerzutnia była stosunkowo rzadka, tym razem zawsze bogaty, jakby wzmacniający spójność wiersza. Wersy liczące do ośmiu zgłosek były wypowiedziane jednym tchem; powyżej — składały się z dwóch części oddzielonych średniówką, pokrywającą się zazwyczaj z logiczną pauzą w artykulacji zdania.

Kochanowski ten system skodyfikował oraz wynalazł wiele typów wersów i strof. Upodobał sobie szczególnie wiersz trzynastozgłoskowy (ze średniówką po siódmej sylabie), który stał się później metrum narodowym. Odpowiada on francuskiemu aleksandrynowi, angielskiemu „blank verse”, a jego rytm jest z natury swojski polskiemu uchu. Służył on wszystkim gatunkom poetyckim — epepei i dramatuwi, poematuwi lirycznemu, frasce. Trzynastozgłoskowcem zostały napisane wiersze tak różne, jak *Treny* Kochanowskiego, sielanki Szymonowicza, większość bajek Krasickiego, *Maria* Malczewskiego, *Sonetu krymskie* i *Pan Tadeusz* Mickiewicza.

Trzynastozgłoskowiec był wierszem klasycznym, zrodzonym z inspiracji poetami łacińskimi. Jego rytm, dzięki swej godności, nadaje się doskonale do opowiadania, ale łatwo popada też w retorykę.

Poezja o rodowodzie ludowym związana jest z innym metrum, używanym nie tak często i w węższym zakresie — z wierszem ośmiuzgłoskowym. Był on często stosowany przez Reja i utrzymał się we fraszkach, w utworach dydaktycznych.

Trzecim metrum, częstym w poezji polskiej, jest jedenastoślazłogowiec, który znajdujemy we fraszkach Kochanowskiego, a który umiłowali sobie szczególnie poeci barokowi. To właśnie jedenastoślazłogowcem tłumaczyli najczęściej polscy poeci francuski Aleksandryn.

Kombinacje metryczne w wierszach o budowie stroficznej zmieniły się zależnie od epoki i poetów. Są jednak pewne stałe reguły. I tak, poezja pasterska jest najczęściej pisana wierszem na przemian siedmio- i dziewięciogłoskowym.

Od końca XVIII wieku, w łonie starego systemu, rozwijał się nowy — sylabotoniczny. Dzięki romantykom, a zwłaszcza Mickiewiczowi, opanował on poezję polską oraz wniósł do niej godną uwagi bogactwo i urozmaicenie rytmiczne. Słowacki, Norwid, a później Wyspiański i Leśmian wyżytkali w sposób wirtuozowski wszystkie jego możliwości. Nie oznacza to bynajmniej, że system sylabiczny wyszedł zupełnie z użycia: poezja epicka pozostała jego główną domeną.

System sylabotoniczny — niepewnego, ale najprawdopodobniej ludowego pochodzenia — oparty jest jednocześnie na liczbie sylab i na liczbie oraz uporządkowaniu akcentów tonicznych. Sylaby akcentowane i nieakcentowane łączą się w cząstki rytmiczne zwane „stopami”. Stopa składa się z jednej sylaby akcentowanej oraz z jednej, dwóch lub nawet trzech sylab nieakcentowanych. Przez analogię do prozodii klasycznej nadano stopom nazwy greckie. Zasada jest jednak odmienna: w języku polskim mamy do czynienia z następstwem sylab akcentowanych i nieakcentowanych, podczas gdy w grece — z następstwem sylab długich i krótkich.

Naturalny dla języka polskiego jest rytm „trocheiczny” (— / — / —). Lecz „jamby”, „amfibrachy”, „anapesty” i „daktyle” są niemal tak samo częste. Sylabotonicizm, pomimo dużej rozmaitości odmianności szeptynny, sprawia niekiedy wrażenie monotonii, stąd też Juliusz Słowacki przezuwał, w początkach XIX w., że możliwy jest nowy system, ten, który miał zapanować w wieku XX, zwłaszcza od Kasprowicza.

W systemie tonicznym liczba sylab nie ma już znaczenia; akcenty rozkładają się w różny sposób i jedynie ich liczba musi pozostać niezmienna. Wiersz toniczny ma więc strukturę bardzo swobodną i pozwala na wszelkie fantazje: trocheje, jamby itp. mogą następować po sobie tak, jak tego wymaga poetycka ekspresja.

Rzeczą szczególnie uderzającą jest współistnienie tych trzech systemów metrycznych w poezji współczesnej. Taki poeta, jak Julian Tuwim używał ich wszystkich z niezrównanym znuwstwem i pomysłowością.

Polszczyzna jest zarazem bogata i uboga w rymy. Morfologia gramatyczna języków słowiańskich jest taka, że jeśli dopuści się rymowanie przypadków rzeczownikowych lub czasownikowych form koniugacyjnych, to rymów jest mnóstwo. Tak było w poezji średniowiecznej, w poezji ludowej. Poczynając jednak od wieku XVIII poeta unika, rzecz jasna, rymu gramatycznego. Akcent toniczny w polszczyźnie pada zawsze na przedostatnią sylabę, skutkiem czego rym ubogi nie istnieje. Z drugiej zaś strony, do tworzenia rymów męskich mogą służyć jedynie wyrazy jednosylabowe, co przesądza o względnej rzadkości tego rodzaju rymu. Dominuje więc zdecydowanie bogaty rym żeński. Na przeplatanie rymów męskich i żeńskich mogli sobie pozwolić tylko poeci średniowieczni, ponieważ akcent nie był jeszcze wówczas definitywnie ustalony, ciekawie, że praktyka ta przetrwała jedynie w poezji satyrycznej. Rymy męskie utrzymały się w poezji ludowej i nie dziwi, że tak często stosują je Wyspiański i Kasprowicz, którzy tyle tej poezji zawiązują.

Oryginalność poezji polskiej polega więc w pierwszym rzędzie na bogactwie słownictwa (podkreślonym przez Czesława Miłosza w jego przedmowie), na ogromnie swobodnej gramatyce. Języki, którymi rządzi fleksja, dają w poezji nadzwyczajne wrażenie ruchliwości. Fleksja zmienia sens czasowników, rzeczowników i przymiotników oraz pozwala obywać się bez przysłówków. Dzięki złożoności czasów, stosowaniu przedrostków i przostawkom, czasowniki wyrażają w jednym słowie wszystkie subtelne niuanse czynności (zaledwie rozpoczęła, trwająca, już zakończona), a niekiedy nawet intencję, jaka jej towarzyszy (wąpiwliwść, chęć, postanowienie). System deklinacyjny ze swymi siedmioma przypadkami wyrażanymi, jak w łacinie, jednym słowem, usuwa wszelką niepewność co do związków między rzeczownikami i przymiotnikami, nawet jeśli są one od siebie bardzo oddalone. Można dowolnie zmieniać szyk podmiotu, orzeczenia, dopełnienia i przódki rzeczownej. Ta swoboda, ta precyzja sprawiają, że polska poezja osiąga często epigramatyczną zwięzłość. Poeci polscy korzystali w rozmaity sposób z możliwości, jakie stwarza im składnia. U Kochanowskiego — klasyczna lapidarność. Krasicki wyszukuje wszystkie bogactwa składni, aby spojzić ze sobą sens i dowieść swych bajek. Śmiało inwersje, które przyczyniają się do tego, że Norwid jest poetą tak nowoczesnym, ułatwia samo tworzywo językowe.

Miłosz wspominał już w przedmowie, że język polski pozwala utworzyć czasownik od każdego rzeczownika. Dodajmy do tego łatwość, z jaką polski poeta tworzy neologizmy; często nadaje one poezji charakter niesamowity, gdyż w prozie byłyby nie do przyjęcia. Poeta polski ma tym samym możliwość (pełnoprawną jedynie w języku niemieckim) łączenia rzeczowników i przymiotników, wyrażania jednym słowem takich pojęć, jak „mający białe skrzydła” czy „obfitujący w źródła” (Kochanowski). Z dawnych poetów Rej, z romantyków Krasinski i Norwid, a spośród współczesnych Leśmian i Tuwim — wzbogacili w ten sposób pokaznie, każdy po swojemu, polskie słownictwo poetyckie.

Wreszcie, język polski posiada nie tylko wyjątkowo szeroką skalę zdrobnień, ale również — w przypadku wielu rzeczowników — zdolny jest tworzyć, przez dodanie przysłówka, formy pochodne oznaczające różną wielkość a nawet różny stosunek uczuciowy. Z „kota” powstał więc „kotelek”, „koteczek”, „kociątko”, „kociak”, „kocur”, „kocisko”. Możliwe są też inne warianty takie, jak „kociaczek” lub „kocurzyśko”. Że już nie wspomnę o pochodnych „kotki”...

Trudności, jakie musieli przezwyciężyć poeci francuscy współpracujący przy tej antologii, są więc znaczne. Rozwiązująno je na trzy różne sposoby. Zaskakując jest, że wiele wierszy przetłumaczono w duchu całkowitej wierności prozodii i tekstowi. Utwory tak przelożone wprowadzają czytelnika polskiego w dziwny błogostan. Mamy tu do czynienia z prawdziwą iluzją dźwiękową. Czytelnik mający w pamięci wiersz polski staje nagle wobec widowanego „sobowótora” oryginału i nawet akcenty toniczne, nie do urotawienia we francuskim, nadal dźwięczą mu w głowie. Zestawia tu dla przykładu początki kilku wierszy, powstałych od średniowiecza do romantyzmu, w tłumaczeniu dosłownym (z zaznaczeniem oryginalnej prozodii) oraz w wersji, jaką nadal im poeci francuscy...

Adam Mickiewicz, *Les Steppes d'Akerman (Stepy akermainskie)*
tłumaczenie dosłowne:

*Je vague sur l'étendue d'un sac océan,
Le chariot s'enfonce dans la verdure, flotte comme une barque.*

Parmi les vagues d'une prairie murmurante, parmi l'inondation de fleurs

Je contourné les îles de corail du maquis

(sonet, wiersz trzynastozgłoskowy)

przekład Michela Manolla:

*Je vogue sur l'étendue d'un aride océan,
Comme une nef le chariot plonge en l'herbe fleurie.
Parmi son flot en crue et le chant sourd des prairies,
Je contourné les atolls du maquis d'Akerman*
(...)

Ale ta zupełna wierność oryginalnej prozodii mogłaby się okazać zwodnicza. Trzynastozgłoskowiec jest klasycznym wierszem poskim i, jako takiemu, odpowiada mu oczywiście francuski aleksandryn. Zamieszczone w tej antologii *Treny* Kochanowskiego (napisane trzynastozgłoskowcem) zostały więc przełożone aleksandrymem.

Tutaj pojawia się jednak dodatkowa trudność, wynikająca ze zwiększonej polszczyzny. Kiedy przekład francuski chce pozostać wierny, jest od tekstu polskiego o prawie jedną trzecią dłuższy. Jak wobec tego oddać, nie zabójczą go zanadto, wiersz trzynastozgłoskowy, jeśli się go jeszcze skrócić? Nie więc dziwnego, że Anne-Marie de Backer używa czternastozgłoskowiec w swym przekładzie wiersza Konstancji Benisławskiej, Charles Dobzinsky poszedł zaś jeszcze dalej i dał nam swój podziwu godny przekład *Pana Tadeusza* wierszem szesnastozgłoskowym. A niektórzy poeci zmieniali nawet układ prozodyczny, nigdy zresztą nie sprzeniewierając się oryginałowi. I tak na przykład, André Prudhommeaux transponuje utwór Zygmunta Krasieńskiego *Nim słońce wejdzie, rosa wyżre oczy* (strofy zbudowana z czterech wersów jedenastozgłoskowych) na strofy zbudowane z siedmiu wersów ośmiozgłoskowych. Mimo iż wersja ta wydaje mi się całkowicie zgodna z duchem utworu, zaznaczyłem, w tym i paru innych, podobnych przypadkach, że jest to adaptacja, a nie przekład.

Zupełnie inny był kłopot z takim poetą, jak Norwid. Jego słowna precyzja (wykorzystywana nieraz celowo dla zaciemnienia sensu utworu) jest tak wielka, że ją należało zachować przede wszystkim. Tłumaczenie wiersza Norwida ma bowiem w sobie coś z egzegezy i wysokie wymagania, jakie postawili jego tłumacze, były dla mnie niezwykle cenną lekcją. Wydawało mi się, że Norwida znam; poznałem go dopiero w ciągu dni, które spędziłem z Yvesem Bonnefoy, z André du Boucheitem i z Jeanem Cassou, zastanawiając się wspólnie z nimi nad jego wierszami. Chociaż byłem zdecydowany zachowywać prozodię, musiałem ją niekiedy poświęcić, aby ochronić poezję.

Cztery utwory Andrzeja Morsztyna przerobione na modłę francuską Franciszka Ponge a stanowią tutaj szczęśliwy wyjątek. Morsztyn jest reprezentowany w tej antologii wieloma przekładami absolutnie wiernymi, zarówno pod względem sensu, jak prozodii. Tym bardziej fascynująca jest adaptacja dokonana przez Ponge a, który wydestylował z jego wierszy coś w rodzaju esencji, podkreślając niekiedy walor obrazu, który wydaje nam się dziś mocno zużyty. I tak, koral usi Agnieszki, o którym mówi Morsztyn, Francis Ponge tłumaczy jako „la turgescence du corail pourpre” (jędrność purpurowego koralu — przyp. tłum.) i odkrywa w ten sposób to, co polski poeta barokowy być może przeczuwał: że erotyzm tego obrazu wiąże się raczej z materią koralu, niż z jego kolorem.

Włączyłem do tej antologii niektóre z mych własnych przekładów.

Część spośród tych tłumaczeń (wiersze Juliana Przybosia, Antoniego Słonimskiego, Aleksandra Wata, Zbigniewa Herberta, Mirona Białoszewskiego) została opublikowana w czasopiśmie „Preuves” na długo zanim powziąłem zamiar opracowania antologii. W paru innych przypadkach poeci francuscy, którym przedstawiłem tłumaczenia „surowe”, poradzili mi ogłosić je w takim kształcie.

Powiedziałem, co ta antologia zawdzięcza radom trzech polskich poetów, z którymi mogłem spotykać się na co dzień. Ale cennej zachęty udzieliła mi większość występujących tu polskich poetów, czy to żyjących w Polsce, czy za granicą. Nie tylko dyskutowali ze mną często na temat dokonanego przeze mnie wyboru ich własnych wierszy, ale przypominali również o istnieniu jakiegoś poety barokowego, jakiegoś pomniejszego romantyka... Wyrażam im tutaj moją wdzięczność.

I w ich imieniu, na ich wyraźne życzenie, chciałbym podziękować wszystkim poetom francuskim, którzy tak wspaniałomyślnie przy tej antologii współpracowali.

Sz szczególnie pragnę podziękować tym, którzy dodawali mi otuchy w trakcie tej długiej pracy. Ladislas Gara nie tylko podsunął mi jej pomysł, ale zapoznał mnie ze swymi przyjaciółmi-poetami, którzy współpracowali z jego *Antologią poezji węgierskiej*; wiele skorzystałem z tego doświadczenia. Dzięki Pierre'owi Emmanuel'owi i pomocy moich przyjaciół z Kongresu Wolności Kultury opracowanie antologii stało się materialnie możliwe. Anne-Marie de Backer i Lucien Feuillade byli dla mnie cennymi doradcami w kwestiach prozodycznych i językowych. Teresa Campi nie ograniczyła się do odszyfrowania i przepisania wszystkich rękopisów: jej wycucie języków, jej znajomość poezji były mi bardzo pomocne.

Jeśli udało mi się uzyskać potrzebne zbiory wierszy, to tylko dzięki opatrniczowej pomocy Biblioteki Polskiej na Quai d'Orléans (w Paryżu — przyp. tłum.) — co się tyczy poezji starszej, zwłaszcza romantycznej — oraz biblioteki miesięcznika „Kultura” w Maisons-Laffitte — w odniesieniu do poezji współczesnej. Pragnę tutaj podziękować tamtejszym bibliotekarzom za uprzejmość, z jaką wyszukiwali wszystkie książki, o które prosiłem ja i moi współpracownicy. Przyjaciele z Polski przysyłali mi rzadkie, niedostępne tutaj tomiki, a nawet przepisywali utwory ze zbiorów, których nakłady były już wyczerpane. Korzystałem, oczywiście, z wszystkich istniejących antologii poezji polskiej. Chciałbym wspomnieć te, które były mi najbardziej pomocne. Antologia Mieczysława Grydzewskiego *Wiersze polskie wybrane* (Londyn 1946) jest, moim zdaniem, najlepszą z tych, które obejmują wszystkie epoki. Jeśli chodzi o wiek XIX, nicocenna jest antologia Pawła Hertz'a. Zbiorki wierszy opublikowane między rokiem 1918 i 1939 są często nie do znalezienia i miałem szczęście, że rozpocząłem pracę po ukazaniu się pięknej antologii Ryszarda Matuszewskiego i Seweryna Pollaka *Poezja polska 1914-1939* (Warszawa 1960). Wszystkie wiersze ludowe, które zamieszciam, pochodzą ze świętej antologii Juliana Przybosia pt. *Jabloneczka* (Warszawa 1954).

przełożył Tomasz Stróżynski

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Z cyklu *Wiersze wigilijne*

Dialektyka

Ten człowiek mógłby być moim ojcem
lecz czy to byłaby moja historia
a tak jest wrogiem bezimienną kartą
mogę wpisać się w niego krwią i pamięcią
i każde zdarzenie będzie w nas rosło
jak światopoglądowe nas państwo

Ten człowiek mógłby być moim ojcem
a jest nie wybranym przeze mnie wrogiem
utrzymując przy życiu jego poglądy i serce
wręcz pompuję sobą jego limfę i gorycz
utwierdzamy się spokojnie w nienawiści
ten człowiek jest mi potrzebny
beze mnie byłby nikim
a ja chcę zabić jego syna

Światowid

Jakże dudni we mnie historia jakże dudni dudniak
to podkłady kolejowe po których gnał dziadek
od tyłu pchany fioletową koroną tyfusu
to pokłady myśli które w technikum zjadł ojciec
aby wybudować szklane więzienia dla uczuć
to grube rude włosy mojej matki i jej szczebiot w kuchni
nad nadpalonym mięsem syna
och jak dudni we mnie ta wschodnia historia jak dudni
całego mnie zagłuszając
chyba nawet śmierć nie ma tu racji

Dom

Dom to trumna dziecinną i senna
którą kiedyś opuścisz jak chore ciało
i staniesz przed dzwiami po tamtej stronie
nastluchując rośnięcia lat monotoni
pukając w wieko głuchym palcem jak
w pusty brzuch matki pijaną głową ojca
tuż nad ranem po powrocie ze studiów
z walizką książek w których wiedza
jest tylko ziemią nad tą trumną
snów oczystych i fizjologicznych dni

U nas w Betlejem

Równina wielka jak przywyczerzenie do życia
proście tam drzewa wyrwane z okopów
matka przywaciara handluje wotami
ojciec remontuje husarski samochód
wszyscy na rencie nawet księżyc chory
w telewizorze reklama nowej pasty do protez
babka siedzi na krześle i obiera pacierz
jak mokre ziemniaki
jak wolno ściera się tu Ziemia
jak wielu tu wrogów

Wigilia

Mój ojciec ukrywał się w czasie wojny
na cmentarzu w krypcie był ciężko ranny
jako właściciel chłopiec
pokazuje mi otrzymany z Anglii krzyż AK
belkoce w strzępach żołądka coś o astronomii
o gwieździe którą i ja zobaczę
przewraca się do tyłu i jak radio pryska
ślina dookola aż matka zlewa mu historią twarz
Kiedyś uderzyłem nożem tego ojca
co prawda tylko przez drzwi bo nie mogłem
trzymany inaczej ale prawda jest jedna
i jeden jest jej świat bólu i szczęścia
jak ten dzień wigilijny kiedy trzymam jego krzyż
umarłymi ustami widząc
jak belkocząc plecie polskie głupstwa

Wypisy

To smutne ale wierzyłem kiedyś w postacie historyczne do tej pory odczuwam skurcz serca na myśl o Żółkiewskim Chodkiewiczu Koniecpolskim tracę wzrok gdy przyglądam się spustoszonej mapie jakiś tętni po zbrot plugastwo u siedel to smutne ale wierzyłem kiedyś w realność historii pełen nadziei szukałem wzorców na tej równinie nasiąkłej unią krwi kazań i poddaniastwa jeszcze teraz mam przed oczyma kopczyk śniegu usypany na Syberii spuchniętymi dłońmi to smutne jak bardzo zło jest piękne w tym słowiańskim słońcu w szybko schnącym na twarzy uderzeniu

Piękne czasy

Urodzony w siedem lat po wojnie na kilka miesięcy przed śmiercią Stalina w 56 roku w pokoju zbudowałem ołtarzyk z klocków zawiesiłem nad nimi flagi Węgier i Polski widząc z okna tłumy ludzi przed skwerem który z placu Stalina stał się placem węgierskich powstańców aby po krótkim czasie przybrać imię generała Bema więc wtedy plakałem gdy ojciec porwał dwie flagi bo były związane plasteliną okna zastonięto kocami jakby dorosli zamykali się do wewnątrz

Po wielu latach sam stamtąd wyszedłem z czarnym ogniem wiary

Tajemnica

Jest śmierć i moje jej imię
ale to nie wystarczy aby zabić we mnie
pragnętego człowieka
bo pamiętam jest ojczyzna i krew jej radosna
w której zanurzałem się nieobecny
Jest śmierć i moje jej imię
ale to nie wystarczy aby zabić we mnie
przeszłość i przyszłość
oto jestem ja i moja ojczyzna
ziemi tej jesteśmy równi

Obłżyń, 1987

Kazimierz Brakoniecki

MARIETTA CZUDAKOWA

BULHAKOW NIEZNANY

W 1969 roku Helena Bulhakowa opowiedziała mi historię spotkania Bulhakowa z Pawłem Siergiejewiczem Popowem, zasnutą mgiełką legendy, podobnie jak i liczne fakty z biografii pisarza, wypływające już wtedy z pamięci współczesnych. Oto, co opowiedziała: *Czy to już po premierze „Dni Turbinów”, czy też na krótko przed ich wystawieniem do Bulhakowa przyszedł nieznajomy i powiedział: „Chcę zostać Pana biografem”. Bulhakow był zdumiony i poruszony jak nieoczekiwanie wczesnym i pełnym uznaniem. Rola ta, wybrana na początku przez Popowa, wiele określiła w ich szybko ułożonych przyjacielskich stosunkach.*

Paweł Siergiejewicz Popow urodził się w 1892 roku. W 1915 ukończył wydział historyczno-filologiczny Uniwersytetu Moskiewskiego, na którym pozostał w celu przygotowania się do uzyskania godności profesora. Uczył w gimnazjum. Był profesorem uniwersytetu w Niżnym Nowogrodzie i jednocześnie, jak to często w tamtych latach bywało, wykładał logikę w Instytucie Językoznawstwa w Moskwie. W 1923 roku został członkiem rzeczywistym Państwowej Akademii Nauk o Sztuce. Najprawdopodobniej po dwóch latach doszło do znajomości z Bulhakowem. W każdym bądź razie do późnej jesieni 1924 roku, kiedy to Bulhakow opuścił dom na Bolszaj Sadowoj, Popow u niego jeszcze nie był — Tatiana Nikolajewna Kiselhoff (z domu Lappa), pierwsza żona Bulhakowa, nie pamiętała go. Lubow Jewgieniewna Bielozirska, druga żona Bulhakowa, wspomina Popowa już razem z żoną Anną Tolstoj (ożenił się z wnuczką Lwa Tolstoja, Anną Ilinicz w 1925 roku). Po wielu latach w liście do Bulhakowa z 21 marca 1935 roku Popow napomknął o ich znajomości „zrodzonej w starych dobrych czasach, kiedy pracowałem pod kierownictwem Koli”. Chodziło mu o Państwową Akademię Nauk o Sztuce (GACHN), w której kierownikiem sekcji teorii poetyki w latach dwudziestych był Nikołaj Nikolajewicz Lamin, jeden z przyjaciół Bulhakowa w tym okresie jego życia, które związane było z zaułkami Priezistenki i Ostrożenki. Mieszkał tam filolodzy, filozofowie, historycy sztuki pracujący w pobliżu, we wspomnianej już Akademii, tam też ulokował się w połowie lat dwudziestych i Bulhakow — najpierw w zaulku Obuchowa (Czystym), potem w zaulku Małaj Lewszinskij, później na ulicy Bolszaja Pirogowskaja. Od początku lat trzydziestych ludzie ci tworzyli jego przyjacielski kraj, om też bywali pierwszymi słuchaczami wielu utworów. Bulhakow podtrzymał znajomość z Popowem nawet wtedy, kiedy przyjaźnie z zaulka Priezistenki rozspaly się.

W tych latach Popow i Anna I. Tolstoj mieszkali opodal w zaulku Płotnikowa pod numerem 10 (z lewej strony Arbatu, idąc od Kremia). Bulhakowie i Popowowie gościli siebie nawzajem. Jednak pierwsze świadectwa ich znajomości datują się dopiero od 1928 roku — w

archiwum Bulhakowa zachował się list Popowa znad Morza Czarnego z 8 września 1928 r. W tym czasie nazwisko Bulhakowa figuruje już w korespondencji Popowa z przyjaciółmi. *Mich. Af.* (Bulhakow — L. K.) *jest w Moskwie, ma dobry humor* — zawiadamał go 1 września 1928 roku Lamin — *ponieważ są uzasadnione dane, że zwolniono „Ucieczkę”*. W tym samym czasie w brudnopisie powieści Bulhakowa nazwisko Popowa otrzymał Iwanuszka.

O czym dyskutował Bulhakow z Popowem w pierwszych latach znajomości? Możemy jedynie snuć przypuszczenia. W latach powinowatek Popow był bez reszty pochłonięty problemami filozoficzno-gnoseologicznymi, przede wszystkim teorią poznania Arystotelesa. W sferze jego zainteresowań byli Hegel, Leibniz, Lotze, Husserl. Zachowana w jego archiwum wczesna praca o dowodach na istnienie Boga u Kartezjusza może być kluczem do jednego z potencjalnych tematów dyskusji w czasie pracy Bulhakowa nad pierwszymi rozdziałami *Mistrza i Malgorzaty* (w 1976 r. S. A. Jermolinski wspominał, że po raz pierwszy usłyszał autorskie czytanie wczesnej redakcji właśnie w Popowie). Natomiast w pierwszych latach rewolucyjnych, jeszcze przed powstaniem z Bulhakowem, Popow, będąc człowiekiem zdecydowanie religijnym, niewątpliwie poddał się głębokiemu i bolesnemu załamaniu. Jego ciocietna siostra A. M. Schubert pisze we wspomnieniach: *Po rewolucji 1917 r. i rozpoczynającej się w ZSRR przebudowie całej nauki rozpoczęła się również przebudowa naukowej działalności P. S. Od rozpracowywania filozoficznych problemów gnoszeologii zaczął stopniowo przechodzić do problemów logiki i literaturoznawstwa... Z wewnętrznej potrzeby zagłębiał się jednak w czytanie wczesnych filozofów chrześcijańskich (Św. Augustyna i Tomasza - Akwiny).*

Z innych źródeł wiadomo, że w 1923 r. miał odczyty o Tłoczwiczu, Schellingu i K. Leontiewie. Do połowy lat dwudziestych, zaświadczają pamiętnikarka, coraz częściej przejawiał stany wewnętrznej zagubienia i narastał w nim pesymistyczny stosunek do życia. Ożenek z Anną I. Tolstoj, zaangażowanie do pracy nad wydaniem dzieł wszystkich Tolstojów pomogło w jakimś stopniu, wedle jej świadectwa, w odzyskaniu równowagi duchowej.

Imię Popowa związane jest pośrednio ze znanym i charakterystycznym incydentem, który rozegrał się wiosną 1924 roku. Po śmierci jego siostry, malarki-konstruktywistki L. S. Popowej „Wieczorna Moskwa” opublikowała list zbiorowy od redakcji i współpracowników czasopisma „Lef” do Mossowietu (Moskiewska Rada Miejska — L. K.) w sprawie jej pogrzebu. Najbliżsi krewni nalegali na pochówek w obrządku prawosławnym, natomiast Majakowski, O. Briki i inni prosili o postanowienie Mossowietu, które da im „możliwość dokonania świeckiego pogrzebu tow. Popowej” (zezwolenie wydano; zachowała się fotografia Majakowskiego, przemawiającego na pogrzebie).

Pawel Popow wywodził się z bogatych kupców-sukienników i wkrótce pochodzenie to doprowadziło do powikłań w jego losach. Od jesieni 1930 roku był szkanowany i poniewierany. Głównie dzięki staraniom żony znalazł się w Leningradzie, pozabawiony wcześniej możliwości zamieszkania w Moskwie. W tym ciężkim roku zaginęły z częścią osobistego archiwum również notatki do biografii Bulhakowa oraz kilka jego listów. Najwcześniejszy z zachowanych przez Popowa listów pisarza nosi datę 26 października 1931 roku. Była to odpowiedź na list, w którym Popow informując o nowym miejscu zamieszkania i pracy, napisał m.in.: *...pracuję w jakimś instytucji, mieszczącym się w obszernym pałacu bojara Szawalowa. (...) kiedy wchodzić do obszernego szwalowni, deklamuję w myśli: „niestraszenie o rzeczach oni myślą, panie Szawalow” (...) Takich reminiscencji w Moskwie nie ma. (...) Tu nie*

ciągnie nas do dramatu, chcemy pochodzić do opery. W Aleksandrynce codziennie idzie jakis „Strach”, ale powiadają, że strach nie jest prawdziwy (mowa o sztuce A. N. Afinogenowa — M. Cz.). Leningrad to prawdziwe miasto: coś potężnego, solidnego jest w nim w porównaniu z moskiewskimi uliczkami i zaułeczkami. Ale ludzi moc. Trudno uwierzyć: tylko w ciągu września przyjechało tu 80 tysięcy ludzi. Trafiliśmy więc na modny kierunek. Jak się miewa Kola i co porabia... Popow interesował się Iosem N. M. Lamina, bowiem od jesieni 1929 roku wielu pracowników Państwowej Akademii Nauk o Sztuce zmuszonych było opuścić Moskwę.

Pierwszy list Popowa z Leningradu przyszedł na rozkosznym zielonym welonowym papierze ze złotymi i białymi tłoczeniami w lewym rogu (w archiwach z czasów Puszkina pozostały jeszcze nie wyczerpane zapasy czystego papieru), co wywołało wielką zadrótkę adresata: *...dobry mnie Pan papierem, na którym pisze. Och, jaki dobry papier! I o to, niechże Pan zobaczy, na jakim zmuszony jestem Panu odpowiadać.*

Odpisując na tylko co otrzymany list, Bulhakow z braku czasu lakonicznie odpowiedział: *Jeżeli marnie u Pana z finansami, proszę do mnie telegrafować. Kola żyje przyzwoicie, ale przeżył się ostatnio.* W języku umownym ówczesnej epistolografii mogło to oznaczać nieduże, przejściowe trudności.

Sądząc ze wspomnień T. A. Aksakowej-Sivers (znakomite świadectwo epoki, w swoim czasie laskawie przedstawione mi przez autorkę), jesienią 1931 roku w mieszkaniu na Moje udzielała ona gościny Popowowi i jego żonie, którzy me mieli gdzie mieszkać w Leningradzie.

W liście z 30 października 1931 roku Popow doniósł Bulhakowi, że zamieszkał w Tiarlewie, natomiast następnym z 28 grudnia, pamiętając o niezrealizowanym zamiarze Bulhakowa przyjechać do Leningradu w listopadzie i chcąc go przynaglić, rozpoczął tak: *Drogi Michale Afanasjewicz! Proszę mi wybaczyć, ale czyni Pan wyrażny błąd. Nie pomyślał Pan o zakąsce. Nad twardego solonego pachnącego ogórka nie może być nic lepszego. Powie Pan — grzyb lepszy. Myli się Pan. Ogórki przywieźliśmy z Moskwy, ale już zaczynają mięknąć. Pan, mam nadzieję, rozumie, że z miękkim ogórkiem daleko się nie zajeździe. Ogórek powinien być pachnący i twardy, jak napisane jest powyżej. Powie Pan — szynka. Oczywiście, że szynka. To pewnik, że wkrótce szynka będzie się wędzić. Nasza gospodyni-starsuszka omówiła już wszystko w wędzarni w Pawłowsku. Ale i szynka dobra jest z ogórkiem. Proszę się więc wędzić. Napisany w takim stylu list posłużył za swego rodzaju literackie zaproszenie, wpływające na formę odpowiedzi. Co prawda była ona napisana miesiąc później (list Popowa Bulhakow otrzymał w przeddzień Nowego Roku 1932):*

Drogi Pawle Siergiejewicz! Oto w końcu pisze się odpowiedź na Pana ostami list. Bezsenność, moja wierna obecnie przyjaciółka, przychodzi z pomocą i prowadzi pióra. Przyjaciółki, jak wiadomo, zdradzają. Jakże bym chciał, żeby ta mnie zdradziła!

Tak więc, drogi przyjacielu, czym zakąsać, Pan pyta? Szynką. Ale to za mało. Zakąsać należy o zroka, na starej wytartej kanapie, pośród starych i wierznych rzeczy. Pies powinien siedzieć na podłodze przy krześle, ale tramwajów nie powinniśmy słyszeć.

List pisał Bulhakow 28, 29, 30 stycznia i nie wysłał aż do 24 lutego, w tym czasie — 20 lutego — Popow opisuje, jak to ze zdumieniem patrzy w gazetę z informacją o wznowieniu *Dni Turbinów*, nie granych od półtora roku; *niezbędna tu jest, jak powiadają redaktorzy, „adnota-*

¹ „Dziś” 1981, nr 5, s. 90 n.

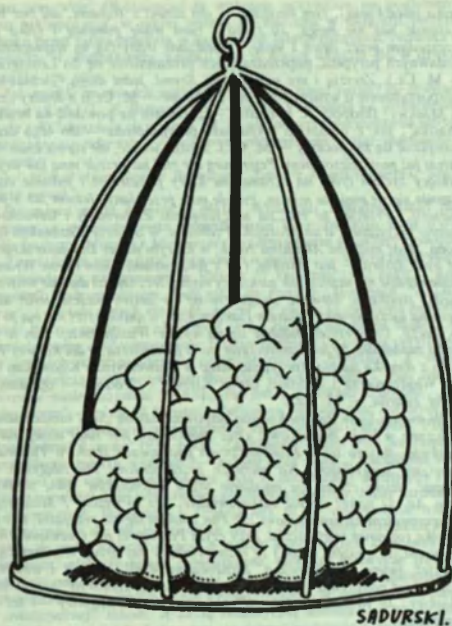
² Tamże, s. 91.

cja"... Po czterech dniach śle list z nowym pytaniem: *Co z „Martwymi duszami”, czyżby umarli, gdy zaczęły ożywać „Dni Turbinów”? To wszystko mnie niepokoi.*

W ten sposób Popow powoli zaczął pobudzać swego korespondenta do uwieczniania w listach faktów z jego ówczesnego życia literackiego. Chodziło mu o taki sam materiał do biografii, który wcześniej, kiedy mieszkali w tym samym mieście, czerpał zapewne z ich dyskusji.

Bułhakow zapisuje swe życie

Ale równocześnie Bułhakow, jakby odgdując pytania, odpowiadał już na nie szczegółowo i sam dawał wyjaśnienia widocznego przestaczenia się korespondencji w coś większego: *Boję się, że list jest za długi. Ale w moim całkowitym odosobnieniu dawno już rdzewieje moje pióro, wszak nie całkiem jeszcze umarłem, chcę mówić, prawdziwymi własnymi słowami!* Pierwsza połowa 1932 roku to największe nasilenie korespondencji między Bułhakowem i Popowem. To czas, kiedy Bułhakow nic innego prawie nie pisze, kiedy już dawno porzucił pracę nad dwiema powieściami, rozpoczętymi w latach 1928-1929. W gruncie rzeczy zajęty jest tylko inscenizacją *Martwych dusz*: w MChAT-cie i męczącym oczekiwaniem na rozpoczęcie pracy nad *Zmową świętoszków* (*Moliere*), która została napisana w latach 1929-1930. Listy do Popowa stają się w tym półroczu jedyną psychologicznie możliwą formą twórczości. Cały ten epistolarny cykl jest niezmiernie ważny dla zrozumienia biografii i osobowości pisarza, przede wszystkim ze względu na podsumowujący charakter. Wbrew pokutującemu przekonaniu dwa lata, które minęły po liście Bułhakowa do rządu z 28 marca 1930 roku i po znanym telefonicznym odezwananiu się Stalina z 18 kwietnia tegoż roku¹, były dla niego czasem najgorszego stanu ducha. Radosne oczekiwanie pierwszych miesięcy po pokrzepiającej na duchu rozmowie do końca 1930 roku zmieniło się w pozbывanie złudzeń. Pośpiesznie ocenił swoją pozycję literacką: w ciągu półtora roku ani jedna z pięciu sztuk nie pojawiła się na scenie, ani jeden wers w druku², co całkiem niedorzecznie wynika z już opublikowanych i publikowanych listów. I kiedy, mówiąc o pięciu fatalnych błędach popełnionych w przeszłości, napisze: *Przeklinam tylko te dwa przypadki, spadające jak omdlenie, bojaźni, przez którą popełniłem dwa błędy z pięciu, to za jeden z tych błędów będzie uważał swoją postawę podczas styczniowej rozmowy z 18 kwietnia 1930 roku*³. I kiedy w liście z 25 stycznia 1932 roku o tym, jak do niego zadzwoniono z teatru i zawiadomiono, że natychmiast wznawiają *Dni Turbinów*, napisze: *Nie jest mi przyjemnie przynajmniej, ale wiadomość mnie przybiła. Zrobiło się mi niedobrze. Napłynęła radość, ale wraz z nią i mój smutek. Serce, serce!* — nie sposób nie odczuć, że oczekiwanie okazało się, niestety, zbyt długie. I mimo podniecenia i zachwytu, z jakim mchatowcy powtarzali mu postawione jakoby pytanie: *„Dlaczego to od dawna nie widać na scenie „Dni Turbinów”? doskonale pamiętał, że jeszcze w marcu 1930 roku zawiadomiał w liście rząd, że wszystkie jego sztuki są zdjęte. Można sobie wyobrazić, w jakim napięciu czekał od wiosny tego roku na powrót chociażby jednej z nich na scenę. Zezwolenie przyszło, zapewne właśnie wtedy, kiedy już oczekiwać zaprzestał — oto dlaczego ono go „przybiło”. (Stalin miał na stałe*



zarezerwowaną łóż, ale oglądał tylko ulubione fragmenty przedstawień. Niektóre z nich oglądał po kilkanaście i więcej razy, w tym gronie „ulubionych” znalazły się i *Dni Turbinów*, oto dlaczego je wznowiono — L. K.)

29-30 stycznia Bułhakow komicznie opisał, jak wznowienie sztuki poprzedził „czarodziejski znak”: *weszła gospodyni i rzekła twardo i proroczo: Pana jak trąba głośna sztuka pojździe. Tysiączek Pan otrzyma, jak po tej wiadomości wydarzyły się trzy nieszczęścia i pierwsze przybrało formułę: Gratuluje. Teraz to Pan się wzbogaci! Raz — nic. Dwa — nic. Ale przy setnej osobie zrobiło się nieprzyjemnie. Mimo wszystko niekulturalni jesteśmy! Cóż to za manieri składania gratulacji. Numer drugi: śmiertelnie się obrazę, jeśli nie otrzymam biletów na premierę... I w końcu trzecie — okazało się, że moskiewski obywatel potrzebuje na gwałt dowiedzieć się: „Co to znaczy?” I tym pytaniem zaczęły dręczyć mnie. Znalazli sobie źródło! Ten błyskotliwy szkie obyczajów znajdzie odzew w następnych listach Popowa. Włączając się w literacką grę (list z 28 lutego), sprytnie podejmował wszystkie podstawowe tematy listu, zaczynając od gospodyni domowej, po drodze zdał relację o swoim obecnym położeniu: *Obchadzimy się całkowicie bez służącej (gotuje nam właści-**

¹ „Woprosy literatury” 1966, nr 9, s. 138-139

² „Ten telefon przywrócił Bułhakowa twórczości”. (w:) W. Petelin: *Famias sierdca nas triebimu*. Moskwa 1970, s. 47. Tę obłudną frazę, nie uwzględniającą oczywistych faktów, cytuję, niestety, współkrytyk I. F. Beza (*Garnucologia „Mastiera i Margariti” w książce Kontiki-1978*. Moskwa 1978, s. 228)

³ Teza ta jest szczegółowo uzasadniona w jednej z moich prac (w:) *Chudołkriemiennoe tvorczestwo*. Leningrad 1982, s. 146-148.

cielka mieszkania), tym bardziej, że ani sztuki z trąbami, ani bez trąb uratować nas nie mogą. Ja tylko z rana wodę pompuję i tylko raz przeszedłem przez ogień i wodę, i miedziane trąby (są to wspomnienia niedawnych perypetii, poprzedzających przeniesienie się do Leningradu — M. Cz.). Zrosła i my mamy swój Kreml, jedni mogą: „wznawiać” (rozporządzenie o wznowieniu Dni Turbinów — M. Cz.), a drudzy: „czas do Moskwy” (kłopoty A. I. Tolstoj — przyszło się powieści na brodzie dziadka”, jak z humorem wyjaśniała przyjaciółcom — do tego czasu pomyślnie się zakończyły — M. Cz.). Można jechać, ale się nie chce. Nie jestem już moskwienczaninem, Petersburg nie stoi już przede mną jak wryty, tętniący życiem tyłk na ekranie, na który popatrzysz i jedziesz: dalej Zagoiło się we mnie to masło. Przejdź mną przemiany. Jestem już w jego „historii”. Przecież to era, na skrzyżowaniu Zagorodnej i Gorochowej dodano przystanek, a na Możajskiej zabrano, w Soboże Kazańskim była ikona, teraz: muzeum Akademii Nauk, w którym nawet Dudańka skróciła, nie było Astorii — jest Astoria, i to z foksjotami, i sam baron Wrangel wcale nigdzie nie ucieka, jak niektórzy myślą, lecz chodzi dumnie w fraku między stolikami. Słowem: „wygłolem się” w innym mieście, teraz: ulica Hercena łączy Newski z placem Isakijewskim, a uniwersytet nie ma tu nic do rzeczy. Uniwersytet znajduje się na wyspie Wasiljewskiej. Pan to już chyba zapomniał, że jeśli uniwersytet, to w Włodzimierza, a dół kopary Pan tylko z dumską suknią? (przypomnienie o Uniwersytecie Kijowskim im. św. Włodzimierza i o dolnej części Kijowa — Podole — opisanej w Białej gwardii — M. Cz.).

W swoim liście Popow kolejno odpowiedział na „trzy nieszczyścia”, wyliczone w liście Bulhakowa: Ołoś marksistów jest tutaj mniej, niż w Moskwie, dlatego też o ekonomicznych podstawach sztuki o Turbinach nawet nie pomyślałem. Na pierwsze przedstawienie nie zdążyłem się zalać, dzięki czemu nie musiałem przed Michalskim⁵ robić słodkich oczu. Ad. 3) nawet się nie zastanawiałem, „co to znaczy”? Mało tego, zasugerowałem Eichenbaumowi, że Pan z nikim się nie przyjaźni, że była to tylko rozmowa telefoniczna, przy czym Pan nawet nie zrozumiał z kim rozmawia, że owszem liścik i że rozmawialiście tuż przed Wielkanocą, a przecież święta zlikwidowano. Eichenbaum wypił, zakąsił i uwierzył, przestał też powoływać się na Slonimskiego, który „tylko co” przyjechał z Moskwy. Ja również „tylko co” zieram się do Moskwy — też mi argumenty!

Najwidoczniej w tym czasie Popow odgrywał już rolę znanego biografii Bulhakowa i obalzał zrodzone w moskiewskim i leningradzkim środowisku literackim (i powtarzane aż do naszych dni) pogłoski o „przyjaźni” Bulhakowa ze Stalinem. Fenomen „moskiewskich pogłoszek” bardzo interesował pisarza, należy przypuszczać, że te pogłoski pchnęły go do stworzenia całego cyklu żartobliwych ustnych opowiadań o tej „przyjaźni” (jedno z nich przytoczył Paustowski w Powieści o życiu — „Dialog” 1964, nr 2, s. 121 — L. K.).

Stalin telefonuje do Bulhakowa

Zwróćmy uwagę na zdanie z listu Popowa: ... przy czym Pan nawet nie zrozumiał z kim rozmawia. Niektórzy literaci, którym Bulhakow opowiadał o kwietniowej rozmowie telefonicznej, potwierdzili w wywiadach, jakoby Bulhakow nie od razu uwierzył, że rzeczywiście dzwonią z sekretariatu Stalina, a nawet rzucił słuchawkę, ale zadzwono

niono ponownie. Okoliczność ta wpłynęła oczywiście na pogłębienie stanu zakłopotania, w jakim odbyła się zwrótka w biografii pisarza, głęboko przez niego przeżyta w następnych latach rozmowa. Notatka w dzienniku H. Bulhakowej, która tylko w części ukazała się w druku, utrwaliła ten stan:

Jak zwykle po obiedzie położył się spać, ale zaraz rozległ się dzwonek telefonu i Luba (L. E. Biełozierska — M. Cz.) zawiadła go, powiadamiając, że z KC dopływają do niego. M. A. nie uwierzył, przyjął to za intruzję (wtedy to się zdarzało) i najeżony, rozdrażniony wziął słuchawkę i usłyszał:

— Michal Afanasjewicz Bulhakow? Zaraz: z Wami towarzyszy Stalin będzie mówił.

Rozmowa miała miejsce w piątek Wielkiego Tygodnia (stąd żart Popowa „a przeczta święta zlikwidowano”), co znalazło swój wyraz wedle badaczy Stierzy i Malgorzaty w formowaniu struktury powieści.

To właściwie nie są listy, są to uwagi o dniach... — tak określał swoją korespondencję z Popowem w liście z 21 kwietnia 1932 roku. I kontynuował: Jednym słowem, będą podobno do Pana o „Turbinach”... o „Molierze”, i o wielu innych rzeczach. Wiem, że nie są to światowe maniery, mówić tylko o sobie, ale pisać było co i o niczym nie mogę, dopóki nie rozwiąże swego duchowego węzła. Popow radośnie i z ochotą przyjmując ten styl ich korespondencji, odpowiedział 26 kwietnia: Z wielką niecierpliwością będę oczekiwał Pańskich uwag „o sobie”. Pan wie, że interesuje mnie wszystko, co związane jest z Pańskimi sztukami. „Oto moje uwagi” — pisał 24 kwietnia Bulhakow, poświęcając list blyskotliwemu opisowi premiery wznowionych 18 lutego Dni Turbinów. Popow odpowiedział 2 maja 1932 roku: Znakomicie opisał Pan wrażenia ze szczególnego punktu widzenia — autora „zza kulis”. Chciałbym teraz otrzymać opis innej sztuki. Mowa była o inscenizacji Martwych dusz: Popow rozważał dalej właściwości gogolowskiej prózy, które utrudniały jej inscenizację: Wspaniałe u Gogola jest to, że opowiadanie właśnie dlatego znaczy, że nie jest całkiem serio i dzięki temu uzasadnia swoje prawo do wielkich zakończeń a nawet patetycznych końcówek. Te śpiewające, niekiedy nawet pompatyczne, niekiedy niezwykle stosowne końcówki nakładają nową warstwę sylwową na ogólny ton opowiadania. Tak więc realizm tu spłócił się tak: romantyzmem, że śmiesznie jest mówić o „realistycznej” szkole. A że są realistyczne kawałki — ale w jakże szczególnym „cieście”. Latwo jest wyciągnąć nadejście z pieroga, o nie, proszę je podać z ciastem, z całym sosem, z całą mgiełką, z całą subiektywną romantyczną otoczką, z całym wichrem. OTO JAK PAN TO ZROBIŁ, PRZECIEŻ CIĄC PAN NIE MOGL? Ostatnia fraza podkreślona jest przez Bulhakowa, odpowiedział na nią: Właśnie, Pawle Siergiejewiczu, cię! Cały list z 7 maja 1932 roku był, jak można się teraz przekonać, nieco polemizną odpowiedzią na postawione przez Popowa pytania. Zachował się następny (nie datowany) list Popowa, napisany od razu po otrzymaniu listu Bulhakowa z 7 maja, z pochwałą idei rozpoczęcia od Rzymu (inscenizacja Martwych dusz: rozpoczynać się miała widowkiem Rzymu z sylwetką Gogola na balkonie — L. K.), z rozważaniami o osobliwościach Martwych dusz: ponownie poddając w wątpliwość owocność ich inscenizowania, 20 maja napisał: Drogi Michale Afanasjewiczu! Coś nie ma od Pana kontynuacji dziennika i nudno mi, chociaż wiosna cudowna; niepokoił się dalej, czy aby nie był nietaktowny: Ot i głupot Panu ponawpisywałem: niczego nie widząc, zacząłem oponować. Dziwnie jakoś gorączkuje się, kiedy myślę o Puszkynie i Gogolu. Równie dziwnie czuję się też ostatnio w Leningradzie. Uświadomiłem to sobie wczoraj, kiedy na Maloj Morskoj obok jego domu oczekiwałem na A. I. (żona Popowa, Anna Iliniczna — L. K.) od

⁵ MCHAT występował wtedy gościnnie w Leningradzie. F. F. Michalski był kierownikiem biura MCHAT-u.

⁶ Literaturoznawca B. M. Eichenbaum współpracował w Popowem przy wydaniu dzieł wszystkich Lwa Tolstoj

dentysty. Dom, w którym mieszkał Gogol, zachował to oblicze z lat 30-tych. W ogóle, co za miasto, co to za miasto!... Oto wczoraj otrzymałem zaproszenie do ponownego powrotu do Moskwy, ale do jesieni nie zjedziemy i cały czas mam nadzieję zobaczyć Pana. Przecież ja nie tylko Puszkina i Petropol lubię, również Pana lubię, I lubię Panskie szybkie odpowiedzi. A w winta będzie, Pania ani razu nie zagrałem. Jego ostatnie listy z Leningradu pochodzą z końca sierpnia. Jesienią wrócił do Moskwy — do tej samej sutenenki w zaułku Plotnikowa, którą zmuszony był porzucić dwa lata wcześniej. Czytając po śmierci Bulhakowa rękopis *Mistrza i Malgorzaty*, napisze do Heleny Sergejowej: ... naszą sutenenkę Musza wykorzystal w opisie mieszkania mistrza. I zawalisko książek na oknach, malowana podłoga, chodniczki od branki do okien — to wszystko przeniósł do powieści...

Znalazłszy się w Moskiewie Paweł Sergejowicz i Anna Ilinczna długo mieszkali w jej rodzinnym domu w Jasnej Polanie, tam też posyłał często listy Bulhakow. Wysyłając jeden z listów nie począł, ale „okazją”, pisze: *Przecież widzisz, że do tej pory ludzie żyją okazjami, a ty chcesz: raz na zawsze skończyć z wszelkiego rodzaju przypadkami i za jednym zamachem urządzić nowe życie* (6 marca 1934 roku). 13 kwietnia 1934 roku Bulhakow zakończył komedię *Błazenstwo (Rozkosz)*. Na drugi dzień Helena Bulhakowa zapisała w dzienniku: *Wczoraj było u nas czytanie, jeszcze nie dla Teatru, tylko dla swoich. Byli: Kola Lamin, Patia Popow, który przyjechał na trzy dni z Jasnej Polany, Sergiusz Jermolowski i Barnet. Komedia im się spodobała. Już 15 kwietnia Popow pisał: Bój się, że zupełnie upadłem w twoich oczach, niczym „gotowany rak” trafiłem na twoje czytanie... a mimo to, jednak przebudziłem mnie swoim czytaniem. Zastanawiam się nad nim dopiero tutaj i zamyśliłem zupełnie swą pracę specjalnym rozdziałem (będzie to rozdział 11-ty) — „Łęczy Bulhakowa”. W rozdziale tym zaznaczył się trzy stadia opracowania słowa... Zabawna linijka w liście z 8 lipca 1934 roku: Tutaj byłem chory przez cztery godziny. Tempo, tempo!*

5 marca 1935 roku Popow pisze: *Ale się zbliżyłem! Grawidaniu (lek wzmacniający ponoć pamięć — L. K.) przecież sobie nie wstrzykiwałem — jakże będę pisał do ciebie — numeru domu nie pamiętam! W ówczesnej naukowopopularnej literaturze reklamowano zdumiewające właściwości nowego lekarstwa, odmładzającego organizm i leczącego między innymi zapominalstwo, opowiadano na przykład, jak pewien pacjent „nie pamiętał, co jadł przy stole”, a po grawidanie „zaczął czytać *Upadek carskiej władzy* i może powtórzyć z pamięci...”⁸*

28 września 1939 roku, wiedząc już o ciężkiej chorobie Bulhakowa, Popow pisał do niego: *Drogi Maku, wciąż znajduję się pod wrażeniem twoich wspaniałych opowiadań. Byłeś w szczególnym (artystycznym) uderzeniu — przecież to jest tak; czujesz się nie najlepiej, a pieszysz z powodzeniem, bo z ludzmi częściej bywa na odwrot: czują się nieźle, ale w pracy im nie wychodzi. Masz rację — to los. 22 października zawiadamał go o bardzo interesującym epizodzie z biografii Apuchina”*

5 grudnia 1939 roku, kiedy życie Bulhakowa na oczach przyjaciół zbliżało się do końca. Popow zdecydował się napisać do niego list, dopowiadając to, co niedopowiedziane było w ciągu długich lat przyjaźni: *Niestannie myślę o tobie. I teraz; i wcześniej; i zawsze. I przy stole, i w łóżku, i na ulicy. Widuję ciebie czy nie widuję, jesteś dla mnie tym, co upiększa życie. Bój się, że możesz nie podejrzawać, ile dla mnie znaczyś. Kiedy zapytano pewnego Rossjanina, czy aby nie należy do*

plemiena barbarzyńców to ten odpowiedział: „Skoro w przeszłości mego narodu byli Puszkini i Gogol, nie mogę siebie uważać za barbarzyńcę”. Pewnego archiereja z Wysp Aleuckich, spotkawszy w dawnych czasach na moście Kuźnieckim — a przyjechał on z swoich śnieżnych pustyni — zapytano: czy podobna mu się Moskwa? Odpowiedział: „bezludnie”, tzn. prawdziwych ludzi nie ma. Tak więc, będąc tobie współczesnym, nie czuję, że jest bezludnie — czytając linijki napisane przez ciebie, wiem, że jest prawdziwa kultura słowa; przenosząc się w fantazji do opisywanych przez ciebie miejsc, rozumiem, że twórcza wyobraźnia nie wyceperpała się...”

Od razu po śmierci Bulhakowa Paweł Popow rozpoczął gorliwą pracę nad biograficznym esejem o nim, dążąc do powiązania znanych faktów w coś jednego, co byłoby godne człowieka, o którym tak wiele myślał, i za jego życia, i później.

Troskliwie chronił poręczony mu przez Helenę Bulhakową w 1940 roku egzemplarz rękopisu *Mistrza i Malgorzaty* aż do śmierci, która nastąpiła 31 stycznia 1964, prawie trzy lata przed wydrukowaniem powieści. Z jakimi uczuciami czytał stronice epilogu? „Jest to pracownik Instytutu Historii i Filozofii, profesor Iwan Nikołajewicz Ponirow”. Co podpowiadała profesorowi Popowowi „jego pokluta pamięć”? Czy nie rysował się mu smutny symbol losu całego pokolenia, ale w powieści jak gdyby odwróconego przeobrażeniem Iwanuski w profesora?... Czy odróżnił pośród miernych powieści, która po raz pierwszy przeczytał w całości już po śmierci autora, słowa skierowane również do niego, do niego osobiście: „Żegnaj, uczniu”?

Jak powstawała „Biała gwardia”

Przez cały rok pisałem „Białą gwardię”. Powieść tę lubię najbardziej z wszystkich moich rzeczy — tak zanotował w autobiografii w październiku 1924 roku Michał Bulhakow. W tym czasie była już ona przygotowana do druku w czasopiśmie „Rossija”, właśnie zeszyły z maszyn spłaty pierwszej części. Do tej pory Bulhakow znany był czytelnikom jedynie jako autor powieści *Diawiada (Saramana)*, wydrukowanych w fragmentach *Notatek na mankiecie* i licznych felietonów w gazetach „Nakanunnie” (W przeddzień) i „Gudok” (Gwizdek). Powieść *Fatalne jaja* została dopiero oddana do almanachu „Niedra” (Wnętrze). Powieść *Psie serce* nie była jeszcze napisana. Trzydziestotrzyletni Bulhakow, który przed około pięciu laty porzucił profesję lekarza, nadal pozostawał na pozycji początkującego literata. Ze swoją pierwszą powieścią włącznie ogromne nadzieje.

W pierwszych dniach 1925 roku w czwartym numerze „Rossiji” ukazał się początek powieści i pod koniec marca do Bulhakowa dociera recenzja poety M. Wołoszyna: „...twórca ten wydał się mi bardzo wielki i oryginalny, jako debiut początkującego pisarza; można go porównać tylko z debiutami Dostojewskiego i Tolstoja. W tych właśnie dniach, 23-28 marca trwała korekta następnego, piątego numeru czasopisma z dalszym ciągiem powieści. Już dwa tygodnie wcześniej redaktor naczelny I. G. Leżniew powiadomił swego stałego korespondenta, profesora N. W. Ustrialowa, że cała przygotowawczo-redakcyjna robota przy szóstym numerze rozkręca się na dobre.

⁸ 30 listów Bulhakowa do P. Popowa, zachowanych w archiwach Popowa i Heleny Bulhakowej (kopie wykonane przez nią za życia Popowa z oryginalów częściowo zaginęły) były w części wykorzystane w naukowym opracowaniu w mojej pracy: *Archiw M. A. Bulhakowa. Materiały dla twórczości biografii pisarstwa* (w: „Zapiski odtęta rukopisny GBL”. Wyp. 37, Moskwa 1976, s. 101-103); tam też po raz pierwszy w pełni opublikowano listy Bulhakowa do Popowa z 4 października 1939 r. i z 30 stycznia 1940 roku — s. 137 i 140. Cierpiły listy Bulhakowa do Popowa (jedną z 1931 roku i trzy z 1932) opublikowała W. W. Gudkowa (w: „Teatr” 1981, nr 5, s. 90-96).

⁸ A. Zamkow: *Grawidanie w miedzinie* (w: „Nowy Mir” 1935, nr 6, s. 212, 194.

⁹ List częściowo opublikowany (w: M. O. Czudakowa: *Rukopis i kanga*, Moskwa 1986, s. 53-54, o korespondencji Bulhakowa i Popowa patrz także (w: *Wspieranie i Annot.*, Moskwa 1979, s. 245.

Jedynie sam autor robotę tę opóźniał. 24 IV 1925 r. Leźniow prosi Bulhakowa, by wstąpił do redakcji („potrzebny mi jest do dalszej pracy koniec powieści”) i próbuje zachęcić niepunktualnego autora wiadomością, że być może do tego czasu pojawiają się pierwsze egzemplarze piątego numeru „Rossiji”.

Mińło półtora miesiąca i 7 VI 1925 r. Bulhakow (akurat wyszedł z kliniki A. W. Marynowa po operacji wyrostka) znów otrzymał od swojego redaktora list, utrzymany w delikatnie narzekających tonach: *Drogi Michale Afanasjewiczu! Pan całkiem zapomniał o „Rossiji”, czas już najwyższy zdawać materiał szóstego numeru do składu, należy składać zakończenie „Białej gardii”, a rękopisu ciągle Pan nie przynosi. Serdecznie radzę nie przeciągać dalej sprawy. Jak dawniej bywam w redakcji w środy i soboty w godz. 17-19. Można też dostarczyć rękopis na Polankę — o każdej porze. Tam zawsze przyjmą i z pewnością mi przekażą. Jak się Pan czuje po operacji? Było to w poniedziałek i tego samego dnia Bulhakow odesłał zakończenie powieści do wydawnictwa lub do mieszkanka Leźniowa na Dużej Polance. 12 czerwca był już w Koktebelu u Wołoszyna.*

Od czerwca do września Bulhakow pisał dla MCHAT-u sztukę *Biała gardia*, o wiele bardziej obszerną i z większą ilością bohaterów niż ostateczna jej redakcja, wystawiona na scenie pod tytułem *Dni Turbinów*. Natomiast jesienią wydanie powieści skomplikowało się.

Sprawa dotyczyła nie tyle powieści, co czasopisma. 3 X Leźniow powiadomił Ustinowa, że czasopismo przeżywa kryzys wydawniczy, przewlekły ponad miarę. Dodrukowanie powieści (ostatniej, trzeciej części, nad którą Bulhakow pracował na wosnę) było wątpliwe, jak i proponowane wcześniej osobne wydanie. (W archiwum Bulhakowa zachował się projekt obwoluty powieści, miała wydać w wydawnictwie „Rossija” w tym samym roku). Mało tego — trudno było dojść, czy autor zachował prawo do wydania powieści, ponieważ zaczęła się przeciągała historia z odstąpieniem praw do powieści przez wydawcę, z którym podpisana była umowa (Z. L. Kagański) na rzecz I. G. Leźniowa. W dodatku powieścią zainteresowało się wydawnictwo „Krug” (Krağ) i 10 października Bulhakow otrzymał list od A. N. Tichonowa z prośbą o spotkanie. Tego dnia lub następnego Bulhakow napisał decydujący list do Leźniowa. Odpowiedź redaktora z 11 października stanowiły znaczące świadectwo napiętych chwil: *Michale Afanasjewiczu! Pański wybitnie oficjalny list otrzymałem. Jednakże wyprzedza on nieco zdarzenia. Przy spłacie weksła stosowana jest 3-dniowa ulga. Spłata podczas tego ulgowo odroczenia przeprowadzana*

jest u notariusza pod groźbą oprostowania. Jesliby Kagański nie wykupił weksła we wtorek i dla trzydziu rubli dopuścił się oprostowania, w co mam pełne prawo wątpić, proszę mnie o tym powiadomić. W żadnym wypadku nie mam zamiaru wydawać powieści jako osobnej książki. Korektę autorską pięciu kartek ostatniej trzeciej części powieści dołączam do listu. Proszę zwrócić ją poprawioną w środę. I. Leźniow (GBL, f. 562, 19, 37; mowa o wekslach wydanych Bulhakowi przez Kagańskiego: według warunków umowy z 6 stycznia 1925 r. ostatnim terminem płatności za powieść był 3 października).

26 października 1925 r. Bulhakow złożył oświadczenie w komisji rozjemczej Wscherosyjskiego Związku Pisarzy: *Redaktor czasopisma „Rossija”, Isaj Grigoriewicz Leźniow po zamknięciu wydawnictwa „Rossija” zatrzymał, me mając do tego żadnych praw, koniec mojej powieści „Biała gardia” i nie chce go zwrócić. Proszę rozpatrzyć sprawę drukowania „Białej gardii” u Leźniowa w komisji rozjemczej i ochronić moje interesy. (CGALI, f. 341, 1, 257). Został na nią zaproszony 4 listopada — w celu przedłożenia dowodów w sprawie wszczętej przez Pana” (zawiadomienie podpisał Andrzej Sobol). W efekcie wydarzenia najbliższych dni znalazły komiczne odbicie w nie zakończonej powieści Bulhakowa pisanej jesienią 1929 i poświęconej „Tajemniczemu Przyjacielowi” — były to swego rodzaju pamiętniki z pierwszych lat w Moskwie, będące szkicem przyszłych *Zapisok pokojnika* — *Teatralno-wo romana* (*Powieści teatralne*). Kagański został nazwany w tym utworze, jak i w przyszłej powieści, Rwackim, a jego poprzednik — męczennikiem. Autor opowiadał, jak *sądził się z redaktorem w sądzie rozjemczym. Przy czym pięciu dorosłych mężczyzn, analizując umowy — mają z redaktorem, redaktora z męczennikiem, mają z Rwackim i redaktora z Rwackim — popadło w ogień. Nawet Salomon nie mógłby stwierdzić, kto ma prawo do powieści, dlaczego powieść nie jest dodrukowana...**

Tak więc, sądząc z dokumentów, jesienią 1925 roku w rękach autora pozostała korekta nie wydrukowanej części powieści, owe pięć kartek. I rzeczywistość — ta korekta zachowała się. Zajmując się w r. 1970 i latach następnych analizą oraz naukowym opracowaniem tej części archiwum, która była przekazana przez Helenę Bulhakową i jej syna S. E. Szyłowskiego do działu rękopisów biblioteki im. W. I. Lenina, włączyliśmy korektę z autorskimi poprawkami w skład zbiorów i opisaliśmy pod numerem 562, 2.9. Jej wyjątkowe znaczenie dla historii powstawania *Białej gardii* już w tamtym czasie było oczywiste. Ale poznawanie biografii i twórczości pisarza dopiero się zaczynało. Znalezione w następnych latach dokumenty wyjaśniły łok pracy Bulhakowa nad pierwszą powieścią, której rękopisy się nie zachowały.

Wspominając o autorskich czytaniach *Białej gardii* (w moskiewskim kółku literackim „Zielona lampa” w zimie 1923/24 roku) językoznawca B. W. Gornung powiedział: *W każdym bądź razie słuchającym wiadomym było, że „Północnyj kriesi” jest pierwszą częścią trylogii, że akcja drugiej powinna mieć miejsce nad Donem, a w trzeciej Mysłajewski znajduje się w szeregach Armii Czerwonej... Białej kriesi (taki tytuł zachowała w pamięci I. S. Raaben, przepisująca na maszynie powieść pod dyktando autora tej samej zimy), Zolityj prapor. Abył mach są to warianty tytułów różnych części trylogii (o różnych okresach wojny domowej na Ukrainie). Widocznie Biała gardia miała być w koncepcji autora tytułem końca.*

Ostatni rozdział powieści, napisany do 7 czerwca 1925 roku (patrz: „Zdanie” 1987, nr 5 — L. K.) wyraźnie zorientowany jest na przedłużenie tylko zaznaczonych w niej linii fabularnych: *Nikolka — Irina Naj i Turbin — Julia Reiss.*



SAPVANSKI.

Jeszcze latem w Kokiebelu M. Wołoszyn zczył w dedykacji na zbiorku *Iwieni: Drogi Michale Afanasjewiczu, niech Pan doprowadzi do końca trylogię „Białej gardii”*.

W styczniu 1926 roku energiczny Leżnów znów zaczął wydawać czasopismo — teraz pod tytułem „Nowaja Rossija” (pod tym tytułem ukazywało się już ono w 1922 roku) i na okładce pośród autorów znowu wymieniony był Buhlakow. Ale w maju 1926 roku czasopismo i wydawnictwo „Nowaja Rossija” zostały niedowolalnie zamknięte. Leżnów wysłano na trzy lata do Estonii (wrocławczyk, został po kilku latach znanym dziennikarzem). Powieść pozostała nadal nie dodrukowana.

25 lutego 1927 roku A. I. Tichonow pisze do Buhlakowa: *Drogi Michale Afanasjewiczu! Jak się miewa „Biała gardia”? Czy zamierza ją Pan u nas drukować czy też nie? Musimy to koniecznie wiedzieć, najwyższa pora by Pan się rozruszał. A może postanowie Pan wierny sobie do końca w stosunku z „Krekiem”? Mam nadzieję, że mimo wszystko uda się nam co nieco z Panem ustalić.* (IRL, f. 389, 419). A 10 marca tego roku Gorki pytał w liście Tichonowa: *Co z Buhlakowem? Czy zakaz jego udziału w nabożeństwie jest niedowolalny? Czy można zapoznać się z jego sztuką?* (Archiwum Gorkiego, PG, RL, 44-10/5). Zaś 25 marca Tichonow odpowiedział: *Buhlakow próbuje wystawić swoją sztukę „Bagrowy ostatek” (Szkarsialna wyspa), na razie bez sukcesu. Postaram się wysłać Panu egzemplarz. Pracuję nad powieścią „Biała gardia” — zmienia prawie wszystko. (KG-II, 77-1-18).* Oczywiście Tichonow informował wedle słów samego Buhlakowa. Możliwe, że w tym samym czasie miała miejsce gruntowna przeróbka zakończenia powieści.

Tracąc w latach 1925-1926 możliwość dodrukowania powieści, Buhlakow zrezygnował widocznie nawet z myśli o kontynuowaniu trylogii. Ta przebudowa twórczych zamierzeń pociągnęła za sobą co najmniej dwa rezultaty. Jednym było postanowienie napisania sztuki o końcu wojny domowej na południu. Sądząc z niektórych świadectw, zamysł autora obejmował rok dziewiętnasty i dwudziesty. W procesie pisania realne granice powieści przesuwały się do tyłu, jak to nierazko bywa w pracy autorów powieści historycznych, „pierwsza” powieść zakończyła się na początku 1919 roku. Jednak rezygnacja z kontynuowania trylogii doprowadziła do tego, że materiał tych omówionych, ale nie opisanych lat zawił w powietrzu. Pod koniec 1926 roku Buhlakow — po dotkliwych niepowodzeniach w beletryście — w pełni oddał się dramaturgii i powrócił do tego materiału w naturalny sposób dokonał się w formie dramaturgicznej. Właśnie taka, według mnie, była droga do koncepcji sztuki *Bieg (Ucieczka)*.

Drugim rezultatem stała się przeróbka ostatniego rozdziału powieści. Buhlakow mógł się tym zająć jedynie w wypadku powstania możliwości wydania nie wydrukowanej części.

Okołiczności pobudziły Buhlakowa do szukania takiej możliwości. Po pierwsze w 1927 roku w Rydze pojawiło się oddzielne wydanie powieści, w którym nie dodrukowane i tym samym nie znane wydawcy zakończenie było przez kogoś dopisane. Było to zresztą zrobione według ostatniego aktu *Dni Turbinów* — z zachowaniem replik bohaterów i podobniem fragmentów narracyjnych (rozwinętych przede wszystkim z autorskich didaskaliów). Po drugie, dotarły wieści o tym, że były wydawca „Rossiji”, Kagański (posiadający cały rękopis powieści z 1925 roku) zamierza wydać powieść za granicą. Z braku konwencji o ochronie praw autorskich Buhlakow znalazł się w trudnej sytuacji, powinien był bronić się osobiście, a znajdował się przy tym tysiące kilometrów od Kagańskiego. W połowie lutego 1928 roku

Buhlakow złożył podanie o dwumiesięczny wyjazd za granicę. W wyjaśnieniu zatytułowanym „Cel wyjazdu za granicę” Buhlakow podaje, że chce pojechać do Berlina, żeby „pociągnąć do odpowiedzialności” Kagańskiego, a także do Paryża, gdzie zamierza poznać miasto i obmyślić plan inscenizacji *Ucieczki* (jeden z jej aktów rozgrywa się w Paryżu), którą MCHAT wstawił do repertuaru. Wyrażał nadzieję, że będzie mu dana możliwość wyjazdu „z powodu tych ważnych i sumiennie przedstawionych tu spraw”, dodał też, że odmowa znacznie utrudni mu dalszą pracę dramaturgiczną. 8 marca 1928 roku wydział administracyjny Mossowietu zawiadomił: *W sprawie postanowienia na prawo wyjazdu za granicę Panu odmówiono.* W tym czasie Buhlakow kończył lub też zakończył dopisywanie powieści — przygotował do publikacji ostatnią jej część w nowej redakcji.

Przeróbka szła w kilku kierunkach, z których dwa zdają się być podstawowymi. Jeden był uwarunkowany rezygnacją z kontynuowania trylogii. Przerzedzały się fabularne linie, gesto nakreślone w poprzednim finale; niektóre urwały się (Nikolka — Irina Naj), inne zmieniły się i zaskrąglaly. W finale 1925 roku napięcie osobistych stosunków między postaciami narastało, w nowej redakcji wszystko równoważyło się i uspokajało. Drugi kierunek przeróbek był uwarunkowany tym, że praca nad finałem powieści trwała po kilkrotnym przerabianiu i w końcu wystawieniu na scenie — w redakcji wymuszonej przez reżyserów — *Dni Turbinów*. Przeróbki te dotknęły najbardziej postaci głównego bohatera — Aleksieja Turbina.

Przypatrmy się uważnie nie znanemu nam dotychczas Turbinowi, który miał stanąć przed czytelnikami „Rossiji” jesienią 1925 roku.

Oto bohater, dość trwale powiązany jeszcze z doktorem Bakalejnikowem z najwcześniejszej redakcji powieści napisanej w 1922 roku. W ogóle w latach 1924-25 ostatni raz dopracowując powieść w procesie składania jej do czwartego, piątego i szóstego (nie wydrukowanego) numeru „Rossiji” Buhlakow najwidoczniej uwalniał się w jakimś stopniu od biograficznych powiązań. Mimo to wydrukowany tekst powieści wywierał ściśle określone wrażenie na tych, którzy dobrze znali biografię pisarza. Kiedy w 1980 roku zapytałam kolegę szkolnego Buhlakowa z pierwszego gimnazjum i z wydziału medycznego Uniwersytetu Kijowskiego, Eugeniusza Bukriewa, dobrze znającego rodzinę Buhlakowów: *Jak po pierwszej lekturze ocenił Pan „Białą gardię”?* odpowiedział: *„Biała gardia” to nadzwyczaj realna rzecz i nadzwyczaj rozdzanna rzecz. Wyjaśnił to dalej szeregiem charakterystyk: Pamiętam siostrę Buhlakowa, Barbarę — tęgawa; z dość osobliwymi, nie rudy, ale szczególnego złocistego koloru włosami... Brzydka, ale niezwykle kobieca... itd.*

Co wiemy o Aleksieju Turbinie w powieści, jakim go widzimy? Można by powiedzieć, że Buhlakow przedstawia uczciwego i przyzwoitego, ale średniego, nie stawiającego sobie wzniosłych pytań, człowieka, co nie jest całkiem zwyczajne dla „pożytecznych bohaterów” literatury rosyjskiej. Głównie interesuje go konkretna polityka chwili — stosunek do betmana, do Petluru, itd. Sam Buhlakow stwierdzał, że powieść napisana jest w tradycji tołstojowskiej. Chyba jedynie w zażartym rozważaniu szczegółów bieżącej polityki jego bohaterowie podobni są do tołstojowskich. Przy tym Aleksiej Turbin bardziej podobny jest do Mikolajza Rostowa niż do Pierre’a czy Andrzeja.

Ale tym prostym porównaniem z bohaterami Tołstoja nie wolno się zadowolić. Buhlakow stworzył własny sposób wzajemnego oddziaływania głównego bohatera i autora. Aktywny, osobisty ton autora jest tak

¹ Opublikowana we fragmentach w dodatku literackim gazety „Nakanunie” z 10 grudnia 1922 r.

silny w powieści, że czytelnik zmuszony jest szukać jakichś jeszcze bardziej namacalnych oznak jego obecności w tekście. I one są. Oto wysunięta na proscenium postać, tak jawnie bliska autorowi, nie tyle ulubiona, co jakby uszyta na jego miarę, za niego poruszająca się, naciągająca sznycel z pagonami lekarza, poskrzypująca walonkami na śniegu. Swego rodzaju marionetka autora bez jakiegokolwiek pejoratywnego znaczenia tego słowa, personifikacja autorskiego głosu, raz po raz słyszanego zza sceny. Autor daje bohaterowi tylko dwie dziedziny życia duchowego — wspomnienie (gimnazjum, młodość) i uczucie do Julii. Resztę pozostawia sobie — to oczywiście jemu, bo me Turbinowi, jego życiuowemu sobowótowi, śni się Naj-Turs i Zylin.

Sceny z Julią Reiss w redakcji z 1925 roku są tak napisane, jakby autor zmienił nagłe zarys wizerunku bohatera i sam tego nie zauważył. To nie jest tamten lub nie całkiem tamten Turbin, którego wyobraził sobie na podstawie poprzednich rozdziałów. Autor jakby zapomniał związać w całość tę mnogość i różnorodność wiedzy o swoim bohaterze. Miłosne sceny zdają się być punktami prostego przeniknięcia realnych, biograficznych detali bezpośrednio w tkanek powieści, są wzięcia twórczości (stworzonej już osobowości Turbina) z biografii twórcy.

Po męczeńskiej śmierci Aleksieja Turbina w *Dniach Turbinów* autor odczuł konieczność zmian w finale powieści. Pracując nad korektą usuwał teraz to, co osobiste, biograficzne i zbyt konkretne, zostawiając tylko kontur tej tak ważnej dla powieści osoby. Czynił ją coraz pełniejszą. W późniejszej redakcji, która autoryzowana przez autora ukazała się w 1929 roku w Paryżu za pośrednictwem agencji zarządu ochrony praw autorskich, W. I. Binsztoka i jest podstawą dzisiejszych wydań, stoi przed nami nie ten wahający się, rozmyślający, nieraz okazujący słabość lekarz, który jeszcze nie utracił więzy z doktorem Bakalejnikowem, lecz bohater z cechami pułkownika Małyszewa (lub pułkownika Turbina z *Dni Turbinów*). Na Turbina z powieści padł tragiczny odblask zagłady Turbina w sztuce. Uszlachetnili się i uwzniośliły oraz przybrały pewną becziesność jego związki z Julią Reiss. Zniknął bardzo ważny, niewątpliwie obliczony na rozwinięcie w następnych częściach powieści, detal — przestroch Julii po pytaniu, które zadał jej Turbin; strach przed jakąś bardziej poważną demaskacją niż przyłapanie na miłostkach. Mowa była o jej związkach z wrogiem Turbina w ówczesnej sytuacji politykiem Szpolańskim, mającym podwójną i potrójną rolę w grze, w której stawką jest ludzkie życie.

Podobnie powiązania Heleny z Szerwińskim rozwinięto są w ostatecznym tekście finału. (Tym razem w sztuce zachowała się wcześniejsza redakcja.) Nawet związki Myszajewskiego z Anią przybrały idylliczno-platoniczny charakter. Bohaterów sztuki, oszkolowanych i zniesławionych przez krytykę i gorąco przyjętych przez znaczną część widzów, autor nie poniżał i nie dyskredytował, a wręcz odwrotnie, wywyższał i umacniał w nowym finale powieści.

Tłumaczyła i opracowała Lidia Kiszcik

Artykuł ukazał się w miesięczniku „Nowyj Mir” 1987 nr 2 pod tytułem: *Michail Bulgakow: Głowa z romansu i piura*. Publikujemy go z nieznanymi skrótami

JANUSZ B. ROSZKOWSKI

Przy starej uliczce w Warnie

Do Sozopola pozostało jeszcze trzysta pięćdziesiąt kilometrów. W nocy spaliliśmy pięć kilometrów za Ruse, niedługo po minięciu granicy. Znowu pękt pasek klinowy, ostatni z tych, które kupiliśmy w Rumunii. Wezwaliśmy pomoc drogową, kazali nam czekać do rana. Rozbiliśmy namiot w polu obok restauracji, gdzie trzech muzykantów przygrywało jedzącym turystom. Muzyka była skoczna, więc goście poruszali zżawo nożami i widelcami, starając się nie wypaść z rytmu.

Rumunia pożełgała nas rozpalonym słońcem i polami słonecznikowymi, które płynęły jak żółta rzeka wzdłuż drogi. Jakies drugorzędne dopływy założyły się jeszcze w Bułgarii, póki nie wsiąkły w pola różane i winnice.

Znowu jedziemy. Paski, które sprzedał nam mechanik z pomocy drogowej, rozciągają się wkrótce po założeniu jak guma do żucia. Zujemy przekleństwa, ale jedziemy. W potnym upale i prawie cały czas pod górę. Volkswagen sapie, prycha, krztusi się. Powinniśmy stanąć pod jakimś cienistym drzewem i wychłodzić silnik, ale jedziemy. A do Warny jeszcze sto czterdzieści kilometrów.

Nagle śwąd i kłęby dymu wypełniają samochód. Asia zbiera kwiatki w przydrożnym rowie, podskakuje i śpiewa: pali się! pali się! Z otwartej maski silnika bucha ogień. Wyciągamy wszystkie szmaty spod siedzeń, próbujemy gasić. Nawet napój z termosu i wodę mineralną z półtoralitrowych butelek wylewamy na ogień. Nic nie pomaga. Nadjeżdża chłop. Chwyta za beczkę przytroczoną do boku furganki. Chłusta. Ogień gaśnie. Tlą się jeszcze przewody pod blachą. Furganka odjeżdża. Siadamy pod drzewem. Asia podbiega z kwiatkami i pyta ze łzami w oczach: „Po co tak szybko zgasiłicie?” Okazało się, że chciała podsunąć nad ogniem kwiatki do zielnika. Ojciec zwiesił głowę, spłuka na poparzone rękę, klinic i mówi, że to ta piekielna Cyganka, która stała ze złotym pierścieniem na drodze do Ruse, rzuciła urok na samochód. Chyba dlatego, że wyciągnąwszy rękę przez wywietrznik, usiłował ją złapać za pierś!

Przejeżdża jakiś volkswagen, kupujemy oryginalny pasek. Ojciec podśpiewuje, wyciąga zapasowe przewody, zdejmuje koło, ja czyszczę nadpalone wtyki, on to wszystko łączy. I jedziemy dalej. Początkowo wolno, bo ojciec wyciąga spod siedzenia butelkę koniaku i usiłuje splukać kurz z gardła. Potem szybciej. Coraz szybciej. Dziewięćdziesiąt-

ką. Setką. Asia zasypia mamrocząc: „Nawet jeśli nad tym morzem są tylko czarne muszki, to nie...”

— Stary, z tyłu coś dzwoni!

— To w uszach ci dzwoni!

Sto piętnaście kilometrów przed Warną — lomot, pasek pęka. Stajemy. Szlag ciemnieją.

— Szlag trafił trzy dolary! — jęczy ojciec. — Dlaczego nie kopnąłeś mnie w mózg?

Zjeżdżamy w bok. Na polu kukurydzy, w miejscu, gdzie nie wzeszła, rozbijam namiot. Śpiącą Asię przenoszę, przebieram. Ojciec też śpi — w samochodzie, z głową na kierownicy.

Budzę się o świcie. Namiot jest mokry od rosy. Ziemia spękana głęboko. Susza. W pobliżu jest potok. Zejście bardzo strome. Wzdłuż brzegu ogromne osty i jakies dziwaczne rośliny z długimi kockami. Na polnej drodze płonie ognisko, ojciec rozgrzewa i wykłepuje tę część prądnicy, na której obraca się pasek. Widząc mnie, niewyraźnie mamle wskazując palcem na usta:

— Zbudziłem się w nocy, bo przeziębłem do kości i byłem głodny. Po omacku wziąłem trochę mielonki z otwartej puszki, a w niej aż roilo się od mrówek — pogryzły mi cały język, podniebienie i żołądek!

W południe jesteśmy w Warnie. Dopiero jutro pojedziemy do Szopola. Kupujemy na bazarze morele i arbuzy. Ludzie tłoczą się przy stoiskach. Pomidory, ogórki, bakłażany, ziemniaki, kapusta. Kurczaki wyciągane drutami za nogi z klatek, wiązane w pęczki, głowami w dół, pakowane ciasno do bagażników. Oczy oszalałe ze strachu. Dzioby spazmatycznie otwierają się i zamykają.

Wchodzimy do cerkwi. Wnętrze mroczne, wypełnione migolliwymi plomykami świec i kaganków. Na posadzce stoją płytkie kadzide wypełnione piaskiem, w który wtyka się cienkie świeczki kupowane przy wejściu. Kaganki płoną przy ikonach, którymi obwieszono są całe ściany. Pop, w szatach kapiących od złota, stoi przed ołtarzem i intonuje modlitwę. Diak w czarnym stroju odpowiada mu głębokim basem. Młody mężczyzna leży krzyżem na kwadratowej poduszce przed ołtarzem, zaś kobieta, chyba jego żona, klęczy przed schodkami wiodącymi na ołtarz z rękoma wyciągniętymi do przodu. Pop potrząsa kadzidłem nad mężczyzną, który w tym czasie bije czołem o posadzkę.

Idziemy nad morze. Na niebie nie ma ani jednej chmurki. Gdzieś w pobliżu jest zegar z kurantem. Bardzo ładna melodia. Balkoniki toną w kwiatkach. Na kominach — mewy. Słyszymy dudnienie, jakby ktoś potrząsał monstrualnymi grzechotkami. Ale nic nie widać.

Na plaży tłok. Przechodzimy na lewo, gdzie skalisty brzeg opada stromo nad wodą. Wśród kamieni jakies przedziwne wąsate stwory z długimi nóżkami w wielobarwne prążki oraz kraby nawet niezbyt duże, ale z potężnymi szczypcami i nóżkami zakończonymi ostrymi pazurkami. Dalej od brzegu, na głębokości dwóch-trzech metrów, podwodny prąd faluje krabami, raczkami-pustelnikami, omulkami. Niektóre z nich



SADURSKI

są porośnięte zieloną trawką, która też faluje. Ryby śmigają na wszystkie strony. Asia krzyczy z brzegu. Zawracam.

Mówi, że nie może leżeć, bo porusza się pod nią piasek, i że to na pewno kret. W miejscu, gdzie leżała, coś ucieka pod piaskiem, który na powierzchni wybrusza się, pęka. Rozgarniam go ręką — ukazuje się jakiś potworny żuk, nie-żuk, mający z siedem centymetrów długości. Wrzucam go do morza. Zmaga się z falami — wrzeszczę udaje mu się wygramolić na brzeg. Tam dopadają go dzieci i zabijają kamieniem.

Łazimy po brzegu, rozgarniając wodorosty. Zbieramy muszle i szczypcy martwych krabów, z których Asia chce sobie zrobić naszyjnik. Chłopcy, tak opaleni, iż wydaje się, że skórę na plecach mają posypaną sadzą zmieszaną z popiołem, opasują ciasnym kręgiem niewielkie ognisko. Jeden z nich wymachuje do nas rękami. „Gut!” wrzeszczy i wypcha nam do ust pieczone omulki. Ojciec siedzi na kamieniu i moczy sobie w wodzie odciski.

W nadmorskim akwarium tysiące muszli — od najdrobniejszych do ogromnych — o kształtach najbardziej wymyślnych, a barwach o, Boże! — te wszystkie złocistości, różowości, paski, prążki, kolory najwyższokanłże: te wszystkie stwory podwodne — homary, langusty z potężnymi szczypcami, kraby, krewetki; te wszystkie ryby, nie-ryby: diabeł morski, morski kot, morski wilk, z kolecami, wąsami i Bóg wie czym jeszcze, bruchate lub płaskie, sunące niepostrzeżenie po dnie — bo jeśli dno piaszczyste, to one jak z piasku, a jeśli żwirowe, to one jak ze żwirku; wszystko to mieni się w oczach, drga, pulsuje w ciągłej przemienności form, w niepojętym rytmie życia, które przecież poczęło się w wodzie...

Jakaś mama mówi do dziecka, że w Warnie jest mini-zoo, więc Asia upiera się, żeby tam pójść. „Narysuj ci wielbłąda trzygarbnego” szepce. Idziemy. Trochę płaćwa, gryzoni, jeleni, niedźwiedzi brunatnych; śpiący lew, któremu unosi się brzuch; leopard, któremu spada na głowę gruszka z drzewa rosnącego przy klatce; wilk, któremu jakiś chłopiec wkłada gałąź do ucha.

W parku czarnomorskim mnóstwo pomników po obu stronach alei. U wylotu ulic, które mijamy, stoją popiersia wąsatych Bułgarów; widać, że walecznych i zasłużonych. Spada przelotny deszczyk, nieco się ochładza. I znowu to dudnienie, które słyszeliśmy idąc od cerkwi w kierunku morza. Zbliża się. Ludzie krzyczą: „Kukierii! Kukierii!” Całą szerokością ulicy biegają jakieś dzwonne stwory; ubrane są w brązowe spodnie z nie strzyżonego futra baraniego; z ramion zwieszają się wysokie spiczaste czapy, a wokół bioder podrygują mosiężne grzechotki, grzechoty. Dołączamy do korowodu — biegniemy, podskakujemy w takt tego piekielnego rytmu...

Jesteśmy oszolomieni. Za dużo wrażeń jak na jedno popołudnie. Zaczyna się zmierzchać. Chcemy coś zjeść, ale w barze naprzeciw dworca tylko lby baranie na półmiskach: nagie czerepy, wyszczerzone zęby, wybaluszone ślepia...

Pytamy o drogę do kołchozowego bazaru. Tam gdzieś na tyłach będziemy nocowali. Błądźmy po starych, bajecznych uliczkach. Małe domki kryte dachówką, która często się łuszczy, nawarstwia na dachach, kojarzą się Asi z domkami Baby Jagi; podwóreczka jeszcze mniejsze — na nich stoly, wokół nich ludzie, którzy piją, jedzą, krzyczą, rozbrzmiewa muzyka...

Wreszcie znajdujemy naszych gospodarzy, którzy też siedzą przy stole. I my zasiadamy — podają nam salatkę z ogórków i pomidorów z dodatkiem oliwy i rozcieńczonego octu, oraz trojańska śliwowiec. Przychodzą inni goście, siadają, piją, krzyczą. Porozumiewamy się po rosyjsku, polsku, bułgarsku i na migi. Niektórzy pogryzają do wódki małą zieloną paprykę, która pali jak ogień piekielny.

Podwóreczko jest rodzajem altany. Rozciągają się nad nim druty, z których zwieszają się winorośla. Światło prześwieca przez liście, podświetla zielonkawę grona. Macedońska muzyka o jednostajnym drażniącym rytmie wybucha z okna sypialni.

— Ech, żyć tutaj, nie umierać! — bełkotce ojciec, całuje Bułgarki po kolanach i ramionach, wygaduje potworne świństwa. Próbuje go uspokoić. Gospodarz macha ręką.

— Pozwól mu gadać, tylko to mu zostało, jest stary...

Asia bawi się z dziećmi gospodarzy na ulicy. Przerzuca przez plot piłkę, która spada na stół, rozbija kieliszki. Zrywam się od stołu. Gospodarz wstrzymuje mnie ruchem ręki.

— To głupstwo — mówi — to jest dziecko, nic się nie stało...

Gospodynii bez słowa zmienia obrus i stawia nowe nakrycia.

„Co za wspaniali ludzie — myślę. — Jacy wyrozumiali, dobrzy! I potrafią się cieszyć byle czym — samym życiem...” Podwóreczko wiruje jak zaczarowana karuzela. W winoroślach migoczą gwiazdy.

Siedzimy sobie tak przy stole — jemy, pijemy, pokrzykujemy, słuchamy muzyki. Dzieci też są z nami. Jeżdżą na rowerkach między stolikami, kopią piłkę.

Mały kotek przechodzi pod furtką. Stoi na podwórku, mruży ślepia i oblizuje językiem pyszczek. Miauczy, jakby prosił o odrobinę mięka.

Jest bury, puszysty, a oczy ma jeszcze dziecinne, niebieskie. Asia podbiega, żeby go pogłaskać.

Rozpiera mnie uczucie spokoju i szczęścia, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznałem. Te winorośla nad nami, w których migoczą gwiazdy, ci wspaniali ludzie wokół mnie, w których jest tyle prostoty i mądrości! W pewnym momencie zamykam oczy, bo aż mnie coś dławi w gardle, boję się, że zacznę krzyczeć!

Ale krzyczy gospodarz. Zrywa się od stołu, kopie i wypędza kotka. Siedzę jak oszupala. Asia też zneruchomiała, pochylona, z uniesioną ręką. Gospodarz wraca na miejsce i widzę z przerażeniem, że kotek też wraca. Znow stoi na podwórku, mruży ślepia i potrząsa lebkim, jakby nie rozumiał, co się dzieje. Gospodarz odwraca się, wybalusza galy i siny z wściekłości wybiega za nim za furtkę, łapiąc po drodze za łopatę. Słyszę wrzask ojca: „Ubij tego swoloczka, ubij!” i kilka głuchych uderzeń, a potem zgrzyt łopaty.

— Co się stało z kotkiem? — pyta Asia: jest błada, ale uśmiecha się jakby z niedowierzaniem. — On tu przyjdzie, prawda? On na pewno przyjdzie w nocy, a rano się z nim pobawię.

Gospodarz wraca z łopatą. Stawia ją przy ścianie. Siada przy stole. Jak gdyby nigdy nic. Pokręca wass, wyciera usta wierzchem dłoni, pochyla się nad talerzem, młascze. A ja jestem jak sparaliżowany. Tylko moje oczy mogą się poruszać. Przesuwają się po izarach, z których powoli znika wyraz twardości i okrucieństwa. Znowu zwieszają się łagodnie nad stołem. Nad jadem i napitkami.

Gospodynii idzie z Asią do łazienki, myje jej głowę, otula ręcznikiem, całuje, kładzie do łóżka. Potem to samo robi z własnymi dziećmi. Goście zaczynają się rozchodzić. Wszyscy ściskają mi serdecznie ręce, życzą dobrej nocy. Ojciec z gospodarzem obejmują się i płaczą z rozrzewnienia.

Wychodzę na ulicę. Na płycie chodnika, niedaleko furtki, widnieje wglębienie od uderzeń łopatą i ślady czerniejącej w mroku krwi.

Majówka

— Kto teraz wie, co to majówka? Za moich kawalerskich czasów, jak tylko wiosną słońceczko przygrzało i na drzewach pojawiły się pierwsze listki, ruszało się za miasto. Byłe za rogatki, na łąkę czy do lasku! Brało się walówkę, z litr gorzality i obowiązkowo harmoszkę.

Raz, dwa chłopci,
raz, dwa w haj,
raz, dwa, raz, dwa,
bo wże maj,
Raz, dwa, raz, dwa steżeczku,
to dolinu, to horu...

Braliśmy się pod ręce i idąc gościncem wydzieraliśmy się tak, że nawet w najdalszych opłotkach było nas słychać! Cała kawalerka ruszała lawą. I cała młodzież żeńska — wszystkie te diwki jak pszeniczne tisto. Nie

dziwki, bo to nie były dziwki, ale diwki — dziewczyny! Ciało takiej, gdy szła, przelewało się w sukni jak ciasto rozczynione w wielkiej dzięży. I rosło w rękach! Ech, synku, to były majówki! A na łące albo na polance leśnej — tańce. Przy harmoszce. A gdy nie było harmoszki, to choćby przy harmonijce usnej. Do późnego wieczora. A potem rozpalano się ognisko. I skoki, i śmiechy, i śpiewy! Kto teraz potrafi się śmiać? Albo śpiewać? Chyba że wariat, albo diak w cerkwi! Ludzie nie mają w sobie za grosz tej radości, jaką mieli kiedyś!

— Komu teraz do śmiechu?

— A czy ty myślisz, że wtedy były czasy wesela? Nie, synku, nie w tym rzecz. Prawo do radości ma najbiedniejszy z biednych. Była ją w sobie czuł. Byłe słońeczko przygrzało. Byłe mógł ruszyć za rogatki — na majówkę!

— Teraz nawet pogoda niezbyt majowa, a do rogatek daleko...

— Dupy ci się nie chce dźwignąć ze stolka, ot cała prawda! Bo jak usiądziesz, synku, pod krzaczkiem i posłuchasz piaszącego śpiewu albo szumu listków na drzewie, to poczujesz w sobie taką radość, że będzie ci się chciało śpiewać, i śmiać się, i tańczyć!

— Z tobą?

— A czemu by nie? Chodź no, pokażę ci, jak się u nas tańczyło! Nie tak, ta nóżka tu, a ta tu, o, teraz dobrze!

— Stary, puść mnie, już nie mogę!

— A teraz obróć! I parę hołubców! Maj zawsze wzburza we mnie krew. Nawet wódki nie muszę pić. Coś mnie ponosi. I chałupa jakby za ciasna! Wiesz co? Ania zabierze Bartka i Tomka, a ty weź Asię i pójdziemy gościć. Trzymając się pod ręce...

— Daleko byśmy nie zaszli!

— Niby jesteś poetą, a na metaforach się nie znasz! Wyszukiwałem na drogę wanderera. Grat, bo grat, ale jeszcze na chodzie. W sam raz na majówkę! Bo wanderer znaczy wędrowiec...

— Jedziemy do Zalesia. Górnego, nie Dolnego, bo w Dolnym żaby pieprzą się z zaskrońcami. Cicho, wnuczeta, nie słuchać! Jest tam kawałek lasu i wody. Właśnie tego nam trzeba. Byłem tam zaraz po wojnie, gdy jeździło się na taryfie. Też wandererem, ale innym. Pewna dama każała się tam zawieźć. Ulica Koralowych Dębów. Pamiętam jak dziś. Przedwojenna pułkownikowa, bracie! W futrze, jak trzeba! A ja w podniszczonej jesionce, przybrudzonej jak trzeba, i w kaszkiecie na głowie! Para jak z zegara! Cha, cha! Pani pułkownikowa podmieszkiwała u siostry, bo dom się w Warszawie spalił, a mąż został w Londynie. Oj, bracie! Wierciła się, a wdychała, a oczętami słodko przewracała, a ja nic. Jadę. Bo wstyd mi było. Gdzie ja do takiej? Zajeżdżamy, a ona w słocho. Że samotna, że nie ma bratniej duszy i takie tam dyrdymały. Ja, w tej jesionce, jako bratnia dusza, he, he! „Nie mogę — mówię — żona czeka na mnie z kolacją...” A ona bach! przytula się do mnie. Patrzę, policzek wsparła o płamę po towocie i tży roni, a zapach, bracie, jak u tej mojej dziadziuki na dworze! Perfumy „Soir de Paris”, czyli po naszymu: „Sra dupa ryża!” Wnuczeta, wtulicie uszy w kołnierz! Ech,



bracie! Drzy cała, gorąc od niej bije, jeszcze trochę, a zaczniesz dymić, bo czuję, że kominów to już dawno nikt jej nie przyczyszczał! I na herbatkę prosz. Ładna herbatka! No cóż, polazłem... Dywany, jak trzeba. I żyrandole. A na stole zastawa srebrna. Zaraz po wojnie, bracie! Łażę ja po tych dywanach, gapię się na żyrandole — nadal w tej jesionce i kaszkiecie. Bo zimno było. Zresztą, pod jesionką też nie lepiej! Porwany blezer spięty agrafkami i koszula nie prana z rok! A pod kaszkietem? Więcej lupieżu, niż włosów! Łapy chowam grzecznie za siebie, bo przed kursem do Zalesia koło zmieniałem. A ona nic. Biega po mieszkaniu jak szczygiełek, czajnik nastawia, ogień w kominu rozpała, popatruje na mnie miłośnie i wypiewuje coś po francusku! Czy ty coś, bracie, z tego rozumiesz? Przyjmuje mnie, jakbym był udzielnym księciem, a nie ostatnim lachmytą w brudnej jesionce i wytłuszczonym kaszkiecie! A może po prostu tłoki jej się zatarły i chciała, żeby ją

naoliwić? Z kobietami, bracie, nigdy nic nie wiadomo... Nie słuchajcie, wnuczka, bo uszy wam zwędną! A jak już przyszło co do czego i chciałem chociaż podmyć się trochę — to ona w krzyk! Ze zapach benzyny lubi. I potu. Nawet skarpet nie zdejmowałem! Tak to było, synku, w tym Zalesiu...

W Zalesiu zabawiliśmy niezbyt długo. Zaledwie rozgościłiśmy się na leśnej polance i zaczęliśmy rozpałać ognisko, pojawiło się dwóch ormowców. Zdusili ogień, wlepili nam mandat i kazali się co rychlej wynosić! Nad stawami też nie było lepiej. Jak spod ziemi wyrósł strażnik z psem, kiedy ojciec wziął kawałek drutu i usiłował przyciągnąć do brzegu wodną pałkę! Tym razem obyło się bez mandatu, ale musieliśmy związać manatki! Przenikliwy wiatr i deszcz, który nagle lunął, dopełnili reszty. Dobrześmy jakoś do samochodu, trzęsąc się z zimna. Ojciec długo nie mógł zapuścić silnika. Wreszcie ruszyliśmy.

— Niezła majówka!

— Nie przejmuj się, synku! Wszystko jeszcze przed nami. Z wandererem możemy przewędrować cały świat!

Wędrowali rypcium-pypcium
i śpiewali rypcium-pypcium,
nie mieli pieniędzy
ale mieli czas...

— A co będzie, jak dzieci się rozchorują? Już zaczynają kaszleć...

— Wnuczka, uszy do góry! Wasz dziadek, jak zarwała się pod nim kra na Prucie i wpadł do lodowatej wody, to pobiegł w te pędy do domu. I tak się rozgrzał tym biegiem, że nawet kataru nie dostał!

Wędrowali rypcium-pypcium
i śpiewali rypcium-pypcium...

W samochodzie zrobili się nagle weselo. Najpierw zawtórowała dziadkowi Asia, potem Bartek, a na końcu Tomek. Nawet Ania próbowała śpiewać, chociaż bolał ją ząb. Patrzyłem na ojca i nie mogłem wyjść z podziwu.

— Ale ty masz humor!

— Bo grunt to dobry humor i ręce na kierownicy!

Patrzę: ojciec krzyczy, trzymając urwaną kierownicę w rękach, a samochód pędzi prosto na drzewo, podskakuje w ostatniej chwili na wyboju, skręca i wpada obok, do rowu! Leżymy na dachu. Oniemiali ze strachu. Cisza. Deszcz przestał padać. Ptaszki śpiewają. Listki szumią na drzewie. Istna majówka!

Janusz B. Roszkowski

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI

Zapamiętaj

Zapamiętaj tę chwilę
w której mogłeś zapytać: jak
zacząć dzień W niej
tak wiele się stało — przesunął granicę
niosącego cię nurtu Wstawiłeś wiosło
w toń aby zmierzać
ku niezmiernemu

Natura

Natura wzywająca na sąd — przepiętny
sąd zrównania
pod powieką jaszczurki w bagnie
wśród jamistych bulgotów
na ziemi pod ziemią w powietrzu
to co sądzące poprzetrastane sądzonym
Tylko on — wewnątrz
cały z trzewi zająca jeża oraz snów
usiłuje rozpoznać swe ciemności: zawiązuje
rozdzwaja mnoży przez nieznanne
otacza kamiennym kręgiem oznacza
krzyżem albo łzą
jakby święte było światło bólu
w którym ginie
w którym się narodził

* * *

Gubisz się między „zastalem”
a „wybrałem” — gdy w pamięci
odtwarzasz swój początek:
daleką drogę ojca — przez lagry
i to samo wymuszone posłuszeństwo
— przez strach

Gdzie odpoczywamy

Gdzie odpoczywamy? W tradycji
w łagodnym blasku menuetów Mozarta
na wygnaniu gdzie już nikt ani nie
nie zdola przekonać nas do tyranii
w deszczu który spada
na ostatnich kartach „Pana Tadeusza”
Ale także: w rozpaczach jakże nie naszych
w zapomnieniu tych którym cokolwiek winniśmy:
prawdę o sobie uchylone słowo pożyczony zegarek
w spojrzeniu Niewiadomego
kiedy wzywa na jeszcze niewiedzialny sąd
w tym że to wszystko
zamienione w pył albo daremność
i że być może przyjdzie jakieś światło
z tylu wieków wymodlonej cierpliwości.

Malarstwo

Zdzisławowi Kałkiewiczowi

To tylko pewność ręki
wydobytą z materii światło: malarstwo
niebezpieczna granica między pięknem
a światem — może tyle:
obudzenie ciszą jak u Pennacchiego
aniol zwiastujący
bezszelestną jasnością
albo Cezanne — najtrudniejsza
złożoność prostoty Nad nią
lata Długie lata zrywania
nakładania farby
aby pod koniec stanąwszy przed obrazem zwanym
„dzieło życia” powiedzieć: światło
jest tam —
dalej

Grudzień

Pochowani nocą w płytych dolach sumienia
podnoszą się na lokach pod ciężarem darni
mówią słowami których nie chcemy zrozumieć
świadkowie naszej wielokrotnej śmierci

W drodze

Codzienny upór
wspomagany miłością
i powietrzem

Miara w rozpaczy
— coś co ciągle
każe nam wracać do klasyków

Ślepy Edyp odgarnia śnieg z kamienia
i odstawiwszy kostur
siada
rozcierając przemarzłe stopy

Przeznaczenie — szepcze
przychodzi z najmniej
spodziewanej strony

Patrzy na dziecko
z trudem
wciągające sanki pod górę

Tylko przez miłość — dodaje
świat
nie może się skończyć

Kazimierz Nowosielski

„Biblioteka Poetów” LSW — warunki prenumeraty

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza uprzejmie zawiadamia wszystkich sympatyków poezji, że przyjmowane są zamówienia na prenumeratę „Biblioteki Poetów” na rok 1988. Tomiki ukazujące się w serii „Biblioteka Poetów” zawierają wybrane utwory pretenzjonalnego artysty oraz obszerny wstęp omawiający przedstawiona twórczość i notę biograficzną autora.

W roku 1988 ukaza się m.in. wybory wierszy I. Bumina, G. Ekelófa, S. Grochowiaka, B. Lelemana, S. Plath, E. Siońskiego i antologia klasycznej poezji arabskiej.

Seria „Biblioteka Poetów” rozprowadzana jest wyłącznie drogą prenumeraty. Opłata roczna wynosi 1640 złotych (cena za jeden tomik 140 zł). Zamówienia przyjmuje i kwatki wysyła Poczta Polska, Biuro Wydawnictwa, ul. Nowolipie 4, skr. pocz. 1003, 00-950 Warszawa, konto PKO — VIII O, Warszawa, numer 1586-64.

Na blankiecie pocztowym należy zaznaczyć, że wpłata dotyczy „Biblioteki Poetów”. Dokonanie wpłaty jest równoznaczne z zaprenumerowaniem „Biblioteki Poetów” i przysąpieniem do Klubu Poetyckiego.

Zarząd LSW

TADEUSZ KŁAK

Legenda Kazimierza w twórczości Marii Kuncewiczowej

Dla Marii Kuncewiczowej przygoda z Kazimierzem Dolnym zaczęła się w 1927 roku. Kiedy po raz pierwszy przybyła tu autorka *Twarzy mężczyzny i Przymierza z dzieckiem*, nie zdawała sobie zapewne sprawy, czym to miejsce stanie się dla niej i dla jej twórczości. Z perspektywy sześćdziesięciu lat Kazimierz ukazuje się jako ważny składnik jej ludzkiej i pisarskiej biografii, urosł też do jednego z istotniejszych motywów jej artystycznego, esejistycznego i wspomnieniowego pisarstwa.

Kazimierz z lat dwudziestych był, by strawestować słowa Czechowicza o Lublinie, miastem legend. Legend o królu Kazimierzu, dobroczyncy miasta, o złotych czasach renesansowego grodu, historii o bogactwach tutejszego patrycjatu oraz opowieści żydowskiej biedoty o jaśniejszych momentach przeszłych dziejów. Blaski legendy blaski jednak w zestawieniu z rzeczywistym obrazem Kazimierza. Świątynie ocalałych zabytków architektury nie była w stanie przetrwać współczesnej nędzy miasta i jego mieszkanców. *Miasto legend i ruin*¹ — taki właśnie był tytuł reportażu Tadeusza Hollendra z 1936 roku, poświęconego Kazimierzowi nad Wisłą.

Legenda miała jednak właściwości odradzające, a stało się to przede wszystkim za sprawą artystów². Rysował i malował zabytki architektury oraz krajobrazy Kazimierza Zygmunt Vogel, a po nim czynili to tacy artyści jak Jan Feliks Piwarski, Wojciech Gerson, a przede wszystkim Michał Elwiro Andriolli. Przed pierwszą wojną światową malowali to miasto Józef Pankiewicz i uczniowie Słewńskiego, którzy przyjeżdżali do Kazimierza na plenery. Mieszkańcy tu i pracujący przez pewien czas Jan Koszycki-Wilkiewicz starał się przywrócić świątynię ocalałym zabytkom kazimierskiej architektury. Dzieło jego kontynuował architekt i malarz, Karol Siciński.

Artystyczny wątek legendy Kazimierza utrwalił na dobre Tadeusz Pruszkowski i jego szkoła malarska. Rektor warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych znalazł tu dla swoich podopiecznych klimat artystyczny, jak i niewyczerpany zasób tematów malarskich. Kierunek reprezentowany przez Pruszkowskiego cenil jeszcze rodzajowość w sztuce, temat odgrywał więc bardzo ważną rolę. Przywiązywał on też wagę do rodzimości motywów. Kazimierz był więc dla malarzy o takich nastawieniach miejscem wymarzonym. Wszak o tym mieście pisał Kuncewiczowa, iż „posiada wszystkie cechy reprezentacyjnej polskiego krajobrazu i wszystkie uroki dawności” (OP, 93)³.

Miał więc Kazimierz legendę historyczną i artystyczną, brakowało mu jeszcze legendy literackiej. Otrzymał ją w dużej mierze z rąk Marii Kuncewiczowej.

Wprowadzając Kazimierz do swoich utworów miała pisarka do wyboru w zasadzie dwie drogi. Mogła zgodzić się na przyjęcie tradycji jako nadrzędnej wartości i ukazać to miasto od strony jego malowniczości historycznej i krajobrazowej, dać więc ostatecznie utwory, które by ową tradycję konserwowały i przedłużały. Mogła też — i to było drugie wyjście — uczynić przedmiotem swojej pisarskiej drogi Kazimierz współczesny. Kuncewiczowa zdecydowała się na drugi z tych rozwiązań. Świadczyły o tym *Dwa księżycy*, tom opowiadań wydany w 1933 r.

Wybór ten nie przesądzał zresztą wszystkiego. Zależało to bowiem od tego, jaki autorka przyjmie punkci obserwacyjny, kim uczyni narratora swoich utworów. Inaczej będzie wszak wyglądał obraz rzeczywistości ujętej z punktu widzenia narratora ustykuwanego tutaj na stałe, inaczej wówczas, gdy będzie on człowiekiem z zewnątrz. Wiadomo, iż pisarz może zmieniać perspektywy narracyjne, ale przecież da się wyodrębnić zasadniczy punkt widzenia i centrum obserwacyjne osoby opowiadającej. Oto fragment opisu z tytułowego opowiadania, umieszczonego na czołowym miejscu całego zbioru

Dzień leini, zanim uładził się na sen, musiał dobrze przystygnąć z potu, z harówki, z pospiechów. Kobiety musiały poprać szmaty, pomyć naczynia, których zaniedbały dla pracy w polu albo dla jakich innych pilnych posług; mężczyźni musieli najęść się, nastękać; nakurzyć papierosów, naurągać wszystkiemu. Dzieciaki chciały podokazywać w ciemności (DK, 12-13).

Ten sposób opowiadania zdaje się sugerować, iż przyjęty został punkt widzenia człowieka stąd, doskonale zorientowanego w rzeczywistości, w której żyją tutejsi bohaterowie. Narrator, uwzględniając lokalną perspektywę, zdaje się przeznaczać swoje opowiadanie dla odbiorcy doskonale znającego miejscowe realia. Bohaterowie tacy jak Mistig, Agata czy Franciszka pojawiają się bez specjalnego wprowadzenia, nie potrzebują osobnej prezentacji poza przytoczeniem informacji niezbędnych, będących raczej przypomnieniem cechy integralnie związanej w świadomości powszechniej z daną osobą (Kupiec Mistig, ślepy Michał, Agata Zebraćka). Powiadać to przytoczone w toku narracji dialog dwojga bohaterów — Franciszkowej i jej męża, którzy znaleźli się w polu widzenia opowiadającego:

— Co to? Kto tam tak lata po dworzu?

Uniosł głowę z kracisztej poduszki, posłuchał chwilę, wreszcie mruknął:

— A to... te tam... nocne Marki (DK, 14).

Po przytoczonej rozmowie pojawiła się dalsza część opowieści, będąca wyrazistym potwierdzeniem wybranego pisarskiego rozwiązania. Centrum obserwacyjne zostało to samo, ale uwaga skupiona została na świecie zewnętrznym, i to w podwójnym znaczeniu. Mówi się bowiem o tym, co dzieje się poza obrębem zamkniętych przestrzeni domów i mieszkań, i o tym, co dotyczy ludzi z zewnątrz. Narrator w tym miejscu przyjmuje całkowicie optykę miejscowych bohaterów, co zostało mocno podkreślone stylizacyjnym nacechowaniem narracji, opartym na parale-

Dwa księżycy, Warszawa 1960 (wyd. I 1933) = DK
Dni poniedziałkowe paniurowi Kowalskich, Wyd. II poszerzone, Warszawa 1984 = DP
Fantazy, Warszawa 1971 = F
Kłucze, Warszawa 1964, Wyd. IV = K
Natura, Warszawa 1975 = N
Odkrycie Pansamu, Warszawa 1983 = OP
Zmowa nieobecnych, Warszawa 1978, Wyd. III = ZN

¹ T. Hollender: *Kazimierz, miasto ruin i dziwnych ludzi*, „Nowe Czasy” 1935, nr 18.

² Całokształt ujęcia tradycji artystycznych Kazimierza Dolnego przynosi książka I. J. Kamińskiego *Kazimierz nad Wisłą. Miasto i ludzie*, Warszawa 1983, s. 12.

³ Przywołana z książki Kuncewiczowej nie są cytowane przypisy, lecz podaje się cytatach skrót tytułu oraz odpowiednie strony według następujących wydań:

lizmach i powtórzeniach oraz na graficznym wyodrębnieniu zaimka „oni”. Spojrzenie narratora, niby oko kamery, idzie za bohaterami, śledzi ich, daje zbliżenia, gdyż po każdym z przytoczonych zdań pojawia się dynamiczny opis czynności i zachowań bohaterów oraz najistotniejsze fragmenty prowadzonych przez bohaterów rozmów. Technika te można uznać za odpowiednik „podglądania” okiem miejscowego obserwatora zachowań gości. Dzieje się tak przez chwilę tylko, w obrębie dialogów postaci określonych poprzednio jako „oni” perspektywa ulega całkowitemu odwróceniu. *Dwa księżyce* zamyka bowiem następująca rozmowa:

Mena odezwała się:

— *Księżyc był czerwony, kiedy tamci ludzie szli spać... Teraz jest biały. Zupełnie inny. Czy też tamci ludzie wiedzą, jak wygląda biały księżyc?*

Jeremi odpowiedział:

— *Może w ogóle są dwa księżyce... Jeden dla tamtych ludzi, drugi — tylko dla nas (DK, 16).*

W tym momencie „oni” to „tamci” z miasteczka, przeciwstawieni „nam”, czyli ludziom będącym tu i teraz.

Narrator gra więc świadomie zmianą punktów widzenia, by uwytknić dwóistą strukturę ukazywanej rzeczywistości — wewnętrzne zróżnicowanie świata bohaterów, któremu odpowiada modyfikacja pejzażu, sygnalizowana w tytule czołowego opowiadania i całego zbioru. „My” i „oni”, „oni” i „my”, takie są zasadnicze elementy społecznej struktury *Dwóch księżyców*.

Narrator, przyjmując punkt widzenia „tych”, nie utożsamiał się więc całkowicie z lokalną społecznością. Widać to w takich fragmentach narracji, gdzie dochodzi do głosu jego wiedza artysty czy historyka sztuki raczej niż zwykłego człowieka. Oto przykłady:

Wąwóz z obu stron zróżniły z burcząną wyglądał jak dekoracja z Wagnerowskiej opery (DK, 14).

Mena oparła rudowłosą głowę o drewno (krzyża — dop. T. K.) niezim Magdalena.

dziwne, Bregułwskie życie miasteczka (DK, 85).

W każdym z opowiadań narrator nieco inaczej się więc zachowuje, zbliża niejako swoje stanowisko do pozycji ludzi i środowisk, o których opowiada. Jeśli natomiast w którymś z utworów spotykają się różne sfery (np. ludzie miejscowi i przybysze z zewnątrz), narrator zmienia i dostosowuje za każdym razem swój punkt widzenia do przedmiotu opowieści.

Najczęściej jednak narrator Kuncewiczowej zajmuje stanowisko bliskie ludziom „stad”. Widoczne jest to w sposobie opowiadania, w wyborze elementów świata przedstawionego, a nawet w wartościowaniu rzeczywistości. Życie społeczności miejscowej wydaje mu się bardziej rzeczywiste i prawdziwe, naturalne i z naturą związane. Tak to nawet widzą ludzie przebywający tylko przelotnie w miasteczku, jak w tym fragmencie narracji: *maister Sowa kułyka — teraz doptero — z budowy. Pytkowska, jak nietoperz, przeleciała miękko (DK, 196)*⁴. Uwaga narratora skupia się na ogół na ludziach zwykłych, niepozornych, na ich niedzy i monotonności życia.

Zamiast „polocznego”, „normalnego” widzenia bohaterów, stara się Kuncewiczowa — okiem narratora — wywyżżyć to, co upadłe, dostarczyć sprawy i sprawy zlekceważone. W tym postępowaniu pisarskim autorka *Dwóch księżyców* zbliża się do tej postawy i techniki ukazywania świata: jaką posłużyła się Maria Dąbrowska w *Ludziach stamiąd*.

⁴ Jeśli nie zaznaczono inaczej, wyróżnienia spacją w cytatach z książek Kuncewiczowej pochodzą od autora sztuki.

W niektórych opowiadaniach zagęszczenie ciemnych barw rzeczywistości jest szczególnie mocne. Utwory o tej tonacji pisane są w poetyce obrazka rodzajowego i to nie tyle w realistycznej, co w naturalistycznej wersji. Narrator ukazuje dno egzystencji ludzkiej, posługując się wielkim zbliżeniem ujęć. Wybiera i akcentuje motywy „niskie” (gnój, rynsztoki, zaniedbane podwórza), wprowadza nacechowane gwarowo przytoczenia wypowiedzi bohaterów, a i same wypowiedzi narratora „zmijają się” jakby i zbliżają swoją tonacją do języka przedstawianych postaci. Posługują się więc kolokwializmami, zgrubieniami i potocznością. Często narracja tego rodzaju przynika się z mową pozornie zależną, jak w tym fragmencie opowiadania *Jest w domu*.

Józefowa ciasno upina warkocz. Robota — jak stonoga — mrowi się i prosi, żeby ją ubić. Józefowa sięgnęła po szczytkę — podłogę przy pogodnym dniu uszorew. Ług odstawiony z blachy, ogień jeszcze nie zagasł. Wartaloby żelazko ugrzać, przy jednym koscie palto chłopca przeciągnąć. Ług dymi... Dobra jest: zanim się żelazko naladzi, won stółki! Spódnica za pas... Domocela wrzeszczy (DK, 43).

Niektóre z opowiadań *Dwóch księżyców* zbliżone są swoją poetyką i wymową do *Dziwicy* z *Noweli* Kuncewiczowej. Są nawet zbieżności natury socjologicznej. Świat malomiasteczkowych przedmieść nie odbiega zbyt daleko od lumpenproletariackich, peryferyjnych środowisk używanych przez Gojawińską. A przy tym u obu pisarek bohaterami opowiadań są przede wszystkim kobiety, zaś analiza postaci narratora pozwoliłaby wykazać, iż narrator ten posługuje się również kobiecymi oczami.

Kuncewiczowa świadomie i jakby przekornie starała się zaproponować inne spojrzenie na Kazimierz. Trzeba się tu zastrzec, iż w *Dwóch księżycach* nazwa tego miasta w ogóle się nie pojawia, a miana okolicznych miejscowości zostały zamienione na fikcyjne. Podobnie zresztą postępowała autorka wobec bohaterów opowiadań, starając się o takie ich kształtowanie, by nie można ich było utożsamiać z realnymi pierwowzorami. Pisarka zrezygnowała więc z opisywania ponadczasowych uroków miasta i cudów jego architektury, odsunęła też na dalszy plan „wyższe” sfery Kazimierza. Ukazała natomiast jego rejony „niskie”. Zrealizowana wizja Kuncewiczowej przeciwstawiała się więc istniejącej i podtrzymywanej legendzie Kazimierza, była pośrednią polemiką z jej wersją stereotypową i brązowniczą, jaka o tym mieście ukształtowała się w potocznej świadomości.

Kuncewiczowa ukazała w artystycznym przetworzeniu przede wszystkim ten odcinek czasu, który określić by można jako „sezon w Kazimierzu”. Wskazuje na to zresztą i kompozycja *Dwóch księżyców*. W pierwszym opowiadaniu zbioru przedstawiona została wcześniejsza faza sezonu letniego, w jego pełni, natomiast zamykające tom *Kłamstwo* niemal symbolicznie zawiera scenę pożegnania z nadwiślańskim miastem, urządzonego przez Iżę, a zaaranżowanego przez Menę. Dwa te opowiadania tworzą ramę sytuacyjną całości i jeszcze mocniej wskazują na całościowy charakter obrazu miasteczka oraz na kompozycyjną spójność zbioru. Te ostatnią podkreśla także powtarzalność osób i nawiązywanie w jednych opowiadaniach do zdarzeń z innych.

Opowiadając o wakacyjnym życiu artystów w nadwiślańskim miasteczku narrator wyraża swoje stanowisko. Jak już zasygnalizowano wcześniej, staje się on w tym momencie człowiekiem tej samej rzeczy, wyposażonym w odpowiednie kompetencje. Wypowiada się ze swobodą i znanstwem o sprawach sztuki i życia artystów, a choć nie

⁵ To wskazywałoby na spoglądanie na miasteczko oczami z zewnątrz. Zasadę „sezonu” przyjął również w swej książce A. Rudnicki, dając jej znamienity tytuł *Lato*.

uczestnicy w zdarzeniach, mógłby być — w obrębie tych opowiadań — jednym z ludzi, których jego opowieść dotyczy.

Kunciewiczowa — za pośrednictwem narratora opowiadań — stara się prawdziwość istnienia stałych mieszkańców miasta przeciwstawić sztuczności życia wakacyjnych przybyszów. Sztuczność tę można rozumieć na dwa sposoby. Po pierwsze jako grę i wyłączenie się z rzeczywistości, po drugie zaś — jako spoglądanie na świat oczami artystów oraz widzenie go jako dzieła sztuki. Narrator stale podkreśla umowność ukazanych sytuacji, a rzeczywistość widziana jest przede wszystkim w kategoriach teatralnych. Widać to już w tytułowym opowiadaniu:

Wąwóz z obu stron zarosnięty buczyną wyglądał jak dekoracja z Wagnerowskiej opery. Oni patrzyli co chwila na gwiazdy ustrojone na liście, na wysrebrzane gąłdzie i mówili: Jak pięknie! (DK, 14-15).

Tak ukształtowany pejzaż zakłada teatralność życia, z jego barwnością, odpowiednio jeszcze wzmacnianą⁴. Artysty przybywający do miasteczka na czas letni przenoszą się w nowy wymiar — w odmienny czas oraz w inną przestrzeń. Ma ten czas cechy wiekowego święta, wyłączenia się z codzienności, a zespolenia z rzeczywistością sakralną, nawet jeśli jest to tylko sakralność sztuki.

Bohaterowie z kręgu artystycznego są więc podwójnie wyłączeni. Oddzielili się od macierzystego środowiska, zachowują też odrębność od społeczności, w której się znaleźli. Obaj środowiska widzą się podobnie. Dla artystów miasto i jego okolice są sceną, którą przybyszkowie do życia, a ich sezonowe życie jest nieustannym widowiskiem. Mówi o tym opis wycieczki artystów w okolice miasta: *Jechalo się furą przez piachy i jalołce, jak gdyby w głąb kulis tego kraju, którego świętą rampę stanowiła rzeka (DK, 145). Kobiety wiejskie natomiast oglądały obcych od stóp do głowy jak cyrkowe dziawa (DK, 149).*

Artysty przyjmują więc koncepcje życia jako gry i teatru. Jedną ze scen była wyspa na Wiśle, na którą przybywa przebrany za Araba Szymon z przewoźnikiem Szulimem:

Wkoło wyspy, jak zwykle, szczył się plusk, gwar, zapach wikliny i gabinetu kosmetycznego. Flora spacerowała brzękiem plaży, wystrojona w ogromny kapelusz „Soleil”. Mena trzymała strzałę w wysoko uniesionym ręku, luz leżał opodal, wolała do siebie charta pani Barbary, żeby przy dużym czworonożu pięknie wyobrazić Dianę. Sylwia z Jeremim pływali kajakiem, śpiewając: „RRRuum-ba zwycięski tan Kolum-ba...”. Na głoskę „ba” wiosła jednocześnie uderzali w wodę. Paweł i Gigo machali w powietrzu nogami. Madzia stała przy nich i była przemiło po ludykach, jeżeli zgnali kolana. Letnicy kłębili się w wodzie i na piasku. Wszyscy podglądali, obgadawali artystów, bardzo wygłupiali się, by ich olnić (DK, 105).

Przebrania artystów miały zresztą bardzo różne motywacje. Jedni przebrali się, by dostosować się do przyjętego przez grupę na czas święta modelu zachowań, drudzy — by stać się kimś innym dla kogoś, zwrócić na siebie uwagę lub przypodobać się. Kunciewiczowa pokazała w paru komediowych czy opretkowych sytuacjach, jak w swej istocie zmiany te były powierzchowne i z punktu widzenia przyjętej strategii nieskuteczne. Można to odczytywać jako rodzaj odwetu świata rzeczywistego za nieautentyczność własnego życia i osobowości.

Znacznie ciekawszy jest inny aspekt tej sprawy oraz dalsze informacje faktu, że określona grupa bohaterów ma status artystów. Niektórzy, jak Jeremi, spoglądają na świat jak na obraz, lub też to, co w spotykanej rzeczywistości zasługiwało na uwagę artysty, stawało się obrazem. Tak te postawę wspomnianego bohatera określa narrator:

Ledwie Jeremi obrócił świadomość ku jakiegokolwiek sprawie, wzrok wyciskał z niej kolorową plamę: stawała się obrazem. (...) Oczy zarły, taleni trawil — martwe natury, pejzaże, portrety znaczyły szlak wędrowki... (DK, 28).

Jeremi należał do artystów, którzy świat i jego sprawy przeobrażali w dzieła sztuki. Mena i Flora były natomiast raczej artystkami życia, które właśnie całą rzeczywistość pragnęły czynić przedmiotem artystycznych działań. Narrator stara się postać druginiej z bohaterów ukazać jako wynik jej autokreacyjnej działalności. Przejście Flory przez miasteczko przekształca się w wielkie i oświecające wszystkich widowisko. Bohaterka tak się zachowuje, by stać się aktorką i bohaterką spektaklu, a otoczenie przyjmuje narzuconą mu rolę widza:

Na całej ogromnej sukni nie widać jednej plamki i na twarzy — jednego skurczu: Flora jasnieje bez skazy. Gdy tak idzie, szmerząc falbaną, z przydrożnych domków wybiegają dzieci, psy, kury... Krawców i hieliczników nerwowo zdzierają w bok plachy na oknach, wychylają się do pół ciarla, a potem — w osłupieniu cofają wzrok na barchanowe i symkowane roboty. Stara Ryjka cmoka za nią.

— A szafy liałka... A, aj... (DK, 50)

Można by rzec, iż Flora, tak jak bohaterka słynnego wiersza Peipera *Noga* „topi ulicę w modlitwie gdy wśród niej światłem zamiga”. Sama przemieniała się w dzieło sztuki, a jako artystyka życia pragnęła ukształtować je na podobieństwo obiektu artystycznego: *Flora jest szczęśliwa: ten dzień, bardziej niż inne, nadaje się, by zrobić zeń cacko. Bezchurny, cichy, z jednym pośrodku zdarzeniem, które go uświetni jak brylant. Ranek minął na wesolych zabiegach — Flora najpierw stroiła swój letni dom. Co chwila wybiegala — w muślinowym czepecu *Espoir* — przed ganek i zmrzywszy oczy patrzyła, czy nie uda się czegoś jeszcze lipcowi podebrać na ozdoby tych pokojów, gdzie Przyjaciel z nią będzie przebywał... (DK, 50-51).*

Przedtłużyliśmy ten cytat ponad chwilową potrzebę, gdyż zawierają się w nim dwa ważne z punktu widzenia bohaterki i jej strategii elementy. Działania jej nie mają, po pierwsze, charakteru autotelicznego, lecz dokonują się „z czu względu na...”, mają przyniesić określony skutek. Nie są więc ważne same w sobie, lecz zostały podporządkowane strategii Flory jako ułudzieli. Jej zabiegi, zmierzające do uczynienia z otoczenia dzieła sztuki, stanowią czynność wstępna i wtórna wobec ich rzeczywistego celu. Bohaterka tworzy więc najpierw scenę i dekorację dla głównego spektaklu, jakim będzie spotkanie z Przyjacielem. Życie Flory, jej wybrany przez narratora dzień, przestaje być statycznie ujętym „cackiem”, a staje się starannie wyreżyserowanym przez bohaterkę dynamicznym widowiskiem. Poszczególne sceny oraz ich tonację sygnalizuje dobór ubiorów Flory oraz symbolika ich nazw (np. „Amour”, „Plaisir”, „Reve”, „Passion”). Zamiast jednak oczekiwanego i przycelowanego przez bohaterkę finału pojawia się scena inna, zainicjowana i wyreżyserowana przez Przyjaciela, a której jedynym widzem, bezsilnym świadkiem własnej zdrady i klęski, stanie się Flora. Sztuka o wielkiej i radosnej miłości zamienia się ostatecznie w prawdziwy dramat.

Estetyczny stosunek do miasteczka i rozgrywających się tutaj spraw wykazała także Marta, która starała się, „by zabawność letniego osiedla stała się jego najważniejszą cechą”. Postawę taką narrator przypisał

⁴ Teatralność i przebranie było główną zasadą życia środowiska artystycznego w Kazimierzu Piasku o tym m.in. w wspomnianiu o Tadeuszu Brzuskowicem H. Motkiewicz-Olczakowa. *Przebraliśmy się w tym czasie wszyscy, bez końca, coraz dzwoniąc i wesoło, rale życie przemieniało się w teatr i maskaradę (H. Motkiewicz-Olczakowa: Bani wspomnień, Warszawa 1959, s. 361).* Teatralność życia artystów w Kazimierzu akcentuje w swej książce także Rudnicki.

jednak przede wszystkim przyjaciółce Marty — Menie. Ona wpływała na kształt ogrodu Marty i jej domu, zmieniała też imię Marty na Sylwia, toalety zaproponowane przez Menę przyniosły Marcie-Sylwii wielkie powodzenie.

Dwa księżycy ukazywały więc miasto nadwiślańskie z dwojakiej perspektywy: jako godne ironicznego ujęcia spotkanie wielkiej historii, pięknej architektury i wspaniałego pejzażu z niedzą teraźniejszości, oraz — jako sezonowe środowisko artystyczne, którego przedstawiciele wszystkie wspomniane elementy przetrwali w sztukę. Tak więc, jak obrazy poświęcone Kazimierzowi, ukazujące go z różnych, ciemnych czy jasnych stron, nobilitowały to miasto, tak proza Kuncewiczowej z *Dwóch księżyców* przyczyniała się do tworzenia i wzbogacania literackiej legendy Kazimierza. Miasto to w tomie Kuncewiczowej nie ma, jak już wspomniano, swojej nazwy, ale krytycy już wówczas łączyli wątki tych opowiadań z Kazimierzem Dolnym.

Autorka książki była przekonana, że na tym wyczerpał się dla niej inspiracyjne źródła Kazimierza i jego spraw. Dala temu wyraz w jednym z przedwojennych wywiadów, w którym mówiła: *To, co opisuję w „Dwóch księżycach”, wyczerpało się, nie jestem tego ciekawa i nic mi to już nie daje. Odeszłam zupełnie. To był raczej aspekt dekoracyjny, to wyglądanie się artystów i wydzielanie, umyślne przerysowanie. Życie widziane od zewnątrz (...). Kuncewiczowa przynależała jednak, iż tu otrzymała ważną lekcję życia, poznała nowe sprawy, nowych ludzi i pejzaż — tak niewiarygodny, to tak osobliwe, życie pełne kontrastów i dziwaczności”*.

Sprawy podjęte i wyrażone w *Dwóch księżycach* w postaci artystycznej ujmowała Kuncewiczowa także w swoich szkicach literackich i felietonach, ogłaszanych w przedwojennej prasie, włączonych następnie, wraz z napisanymi później tekstami, do cyklu *Z kazimierskiej teki* pomieszczonego w *Odkryciu Putusanu*. Kuncewiczowa stawiała się w tych szkicach i zeczniczką miasta. Pisała o jego blaskach i cieniach, o jego historii, zapóźnieniu cywilizacyjnym oraz o jego możliwościach jako nowoczesnego letniska. W szkicu pt. *Rezerwat dzikości* akcentowała autorka to, co w Kazimierzu znajdowali artyści i pisarze. Biorąc za własne ich stanowisko sugerowała, by tę oazę „krajowej egzotyki utrzymać w ścianie czystym”. *Niechże — pisała zapewne z odzieniem ironii — nadwiślańskie Gauguin. Utrille, Conrady i Mauriaci mają na podórzedniu rezerwat dzikości, kraj groteski — niech mają ten zabawnie-niekoszolny Kazimierz* (OP, 99).

Inne teksty włączone do tego cyklu bliższe były poetyce prozy artystycznej i wydaje się, jakby stanowiły dalszy ciąg *Dwóch księżyców*. W szkicu pt. *Alfred wie rzeczy inne* ukazała Kuncewiczowa bohatera, który „żył w miejscu, skąd wszyscy wracają i nikt prawie nie wraca tam” (OP, 104). Był to portret człowieka, dopełniającego obraz miasta o bardzo charakterystyczny rys. W *Dwóch księżycach* pokazała autorka ludzi z zewnątrz, przelotnie i przejściowo wiążących w miasteczkiem swój los oraz tych, co mieszkali tu na stałe, zrośnięci z Kazimierzem nierozdzielnie. We wspomnianym utworze przedstawiła Kuncewiczowa, zresztą bardzo ironicznie, bohatera, który żyje fizycznie w miasteczku, ale nie utożsamia się z jego sprawami i ludźmi, a myślami przebywa zupełnie gdzie indziej. Bohater Kuncewiczowej czuje się postacią wyjątkową, jego wiedza i orientacja w sprawach stolicy przeciwstawiają go reszcie miejscowej społeczności.

Bo cóż oni wiedzą? Czy oni widzieli to? Tylko w Warszawie można

(K. L.): *Rozmowa z Marią Kuncewiczową*. „Pion” 1937, nr 50. Cyt. za: *Rozmowy z Marią Kuncewiczową*. Wybór, opracowanie i podłowie H. Zaworska, Warszawa 1983, s. 64.

zobaczyć to, co daje wiedzę i szczęście. W Warszawie jest Uniwersytet. Sejm, ministrowie przewożą swoje niemieckie ciała i wszechmocne teki samochodami, które błyszcą jak metery. W Warszawie kupuje się klucze do wszystkich tajemnic i to, ze upaja go tajemnicznymi. Alfred raczy burknąć „Szczanowanie” odchodzącym panom: Bo on jest inny, on ma ciotkę w Warszawie (OP, 106).

Autorka narratorka widzi prowincjonalną śmieszność i snobistyczną pretensjonalność tej postaci, ale wie, że te cechy są jednocześnie wyrazem istniejących ludzkich potrzeb — tęsknoty za innym życiem i przełamaniem ograniczeń, utrudniających kształtowanie własnej osobowości. „Jak żyć bez tęsknoty? Jak bez śmieszności tęsknić?” — oto pytania, na które — sądził narrator — należałoby znaleźć odpowiedź. Niektóre drogi wyjścia znajdują niewątpliwie bohaterowie utworu *Wieczorem w rynku*, „kwiat najzamożniejszych rodzin miasteczka”, wracający tu codziennie z powiatowego gimnazjum. Jest to ich codzienna droga ku nowemu światu, z którego kiedyś mogą już nie powrócić.

Motywy kazimierskie wprowadziła Kuncewiczowa także do swojej powieści radiowej *Dni powszednie państwa Kowalskich*. Powieść ta powstała z inspiracji Jana Parandowskiego jako kierownika literackiego Polskiego Radia, a rozmowa w tej sprawie odbyła się właśnie w Kazimierzu. Autor *Nieba w płomieniach* podpowiadał, by książka zawierała coś „w rodzaju kalejdoskopu życia w Warszawie”, inni sugerowali wprowadzenie do utworu elementów społecznej dydaktyki, ale instynkty pisarki Kuncewiczowej utwierdzał ją w przekonaniu, że w tym wypadku „wystarczy łapać codzienność na gorącym uczynku”.

Autorka uczyniła głównymi bohaterami swej książki dwoje młodych ludzi, którzy — pochodzą z różnych stron kraju — spotkali się w Warszawie i tam już wspólnie zamieszkali. Nie byli więc oni związani żadnymi niemi z tradycją i historią stolicy, brakowało im organicznego oparcia w tamtejszym środowisku.

Irena Kowalska z powieści Kuncewiczowej jest córką starłarza z Kazimierza, jej siostra natomiast okazała się jedną z tych młodych kazimierzanek, które — niespodziewanie — jako modelki — znalazły się na jakiś czas w innym świecie. Bohaterka powieści nie potrafiła wrosnąć w wielkomięskie środowisko, nie mogła przystosować się do mechanizmów rządzących jego życiem. Świadczy o tym chociażby takie jej słowa: *u nas w Kazimierzu, to się wszystkich zna. Wyjde na rynek, przechodzi kto, zaraz: wiem: ten łobuz, ten uczęczy, tego unikaj, tego nie* (DP, 10). Wybór takiej bohaterki umożliwił przeprowadzanie ciągłych konfrontacji dwóch modeli życia: „nowoczesnego”, wielkomięskiego, oraz „archaicznego”, malomieścickiego.

Jedną z wersji tego problemu, znaną już z *Dwóch księżyców*, było spotkanie się w Kazimierzu świata zewnętrznego, wyższego, stołecznego, artystycznego z tutejszym, a więc niższym i gorszym. Zależyło to zresztą od tego, kim dana osoba jest, do jakiego świata sama należy i jaką postawę ona zajmuje. Siostra Kowalskiej, która stała się modelką jednego obrazu malarza Kobaltowicza, zakochała się i pragnęła związać z nim swoje losy. Sprawy sztuki stały się więc niespodziewanie sprawami życia. Natomiast stanęły jej ojca do przybyszów z zewnątrz stanowi przykład i wyraz konfliktowego spotkania się obu światów, jaki znamy z *Dwóch księżyców*. Wyraźnie widać to w jego wypowiedzi, w której scharakteryzowana została klientela starłarza: dobra (miejskowa, kazimierska) i zła (przejędna, warszawska). W tej wypowiedzi i argumentacji starłarza spleta się i powtarza kilka motywów, ułożonych antyteycznie, jak np. powolność i pośpiech, spokój i nerwowość.

solidność i tandeta, intymność i obcość. Łatwo się domyślić, z taką grupą ludzi każdy z tych szeregów się łączy

Kuncewiczowa, kiedy pisała *Dwa księżycy*, była już właścicielką letniego domu w Kazimierzu, *Dwa księżycy* zresztą już w nim powstawały. Może ten fakt z biografii autorki pozwalał jej kreować takiego narratorkę, który jest w stanie tworzyć pomost między dwoma światami: Kiedy zaś pisała powieść o Kowalskich, istniał już nowy jej dom, który tak szybko zrósł się z krajobrazem i architekturą Kazimierza, a później miał się ściśle zespolić także z twórczością Kuncewiczowej. Ten dom właśnie, jego istnienie, zmiany w dużej mierze osobista sytuacja pisarki. Na planie prywatnym stanie się ona nie tylko honorową obywatelką miasta Kazimierza, ale jego zwykłą, czy raczej niezwykłą, mieszkanką. Komplex obcości i „cudzoziemki” mógł zostać rozwiązany tylko dzięki przypisanu się i osadzeniu na trwałym gruncie. Przywykła do stałych wędrowek i przenosin, zapragnęła Kuncewiczowa znaleźć stałe miejsce, „dom-kotwicę”, jak to określiła w *Fantomach*. Sądząc, że przemysłenia związane z powstaniem tego domu, świadczyły o osłabieniu pisarskiej pełni, a jednocześnie o potrzebie życiowej stabilizacji.

Czym stawał się i stał własny dom, mówią słowa ze wspomnianej poprzednio książki, które każą pamiętać o fenomenologii poetyckiej domu, jaką dał w swojej książce *La terre et les reveries du repos* Gaston Bachelard. Nie potrzeba zresztą odwoływać się do Bachelarda, gdyż wychodził on zarówno od osobistego doświadczenia, jak i od świadectw literackich. Poczucie „bezdomności” i braku zakorzenienia prowadziło do tym intensywniejszego przeżycia domu, który powstał. Dom był i stawał się jednym z głównych motywów całej twórczości Kuncewiczowej. Dlaczego tak się stało, wyjaśniają te jej słowa z *Fantomów*:

Dom — sama rzecz — okazał się (...) istotą. Złożony z milionów komorek, miał rumieńce, bywał bladej, promieniał i chmurniał. Budził się razem ze mną, razem ze mną zasypiał, ale w nocy dzwonił, snuł swoje osobne życie — belki wdychały, ronily żywicę, lasowało się wapno, wylły kominki, osiadały kamienie, przypominał się daleki las, z którego przywędrowały bale sosnowe i olcowe gony. Śnił się kamieniolom nad rzeką, rodziły się myszy, psy, koty, komki, pająki... Dom gęstniał pochłaniał mnie, a jednocześnie sam wstawał w tajemniczą perspektywę która mogła być moją historią, chociaż nią nie była (F, 109).

Dom ten, jeszcze nie całkiem oswojony, miał być nie tylko kotwicą osobistą, lecz i rodzinną „kotwicą pokoleń”. Miał tu się znajdować kres długiej wędrowki i następki zamknięcie okresu bezdomności pisarki i jej rodziny. Wojna 1939 r. w sposób dramatyczny zmieniła sytuację tego domu, który należało opuścić jak najspieszniej. Zapis tej sytuacji, i w ogóle wojennych przeżyć Kuncewiczowej przynosiły *Klucze*. W tej książce znajduje się przejmująca scena rozstania autorki z ulubionym łaskiem „brzeziakiem”, kiedy to uświadomiła ona sobie, że opuszcza Kazimierz na bardzo długi czas: *Patrzyłam na dom, w którym po dziesięciu latach przygotowania mieszkałam cztery miesiące. Pierwszy własny dom w rodzinie, odkąd prapradziad zaprzepił swoją Psia Wólkę, wstępując do legionów we Włoszech (K, 58).*

Klucze były w równej mierze zapisem aktualnych przeżyć, co i nachodzących pamięć autorki wspomnień. Kazimierz znajdował w nich swoje wybitne miejsce. *Teraz, zimą, lato 1939 roku gorąco mi falami powraca...* (K, 13) — napisała Kuncewiczowa na początku tej książki. Wspominała więc i przeżywała na nowo sprawy swego domu, ostatnie związane z nim chwile, przywoływała pamięcią swoich sąsiadów i pejsze, przy każdej okazji (jak np. spotkanie znajomego malarza w Edynburgu) powracała na pamięć sprawy kazimierskie. Na tle szarej

wojennej codzienności i tulących pisarki po obcych krajach nawroty pamięcią do Kazimierza stanowiły jedną z nielicznych pociech. We wspomnieniach wszystko — wydaje się — nabierało większej intensywności, znaczeń i głębi. Jedną z ciekawszych wypowiedzi, odnoszących się do Kazimierza, było wspomnienie o pierwszym zeiknieniu się pisarki z tym miastem. *Pamiętam. Pamiętam pierwszy raz zwiadałam miasteczko. Jego topografia męczyła mnie później w snach. Ledwie przekroczyłam obręb rynku, wchłaniał mnie labirynt drózek, rozpadlin, sądów, pól i podwórek (K, 23).*

Inny natomiast wariant otrzymała problematyka kazimierska w powieści pt. *Zmowa nieobcych*, której tom pierwszy ukazał się w 1946 r., natomiast następny w roku 1950. Obok *Dwóch księżyców* był to drugi utwór, w którym Kazimierz otrzymał tyle dla siebie miejsca. Miasto to występuje (tutaj pod zmienioną nazwą, ale łatwo przecież rozpoznać jego topografię, realia i różne rozgrywane się tu niegdyś sprawy. Rudzin ma bowiem wszystkie znamiona nadwiślańskiego miasta, zwłaszcza jeśli zestawie je z obrazem Kazimierza, znanym z innych utworów i wspomnieniowych wypowiedzi Kuncewiczowej.

Zmowa nieobcych stanowiła próbę stworzenia obrazu życia kraju pod okupacją hitlerowską, a także egzystencji, głównie na terenie Wielkiej Brytanii, ludzi zmuszonych do opuszczenia swej ojczyzny. Autorka powieści, tworząc obszerną panoramę losu polskiego czasu wojny, korzystała ze swoich uprawnień pisarskich, kreując narratorkę, który był w stanie przedstawić wydarzenia rozgrywane się w dalekiej od siebie odległości, na przeciwstawionych obszarach (okupowane i niepodległe). Korzystała przy tym autorka z chwytów, które pozwalały na artystyczną motylację tego przenoszenia akcji i punktów widzenia, na zbliżania dalekich przestrzeni. Służyły temu np. przeryty bohaterów do kraju drogą lotniczą, bądź też posługiwane się nadawaną ukrytymi kanałami korespondencją. Autorka, skazana na przymusowy pobyt w Wielkiej Brytanii, własne przeżycia, myśli i wspomnienia przypisała różnym postaciom swej powieści, w tym także Zofii, w której bez trudu rozpoznamy rysy samej pisarki. Oczywiście, to pewne fragmenty *Zmowy nieobcych* można traktować jako zawołowaną autobiografię pisarki.

Technika powieściowa, polegająca na przepielaniu się opowiadania o dziejach się aktualnie wydarzeniach, z retrospektywnymi, opartymi na wspomnieniach ujęciami, iak często stosowana przez Kuncewiczową, tutaj okazała swoją szczególną użyteczność. W *Zmowie nieobcych* ukazała więc Kuncewiczowa historię poznania Rudzina przez Zofię, a następnie coraz ściślejszego wiązania się z nim i jego sprawami. Bohaterka powieści zapamiętała sugestie profesora z Górek, który namawiał ją do pozostania w Rudzinie na stałe. *Jakąś częścią swojej istoty trzeba gdzieś być zawsze. Trzeba mieć dokąd wracać (ZM, 73).*

Kuncewiczowa ukazała niezwykle dobitnie, iż kupno małego domku w Rudzinie, a następnie wzniesienie tam prawdziwego domu, stało się dla Zofii przełomowym momentem w jej życiu i dopiero z odległej perspektywy osobistej i przestrzennej bohaterka zdala sobie sprawę, iż „jej życie w ostatnim dziesięcioleciu było najciszej uzależnione od domu” (ZM, 73). Dom ten był „jedyną pozycją serwo w jej fantastycznych czynnościach”. Stał się dla bohaterki oparciem i swoistym centrum świata. Otrzymał on także status istoty żyjącej: *Dom nadwiślański przez to, że określił miejsce Zofii na ziemi, nie tylko nasycił jej spiew spokojem i naturalnością. Wszystkie sprawy, które od chwili jego powstania wkraczały w życie śpiewaczki, rozwiązywał się źle albo dobrze w*

zależności od tego, czy dom odrzucał je, czy przyjmował za swoje (ZN, 73).

Dom stał się więc dla Zofii wartością nadrzędną, ona — podporządkowaną. Dom jest w ujęciu tym uosobieniem nie tylko trwałości i zakorzenienia, ale i naturalnej mądrości. Dom „wie”, „rozumie” i „czuje”. Kuncewiczowa w swej powieści (a także w licznych późniejszych wypowiedziach) tworzy fenomenologię tego domu, jego historii i psychologie. W jakiej mierze dotyczy to i całego Rudzina-Kazimierza. Czas przeżyty tutaj przez bohaterów wydaje im się okresem pełni, każde uczucie, a zwłaszcza miłość, osiągało swoje apogeum.

Nowa sytuacja bohaterów, spowodowana wybuchem wojny, okupacją lub uchodźstwem sprawiła, iż wszystkie dotychczasowe sprawy ukazywały się w odmiennym świetle. Koszmar doświadczeń wojennych prowadził do przekonania, iż to co poprzedzało wojnę, wydawało się już nierzeczywiste, stojące na pograniczu jawy i snu. Takie odczucie jest udziałem jednej z bohaterek, jadącej z okupowanej Warszawy do Rudzina. Zetknięcie się z realnym miastem nie przelało tego wrażenia. Kuncewiczowa, pisząc o przeżytkach bohaterki w okupowanym Rudzinie, eksponuje motyw, który odzwie się później, kiedy po latach rozłąki na nowo ujrzy Kazimierz. Chodzi mianowicie o zupełną zmianę wyglądu i atmosfery Rudzina. Podkreśla to wyraźnie narrator powieści: *Rynek był niby ten sam, a przecież całkiem inny. Przede wszystkim — bezładny (ZN, 26); Obstawiony renesansowymi kamieniczkami, ten śliczny rynek we wspomnianych latach rozkwitł był zawsze śmiechem, zgłębkiem, piosenką. Teraz był nakryty milczeniem (ZN, 27).*

Źródłem tego odczucia była nieobecność Żydów. Jedną z postaci opowiada o Krwawej Niedzieli, kiedy to Niemcy dokonali masakry żydowskiej części mieszkańców Rudzina. Pierwotorem tej sceny były rzeczywiste wydarzenia, jakie rozegrały się w Kazimierzu⁴. Autorka *Zmowy nieobecnych* jako pisarka i działaczka polskiego PEN-Clubu na terenie Wielkiej Brytanii była bardzo dobrze zorientowana w tym, co się działo w okupowanym kraju. Ten zasób wiedzy pozwalał jej w połączeniu z własną intuicją na zbudowanie wizji Polski czasu wojny i samego Kazimierza, mającej cechy prawdopodobieństwa.

Autorka prowadziła swoich bohaterów przez te wszystkie miejsca, z którymi sama była najsilniej związana. Kierowała ich do domu Zofii, do pobliskiego „brzeziniaka” (ulubionego miejsca Kuncewiczowej w jej kazimierskim ogrodzie), do rynku, do kawiarni, nad Wisłę i w okolice miasteczka. W ten sposób pisarka odbywała jakby wyobraźniową podróż do Kazimierza, przeżywała w pamięci jego i swoje sprawy, przerwane tak dramatycznie we wrześniu 1939 roku.

Zmowa nieobecnych świadczyła, iż Kazimierz stał się dla pisarki głównym punktem odniesienia dla jej spraw oraz oparciem dla jej pamięci i wyobraźni. We wspomnianej powieści pisała o tym mieście z pozycji „nieobecnej”, toteż realny Kazimierz tracił znaną rzeczywistość naprawdę istniejącą, oddalał się od pierwotnego, a to co zapamiętała pisarka, stanowiło już coraz odleglejszą przeszłość. Obraz Kazimierza, jaki dawała w *Zmowie nieobecnych*, miał więc już przede wszystkim cechy kreacji literackiej. O tym przedwojennym Kazimierzu mówiła pięknie Kuncewiczowa w przemówieniu poświęconym osobie Ireny Lorentowicz na jednym z nowojorskich spotkań w 1956 r.

Po napisaniu *Zmowy nieobecnych* Kazimierz — takie można odnieść wrażenie — wyczerpał swoje możliwości inspiacyjne dla pisarki. Zmienił się zasadniczo przedmiot jej następnych powieści, żywiły się one zupełnie innymi sprawami i doświadczeniami. Powrócił natomiast

wtedy, kiedy do Kazimierza powróciła i ich autorka. Stało się to w 1958 r., a więc po dwudziestu bez mała latach od opuszczenia miasta. Kazimierz ujrzany na nowo ukazał się w zupełnie innym świetle. Pisarka mogła teraz zestawić obraz przedwojennego Kazimierza i swoją wizję ze *Zmowy nieobecnych* z rzeczywistym wyglądem powojennego miasta. Dala temu wyraz we wstępie do wznowionego wydania *Dwóch księżyczek*, pisząc o swoim powrocie i ponownym spotkaniu z Kazimierzem:

Byłam na drodze do domu, który nie splonął, ani się nie rozpadł. Do domu, gdzie 30 lat temu zakopano pod progiem, zamasił bochna chleba, dwie książki tych dworga, co tam mieli mieszkać.

W pół godziny później wysiadłam na rynku. Wydał mi się piękniejszy i czystszy niż dawniej, wzbogacony o domy i sprawy nie znane, chociaż od dawna przeczuje. I pusty jak scena w antrakcie (DK, 8).

Powtórzyła tutaj mimo woli pisarka jedno z ujęć ze *Zmowy nieobecnych*. W słowach tych pojawia się także na nowo skojarzenie z teatrem, tak bliskie widzeniu w *Dwóch księżyczkach*. Gdyby analizować metaforę tamtego tytułu, można by rzec, iż inny księżyc przyszywał tamtym, dawniejszym sprawom, inny zaś — obecnym. Dodać tu trzeba, że i sam dom pisarki był takim teatrem czy sceną, gdzie brakło dawniejszych aktorów, a spotykało się tam ludzi najmniej do tego powołanych. Z tego czasu pochodzi wspomnienie Konrada Bielskiego, poety i prawnika, który także przez kilkadziesiąt lat prowadził swój „romans z Kazimierzem”. Bielski tak pisał o ówczesnym stanie domu pisarki: *Willa była własnością obojga Kuncewiczów. I położona przesłicznie w miejscu, skąd widać wszystko, cały prawie Kazimierz, a sama jest prawie niewidoczna. W dodatku na sąsiednich działkach zachowało się wiele starodrzewia, o co w Kazimierzu jest dość trudno. Były i pergole, i ozdobne krzewy dakota, a w środku jeszcze pokoje i kominki. I byli ludzie wybitni, którzy tu przyjeżdżali, by się nasycić Kazimierzem. Prowadzono ciekawe rozmowy, czytano własne utwory. Obecnie cicho i pusto. Dawnej swietności ani śladu!*

Na dawny obraz Kazimierza zaczęły się stopniowo nakładać nowe warstwy, w miejsce utraconych wartości pojawiały się inne. Jakby wbrew temu, co pisała Kuncewiczowa w zakończeniu *Natury: Dom kazimierski, do którego wróciłam, stoi na innym świecie niż ten, na którym go zbudowano. Ja też jestem inna niż za „Króla Pruska”. Jak w noweli napisanej w Londynie podczas nalotów V-2, widzę w nim nie tyle odzyskaną siedzibę, co muzułany zabytek (N, 248). Zapewne, mogłaby Kuncewiczowa powiedzieć za Tadeuszem Różewiczem, że „to się złożyć nie może”. Ta część biografii pisarki, zamknięta 1939 rokiem, istotnie nie da się dokładnie zestawić i połączyć z częściami późniejszymi. Ale w *Fantomach* napisała autorka słowa, które zdają się przeczyć tamtejszej wypowiedzi: *Dom stoi i pięknieje. Jak gdybyśmy teraz dopiero mogli sobie gniazdo na długie rodzinne i gościnne życie, wozimy do opustoszałego wnętrza wybrane przedmioty, przetrzymamy książki, kompletnyemu zastaw, sadzimy klematys, pasja gospodarska wybucha na schyłku życia z siłą podskórnoego źródła (F, 122).**

Inaczej zresztą mógłby istnieć ten dom na planie życia, inaczej zaś na płaszczyźnie twórczości. Wolno sądzić, iż na przeżywanie domu w sferze prywatnej wpływ fakt, iż Kuncewiczowa przez szereg lat dzieliła swój czas między zajęcia wykładowcy w uniwersytecie w Chicago, a pobytami w Kazimierzu — sytuacja taka nie sprzyjała więc ponownemu zadomowieniu. „Odzyskanie” domu owocowało jednak w pisarstwie Kuncewiczowej, chociaż odmiennie, niż działo się to dotychczas. Odrzucała ona stosowane dotąd na ogół zasłony fikcji i zaczęła pisać

⁴ Wydarzenie to miało miejsce 18 XI 1942 (zob. I. J. Kaminski: *Kazimierz nad Wisłą*, s. 170).

⁵ K. Bielski: *Spotkania z Kazimierzem*, Lublin 1965, s. 106-107.

utwory, określone przez nią jako „zwierzenia i fakty”. Utwory te — zwłaszcza *Fantomy i Natura* — należą do najciekawszych i najlepszych książek Kuncewiczowej.

Na planie literackim „odbudowy” domu dokonała pisarka przede wszystkim w *Fantomach*, które były rodzajem jej autobiografii i ponowną próbą określenia swojego miejsca w świecie. *Piszę — stwierdziła Kuncewiczowa — żeby siebie uciesić, żeby zatrzymać siebie w ruchu nadanym sobie przez siebie; żeby oprzytomnieć z niebytu. Bo takie jest prawo: należy myśleć, należy być sobą. Do myślenia zmusić się umiem tylko z piórem w ręku, bez tego narzędzia wsużam w otoczenie (F.)*

Sądzę, że istnienie kazimierskiego domu Kuncewiczowej również wpływało na określenie („uziemienie”) jej tożsamości ludzkiej i pisarskiej. W *Fantomach* po wielokroć pisze autorka o Kazimierzu, kolejny raz, ale już na prawach rzeczywistego wspomnienia, nie podporządkowanego fikcji literackiej — ukazuje Kazimierz przedwojenny, swoje związane z nim przywileje i fascynacje, akcentując także i teraz teatralność a nawet umowno „sezonowego” życia koloni artystycznej. Obrazy te zachowały jednak swoje niezapomniane piękno, stworzone z urodą krajobrazu, który nie przestaje budzić zachwytu pisarki. Kuncewiczowa przytacza wiele świadectw mówiących, iż uroda Kazimierza podobny zachwyt budziła także u cudzoziemskich gości jej tutejszego domu. Na kartach *Fantomów* przewijają się również rdzenni mieszkańcy nadwiślańskiego miasta, także ci, którzy przez całe lata sprawowali opiekę nad domem pisarki i strzegli go na miarę swoich możliwości przed niebezpieczeństwami. Pisała również w tej książce Kuncewiczowa o swoich powrołach do Kazimierza i o tym, czym jest on dla pisarki dzisiaj.

Twórczość Kuncewiczowej, oglądana z interesującego nas tutaj punktu widzenia jako pewna całość, ukazuje trzy fazy związku z Kazimierzem, upostaciowanego w istniejącym tutaj jej domu¹⁸. W swojej twórczości, w wielu książkach i szkicach przedstawiła wnoszenie i powstawanie domu, następnie jego dramatyczną utratę i wreszcie szczęśliwe odzyskanie. Ten dom oprócz swojego istnienia rzeczywistego otrzymywał także wymiar metaforyczny i symboliczny, stawał się jednym z najistotniejszych składników prywatnej mitologii Kuncewiczowej, a także ważnym elementem mitologii i legendy literackiej Kazimierza.

Samo dzieło pisarskie Kuncewiczowej ma tu niewątpliwie wagę największą. Ale pamiętać należy również i o roli biograficznych związków pisarki z Kazimierzem. Nie tylko bowiem autorka *Dwóch księżyczów* pisała o nim, ale także w nim, w swoim kazimierskim domu i w otoczeniu tutejszego krajobrazu. Mówiła o tym m.in. w wypowiedzi zatytułowanej *Mój Kazimierz*:

Dla mnie ten leśno-ogrodowy obszar i ten dom są miejscem, gdzie powstało wiele moich utworów. W brzeziniaku, przy drewnianym stole wkopanym we mchy i ziemię, pisałam „Dwa księżycy”. Tu napisała się Kazimierska Teka „Odkrycia Patusań”. W Chałce odwiedziła mnie „Cudzoziemka”, tutaj na jakąś Wielkanoc zajrzeli „Powszedni Państwo Kowalscy”. Pod koniec lat pięćdziesiątych przegalopował tędy na

¹⁸ Problematyce domu w życiu i twórczości Kuncewiczowej poświęcona jest w dużej mierze *Rozmowa z Marią Kuncewiczową* Heleny Zaworskiej z 1972 r., w której Zaworska stwierdziła: *Doprawdy, nie nam pisarza, który by z taką namątnością, transkwalifikacją, obszerną budował i chronił swą twórczość od złądzy słownego życia. Nikt też nie objawił mi z równą siłą, że DOM to jedna z najważniejszych spraw ludzkiej egzystencji, warunek swobodnego i pełnego kształtowania się osobowości, określony wóde zachowania, szczelności i kultury (s. 108-109)*

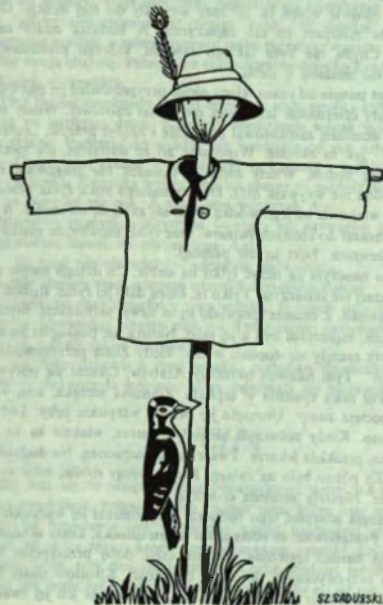
oszońonym Rosnancie „Don Kichot”, goniony przez Nianki. Tu wykończyłam „Tristana 46” po polsku i napisałam go znowu po angielsku „Fantomy” objawiły mi się w kwitnących bzach i na zapadniętych mogiłach Kazimierza”.

Na koniec należy dodać, iż cytowane wcześniej w tym szkicu słowa Kuncewiczowej o spojrzeniu na swój kazimierski dom jako na obiekt muzealny stanowi rodzaj zapowiedzi jego przyszłego statusu, już przez pisarkę przewidzianego. Pragnie ona, by ta „nietrwała Arkadia” (N. 100), znalazła oparcie w instytucji mającej szansę długiego trwania, a dom jej służył w przyszłości „jako dokument pewnej epoki, pewnego stylu życia”¹⁹. Dom-kotwica stanie się więc kiedyś domem-muzeum, który utrwali jeszcze mocniej związek Kuncewiczowej i jej twórczości z Kazimierzem.

Tadeusz Klak

¹⁹ *Mój Kazimierz*, „Perspektywa” 1974, nr 9. Wypowiedzi Kuncewiczowej zapisała B. Sida. Cyt. za: *Rozmowa z Marią Kuncewiczową*, s. 126-127

²⁰ *Ibidem*



SZCZAPKUSKI

URSZULA GIERSZON

KOLEJKA

Krystyna robiła już wiele rzeczy w swoim dwudziestopięcioletnim życiu. Wszystko dlatego, żeby nie pracować, a mieć z czego żyć. Jednak z sentymentem wspominała te lata, kiedy od klientów nie mogła się opędzić. Miała wtedy wszystko. Była najlepiej ubraną dziewczyną w dzielnicy. Mężczyźni byli dla niej mili. Kobietami i tak się nie przejmowała. Były zazdrosne o ciuchy i wściekle o to, że ich mężowie, synowie i ojcowie woleli ją. Ile razy wzywały do niej milicję. Głupie myślały, że milicjanci to nie mężczyźna. A badania miała zawsze aktualne. Chyba nie było takiego zawodu, którego przedstawiciela Krystyna nie miałaby u siebie.

Ile to lat minęło od czasu, kiedy ojciec przyprowadził jej pierwszego? Miała wtedy czternaście lat. Facet nie chciał cnotliwej. Wtedy ojciec, który już wcześniej zainkasował pieniądze i zdążył przepić, „rozprawił ją” — jak to określili. Wspomina go ze wstrętem, ale niech mu ziemia lekka będzie. Wtedy żadna z sąsiadek nie reagowała na jej krzyki, żadna nie wzywała MO. Do szesnastego roku życia pracowała na ojca, a właściciel na jego wódkę. Póki nie zapil się na śmierć. A bil ją często i zmuszał do różnych świństw. One tylko mówiły, że matka się w grobie przewraca. Nikt jej nie pomógł.

Szybko nauczyła się liczyć tylko na siebie. Co innego mogła robić? Szkoły żadnej nie skończyła. Tylko tę, którą dało jej życie. Robiła to, co umiała najlepiej. Z czasem sprawiła jej to nawet satysfakcję. Błyszczała błyskotkami, mężczyźni byli u jej stóp. Natura nie poskąpiła jej urody.

Kłopoty zaczęły się dopiero wtedy, kiedy Złuta przyprowadziła jej „beżowego”. Tym mianem określali Arabów. Okazał się potwornym sadystą. Pół roku spędziła w szpitalu. Złamana szcęką, nos, wstrząs mózgu, pocięta twarz. Usunięto jej prawie wszystkie zęby. Ledwie ją odratowano. Kiedy zobaczyła siebie w lustrze, właśnie za to, że ją uratowano, przeklęła lekarzy. Twarz miała oszpeconą. Na dodatek była w ciąży. Za późno było na zabieg. Różne rzeczy robiła, żeby wywołać poronienie. Niestety urodziła córeczkę.

Nie mogła ścierpieć tego bachora, przypominał jej wszystko to, co przeżyła. Postanowiła, że odda ją do domu dziecka, kiedy skończy rok. Mała była bardzo spokojna, większą część doby przesypiała. Powoli Krystyna przyzwyczajała się do jej obecności. Klientów miała bardzo mało i to „podłego gatunku”. No cóż, odstraszała ich jej twarz.

Zaczynała się bieda, a tego Krystyna bala się najbardziej. Kryzys, który ogarnął kraj jeszcze to połęgował. Kilometrowe kolejki po wszystko i w każdym sklepie utrudniały życie coraz bardziej. Brakowało jej nie tylko pieliuch, ubrańek, butelek, smoczków ale i mleka. Mimo że pracowała dniami i nocami zaczęło brakować również pieniędzy.

Pewnego dnia sąsiadka powiedziała: — Pani Krysiu, pani to dobrze. Weźmie pani dziecko i bez kolejki pani kupi

Krystyna wpadła na pomysł. Będzie wypożyczać dziecko w kolejki za pieniądze. Niech ona też zarabia — to wszystko przez nią — myślała.

Mała miała wtedy siedem miesięcy. Za godzinę wynajęcia córki brała trzysta złotych. Po trzech miesiącach „pracy” dziecko schudło, stało się wątłe, nerwowe, ciągle płakało. Krystyna nie mogła znieść tego placzu. Z ulgą wpychała małą w ręce wypożyczających kobiet. Chętnych było coraz więcej. Wieść o wypożyczanym dziecku rozniosła się daleko. Klientek przybywało. Krystyna cieszyła się z przybywającej gotówki.

Pewnego dnia pożyczyla małą o godzinie szóstej rano do sklepu mięsnego na sąsiednim osiedlu. O czternastej zaczęła się zastanawiać, dlaczego jej jeszcze nie przyniesiono? Kiedy dochodziła osiemnasta poszła do sąsiadki, poprosiła, żeby popoinowała mieszkania i odebrała małą, gdyby dostarczono ją, zanim wróci. W drodze do sklepu intensywnie myślała o zabezpieczeniu małej przed porwaniem. Wyrzucała sobie swoją głupotę. Przecież na takie intratne dziecko każdy może się polakomic — myślała.

Sklep był już zamknięty. Przed drzwiami stała grupka kilku osób — kolejka na następny dzień. Krystyna spostrzegła wózek małej stojący obok sklepu. Podeszła do wózka, nie wiedziała co ma robić.

— Czego pani szuka? — zagadnęła ją kobieta z kolejki.

— Dziecka. Kuzynka wzięła rano na spacer — mówiła Krystyna — i do tej pory jej nie ma. A tutaj stoi wózekek Ani.

Zdriwne — pomyślała Krystyna — nigdy nie używałam jej imienia. Zapomniałam nawet, że ma na imię Ania.

— To pani nic nie wie? — odezwała się kobieta.

Ludzie stojący pod sklepem otoczyli Krystynę kółem

— Jeździ to pani dziecko z tego wózka, to niech pani pójdzie na milicję — powiedział starszy pan. — Tutaj około czternastej tak się pchali, że udusiłi jakiegoś niemowlę.

— To było dziecko z tego wózka, podobno dziewczynka, taka ciemna — dokończyła kobieta, która odezwała się pierwsza.

MUCHA

Skąd ona się tu wzięła? Okna pozamykane, drzwi od kilku dni również zamknięte. Pewnie z tych resztek sera, który leży na stole w kuchni. Jej brzęczenie jest przyjemne wśród niecznośnej ciszy, jaką zostawił po sobie zegar, który niespodziewanie zamilkł. Ile czasu już upłynęło? Dwa, trzy dni, może dłużej. Coraz trudniej mi dotrzeć do łazienki, nie mam już nic do jedzenia i bardzo chce mi się pić. Ja wiem,

oni nie mają czasu. Przecież Henio uczy się do doktoratu, Elżunia pracuje, no i wychowuje dziecko.

Pani Molikowa, jak na złość, wyjechała do sanatorium. Henio obiecał, że załatwi mi też sanatorium, ale nie miał czasu. Ile to już lat jak sprzedali moją gospodarkę? Może z pięć, a może więcej. „Mamie będzie lepiej w mieście — mówili. — Mieszkanie się załatwi, a i nam będzie bliżej mamę odwiedzać”. Odwiedzają, ale raz na pół roku, jak imieniny albo rocznica śmierci Jurka. W Twornikach nie byłabym taka samotna. Zawsze ktoś by przyszedł i wszędzie blisko.

Ta choroba teraz, kiedy jestem sama i już niepotrzebna (tak nigdy o tym nie myślałam, nie było czasu myśleć, że kiedyś mogę być niepotrzebna), przyszła w samą porę. Może Bóg da, że odejdę z tego świata niedługo i oszczędzi długiej, przykłej samotności.

Już nie mogę jej znieść. Doszło do tego, że cieszę się z każdego ostrzejszego bólu. Tylko co będzie, jeśli umrę i moje ciało zacznie się rozkładać, zanim mnie odwiedzą? Tego boję się najbardziej. W domu starców byłoby mi po stokroć lepiej, ale Henio powiedział, że mnie nie odda. „Stać nas na to, by mama miała piękne mieszkanie i nie będzie się mama tuliła po przytulakach”. Tak powiedział. Ale co mi z tego, że mam mieszkanie z balkonem, telewizor kolorowy i żywność z Peweksu na podłogach. Stary człowiek potrzebuje czułości i opieki jak dziecko...

Znów tu jest, jak przyjmienie brzojcy. Rozwesała tę nieznosną ciszę. Nawet Kowalscy zza ściany od kilku dni się nie kłócą. A tak chciałabym usłyszeć choć szepi ludzi. Tylko ona tutaj jest ze mną, też samotna i uwięziona jak ja. Ciekawe ile muchy żyją? Henio na pewno by wiedział. Elżunia też. Są tacy mądrzy. Dobrze wychowałam swoje dzieci, wykształcałam je, mogę być dumna. Jurek był jeszcze zdolniejszy i bardziej czuły dla mnie. No cóż, Bóg chciał go zabrać do siebie w kwiecie wieku. A tyle razy mówiłam, żeby uważał, żeby nie jeździł swoim mercedesem zbyt szybko. Studenci go lubili. Już siedem lat nie żyje i zawsze są świeże kwiaty na jego grobie. Od nich, zawsze ktoś pamięta. Niektórzy są już statecznymi okami rodzin i jeszcze pamiętają. Gdyby Jurek żył, pewnie także przynosiłby kwiaty na mój grób, kiedy umrę. W grobie chyba będzie też tak smutno jak tu, w tym mieszkaniu. Może ja już umarłam? Nie, niemożliwe, bo jesć mi się chce i pragnienie mam coraz większe, a już nie mogę się podnieść.

Znowu jest i brzojcy cichutko i miło. Żeby już nie wylatywała do kuchni, niech sobie zostanie tutaj, ze mną. Gdyby ktoś choć drzwi zamknął. Zostalabym sama z tą muchą. Przecież wiem, że każdy ma swoje życie. Znów ten ból.

Myślałam, że może zrobić Mireczkowi czapkę i szalik na zimę, ale już chyba nie dam rady. Zawsze Henio prosił, żebyim im robiła swetry, czapki, szaliki i rękawice na drutach. Przypominał mi, jak siedziałam wieczorami, oni z Jurkiem bawili się, a ja im dzierałam „te cudenka”. Tak powiedział — cudenka. To dobry chłopak, pamięta nawet takie rzeczy, kocha starą matkę. Jakże mogłoby nie kochając pamiętać tak drobne sprawy. Michał, gdyby dożył, na pewno byłby dumny z synów...

Poleciała, może dlatego, że myślę głośno. Już nie będę. Rzeczywiście

mój głos dudni w tych betonowych ścianach tak, że nawet mucha może się przestraszyć.

Przypominał mi Henio również te wycieczki do lasu co niedzielę. Opowiadał przy mnie Elżuni, że taka byłam dzielna, że na wszystko znalazłam czas. Zawsze kiedy przychodzą, wspominamy. Bo właściwie o czym mają rozmawiać ze starą matką? Przecież nie o swojej pracy, pewnie nie bym nie rozumiała. Ja lubię te wspomnienia, mimo że przypominają mi o tym, iż czas już odejść, i żeby były nie wiem jak wesołe, zawsze jest mi smutno. On nie bardzo je lubi, widać, że się zmusza. Może dlatego tak rzadko przychodzą? Jeżeli jeszcze będę żyła, to nie dam im tak męczyć się na wizytach u mnie. Nie pozwolę, by nudzili się, wspominając.

Czy byłam dobrą matką? Być może zrobiłam coś złe, bo nie przychodzą częściej? Może mają żal, że sami dorabiali się wszystkiego tu, w mieście? Ale przecież ja mówiłam, żeby przyjeżdżali i brali, co chcieli. Było co brać, pracowałam jak mogłam, na tej ziemi, no i wysyłałam od czasu do czasu parę złotych, jak sprzedalam ziemiarki czy pięćmi. Może to też ludzkie języki tak mi nastawily dzieci, że niby to ja narzekam, że nie przyjeżdżają pomagać? Ile to razy Dominikowa albo Bartoszka przychodzily i zrzędzily na swoje dzieci. A moje przecież lepsze niż ich. Dominikowej dziewczucha to starą do domu starców oddała, a Bartoszki synowie po kryminalach siedzieli. Później przyjeżdżali, a jakże, ale pracą się nie zhańbili, tylko na jej garnuszku dotąd siedzą.

Chciałabym przypomnieć sobie coś miłego. Jaki to człowiek niesprawiedliwy! Powiodło się moim synom. Nie było to życie zawsze łaskawe, ale na koniec się odwróciło. I szczęściem nie umiem się cieszyć. Grzech. Pan się gniewa i dlatego doświadcza staruchę. Pamiętam, jak Mireczek był u mnie na wakacjach. Włożył sobie żelwny sagan na głowę i nie mógł zdjąć. Najedliśmy się strachu. A później ile było śmiechu. Tylko Henio narzekał, że nie podobałam...

Znów jest, jak miło brzojcy. Na wsi byłaby utrapieniem, pewnie próbowałabym ją złapać. A tu — ot, towarzyska. Ciekawe, co oni teraz sięją na mojej ziemi? Kto ja wziął — nawet nie chciałam wiedzieć. Dobra ziemia, tłusta, pachnąca. Tak bym sobie posiedziała w zbożu, popatrzyła jak zbierają, przestę jeszcze są zniwa. Wytąd mi było prosić, by mnie pochowali w naszej ziemi. Oni — moje dzieci — tacy dla mnie dobrzy. I co ja tutaj będę robiła w tej obcej, miejskiej ziemi. To nie ziemia, tylko glina i piach. Tak mi było żal, że Jureczka schowali na taką półkę jak do szuflady i przywalili ciężką płytą. Zienny grób to jest grób! I krzyż bodaj z brzożowych gałązek, a nie taki ciężki. Niby to ładne. Nie chcę tak leżeć, jak ryba w puszcze, pod ciężkim głazem na dodatek. Ale jak im to powiedzić? Znowu się obraża, że chcą jak najlepiej, a ja grymaszę jak dziecko.

Tak, to już chyba na mnie pora przyszła. A to i dobrze, po co mam żyć? Dzieciom się już nie przydam i tylko kłopot ze mną mają. Ręce nie byłyby takie twarde, żeby nie ten reumatyzm. Tak ładnie haftowałam. Może bym jeszcze co zrobiła? Moje serwetki w czasie wojny wieś ocaliły.

Gdyby nie one, spaliliby nas, tak jak sąsiednie Betudy. Był taki jeden oficer niemiecki, który przychodził po moje serwety i żądał następnych. Ja hańlowałam, no i wieś zostawiał. Później już nie mieli czasu. A nie gadali ludziska, że to niby Hitlerowi się wysługuje? Dopiero Michał, kiedy wrócili z lasu, powiedział, że to przez serwetki, moje serwetki, ludzi i chałupy los sąsiadów nie spotkał...

O, siadłaś sobie brzęczucho, przy mnie. Posiedź, posiedź, pogadamy! Co by człowiek poczył bez drugiego albo i bez stworzenia żadnego? Trzeba było przytyle tyle lat, żeby przekonać się, że nawet mucha może dać trochę radości. I takie to madre, lazi po mnie i nie ucieka, wie, że się już nie ruszę. Boże, jakże to umierać bez księdza, samemu, bez spowiedzi? Panie zlituj się nade mną! Tyle lat, mnie, grzeszną, zrymałeś przy życiu, zachowaj jeszcze trochę, żebyśmy mogła umrzeć w swojej ziemi, wśród ludzi. Oszukam ich, wyjadę i tam umrę. Ja chcę u siebie. Tamta ziemia mnie przyjmie, ta wyrzuci. Tak boli, chyba już nic nie mówię.

Mucho... to przecież ty jedna, to Jurek. Nie, to ty, Michale? Przeszedłeś po mnie. Tak, ty kiedyś mogłeś po mnie przyjść. Poczekaj idę, już idę...

TEATR LALEK

Szedł prosto przed siebie, nie zastanawiając się nad tym dokąd idzie i w jakim celu. Jego myśli krążyły wokół własnej osoby. Co on robi tu, na Ziemi? Coż to znaczy przeżyć życie? Wypełniać dni pracą, cierpliwie prowadzić grę? To wszystko obyczaj, przepisy, regulaminy, udawanie. Czy kiedykolwiek śmiał się szczerze? Czy mówił szczerze? Jego istnienie to jedna wielka pomyłka. Po co wegetuje w świecie, który go drażni? Mało tego, nienawidzi się wzajemnie. Są sobie obcy, jednocześnie znają się doskonale. On wie czego może oczekiwać od rzeczywistości i od otaczających go ludzi. Zawsze miał wrażenie, że jego życie to swoista kara. Ale za co?

Kiedyś był wierzącym człowiekiem. Jednak od czasu, kiedy zrozumiał, że przyczyną jego nieszczęścia jest nienawiść Boga do niego, również zmienił światocę. Od tej pory obwiniał Go o wszystko. Nie mógł tylko znaleźć odpowiedzi na pytanie dlaczego? Dlaczego to właśnie on posiadał właściwości tak głębokich odczuwania i widzenia, że to wszystko co dzieje się naokoło nie ma sensu.

Na ludzi patrzył z ironiczną pobłażliwością. Odczuwał dla nich tylko litość. Uważał ich za zabawki w rękach tego, wspaniałego dla nich, kochanego bóstwa. Dla niego był tylko fanatykiem i diabłem, poruszającym ludźmi jak marionetkami w tym wielkim teatrze jakim jest świat. A wszystko tylko po to, by mieć rozrywkę.

Kiedy jeszcze chodził do kościoła myślał, że jego cierpienia są pokutą za życie w poprzednim wcieleniu. Zastanawiał się kim wtedy mógł być? Mordercą, myślicielem zaprzeczającym celowości istnienia religii, czy może uwodzicielem? Śmiał się teraz ze swojej naiwności.

Wyrzucił sobie, że dał się zwieść jak pierwszy lepszy człowiek.

Kobiety nie interesowały go jako fizyczne istoty. Nie zauważał u nich płci odmiennej. Lubił na nie patrzeć tylko ze względów estetycznych. Ich psychika potwierdzała jego przypuszczenia, że są tylko lalkami w rękach Boga. Bo czym można wytłumaczyć ich głupio poddańcze umartwienie się wobec mężczyzn, nad którymi górują sprytem, inteligencją, pracowitością i kondycją psychiczną? Związki między kobietami i mężczyznami, począwszy od przelotnych romansów skończywszy na małżeństwach, w ogóle miłość, były dla niego równie śmieszne, co bezsensowne. Drażniło go, że właśnie dzięki takim związkom Stwórca ma wolną rękę do działania. Zrozumienie tego, dlaczego kochamone pary unicestwiają swoje człowieczeństwo, było ponad jego siły. Jak można tak bezmyślnie leżeć w łapy potworowi. Monstrum, które właśnie wtedy nieskrępowanie może działać, wyniszczając jednostki.

Mężczyła go sytuacja, że on jeden świadomy tego wszystkiego musi żyć w swoim własnym magazynie kukiel i patrzeć. Postanowił działać. Pokazał ludziom ich głupotę. Nie bardzo wiedział jak to zrobić. Zaczął od rozmów ze znajomymi. Patrzyli na niego z politowaniem, śmieli się. Krzyczał na ulicach — wzięli go za wariata. Po kilku miesiącach bezskutecznych usiłowań znalazł sposób. Skoro niewolniczość i poddaństwo są głównymi cechami ludzi, musi wziąć na siebie rolę Boga. W ten sposób będzie z Nim walczył. Ludzi podporządkuje sobie. Wybrał do tego celu najpierw kobiety. One najprędzej zrozumieją i najłatwiej je przystosować. Te, które się dostosują — przeżyją, resztę trzeba zgładzić. Wtedy on, pan i stwórca, zacznie tworzyć nową populację ludzi myślących prawidłowo. Był pewien, iż jest to najwłaściwszy sposób. Nareszcie znalazł sens życia.

Pierwszy raz poszło mu dość sprawnie i bez zbędnych ceregieli. Kobieta była ładna i naiwna. — Jak one wszystkie — myślał wpatrując się w jej białą twarz. Wystarczyły tylko dwa spotkania i dała się zaprosić do domu. Później tylko kieliszek domowego wina, które maskowało kwaśny smak... Patrząc na jej nienaturalnie rozszerzone oczy zastanawiał się co zrobić z ciałem?

Zima tego roku była bardzo mroźna. Silnik samochodu stawał opór. Później musiał wywiercić otwór w krze na jeziorze, odpowiednio dużę, by zmieściła się Ewa. Nazwał ją Ewą, ponieważ była pierwsza. Wrzucił za nią trzy gerbery zabrane z domu. Był z siebie dumny, że nie zapomniał o kwiatach.

W dwugodzinnej drodze powrotnej zastanawiał się nad innym sposobem pozbywania się zwłok. Za dużo czasu i energii w to wszystko wkładał. Mijał właśnie wiejski cmentarz i nagle obłoniła go myśl. Przecież można podrzucić zwłoki do starych grobowców. Tam nikt nie będzie ich szukał. Szczególnie teraz, w taki mróz pewnie nie chodzią na cmentarz, a wiosenne roztopy zatrą ewentualne ślady. Prócz tego to bardziej estetyczne niż topienie, czy kawalkowanie. Znajdzie taki cmentarz na magazyn dla tych bezwładnych i bezmyślnych kukiel

Pół roku spędził na próbach przekonywania. Te głupie manekiny nie

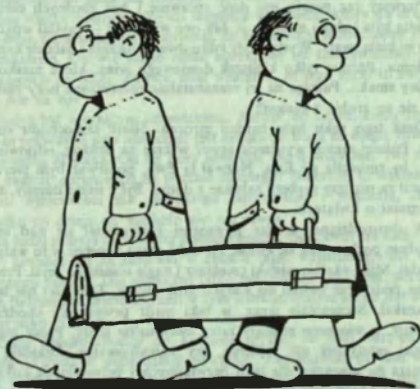
rozumiał, że on chce im pomóc. Miał dość próśb i zlorzeżeń swoich ofiar. Prędko zrozumiał, że musi działać sprawnie. Tutaj w tym paradoksalnym świecie nie doceniano jego wysiłków. Chciano go złapać i zamknąć. Mieli już jego portret pamięciowy. Tak, pamiętał, że któraś z nich przyszła na spotkanie z koleżanką. Chciał ją później odszukać i pozbyć się świadka, ale gdzieś przepadał.

Za każdym razem kiedy uciekał, zacierając ślady, pocieszał się, że kiedyś odplaci wszystkim za to upokorzenia. Od dawna charakteryzował się, wcułał w różne postacie. On, bóg, mógł być wszystkim i decydować o życiu lub śmierci.

Długo nie mogli go złapać. Jednak pewnego dnia wpadł prosto w ręce ścigających. Zdążył zabić zaledwie kilka kobiet. Żadna nie chciała go zrozumieć. Tym, którzy zamykali go tłumaczył, że robił to dla ich dobra. Patrzone na niego z nienawiścią.

Nie od razu rozumiał co chcą z nim zrobić. Śmiał się, że chcą zabić boga, istotę nieśmiertelną i wszechmocną, nowego stwórcę. Zastanawiał się dlaczego mają do niego pretensje? Dlaczego nienawidzą go podczas gdy tamtego kochają? Może gdzieś popełnił błąd? Miał czas na myślenie, powoli rozpamiętywał swoje czyny. Pamiętał jak wiele kobiet, które zabijał prosiło o darowanie życia ze względu na dzieci. Przecież on też był dzieckiem, kochał bardzo swoją matkę. Pamiętał co przeżył kiedy umarła. Powiedziano mu wtedy, że Bóg ją zabrał. Później wszyscy nienawidzili się do niego. Dlaczego on nie mógł zabrać tamtych matek? — nysłał idąc na ostatnią rozprawę — dlaczego?...

Urszula Gierszon



SADURSKI.

MARCIN ŚWIETLICKI

Kraków 82

Hiob — tłusty, siwy — w nieczystościach chudnie.
Dalej — Rynek — gołębie — przedpierszomajowo

Władza jest doświadczana brakiem snu i pracy.
Pięlgrymki już czekają, kryją się za rogami.

Tak spokojnie, że kastet staje się gąbczasty.
Na parapetach duszą suszone relikwie.

Baczyński

Ta okolica bywa nienormalna.
Trawa tu biała, mrówki chude
Prasek drętwo jak papier szelęci.
W piasku jest szkło, niektóre ziarenka piasku
dzięki temu bywają czerwone.
Tłumy takie, że trudno rozróżnić:
— ludzie, konie, pnie drzew czy widma?
Ja nie wiem, czy Baczyński mógł utrzymać karabin,
lecz widziałem, że strzela.
Ścieżki się bardzo rozbiegły.
Byłbym go nienawidził, gdyby teraz był
starszkiem, emerytowaną
katastrofą.

(w wosaku, 1984)

Celebracja wyjazdu

Nawet w zamkniętym pomieszczeniu niebo jest ogromne
i nigdy nie maleje — i nigdy nie stygnie.
tak więc z krzesła oglądam niebo i nie myślę.
nie wypominam niebu wszystkich jego obelg.

Trzymam nogi wysoko — ziemi nie dotykam,
mógłbym nawet zapomnieć, że mnie nogi krzesła
i tak złączyły z ziemią — nie można mi wierzyć,
kiedy mrużę pod nosem — „dobrze, że wyjeżdżam”

Najbardziej żal mi jest przedmiotów,
które oddałem, które pożyczylem
dawno umarłym, dawno obojętnym

Na papierze wyraźnie napisano: WOLNY,
ostrożnie, bez radości wychodzę w powietrze
dnia, w którym skamienieje moja wyobraźnia

Jonasz

Młoda zima, beznieżnie. Och, dzisiejszy wieczór
uczynił z tej ulicy wnętrze wieloryba.
Byłbym nie zauważył — lecz w sklepie warzywnym
sprzedawano fragmenty podmorskich zarośli
i neony w tej chwili zaczęły wysyłać
mgłę i wilgoć. Kaluże pełne tranu i krwi.
Przy krawężniku znalazłem muszelkę
i poczułem, że jestem
trawiony.

Amnesia

Zanim poznali gruntownie wszystkie zagadki sufitu,
zanim tutejszy chleb im wszedł gruntownie w naturę,
zanim gruntownie się związali uczuciowo z tym
parszywym miejscem i zanim się stało zupełnie
ich jawą i ich ziemią —
zapaliło się światło.

Zanim ich narzeczone poczuły, że ich brak
da się zastąpić obecnością czyjąś,
zanim ich matki osiągnęły szczyt
urojonej tęsknoty, zanim dokumenty
przysłano ze stolicy —
zapaliło się światło.

Jest fachowiec, eo śpiewa tak smutne piosenki,
że mu się lzy od razu pojawiają w oczach,

jest śmierć i zdrada, co się nie chcą zdarzyć,
jest wolność pełna noży, pełna czarnych światel.

Jest ślina głodna w ustach i jest pusto śmiesznie,
kiedy się wraca do mieszkania, gdzie
jedzą kolację i nasze wtargnięcie
nic specjalnie nie zmienia, wciąż jest ten sam wieczór.

Marcin Świątlicki

Książki nadesłane

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”

Jerzy Afanasjew: *Nas parzy. Satyry*. Ss. 204, nakład 15 000 egz., cena zł. 250.— Seria „Biblioteka Starczyka”.

Biskup spotkania II. Opowiadania fantastyczne. Wybór Maciej Parowski. Ss. 88, nakład 40 000 egz., cena zł. 80.—

Apuasz pod Girwanem. Opracował Roman Hennel. Ss. 536, nakład 30 000 egz., cena zł. 850

Oleg Kuwajew: *Argonaucci Dairakaj Północy*. Przetłóżył Eugeniusz Piotr Melech. Ss. 400, nakład 20 000 egz., cena zł. 180.—

Marek Oramus: *Wypowiedzenie osobiste*. Ss. 284, nakład 5000 egz., cena zł. 300.—

Janusz Ocieka: *Tęgo nar była w TV*. Ss. 244, nakład 16 000 egz., cena zł. 250.— Seria „Biblioteka Starczyka”.

Tadeusz Siejak: *Pastyria*. Ss. 336, nakład 10 000 egz., cena zł. 300.—

Eugeniusz Sue: *Tajemnice Paryża*. Przekład anonimowy przejrzały i poprawiła Zofia Wasilowa. Wyd. 2. Ss. 400, nakład 100 000 egz., cena zł. 600.—

Władimir Szalner: *Szalas dżinnska. Romantyczna historia przypadków nieostrożności, bezkarności skrajności i anomalności*. Przetłóżyli Tadeusz Gosk i Anita Tyrskowska. Ss. 304, nakład 20 000 egz., cena zł. 220.—

Marek Twan: *Feralny krąg*. Przetłóżyła Krystyna Tarnowska. Ss. 72, nakład 100 000 egz., cena zł. 80.—

Georgij Uszakow: *Niektóre ziemie*. Przetłóżył z rosyjskiego Łukasz Szymanski. Ss. 320, nakład 20 000 egz., cena zł. 280.—

Janusz A. Zajdel: *Limex inferior*. Wyd. 2. Ss. 184, nakład 50 000 egz., cena zł. 240.—

Galaktyka I. Radziecka fantastyka naukowa. Wybór Tadeusz Gosk i Sławomir Kędziński. Ss. 368, nakład 40 000 egz., cena zł. 500.—

Galaktyka II. Radziecka fantastyka naukowa. Wybór Tadeusz Gosk i Sławomir Kędziński. Ss. 344, nakład 30 000 egz., cena zł. 450.—

JAN KLIMECKI

PRÓBA

(fragment)

„Muszę się uspokoić. Dojść do siebie. Otrząsnąć się. Odetchnąć. Ale jak mam odetchnąć, kiedy wszystko stało się już tylko szarpaniną. Nawet ten mój na pozór spokojny oddech. Jestem teraz tutaj, nad Wisłą, gdzie zawsze kieruję pierwsze kroki swoich ucieczek. Ciągłe tylko uciekam, ale ostatnio uciekać przed siebie. Lepsze to, niż na miejscu zakalać palce się w jakąś chorobę i wygrzebywać potem tygodniami z własnej beznisłości za pomocą uspokajaczy, czy psychotropów, trzęsąc się przy tym jak osika ze strachu o to, co ludzie nazywają swoim marnym życiem. Wart jest pozłoty mój znakomity przyjaciel za to, że nauczył mnie w ten sposób wykorzystywać luksus samotności. Najważniejsze, że nie muszę się spieszyć. Jestem nawet troszeczkę zadowolony z tego, że na dzisiejszą noc nie załatwiłem sobie żadnego noclegu. Odpowiedni pokój dostanę dopiero jutro. Mam dużo czasu. Noc długa, a przed sobą mam co najmniej kilkanaście kilometrów tej drogi. Jest gdzie iść po spokój. O tej porze nie spotkam tu zapewne żywego ducha... Ból w piersiach jeszcze nie przeszedł. Żebra i mięśnie zaciskają się do wewnątrz. W płucach brakuje miejsca na tlen. Przejdzie. Trzeba tylko wyrzucić ten ból z myśli... No tak, nie zawsze mi się to udawało... Tylko, że wtedy mogłem być tutaj zaledwie przez dwa dni. Przyjechałem w południe, pokój miałem zarezerwowany, więc od razu ugrzązłem w knajpie. Nie wypilem dużo, ale przed wieczorem zwalito mnie z nóg ogromne zmęczenie. Poszedłem wcześniej spać. Następnego dnia kociokwik — wszystko na nic. Wieczorem też nie potrafiłem się skupić. Noc przeszła i nie załatwiłem sprawy, a od rana musiałem już myśleć o powrocie. Od tamtej pory wiem, że odpowiednia jest tylko pierwsza noc. Potem już można odpocząć. Kuurrrwa!!! Te płyty chodnikowe powykrywane są każda w inną stronę. Gdybym był w sandałach rozpieprzyłbym duży palec dokumentnie. Trzeba skrócić krok. Dopiero wpół do dwunastej... Papierosów na pewno mi zabraknie. Ech, żebym chociaż dokładnie wiedział, z czym tu tym razem przyjechałem. Dawniej przynajmniej wiedziałem jakie mam problemy. Dzięki odległości mogłem je wyraźnie oglądać i rozwiązania przychodziły niemal same. Należało je tylko właściwie wybrać. Teraz nie wiem, czując tylko, że jest już bardzo źle, że sam siebie nie potrafię ocenić, ale do rana jest jeszcze bardzo daleko...”

„Punktualnie o dziesiątej wyszedł z kawiarni, która mieści się w Domu Turysty i skierował się w stronę Biura Kwater Prywatnych. Drzwi zastał na glucho zamknięte. Wyszedł z budynku i usiadł na ławce ustawionej pod oknem biura, opatrzonym wielkimi, ciężkimi skrzydłami okiennic zamkniętych od zewnątrz na żelazną sztabę z dużą kłódką. Zapalił papierosa i patrzył na ptaki, które tuż za plotem dziobały z najwyższych gałęzi starej czeresni nie zerwane owoce. Słyszał odgłos brzęczącego za okiennicami telefonu. Wstał na widok energicznie zdążającej do budynku młodej kobiety, która uśmiechała się i gorączkowo gestykulując coś mu tłumaczyła. Pomógł jej otworzyć wrota okien. Można było łatwo dostrzec, że spotykały się już wielokrotnie. Przy wejściu do budynku ustąpił jej miejsca, aby mogła wejść pierwsza.

Biuro Kwater Prywatnych zajmowało jeden duży pokój. Kobieta natychmiast podeszła do biurka i małymi kluczykami otwierała zamki szuflad. Wyjmowała z nich zeszyty w twardej oprawie, jakieś formularze, bloczki, pieczątki i długopis. On podchodził do biurka bardzo powoli. Położył swój dowód osobisty, wziął z jej rąk jeden formularz i wypełniał starannie w miarę równym piśmem wszystkie rubryki. Wtedy właśnie znowu zadzwonił telefon. Kobieta słuchała w skupieniu, a on zajęty pisanie nie zwracał na nią uwagi nawet wówczas, kiedy usilnie starała się swemu rozmówcy coś wytłumaczyć.

Skończył pisać niemal w tym samym momencie, kiedy ona odłożyła słuchawkę. Znowu podeszła do biurka i położył przed nią podpisany papier. Podniosła głowę, chwilę przytrzymała na nim swe spojrzenie, a potem wzięła do rąk zapisany arkusz i podała go. Następnie wyrwała z bloczka dwa ostatnie kwity i też podała, z zeszytu w twardej okładkach wykreśliła to, co przed chwilą tam zapisała. Oddawała mu dowód osobisty i bardzo szybko coś mówiła. Była przy tym mocno zmieszana. Niby nie gestykulowała, ale znacząco rozkładala ręce. Słuchał spokojnie, lekko tylko uniósł ramiona, schował do kieszeni dokumenty, w końcu rezygnacyjnie machnął ręką. Stała milcząca. Coś chyba powiedziała na pożegnanie i spokojnie wyszedł. Delikatnie zamknął za sobą drzwi”.

„I chuj, co po łacinie znaczy podobno „hui”, czyli to samo. Ciągłe to samo. Uszy puchną od gadania w kółko o reformie i przemianach, a ciągle jeszcze wystarczy jeden telefon z sekretariatu jakiegoś ważnego urzędnika, a już wszyscy czlowieka mają w dupie. Zawsze tak samo... Wszystko jest już teraz we mnie samym zmęczeniem, najgorzej nogi, ale nie, jeszcze stąd nie wyjadę. Trzeba to przetrzymać, przeczekać. Byle dotrzeć do nocy, a potem znów do rana. Przed siebie. Ech, w dupe... Tu niedaleko, na zbozcu jednego z wąwozów jest małańka, zaciszna polanka. Za kilka godzin wypełni się cieniem. Przed wieczorem spróbuję tam wyciągnąć nogi i może uda mi się trochę zdrzemnąć. O zmroku będzie już łatwiej. Teraz najlepiej zrobić, jeśli spokojnie wrócę

posiedzieć w chłodnym półmroku kawiarni. Kawa i koniak, niech mnie to kosztuje, może nie padnę. Byle przeczekać południe... Sezon w pełni. Ludzie jak mrówki maszerują na plażę. Nawet nie dziwię się tej wdzięku pełnej pindzie, że mnie tak załatwila. Przywykła już rozkładać ręce. Zdenerwowała się. Obiecała mi przecież, może dlatego. Rozkładanie rąk — gest bezradności. Dziś już mnie to tylko śmieszy i nawet nie chce mi się nie tłumaczyć, kiedy sam ręce rozkładam. Normalna. Nie to co kiedyś, gdy się wkurwiałem, ulegałem stresom, uciekałem w choroby. Ileż to kosztowało mnie bezsennych nocy, zanim zrozumiałem, że jest to zjawisko powszechne, znane wszystkim, tolerowane, a niekiedy wręcz wymagane. Wiem też, co wszyscy osobno o tym myślą i w jaki sposób wspólnie o tym milczą. Teraz już wiem, że zniszczy nas masowo uświadomiona bezsilność, kilkanaście milionów rozłożonych rąk. Ale jednak, chociaż tylko pozornie, uciekam, o co więc chodzi? Uciekam kiedy jest mi źle, kiedy w codzienności pojawia się coś nowego, co mi przeszkadza, czego nie mogę zrozumieć, ani nawet nazwać nie potrafię, kiedy sam nie wiem, z czym jeszcze nie umiem się pogodzić... Tyle już godzin zmarnowałem i nie doszedłem do siebie. Ciągłe nie wiem przed czym uciekam. Nie wyganiają mnie z domu kłopoty rodzinne. Nie, ani Anna, ani Adaś. Na tym polu jeszcze panują. A w pracy? — chyba też nie. Odkąd już umiem cieszyć się radością dźwięki, takiej co bierze pieniądze za samo czekanie na chwilę, kiedy zawołają ją do roboty. Cóż więc to jest?... Byle do nocy. Może już jutro będę wiedział”.

„Ucichło. W kawiarni zapanowała cisza. Nawet z najbliższego rogu, gdzie przed chwilą usiadł młody chyba mężczyzna, który przy barze zamawiał kawę i koniak, nie dochodzi żaden szelest. Na sali jest pustawo. Gdzieś w pobliżu okna rozmawiają dwie kobiety. Mówią półgłosem. Nie słysząc o czym. Ktoś, chyba, tak z pewnością bufetowa włączyła radio. Łączą się z Krakowem, dochodzi dwunasta

W hallu zadzwonił telefon, ale nie słysząc kto odebrał. Stukot filiżanek i szuranie krzesel. To wychodzą te dwie spod okna. Został tylko mężczyzna.

Cisza. Radio podaje wiadomości z kraju i ze świata. Ktoś cicho, ale szybko przeszedł przez korytarz.

Znowu długo cisza. W radiu piosenka o tym, że gdzieś się palił słomiany ogień, palił się we mnie i palił w tobie... Cholerne radio wszystko zagłusza. A, teraz facet wstaje. Podchodzi do lady, a kiedy bufetowa wychodzi zza przepierzenia zamawia jeszcze raz małą kawę i duży koniak. Drzwi z hallu na zewnątrz wielokrotnie skrzypią, wchodzi wiele osób; mężczyźni i kobiety. Na sali niewielki hałas, trudno się polapać. Ach, to znowu jakieś kobiety siadają w głębi sali. Mężczyzn nie słysząc. Nie, jeden z nich podchodzi do kontuaru i mówi:

— O, Piotrek?, kiedy przyjechałeś? — to do tego faceta. Pozostali chyba tylko zajrzeli do środka, lecz nie weszli.

— Cześć Zdzichu! Jestem tu od wczoraj — odpowiada leniwie (rozmawiają niemal przy samym barze, bardzo dobrze słysząc).

— No wiesz, i do tej pory nie pokazałeś się u nas. Zresztą to nic. W tej chwili nie mam czasu, nie mogę tutaj z tobą posiedzieć — mężczyzna mówił bardzo szybko, ale wyraźnie — mam tu na górze załatwić mały interes, jednak koniecznie przyjdź dziś wieczorem. Wiesz, dzisiaj spotykamy się u Bronisława. Może być wesoło nawet do rana. Będę czekał, przyjdź koniecznie, a teraz trzymaj się.

— Dobrze przyjdę, o ile nie trzeba mieć ze sobą połówek — facet nie przejawiał entuzjazmu.

— Nie ma sprawy, tylko przyjdź — głos mężczyzny doleciał od drzwi wejściowych. Wyszedł. Jedna z kobiet zamówiła trzy kawy, z głębi dobiegł głośny śmiech i pojedyncze słowa.

Odgłos damskich kroków w hallu. Wysokie obcasy charakterystycznie dzwięczą po posadzce. Wchodzi, idzie prosto do jego stolika. Przysiada się. Dobrze słysząc jej głos.



SADURSKI

— Ja bardzo pana przepraszam. Tylko na chwileczkę. Pomyślałam sobie, że tutaj na pewno pana jeszcze zastanę. Właśnie przyszła koleżanka, więc skorzystałam z okazji i wyskoczyłam z biura. Bo wie pan, mnie było bardzo głupio po tym telefonie i pan tak prędko wyszedł. Ja dopiero później zaskoczyłam, że pan przecież tutaj noclegu już nie dostanie, a u nas miał pan jednak rezerwację. Ale ten telefon, sam pan rozumie, ja nie mogłam inaczej. Jak pan już wyszedł, to sobie pomyślałam, że te dwie noce, to mogłby pan przenocować u nas w domu. Tak się składa, że nie muszę wcale nie uzgadniać z rodzicami, bo właśnie wyjechali. Wrócą w przyszłym tygodniu. Mogłby pan zostać nawet dłużej i nie tylko miejsce, ale nawet pokój się znajdzie. Pan mnie rozumie prawda, rodzice tak normalnie nie wynajmują letnikom, ale ja pana proszę, bo pan przecież zawsze, jak tu przyjeżdża, to u mnie te noclegi załatwia, a dzisiaj tak przykro wyszło, więc ja pana bardzo proszę. Będę w domu po szóstej. Kąpielowa szesnaście. Taki zielony domek w ogródku. Przyjdzie pan?

— Dziękuję pani bardzo. Nic wiem tylko, czy kłopotu nie sprawię dużego?

— Ależ nie. Jeszcze raz pana proszę.

Znow przedki stukot obcasów i skrzypienie drzwi na zewnątrz. Zaraz potem brzęk szklanek w głębi sali. To wychodzą te trzy kobiety. Mężczyzna został sam”.

„Brr, zimno. Już niedaleko do zmroku. Ziemia stygnie. Niedługo pojawi się rosa. Sucho w ustach. Trzeba otworzyć butelkę schowaną w torbie. Jej owalność wgniotła się w mój kark, tak że ledwie mogę poruszać głową. Gdzie wsadziłem szczyrytkę? Aaa, dobra. Nie zdążyła jeszcze się zagrzać. Jeszcze kilka lyków. To był dobry pomysł, aby przy każdym wyjściu z kawiarni zabierać ze sobą butelkę wody mineralnej... Za Wisłą słońce zachodzi jaskrawoczerwoną luną, czyli jutro znow będzie pogoda... Czas upływa, a ja nie nadążam. Dalej nic nie wiem. Przjrzałem się już wszystkiemu. Przemyslałem już chyba wszystko, co może warunkować moje działania, wyzwała mechanizmy obronne i satysfakcje. I ciągle nic, na razie nic. Muszę się z tym uporać! Na czym polega trudność? Skąd bierze się we mnie konieczność uciekania? Dlaczego nie wystarczy mi to, co jest? Dlaczego nie umiem pogodzić się z tym, jak jest? Tylko spokojnie, spokojnie, powoli... Ta pinda zaskoczyła mnie jednak dzisiaj podwójnie swą lojalnością wobec, bądź co bądź, interesanta. No a ta cała jej propozycja też niczego sobie, bo dziewczyna z niej całkiem do rzeczy. Ciekawe tylko, jak to się skończy, a skończyć się musi i to nawet prędko... A Zdzicho, kto tam dzisiaj będzie? Nie wierzę już w możliwość wykluczenia się istotnej rozmowy przy wódce, zwłaszcza w szerszym gronie. Zresztą nie wiem, co dzisiaj chcą fetować. Pewnie wcale nie będzie warunków do jakiegokolwiek rozmowy, a wódki to mam już powyżej dziurek w nosie. O! tak ćwiarteczkę we dwóch, to nawet chętnie, ale nie dzisiaj. To zwykle zawracanie głowy... Może zdążyć dostać gdzieś szklankę gorącej herbaty. Trzeba prędko zejść

do miasta. Cholera, przez cały dzień nie jadłem nic gotowanego. No cóż, widocznie mam ważniejsze sprawy na głowie... To prawic tak, jak pisał w swoim wierszu-piosence Olek Rozenfeld:

.....a zdążyć muszę zdążyć muszę
do siebie dojść i wytłumaczyć
skąd bierze się ten smutek ton
zbyt rzadka radość niemy głos...
...tak trudno iść, tak ciężko iść
udźwignąć świat w obutych rymach
planeta serca szybko wali
tak jakby chciała mi powiedzieć
że inni też tak przemijali
i nie zdążyli nic napisać...”

No więc tak, ja też dzisiaj wciąż jeszcze muszę zdążyć przed siebie. Wszystko inne mogę sobie bez trudu wyobrazić...”

— Uparł się pan, aby ze mną rozmawiać na temat ostatniej nocy. W dodatku, jak zdążyłem się zorientować, interesuje pana tylko ten młody człowiek, o którym wiele panu powiedzieć nie potrafię. Dla mnie, a podejrzewam, że również dla licznych moich gości, pozostał on nieznanym. Może tylko pan Zdzisio — to on przyprowadził go do nas — mógłby powiedzieć więcej.

— Nie, wręcz przeciwnie. Jak panu zapewne wiadomo, prowadzimy z żoną dom otwarty, a teraz w sezonie urlopowym, bywa u nas więcej przyjezdnych przyjaciół, niż miejscowych znajomych. Pan Zdzisio należy oczywiście do grona bliskich znajomych, więc nie oponowałem, kiedy zapowiedział wczoraj w południe, że przyprowadzi wieczorem swego przyjaciela.

— Może po kolei. Skłamałbym, podając panu taką wersję, z której mogłoby wynikać, że wczoraj wieczorem ujrzałem tego człowieka po raz pierwszy. O ile dobrze sobie przypominam, to już co najmniej od trzech lat, co pewien czas, zdarza mi się spotykać go w naszym pięknym mieście. Na ulicy, w kawiarniach, samego, czy w towarzystwie pana Zdzisio. Nie podejrzewam, aby miał tutaj wielu znajomych. Natomiast, co do alkoholu, to nie sądzi pan chyba, że w moim domu ktokolwiek upija się na umór. Wódeczka owszem była, ale tylko na tyle, aby rozluźnić atmosferę spotkania. Nie dziwię się wcale, skoro już wpłynęła skarga, że postanowił pan, w pierwszym rzędzie rozmawiać ze mną. Muszę przyznać, nie dopilnowaliśmy go, ale zapewniam, nic nie wskazywało takiej potrzeby. Nie był pijany i zachowywał się spokojnie. Myślę, że nikt nawet nie zauważył, kiedy wyszedł do drugiego pokoju. Nie sądzę jednak, aby mógł to zrobić ktoś inny. Porządek musi być, ale ja przecież nie mogę całkowicie odpowiadać za to, że z mojego balkonu,

nocą ktoś zwymiotował na spóźnionych przechodniów. czy zapóźnionych kuracjuszy.

— Tak, wyszedł zanim dowiedzieliśmy się, co naprawdę się stało.

— Ja tylko nie chcę twierdzić, bo nie ma do tego żadnych podstaw, jakoby udało mi się dobrze poznać tego młodzieńca. Wie pan, on jest skryty, to znaczy młomówny. Ale pilnie wsłuchiwał się w nasze rozmowy, jego oczy śledziły rozmówców, a on sam wtrącał czasem do rozmowy jakieś słowo. Takie słówko w formie podpowiedzi, lub uzupełnienia, czasem nawet istotne, ale na które nikt na ogół nie zwraca uwagi.

— Nic, na osobności nie rozmawiał z nikim. Raz tylko, w takim momencie, gdy zapanowała cisza, zanim rozmowa rozlała się w różne odnogi dygresji i żartów przeczytał wiersz.

— Interesuje pana ten wiersz? Mogę go panu nawet przeczytać. O, mam tutaj.

„Usta rozwierają się do krzyku i słychać
głuche mickzenie Najczęściej powtarzany wyraz
kurwa ma znaczenie uniwersalne
Zachwył Zawzięł Zgroza Zapomnienie
Nikt nikomu nie przeczy a wszyscy
chcą mieć coś do dodania W ogólnym bełkocie
głąg zdania indywiduálne Na temat
jeden za wszystkich wszyscy za jednego
już przestaliśmy dyskutować”

Zapisaną kartkę położył na kredensie. Nie wiem, czy zapomniał ją zabrać, czy zostawił u nas specjalnie. Nie wiem nawet dokładnie kim on jest, ale nie podejrzewam, aby był literatem. Proszę mi wierzyć. Znam się na tym. Ta kartka z wierszem, to zapewne jakaś młodzieńcza jeszcze forma kontestacji”.

„Ludzie z małych miasteczek. Czy tak bardzo różni od wielkomijskich megalomanów? Z pewnością. Tutaj w kurortcie występuje inna skala problemów, rozgrywanych w zupełnie innej aurze i w takim zwolnionym letniskowo-sennym tempie, ale na pewno nie brakuje też wstydliwie skrywanych dramatów i tragedii. Zostają tu tacy, którzy kiedyś przegapili swe życiowe szanse, lecz ciągle jeszcze mają nadzieję, że w ich życiu trafi się dzień, odmieniający wszystkie następne. Kurczowo czepiają się nitek, po których próbować można wspiąć się do wielkiego świata. Pielęgnują wyolbrzymione mniemania o swoich możliwościach. Dni tymczasem płyną nieprzerwanie, przykuwając ich do miejsca narosłym już przez lata ciężarem patyny, na powtarzanych w kółko odziedziczonych legendach i zmyślonych przy wódce anegdotach.

Trzeba dużej odwagi i wielkiego optymizmu, by świadomie to osiągnąć z wolnego wyboru i przeżyć swoje życie, tak po prostu, ale na miarę wyobrażeń o światowych możliwościach. Oni jednak urządzają się na tymczasem i ze strachem w oczach oglądają, wyrastające wokół ich starych mieszkań, nowoczesne wille mówiących. Tych, co to zdążyli już nalykać się szumu wielkich układów i wracają budować zaplecze na spokojną starość. Tak, patrzę ze strachem w oczach, ale nadziei nie tracę... Możliwa ta moja ucieczka, powoli, krok po kroku w noc, aż wszystko stanie się jasne. Po jaką cholere tak uciekam? Skoro zawsze wracam, to chyba nawet nie są to jednak ucieczki na serio... No nie, samobójczych zapędów jeszcze nigdy nie miałem... Tylko w dupę, dlaczego muszę, a muszę choćby Pałac Kultury miał stanąć na swej białej w ziemi igłicy, ja muszę to w sobie poznać... Czyżbym nie posiadał nic, czemu warto by oddać swe życie, tak na spokojnie, dzień po dniu, zamiast na ślepo pchać się w mrok... Zaraz, to chyba powinno być gdzieś tutaj. Może troszkę niżej, bliżej rzeki... W świetle księżycy, te wszystkie domy są jakieś takie zielonkawe. O, jest szesnaście. Jest już tak późno, a jeszcze pali się światło. Pewnie czeka. Niczego już teraz tak nie pragnę jak łóżka... Ta pinda... Te wszystkie niepotrzebne słowa. Zostaną tu jeszcze dwa dni i wrócę prosto w czekające ramiona Anny. Może jednak lepiej wrócić zaraz? Ucieczyłaby się, jak nie wiem co, po prostu z tego, że wracam wcześniej niż obiecywałem. Idiotyczne wahania, jak u człowieka w moim wieku. Ale jeśli ta pinda i to przewidziała? Ta noc może wszystko w moim życiu wyjaśnić, lub skomplikować.”

— Tak dobrze, że pani już jest, że przyjechała pani tak prędko, bo trochę już niepokoiłam się. Rozumie mnie pani, prawda?

— A jak długo?

— Po kolei. Już pani opowiadał, więc przyszedł późnym wieczorem i chyba od razu rzucił się na łóżko. Zasnął pewnie natychmiast gdyż od chwili jak zamknęłam drzwi, nie dosłyszałam żadnego odgłosu. Rano, kiedy wychodziłam do pracy, a wychodzę przed dziesiątą, to zaniósłam do pokoju mleko i bułki. Spał jeszcze i wcale mnie to nie zdziwiło. Dopiero po południu, jak wróciłam, ale też nie od razu. Było cicho i myślałam, że wyszedł gdzieś do miasta. Chciałam zanim wróci, zabrać nacznia po śniadaniu i podlać kwiaty. Wchodzę, a tam śniadanie nietknięte. Wtedy dopiero zauważyłam, że pewnie tak od wczoraj leży jak zabity, nawet butów nie zdjął. Wystraszyłam się nie na żarty. Próbuję go budzić, całkiem mocno targalam za ramię zanim otworzył oczy. Otwiera oczy, patrzy nieprzytomnie, potem chciał chyba podnieść głowę, lecz tylko usta wykrzywił, z westchnieniem opadł na poduszki i znowu zasnął. Wtedy przysła Wanda, to taka moja koleżanka. Już nie próbowałyśmy go budzić. Zdjęłam mu jeszcze tylko te buty i spodnie, a Wandę wysłałam po doktora Krukowskiego.

— To znaczy, że kiedy pani dzwoniła do mnie, to mąż spał już ponad dobę.

— No właśnie, doktor Krukowski przyszedł wieczorem, zbadał bardzo dokładnie, wypytywał nas, lecz niewiele mogłam powiedzieć. Stwierdził, że nie jest to nic strasznego, że to bardzo dobrze jak tak mocno śpi. Podał na śpiąco jakieś rozpuszczone lekarstwo i kazał zapewnić mu zupełny spokój. Rano przyszedł znowu. To on zdecydował otworzyć i przejrzeć torbę pani męża. W notisie na szczęście znaleźliśmy numer telefonu do pani. Wanda zastąpiła mnie w pracy, a ja, tak jak doktor prosił, pobiegłam dzwonić do pani, aby jak najprędzej sprowadzić panią do nas. Potem, kiedy już wiedziałam, że pani przyjedzie, to czekałam tutaj. Doktor zapowiedział, że leczenie będzie zapewne długie. Ten sen już nie jest tak głęboki. Kilka razy otwierał już oczy, ale nic jeszcze nie mówił.

— Dziękuję pani, teraz już chyba wiem wszystko. Pani tyle dla niego, przepraszam, to znaczy chciałam powiedzieć, tyle pani dla nas zrobiła, że nie wiem, czy zdołam się pani odwdziżyć.

— O, proszę spojrzeć, znów otwiera oczy.
— Ania?

— Tak, już wszystko dobrze, bądź spokojny, pani Ewa mnie sprowadziła i tak wszystko sprytnie obmyśliła, że zaraz mogłam zabrać Adasia i przyjechać natychmiast. Będziemy mogli być tu razem, aż całkiem wyzdrowiejesz. Dopiero wtedy wrócimy do domu. Och, ty Piotrek!

1983 r.

Jan Klimecki



JERZY JARNIEWICZ

Inne spojrzenie Craiga Raine'a

Enfant terrible poezji angielskiej czy pupilek krytyków? Już od pierwszych wierszy Craig Raine wzbudzał żywiołowe spory. Rozlegały się głosy, że to objawienie w nieco zasiedziałej poezji brytyjskiej. Porównywano go do Johna Donne'a, Borysa Pasternaka, kubistów i surrealistów, szukano analogii w poezji staroangielskiej, a nawet w japońskim haiku. Z drugiej strony miano mu za złe epatowanie crudą, przintelektualizowanie i akademickość. Zarzucono efekciarstwo i powierzchowność, monotonną wersyfikację, niewrażliwość na wartości brzmieniowe języka. Co więcej, po opublikowaniu wiersza *Arsehole*, odrzuconego przez szereg pism poecie groził proces o obrazę moralności, mimo że wiersz ten stanowił swobodną adaptację jednego z utworów Rimbauda.

Pierwszy tom *The Onion. Memory*, ukazał się w 1978 roku jako późny debiut trzydziestoczterolletniego wówczas Raine'a. Spotkał się z uznaniem wielu krytyków (John Osborne, Martin Amis, Michael Longley i inni). Prawdziwy entuzjazm wywołał wszakże *A Martian Sends a Postcard Home*, opublikowany w niespełna rok później. Tytułowy wiersz tego zbioru posłużył do nazwania poetyki Raine'a „szkołą Marsjan”. Termin ten, wprowadzony przez Jamesa Fentona, przyjął się natychmiast. Stał się nie tylko poręczną etykietką identyfikującą twórczość Raine'a i jego naśladowców, ale także słowem-kluczem, wyznaczającym kierunek interpretacji zamieszczonych w zbiorze wierszy.

Poetyka Raine'a polega na absolutyzacji chwytu „uniezwyklenia”, a więc kategorii wprowadzonej do literaturoznawstwa przez rosyjskich formalistów, a zwłaszcza Wiktora Szklowskiego (*astranemije*). Chodzi tu o to, co John Bayley¹ nazwał „odwiedzoną percepcją”, a co polega na ujmowaniu rzeczy codziennych, znanych, w sposób niezwykły, nowy, zaskakujący. Zasada ta realizuje się w poezji Raine'a poprzez zagęszczenie porównań i metafor, łączących dalekie i niespokrewnione przedmioty, z tym że podstawą takiego połączenia — i będzie to najbardziej charakterystyczna cecha tej poezji — jest podobieństwo wizualne, naoczne. I tak odkrzacz przypominac może pasącą się na dywanie krowę, wybrukowany dziedziniec college'u — jeżyne, a wieszaki w szafie — geometrię euklidesową².

Mimo że obok Raine'a do typowych „Marsjan” zaliczyć można w zasadzie tylko Christophera Reida, poetyka ta wywarła duży wpływ tak

¹ *Takiego terminu używa Zofia Miłanek (w:) Teoria badań literackich, Warszawa 1983, s. 203. Seweryn Polak (lumeczy) to słowo jako „udziwnienie” (w:) Wiktor Szklowski: *O prozie Rozwastania i analizy, Warszawa 1964, t. I, s. 11.**

² John Bayley: *Mokony u stranne*, (w:) *Times Literary Supplement*, 04.01.1980.
³ Wszystkie przykłady z wiersza *Badanie dwóch cali koci słonowej*, (t.) J. Andersa (w:) *Antologia nowej poezji brytyjskiej*, Warszawa 1983.

na starszych, jak i na młodszych poetów, stając się prawdopodobnie najistotniejszym zjawiskiem na brytyjskiej scenie poetyckiej ostatnich dziesięciu lat, związanym zarówno z tradycyjnym, głównym nurtem poezji angielskiej (zainteresowaniem codziennością, empiryzm), jak i otwartym na dokonania modernizmu, literaturę obcojęzyczną, doświadczenia sztuk plastycznych (malarstwo prerafaelitów, kubizm, surrealizm).

W 1984 roku pojawił się trzeci tom wierszy Raina'a Rich, w którym znaleźć można utwory wskazujące na nowe poszukiwania tematyczne (treści polityczne sąsiadują tu z tematyką „rodzinną”) i na większe zainteresowanie samą materią językową (eksperymenty w postaci stylizacji archaizującej, w naśladowaniu języka pidgin, czy też we wprowadzaniu zamierzonej niegrammatyczności): Środkową partię książki, nieczym u Lowell'a w *Life Studies*, wypełnia dłuższy utwór prozą, będący portretem ojca poety.

Z perspektywy lat, na pierwsze dwa zbiory patrzeć można jako na dwa rozdziały tej samej w gruncie rzeczy książki. Między publikacją jednego i drugiego upłynęło zaledwie kilkanaście miesięcy, przy czym niektóre wiersze z *A Martian...* powstały jeszcze w czasie pracy nad pierwszym zbiorem. Rich ukazuje się po pięciu latach jako tom wierszy, w których poeta bogatszy jest już o doświadczenia wcześniejszych utworów, świadomy pułapek, jakie mogą mu grozić. „Poetyka marsjańska” nie jest tu już z góry założoną postawą, lecz propozycją, z którą podyskutować chciałby sam autor. Rich jest książką nie będącą wyłącznie zbiorem wcześniej napisanych wierszy, ale ważnie skomponowaną całością, składającą się z trzech części (*Rich, A Silver Plate, Poor*). Każda z nich poprzedza stosowne motto. Całością paronuje Picasso, autor tak litografii reprodukowanej na okładce książki, jak i sentencji otwierającej tom (*W rzeczywistości, Bóg to tylko jeszcze jeden artysta. Stworzył zryfne, slania i kota. Brak mu prawdziwego stylu. Ciągłe tylko eksperymentuje z caraz to czymś innym*).

Raine, po kilku latach pracy w charakterze wykładowcy na uniwersytecie w Oksfordzie został w 1981 roku redaktorem działu poezji prestiżowego wydawnictwa Faber and Faber, którego dyrektorem był w swoim czasie T. S. Eliot. Raine wchodził też w skład redakcji kilku pism literackich, a jego twórczość zdobyła szereg ważnych nagród poetyckich⁴. Obecnie kończy pracę nad operą *The Electrification of the Soviet Union*, której libretto oparte zostało na noweli Borysa Pasternaka *Ostatnie lato*⁵.

Mozna narazić się na zarzut oczywistości pisząc, że sposób, w jaki postrzegamy rzeczywistość, zależy od naszych dotychczasowych doświadczeń, od naszej wiedzy, kultury, w której żyjemy, i języka, którym mówimy. Raine wszakże wydaje się z tej oczywistości wyciągać dalsze wnioski.

Ludzkie poznawanie rzeczywistości jest jej nazywaniem, a nazywanie nicodparcie łączy się z szukaniem analogii i podobieństw. Stać już tylko krok do metafory — przestaje ona być tylko poetyckim tropem, staje się sposobem opanowywania rzeczywistości, środkiem prowadzącym do jej zrozumienia. Do chaosu wprowadza ład, łącząc ze sobą różne zjawiska,

upodobniając to, co dla nas nowe, do tego, co znamy i co rozumiemy. Lecz przysuwając nam tę rzeczywistość, metafora także ją nam schematyzuje i unieruchamia. Metafory, którymi organizujemy sobie świat tworzą zwarty system, ściśle związany z kulturą, która je wydała. Niezmiernie trudno jest więc wyrwać się poza schematy kultury i języka. Odrzucić takie obrazy rzeczywistości, takie metafory, które podsuwa nam codziennie nasze dziedzictwo kulturowe. Wychowani w języku polskim, z jego pomocą patrzeć będziemy na świat. Otwór w igle porównamy do kształtu ucha, nazywając go uchem igielnym. Anglik rzecz i to widział kiedyś inaczej, gdyż w jego języku obowiązuje inne porównanie: z okiem. Stać też mowa o oku igły. Jest oczywiście, że porównania te przyjmujemy bezkrytycznie, automatycznie. Stajemy się pewni, że nasze porównanie jest najtrafniejsze, może nawet jedyne możliwe. Zakodowane w języku sposób patrzenia staje się normą do tego stopnia, że określenie tej części igły inną metaforą (np. oko igły) uznane zostałoby za błąd językowy. Jednocześnie, nie sposób zaprzeczyć, że fakt uznania tych porównań za obowiązkowe ma charakter przypadkowy, że i równie dobrze moglibyśmy samodzielnie, używając wyobraźni, zbudować w zasadzie nieograniczoną ilość innych, świeżych porównań (powiedzmy: wyspa, okno, gniazdko, dziupla).

Zauważyć wypada, że nie jest to kwestia wyłącznie swoistej ornamentyki językowej, estetycznej wartości wypowiedzi, gdyż w grę wchodzi tu nazywanie świata, tworzenie słownika. Nowa metafora zaczyna na funkcjonować jak nowe imię, nowa nazwa, która zawiera świeżą treść i motywaację. Ten sposób nazywania rzeczywistości, poprzez porównania, metafory, peryfrazy, niesie ze sobą więcej informacji na temat opisywanego przedmiotu niż zwyczajna nazwa, choć jest mniej ekonomicznym sposobem wyrażania. Poza tym umieszcza on przedmiot w relacji z innymi przedmiotami, podczas gdy nazwa ma tendencję indywidualizującą, izolującą. Jest on także ponownym odkrywaniem świata, tego, który pozostał poza zasięgiem zuniformalizowanego, automatycznego postrzegania. Nie wszyscy potrafia wyjść poza schematy, by spojrzeć się sam na sam z nieujarzmioną różnorodnością rzeczy.

Udaje się to dzieciom, które jeszcze nie wchłonęły standardowych interpretacji zdarzeń, oficjalnych metafor. Mogą one widzieć świat w innym kontekście niż ten, który został zaakceptowany społecznie i podniesiony do rangi jedynego możliwego, a więc i jedynego normalnego sposobu widzenia. W wierszach Raina'a często patrzmy na świat najwymiernymi oczyma dziecka. Język, jakim posługują się jego własne dzieci, jest dla poety jednym z głównych źródeł jego poetyckich obrazów.

Obok dzieci, podobnie świeże spojrzenie charakteryzuje przybyszów z innych kultur (w tym także Marsjan), którzy widząc po raz pierwszy pewne przedmioty, zdarzenia, sytuacje, muszą samodzielnie je porządkować, nazywać, porównywać, nadawać im znaczenie. W takiej sytuacji znajdując się tytułowo Marsjanin, który na karlice do domu próbuje opisać i zrozumieć nie znany mu świat ziemian. Opis ten nie tylko odsłania nowe aspekty rzeczywistości, w której się codziennie obracamy, ale i stanowi przyczynek do portretu samego obserwatora, który ten świat tak a nie inaczej postrzega.

Wolne od automatyzmów w poznawaniu i nazywaniu są też osoby, które nie znają dobrze języka; kiedy brakuje im słów do nazywania określonych przedmiotów, tworzyć muszą nowe nazwy, używając słów znanych, kierując się analogią i podobieństwem samych przedmiotów. Pidgin English, język oparty na zbrębach gramatyki angielskiej, o niezwykłe zredukowanym słowniku, potrafi jednak nazwać wszystko, stosując peryfrastyczne wyrażenia, metafory, które nieraz zaskakują

⁴ W tym kontekście wymienia się także nazwiska jak Blake Morrison, David Sweetman, Modth McGuckian, Penelope Shuttle, Simon Rae, a nawet James Fenton.

⁵ Był m.in. redaktorem „New Review”, 1977-78, a później „Quarto”, 1979-80, także redaktorem działu poezji w „New Statesman”, 1981. Otrzymał następujące nagrody poetyckie: Cheltenham Literary Festival Prize (dwukrotnie, w 1977 i 1978), Prudence Farmer Award (1978), Cholmondeley Award (1983).

⁶ Kompozytorem tej opery jest Nigel Osborne, który już wcześniej współpracował z Rainem, komponując muzykę do dziesięciu jego erotyków.

oryginalnością i celnością spostrzeżeń (np. broda to trawa na twarzy). *Gauguin* to wiersz z ostatniego tomu Raina'e napisany całkowicie w stylu naśladowującym pidgin English.

Kiedy rzeczywistości odjęte zostają nazwy i imiona, pozbawiona ona zostaje swojego tradycyjnego kontekstu. Trzeba je nazwać na nowo, a więc ponownie przyjrzyć się jej i ustosunkować do niej bez wyuczonych reakcji i nabytych sposobów interpretowania. Stajemy się nagłe jak dziecko, które zapomniało słowa „zarówka” i mówi o „elektrycznej gruszce”. Zmysłowe spostrzeżenie pewnych cech żarówki przychodzi bowiem na myśl kształt gruszki, którą dziecko już wcześniej poznało.

Poeta jest więc zarówno jak Bóg i jak dziecko, kiedy nazywa rzeczy na nowo. Inaczej jednak niż Bóg, nie tworzy on imion, ale łączy nieznanne ze znanym, dalekie z bliskim, odkrywa paralele. Nie zadowolając się nazwą danej rzeczy, zmuszony jest do bardziej szczegółowego przyjrzenia się jej, do poznania jej z najrozmaitszych stron. W zabiegach tych potrzebne są ZMYŚLY, poprzez które daje o sobie znać nowa rzeczywistość, oraz WYOBRAZNIĄ, która łączy to, co człowiek postrzega z tym, co zna i pamięta.

Opisywanie rzeczywistości w wierszach Raina'e przybiera postać przekładu. „Odswieżona percepcja” to przekład faktu z języka, w którym jest on zadowoniony, zaakceptowany i wyjaśniony, na język, który waloryzuje go inaczej. Przekład jest więc spojrzeniem na to samo z innego punktu odniesienia, jest więc zawsze odmiennym widzeniem tego samego. W konsekwencji poetyckich „przekładów” Raina'e język codzienny, oparty na bliskiej nam metaforyce, zamieniony zostaje na język nie-codzienny, który wychodzi poza kontekst powszechnego doświadczenia.

Mimo pozorów, poezja Raina'a nie ma wiele wspólnego z surrealizmem. Jest in bowiem opisywanie rzeczywistości, tej najbliższej, codziennej, banalnej, którą odbieramy zmysłami, a przede wszystkim wzrokiem. Jest to poezja rzeczy widzialnych. Od klasycznej postawy realistycznej odróżniają ją niezwykle rola wyobraźni, która dane zmysłowe wiąże z tym, co przechowywane jest w pamięci, odsyłając w ten sposób do uprzednich doświadczeń. Kojarząc dwie rzeczy ze sobą, Rainc wychodzi poza jeden świat dyskursu, zakłada istnienie wielu światów i wielu sposobów mówienia o nich.

W *Wolnym przekładzie* rzeczywistość codziennych czynności domowych widziana jest przez pryzmat kultury dalekowschodniej. Ona to stanowi kontekst, w którym banalna rzeczywistość nabiera nowego znaczenia i może być na nowo opisana. Umysł zanurzony w kulturze Dalekiego Wschodu odczytywać będzie świat w jej kategoriach, do niej będzie budował odniesienia: stos talerzy to pagoda, kępka siowia to chiński sztuczny ogień, motek welny to gejsza ze szpilą we włosach, osa — skurczywota samuraj w czarnej i złotej zbroi, pokrywy koszy na śmieci — plaskie kapelusze chińskich chłopów, itp.

Nie jest to tworzenie rzeczywistości, ale jej opis. Wszystko w tym wierszu istnieje jak najbardziej realnie. Można go bez trudu przełożyć na język powszedni, zamieniając metafory na właściwe nazwy rzeczy. Można ponownie stawiać tę cząstkę rzeczywistości w kontekst nam bliski, w słowa znajome.

Sposób, w jaki opisana została rzeczywistość drobnych, domowych czynności, nie tylko odświeża spojrzenie na owe dobrze znane przedmioty i sytuacje, zmuszając do dostrzeżenia cech i właściwości, profiliów, które w codziennym z nimi obcowaniu umykają naszej uwadze. Nie tylko odrzucona zostaje konwencjonalna, przyjęta bez zastrzeżeń, hierarchia tego, co ważne, a co nieistotne, czyniąc obiektem naszego zainteresowania powszechność i (pozorną) banalność. Wiersz *Wolny*

przekład, ujmując codzienną rzeczywistość w terminach kultury dalekowschodniej, nobilituje tę codzienność. To, co wydawało się bliskie, aż za blisko znane, staje się egzotyczne, dalekie, i jako takie otoczone atmosferą dostojności i tajemniczości, zamienia się w element niedopowiedziany do końca historii. Banalne przedmioty, skoro tylko zaczynają przypominać nam wytwory wysoko rozwiniętej kultury japońskiej czy chińskiej (pagody, samurajów, ideogramy), zasługują na bardziej szczerą uwagę i wyższą ocenę, niż zwykliśmy im dawać.

Wiersz kończy się obrazem odmiennym od pozostałych. Tu już nie mamy do czynienia z sytuacją, w której dobrze znana codzienność ujmowana jest w kontekście egzotycznej kultury, przez co poddana zostaje nobilitacji. Przeciwnie, przedmiot obcy, należący do innej kultury, widziany jest tu w analogii z przedmiotem, który podsuwa nam nasza własna kultura. To, co obce, iluzji samemu sobie przez to, co nam znane: pałeczki do ryżu wywołują skojarzenie ze szczydlami. Jest rzeczą charakterystyczną, że wywołany efekt różni się zasadniczo od tego, jaki wynikał z poprzednich metafor-porównań. Tu bowiem mamy do czynienia z groteską, niezwykle zrównana została z powszechnością. Tam codzienność nabywała cech niezwykłych, tajemniczych — efektem był liryzm, mimo że dotyczył spraw banalnych, „niepoetyckich”.

Wiersz jest „wolnym przekładem”, gdyż i samą rzeczywistość przełożyć możemy na inny język, a wybór tego języka zależy od nas. Dowodem może być wiersz *We współczesnym stroju*, w którym kolejne sceny z życia rodzinnego poddane zostają procesowi „uniezwyklenia” przez przełożenie ich na język „elżbietowski”. Prawie każda linijka wiersza zawiera odniesienie bądź wyraźną aluzję, do czasów renesansowej Anglii. Pojawia się więc i Wojna Róż, i cytat z *Hamleta*, i wspomnienie wyprawy sir Waltera Raleigh, i zwycięstwo nad „niezwykłą” Armadą, a nawet dalekie echo szekspirowskiego Ariela.

Wiersz ten jednak, w odróżnieniu od *Wolnego przekładu*, nie odkrywa nowych profiliów przedmiotu, ich stron przez nas nie zauważanych, które stają się podstawą metafor i porównań. Tutaj narzucenie renesansowego kostiumu na współczesne scenki rodzajowe wydaje się być bardziej arbitralne, jest zupełnie wolnym wyborem języka przekładu. W wierszu tym o opisu danej rzeczywistości nie wynika oczywistość i konieczność związku między dwoma światami, jaką zdołał Raine uzyskać w *Wolnym przekładzie*.

Obydwa te wiersze są przykładami dość prostych przekładów jednego świata (świata współczesnego, codziennego), na inny — odległy w czasie, bądź przestrzeni. Rzeczywistość odczytywana (widziana) jest przez pryzmat wiedzy i doświadczeń kogoś przybywającego z dalekiej, odmiennej kultury. Natomiast *Wdowiec* i *Spacer na wsi* to wiersze, których perspektywę określa jedna metafora, będąca w ścisłym związku z przedstawioną sytuacją.

Podmiot wiersza *Wdowiec* obserwuje przyjaciela, któremu niedawno zmarła żona. Wszystko, co dostrzega, ujmuje w perspektywie jej śmierci, pogrzebu, wspomnień z nią związanych. Niezwykła siła tragicznego doświadczenia uwiarygodnia optykę wiersza. Stanowi też psychologiczną motywację dla takiego, a nie innego odbioru dziejących się wokół zdarzeń. A podlegają one interpretacji, u której podstaw leży idea zmiany, transformacji: przekształcania jednych form w drugie — idea będąca zaprzeczeniem śmierci, nakazująca w pozornej nieobecności szukać śladów istnienia, lecz pod inną już postacią: piach przestąpiła się w wodę, tak jak wioslowanie — z dalekiej perspektywy obserwatora — staje się robieniem na drutach, palce żalobników unoszących trumnę zmieniają od wysiłku kolor.

Podobną problematykę znaleźć można w *Spacerze na wsi*, gdzie

wiejski krajobraz skłania do refleksji nad śmiercią i nieśmiertelnością, trwaniem i przemianami, nad „rytuałami wzrostu”. Tajemnica istnienia dostępna jest tym, którzy zdolali wyjść poza świat stworzony ludzką ręką, którego wizytówką stają się ekskrementy i mechaniczne urządzenia farmy, by poddać się światu przyrody, naturze, która w postaci brązowej ropuchy unaoćnić potrafi jeden z głównych dogmatów wiary.

Ani jeden wiersz, ani drugi nie jest przykładem naiwnej wiary w możliwość bezpośredniego kontaktu ze światem, z którego niemal samorzutnie wyłaniać by się miała „naturalna” religia. Kontakt ten jest bowiem zawsze zapośredniczony: bezrefleksyjna, spontaniczna metafizyka natury jest tylko postulatem świadomej siebie, refleksyjnej metafizyki. Tak samo spontaniczna religia natury, która może wyłaniać się z tych wierszy, nie powstałaby bez świadomości filozoficznego dorobku Kościola. Religijne treści obrazów po prostu nie ujawniłyby się, gdyby nie stała za nimi świadomość symboliki chrześcijańskiej. Tylko wtedy wydostająca się spod kamienia ropucha może wywołać skojarzenie z innym przewróconym głazem. Stwierdzenie Wilde’a, że natura nasładowe sztukę nie jest już paradoksem, lecz truizmem naturę widzimy poprzez sztukę, postrzegamy pożyczonymi oczyma artystów — poetów czy malarzy. Sztuka jako element kultury, stanowi punkt odniesienia w naszym odczytywaniu rzeczywistości. Lecz nie tylko sztuka, także i religie. Parafrazując Wilde’a można powiedzieć, że w *Spacerze na wsi* natura nasładowe symbolikę religijną. Między światem a nami niestannie pośredniczy kultura. Raine zdaje sobie sprawę, że od tego pośrednictwa nie sposób się uwolnić; w swojej poezji wyciąga więc z tego faktu jednoznaczne konsekwencje. Obiekty poza kulturą odczytywane są poprzez nią; meduzy widziane są poprzez obraz Dalego, osłanianie oczu przed słońcem staje się salutowaniem, kałuże na drodze — pieczatkami w paszporcie.

Mimo pozorów nie jest więc Raine czystym empirystą. Cała rzeczywistość jest interpretacją, dokonywaną za pomocą znanych nam języków. Jest więc ciągłym ubieraniem jakiegoś nie znanego bliżej substratu w coraz to nowe kostiumy. Wielopostaciowość rzeczywistości wydaje się być nieograniczona, gdyż własności przedmiotów, jak u Berkeleya, mają swoje źródło w poznającym podmiocie, w jego zmysłach i umyśle. W niektórych zwłaszcza wczesnych, wierszach Raine’a można znaleźć przeświadczenie o względności wszystkich, co istnieje, względności tak wielkiej, że sam fakt istnienia czegośkolwiek staje się mocno wątpliwy. Coś, co jawić się może w nieskończonej ilości postaci, przestaje mieć jakąkolwiek postać. W innych wierszach z kolei wyciąć można przekonanie o istnieniu świata, będącego źródłem i podłożem kreowanych obrazów i wizji. Do tego świata odsyła nas poeta, gdy szukamy uzasadnienia poszczególnych metafor. Jest to świat pierwotny, rudymetryczny i bezdyskusyjny w tym sensie, że na poziomie praktyki codziennej panuje powszechna zgoda co do jego postaci i sposobów jego istnienia (tu Raine skłania się wyraźnie ku realizmowi). Jest też pewien powszechny, pierwotny i również bezdyskusyjny sposób odbierania tego świata — ogład zmysłowy. Cichym założeniem poezji Raine’a jest, że to właśnie możliwe jest porozumienie, że takie podstawowe doświadczenie świata jest ludzimo wspólne. Dopiero potem w grę wchodzi interpretacja i uporządkowanie, rozmaite przekształcenia dokonywane na podstawowych danych empirycznych. Dopiero potem następuje pomieszczenie języków.

Raine nie jest więc naiwnym dzieckiem, ani Marsjaninem. To, co widzi, jest kształtowane nie tylko przez jego zmysł, ale i przez jego wiedzę i doświadczenie. Przypominać może w tym kubistów, którzy

przestali malować to, co widzą, starając się oddać na płótnie całą wiedzę o danym przedmiocie, w ten sposób konstruując go.

Raine jest wszakże i realistą, który mówi tylko o tym świecie, jaki jawi się naocznie. W jego obrazach przedmiot porównywany jest do drugiego przedmiotu, gdyż dostrzeżone zostają FIZYCZNE między nimi podobieństwa.

Raine jest także i sur-realistą (sic!), gdyż nadbudowuje nad naocznie postrzeganą rzeczywistością realność, która istnieje jedynie w jego umyśle i jest jego wytworem. To nie samuraj, lecz osa, dobija się do okna. Raine tworzy więc fikcje, których czytelnik jest świadomy, a jednocześnie demaskuje te fikcje, zmuszając nas do uznania realistycznego w zasadzie charakteru swoich wierszy, jakby chciał powiedzieć: Tu nie ma nic ze zmyślenia, to wszystko istnieje naprawdę, jeśli tylko baczej popatrzeć.

Raine bawi się w ten sposób przyzwyczajaniem, które ukształtowała w nas dotychczasowa praktyka literacka. Oczekujemy, że to, co przedstawione jest jako realność, historia, autentyczne sprawozdanie, może okazać się czystą fantazją autora. Tego typu zabiegi należą do najczęstszych i najstarszych chwytów literackich, a pytanie, jak bardzo można ufać autorowi, czy do jakiego stopnia fikcja ma pokrycie w rzeczywistości, staje się standardowym pytaniem zadawanym w trakcie wielu lektur. Raine kontynuuje tę samą problematykę, wynika z zderzenia się fikcji z rzeczywistością, ale postępuje z nią zupełnie inaczej. Jest jak magik, który wyciąga króliki z cylindra i obezwładnia nas siłą iluzji na tyle potężną, że gotowi jesteśmy przyjąć istnienie świata fantazji. Wtedy zaś dekonspiruje się i oczwistym się staje, że żadne cuda nie miały miejsca, że cały wyczarowany spektakl był jak najbardziej realny.

Bez dokładnej obserwacji, bez „czulej uwagi” wobec najdrobniejszych cząstek i właściwości świata, nie można przejść do jego twórczego interpretowania. Niektórzy krytycy piszą o Raine’em sensualistę i empiryka, inni uznają go za fantastę i nadrealistę, podczas gdy tak naprawdę ten drugi nie może funkcjonować bez tego pierwszego. Zmysły i wyobraźnia współistnieją zgodnie w poetyce Raine’a.

Raine jest poetą niezwykle zmysłowym, u którego podglądanie, dotykanie, smakowanie i podsłuchiwanie świata nabiera cech obsesji. Edna Longley¹ pisze wprost o podglądactwie (voyeurism), który to termin w świetle takich utworów jak *Arsehole*, ma nie tylko ogólne, symboliczne znaczenie, lecz niesie ze sobą ściśle erotyczne treści. I rzeczywistość, zmysłowa wrażliwość poety, występująca w takim natężeniu i tak intensywnie, ma często charakter erotyczny. Można nawet zaryzykować (twierdzenie o panerotyzmie przenikającym poezję Raine’a. Dlatego też odpowiednim wydaje się określenie „CZUŁA atencja”, gdy mowa jest o stosunku Raine’a do naoczności, fizycznego świata. Zdradza ją chociażby ostatni obraz z wiersza *Wdowiec: wieczny okruch zółta* | *niepewnie siedzi* | *na meszku* | *tuż obok jej ust*.

Z drugiej strony, Raine to bez wątpienia poeta intelektualny, który ma za sobą nie tylko studia na uniwersytecie w Oksfordzie, ale i wiolelnię praktykę jako wykładowca, krytyk literacki i redaktor. Lektura jego wierszy wymaga od czytelnika niemałej erudycji, umiejętności poruszania się po rozległych obszarach literatury, sztuki, filozofii, historii, wymaga wiedzy umożliwiającej rozszyfrowanie całego szeregu aluzji, cytatów, zapożyczeń. *By docenić inteligencję* (tej poezji — przyp. J. J.), *tak oryginalną i dostarczającą wielu przyjemności, potrzebne jest*

¹ Edna Longley, *Two Nations*, (w:) „Poetry Review”, vol. 74, nr 3, 1984. Artykuł ten jest recenzją Rich.

wykształcenie. Czytelnik musi wiedzieć, co to jest esse i percipi i Berkeley, co to są lub mogą być misericordia, kto to jest lub może być Casaubon — pisał Gavin Ewart⁴ w recenzji pierwszego zbioru wierszy Raine'a, przypinając mu tym samym cłykielkę poety akademickiego. Rzeczywiście, ta empiryczna, zmysłowa u swego podłoża poezja ma także drugie oblicze: poezji intelektualnej, poezji kultury. Na myśl przychodzi w tym miejscu analogia z poezją Johna Donne'a, siedemnastowiecznego poety tzw. szkoły metafizycznej. Metafory Raine'a wykazują jawne pokrewieństwo z konceptami Donne'a. W podobny sposób epatować potrafią crudycją poety, który tworzy heterogeniczne porównania, poszukuje odległych i zaskakujących paralel. Jeśli poezja metafizyczna skupiała się zasadniczo na dostęgnięciu i wyrażeniu uniwersalnych odpowiedzi na wszechświecie⁵ to poezja Raine'a nazwać można poezją metafizyczną, z jednym wszakże zastrzeżeniem, że odpowiedzi na te są bardziej dziełem poznającego umysłu niż obiektywnymi właściwościami świata.

Na intelektualny charakter tej poezji wskazuje także jej powinowactwo z *kenning*, staroangielską figurą stylistyczną, będącą faktycznie ukrytym porównaniem, w którym opisywany a nie nazwany przedmiot pozostaje zagadką do odgadnięcia⁶. Kiedy w wierszach Raine'a pojawiają się takie peryfrastyczne zagadki, lektura jego poezji zamienia się może w grę, w odgadywanie, w szaradę, w swoisty quiz dla czytelnika.

Wielu krytyków zarzuca Raine'owi intelektualne przerafinowanie, zbytnią wymyślność metafor, demonstrowanie pomysłowości, która sama dla siebie staje się celem. Byłby to poważny zarzut wobec poezji, gdyby temu zjawisku nie towarzyszył inny opisany powyżej aspekt twórczości Raine'a: a mianowicie wyjątkowa zmysłowość, „czuła atencja”. W najlepszych jego utworach te dwie strony poezji wzajemnie się równoważą, jak gdyby poecie udało się przełamać mityczne, Eliotowskie „rozszepienie wrażliwości”⁷.

Jerzy Jarniewicz

CRAIG RAINE

Pornografia

Noi leggavamo un giorno per diletto...

Leżeli już nadzy na łóżku.

Jego ręce drżały,
jakby składał przysięgę

i wtedy otworzył się Aretno
jak dwustronne lustro:
świecący boletus

był twardy od krwi,
wargi na ślimaku — czarne,
a jemiola cierpka od spermy.

Porwał ją erotyzm obrazu.
Poczuła podniecenie
jak umierający losos na jego kolanach

i odwróciła twarz
ku twarzy kochanka.
Ich wargi spotkały się w pocałunku

suchym od pożądania,
jak wygłodniały pędzel artysty,
co w śmiałym eksperymencie

chce malować pełne win obrazy
w ich niewinnych głowach.
Tego dnia już nie czytaliśmy więcej.

Wolny przekład

Widząc pagodę
brudnych talerzy z obiadu,
obserwując swoje dłonie

⁴ Gavin Ewart, *References Back*, (w:) „T. L. S.”, 30.06.1978.

⁵ J. A. Marzecz, cytata za: Stanisław Barańczak: *Antologia angielskiej poezji metafizycznej XVII stulecia*. Warszawa 1982, s. 10.

⁶ Dla przykładu: „dom wiatrów”, „droga wielorybów”, „Jaznia mow” to *kenningi* użyte w staroangielskiej poezji na oznaczenie morza, „wojenny pot” to krew, a „dawca pierścionka” to obrzędowe wodza czy króla.

⁷ T. S. Eliot: *The Metaphysical Poets*.

pod kuchennym kranem.
jak gdyby należały
do Marco Polo:

śliskie od mydła
mówią o szczegółach
z książki do poduszki.

pięćdziesiąt siedem sposobów,
w jakich Yin
przyjmuje Yang.

Już suche i czyste
sierzają jeszcze krople
jak nadworny magik.

którego długie palce
chciałyby zahipnotyzować
bezbronne domostwo...

Ta kępka sitowia
to niemy fajerwerk,
który wynalazłem.

by zabawić dzieci.
Leniwa raca na kredensie.
patrzmy, jak jej przybitka

strzępi się powoli.
Twój welniany motek
śpi już na kanapie.

mała gejsza ze szpila,
co przesywa jej włosy.
zbyt zmęczona, by myśleć

o rozsypującej się fryzurze
lub przejmować się wiecznie
swoim samurajem.

gdy jego skurczony duszek
atakuje okienne szyby —
wciąż zły jak osa

w kruchej zbroi
koloru czerni i złota,
którą wykul Domaru.

W chłopskich kapeluszach niczym kulisi
pojemniki na śmieci
gromadzą odpadki.

nie przejmując się kaską wojowników...
Jest późno, późno:
wycisnęliśmy

zgrabny ideogram
kosmetycznego kremu
na pośladki naszego szkraba.

Najwyższy czas zjeść już
pieczeń wieprzową,
która wygina się i syczy

jak trwała ondulacja
dzieła Hokusai,
czas by pochylić się

nad miseczką ryżu,
czas, by dostrzec,
jak oczy twoje stają się

chińskie od śmiechu,
kiedy mówię ci, że
ludzie Wschodu jadają szczudłami.

Spacer na wsi

*Leto vedrai, ma fuor di quartu fossa.
la dove varano l'anime a lavarsi...*

Dante, *Inferno* XIV

Bagnista droga
jest swoim własnym
glejtem.

oznakowanym
pieczęciami
rozmaitej wielkości,

które zezwalają nam
na podróż poza granice
nawozonej ściekami farmy

jak magnetofon,
z czarnymi szpulami.
co kręcą się dzień i noc

w czasie, gdy ekskrementy
cierpliwie opadają
w ciszę.

To maszyna
która nic pamięta
żadnych dźwięków.

A oni tam palą
ścierń
na polach przed nami.

dlatego też
cmentarz jawi się
w pierścieniu ognia

i jakby zakazany.
Czy to lęk
powstrzymuje moje dziecko

tak, że kciuk,
który cofa na chwilę,
dymi w powietrzu?

Czy też urzeczenie,
jak u jej ojca?
Pochyliam się i widzę,

jak topią się żdźbła,
kiedy ściągam usta
w chorobliwym pocałunku

i dmucham w jaskrawy
i szepczący wrzód
poczerniałej słomy.

Jedyna jaskółka
kolysze się na drutach
jak ziarno

jęczmienia z wosami
ocalone z płomieni.
Nie bój się;

są tam ludzie
na dachu kościoła.
układają pasjans

dachówka za dachówką.
A tu człowiek
uprawia mogiłę

metodycznie,
zagubiony w rytuałach
wzrostu.

Jego kurtka
złożona jest na nagrobku
podszewką na zewnątrz.

a on dogląda
swych omdlałych kwiatów,
ostrożnie odwijają

ciemną, wilgotną gazetę.
Nie myślę,
odtrącam kamyk

lekkim ruchem stopy
i widzę ropuchę
z oczyma jak żółędzie.

o brązowym ciecie
delikatnym jak kropla
zakurzonej wody,

wciąż nietknięta
i wcale nie zdziwiona
zmartwychwstaniem.

Wdowiec

Jego mokre kalosze
słońce
zanurzyło w lakierze.

poławiacz homarów
wypływa na morze
wbrew falom,

które rzucają jego lodzią
Stąd, gdzie stoimy,
na wzniesieniu wydm,

jego wycierz
skurczył się już
do rozmiarów motka,

lecz my przez pięć minut,
salutując słońcu
by osłonić oczy,

patrzmy, jak wiosłuje,
jakby robił na drutach,
a tymczasem fale

rozplatają swoją długość
w tę stronę, w tamtą stronę
na plaży pod nami...

Czy przyszlśmy tu,
aby zapomnieć
o jej pogrzebie,

czy też aby
zachować jej pamięć
niekniętą?

Patrząc na meduzy
jak powidłe zęgarki Daliego,
leżące wzdłuż całej plaży,

któ potrafiłby odgadnąć,
jakie jeszcze zrządzenia
są możliwe w czasie?

Ona wciąż może tu być.
Czuję to czasami.
wracając

wołno do chaty:
są duchy
w żywopłocie,

tam, gdzie przedarły się owce.
Przygniatam twardy piasek,
aż łopnieje

pod moją stopą,
przypominając mi
o tym, jak świat

zamienił się w wodę
przy ogniu świece
obok jej trumny,

jak krucyfiks
dygotał
i zatonął nagrobek,

kiedy kapłan spoglądał
z rękoma jak w północ
o dziesiątej rano

Co istnieje naprawdę?
Wierni wyciągający
okulary,

żeby zaśpiewać hymn?
Mocarni żalobnicy, co
jak kwartet smyczkowy

podnieśli ciężar
unisono, na skinienie
swego przewodnika?

Te zbiegłe koniuszki palców?
Wdowiec wędruje po plaży,
odgrzebuując muszle

swą alpejską laską.
Z okularami na czole,
zbliża każdą

do sprawniejszego oka,
zanim wyrzuci
prawic wszystko.

Gdzieś w mojej pamięci
widzę ją, jak po śniadaniu
odsuwa talerz,

widzę, jak się uśmiecha,
łen wieczny okruh
żółtka

niepewny
na meszku
przy jej ustach.

przełożył Jerzy Jarniewicz

IZABELLA GAWARECKA-ADAMCZYK

HISTORYZM NA CENZUROWANYM

Niejednoznaczność pojmowania zjawiska historyzmu jest tak znana, że utrudnia jego zrozumienie. Odnosi się nawet wrażenie, że w stosunku do historyzmu obowiązują jakiś spontaniczny nominalizm, który dopuszcza pluralistyczną rozmaitość jego odmian, a właściwie — różne niesprowadzalne do siebie historyzmy. Podejmowane próby typologizacji też nie zwiększają przejrzystości. Mamy więc historyzm skrajny, absolutny, historyzm poszczególnych epok, kierunków, pisarzy; historyzm jako alternatywę dla naturalizmu, strukturalizmu. Czasem wystarczy w analizowanej teorii dostrzec idiofrazizm metodologiczny, czasem wprost przeciwnie, postawę generalizującą, a czasem choćby szcążkowo naszkicowaną koncepcję dziejów, albo teoriopoznańczą czy ontologiczną podstawę dla uzasadnienia zmienności indywidualnych faktów czy historycznej perspektywy — ażeby ją historyzmem obwołać. Całe bogactwo kryteriów stosowanych dla wyróżnienia odmian historyzmu, przy jednoczesnym braku jego definicji sprawia, że historyzm jako zjawisko rysuje się nader enigmatycznie, do tego nawet stopnia, że pytanie o treści jakie wnosi ze sobą, treści pozwalające oddzielić go od innych zjawisk traci zasadność: zaś historyzm jako kategoria, zwyczajnie nie spełnia podstawowych warunków formalnych, oscylując w kierunku wyrażenia niedokursowego. To za wyjaśnienia przyczyny, dla których posługiwanie się tym pojęciem stało się raczej kłopotliwe niż pomocne. Dotkliwie daje się ono we znaki autorom tych prac, których problematyka zmusza do zajęcia stanowiska wobec historyzmu. Oto np. metodolog historii w przypisie swej obszerniej pracy wyznaje: *chcielibyśmy uprzeczyć, że problemu tak zwanego historyzmu nie będziemy omawiali osobno (...)*. Powód? — *określenie historyzmu należy bowiem do wyjątkowo wieloznacznych*¹. Albo inny przykład — historyk myśli społecznej², wielokrotnie postępując się przed możliwością sformułowania jednoznacznej definicji, posługuje się pojęciem historyzmu w kilkunastu znaczeniach.

Wydawałoby się więc, że próby namysłu nad historyzmem rozbijają się o barierę wieloznaczności. Nie sposób przeczyć myśleć o zjawisku, gdy nie jest ono dostatecznie określone, gdy nie daje się pojęciowo wyodrębnić. Jak pisać o kategorii, kiedy jej treść wyznaczana bywa nad wyraz różnorodnie, a niekiedy w sposób wręcz sprzeczny.

¹ J. Topolski, *Metodologia historii*, Warszawa 1984, s. 111.

² J. Szacki w *Historii myśli socjologicznej*, Warszawa 1983.

Równocześnie pojęciu historyzmu towarzyszy szczególna aura milcząco przyjętego *savoir-vivre'u*, który nie pozwalała się na nic uskarżać. Jakiekolwiek wątpliwości, czy próby krytyki napotykały na gwałtowny sprzeciw z pryncypialnych pozycji. Dowodzi tego chociażby *casus Poppera*, czy marksisty Althussera. Historyzm trzeba akceptować wydobywać, stosować. Historyzm nobilituje, dowartościowuje. Teorie zyskują odpowiednio wysoką rangę, gdy uda się je zaszerzować przynajmniej do grupy tych, które można by uznać za przesłanki historyzmu. A więc kategoria ta w praktyce pisarskiej pełni funkcję porządkującą. Zwróćmy jednak uwagę na szczególną osobliwość tej sytuacji. Oto bowiem z jednej strony rozmaite teorie, bywają sprawdzane do jednego poziomu, historycznego właśnie, a równocześnie z drugiej — niezbyt jasno (całkiem niejasno raczej) rysuje się sam ten poziom. Jednak poziom i brak możliwości jego rozpoznania. Historyzmy wiele i wielość historyzmów. Wyrażona nazewnictwem chęć ujednolicenia i wyznana brakiem wspólnej definicji niemoc przeprowadzenia tego zamiaru.

Jednakże trudno się zgodzić na jakąś zasadniczą rozbieżność sensów historyzmu. Podtekst przedstawionego dylematu sugeruje nie tylko dopuszczalność kryterium, według którego daloby się ustalić teoretyczną wspólność historyzmów, ale wręcz jego obecność — pozornie tylko nieuchwytną. Jeśli tej wspólnoty, wyrażonej wielością konkretnych wypowiedzi nie widać od razu, czyli jeśli stwierdzone jest tylko ich zróżnicowanie, to może to znaczyć, że strukturę myślową interpretacji bez reszty określa struktura badanej rzeczywistości teoretycznej. Innymi słowy — jest to ta sama struktura. Możemy też powiedzieć, że myśl interpretacji i przedmiot tej myśli stanowią nieodróżnioną jedność, a konkretnie to, że historyzm jest opisywany z wnętrza tego typu racjonalności, do którego sam należy. Konsekwencją tej sytuacji, tzn. sytuacji, w której struktura organizująca typ racjonalności pozostaje zasadniczo niewyróżnialna, staje się absolutyzacja drugorzędnych w stosunku do analizowanego tekstu i kreowania ich na własności istotne. Ale w ten sposób każda wypowiedź — teoria traci swój rzeczywisty wyraz, zostaje pozbawiona rzeczywistego sensu, którego miejsce zajmuje wówczas pozór.

Toteż niczego dziwnego nie powinno być w tym, że w przypadku domniemanej różnorodności historyzmów zawodny okazał się klasyczny sposób definiowania, gdzie definiens określa i zakreśla zarazem strukturalne ramy stosowności dla definiendum, ponieważ to właśnie tych ram nie daje się uchwycić. Stąd zamiast świadomości teoretycznego pokrewieństwa wielorakich historyzmów pojawia się świadomość ich niepowtarzalności, a co najwyżej — analogii. A to z kolei prowadzi ku określeniom najściślejszym jednostkowym, przystawalnym tylko do jednego zjawiska, ewentualnie ku definicjom ostensywnym, których odpowiedź na pytanie czym jest historyzm — brzmi: to teoria Condorseta, to materializm historyczny itp. Jest to, jak sądzę, dostateczny powód do rezygnacji z pisania o historyzmie począwszy od podania jego definicji. Dlatego też dopiero rozpoznanie owego typu racjonalności pozwoliłoby uporządkować wielość historyzmów według tej samej zasady. Nawet wtedy, gdyby ich liczba w przyszłości miała zostać zwielokrotniona inaczej — jeśli o świecie człowieka i jego poznawaniu będzie się mówiło nowymi słowami, ale w sposób konstytutywny dla określonego typu racjonalności (tego w jakim historyzm się uobecnił) oraz zgodnie z obowiązującą w nim i organizującą go logiką, to mimo chronologicznej różności wypowiedzi, pozostaną one tylko powieleniem tego samego typu myślenia. Także wtedy, jeśli jego struktura objawi się najskromniej, fragmentarycznie, albowiem „reszta” zostanie zrealizowana

pośrednio, w postaci niewypowiedzianych, albo nawet nieświadomych założeń określonego tekstu teorii. Założeń, do których ten tekst odsyła i przez które się tłumaczy. W tym kontekście wielość historyzmów byłaby tylko symptomem żywności typu myślenia, którego te historyzmy z kolei stanowiłyby tylko odmienne artykulacje, a więc różniłyby się w sposób nie naruszający jego tożsamości.

Przypuścmy zatem, że to co jawi się na dziejach wielość historyzmów stanowi w istocie jedność typu racjonalności, poza którym już zaden historyzm się nie pojawia, bowiem każdy z nich będzie już tylko indywidualną, autorską, ewentualnie interpretatorską wersją ciągle tego samego schematu, zbudowanego według tych samych reguł, bądź przykrojeniem do jego miary teorii z natury swej nieprzystawialnych. (Jak dzieje się np. w przypadku oświeceniowej teorii postępu, w której dostrzeżę się przede wszystkim pierwiociny myślenia historycznego, gdy na niej ciągle ciąży jeszcze metafizyczna forma. Dzieje się tak dlatego, że samotna idea postępu, izolowana od wielorakich znaczeń, z którymi współtwarzy oblicze epoki, będąc zarazem jednym z zaistniałych jego ukonkretnień — a zatem pozbawiona historycznokulturowej treści — przestaje być ideą oświeceniową właśnie. Podobnie rzecz przedstawia się w przypadku teorii ustytuowanych niejako ponad obszarem sensów, do którego należy historyzm z całym zespołem swych pytań, metod i trudności, a więc np. teorii Hegla czy Marksa. Im obu, zdeformowanym wówczas i okaleczonym musi z konieczności przysługiwać miano historyzmów numerycznie tylko innych.)

Przypuścmy zatem też, że przynależność do jednego, określonego typu racjonalności i obowiązująca w nim logika przesądza o strukturze tego typu i zarazem ściśle wyznacza granice jego dopuszczalnej ewolucji, jakimi są granice jakościowej nienaruszalności struktury, i że są to jednocześnie granice możliwości występowania zjawiska historyzmu.

Pozostaje więc wykryć ten typ racjonalności. I nie jest to zadanie nazbyt skomplikowane jeśli tylko uświadomimy sobie okoliczności w jakich historyzm wszedł do zasobu pojęciowego filozofii i w jakim momencie jej rozwoju.

Jak wiadomo pojęcie historyzmu nie funkcjonowało jeszcze w okresie dominacji pozytywizmu, natomiast w filozofii lat 20 obecnego wieku jest już ono dobrze ugruntowane. Dla Ernsta Troeltscha, który historyzm uczynił przedmiotem swego dzieła (*Der Historismus und seine Probleme*. 1922), stał się on symptomem epoki. Pozwała to, o ile przez filozofię zechemy rozumieć dziedzinę najpełniej i najwzschronniej zdająca sprawę ze świadomości społecznej na określonym etapie jej rozwoju, sądzić że w kulturze intelektualnej dokonał się przełom, otwierający przed nią nie eksploatowane dotychczas rejony teoretyczne. Pozostawmy jednakże na uboczu cały dosłowny kontekst kształtowania się zjawiska historyzmu, po pierwsze jako lokalny, wyrosły z potrzeb politycznej propagandy ówczesnych Niemiec, a po drugie — jako partykularny, bo zawarty wewnątrz samej nauki historii; nie lekceważąc wszakże, ale traktując tamten spór o poznać walory dziejopisarstwa jako świadectwo i rezultat przemian o bardziej podstawowym znaczeniu. Jako refleksy samej, zaistniałej już możliwości pytań o sens i wartościowczy wymiar ludzkiego bytu. Ta problematyka wprawdzie zarysowała się już dobitnie w myśli zarówno Hegla, jak i Marksa, ale przytłumiona przez pozytywizm czekała na ponowne swe odkrycie, co nastąpiło równoległe z antynaturalistycznym przełomem, ustanawiającym autonomiczną humanistykę. Zatrzymajmy się przy tym przełomie, zwracając zwłaszcza uwagę na formę w jakiej się on wyraził. Ona bowiem przesądziła, jak przypuszczam, o późniejszych kłopotach związanych z historyzmem.

Otóż istotą antynaturalistycznego przełomu w humanistyce stał się sprzeciw wobec pozytywistycznego modelu nauki. Sprzeciw, który wyraził się przekonaniem o zasadniczej odrębności przedmiotów humanistyki i przyrodoznawstwa, a także odrębności i samych tych nauk i ich metod. I ten radykalizm demarkacji, przeciwstawionej unizmovi pozytywistów odslania typ racjonalności, z którym wypadnie identyfikować historyzm. Wszedłby on więc do kultury umysłowej od razu z polemycznym bagażem. Jednakże w ten sposób historyzm najwświeźszy od czasów Reformacji wykwitł niemieckiego ducha (Meinecke) byłby tylko kolejną wersją filozofii podmiotu, która podobnie zresztą jak i nowożytny naturalizm, stanowiła potencjalną treść karlejańskiego przełomu.

Jednocześnie byłaby to akceptacja wszystkich trudności jakimi się obarczona nowożytna filozofia podmiotu. Tą najpoważniejszą i zarazem najbardziej podstawową jest — jak wiadomo — zupełna niezdolność przezwyciężenia bariery ściśle podmiotowości. Stąd i skaza na portrety historyzmu, zdolnego do penetracji tylko fragmentu ludzkiego świata, tego mianowicie, który dzieje się w psychicznym wnętrzu. Z kolei świadomość niebezpieczeństwa zbliżenia się do psychologii, a więc nauki, należącej do zespołu tych nauk, od których historyzm wstępnie już się przeczyć oddzielił, a także pewnie wpływ rozpowszechniające się krytyki psychologizmu zrodził rezygnację z generalizujących ambicji na rzecz idiograficznego opisu. Antydeterministyczna zaś orientacja historyzmu dodatkowo sprawiła, że przedmiotem tego opisu może być tylko realność psychicznych motywacji jednostek, ewentualnie absolutyzowana, jak stało się to w Croceńskim neoheglizmie. Toteż cały proces uspołecznienia, rzeczywiście historyczny sposób ludzkiego istnienia znalazł się i musiał się znaleźć poza jego zasięgiem.

Realność wytworów pracy produkcyjnej, działalności duchowej, systemów społeczno-politycznych i form ich organizacji, rzeczywiście funkcjonujących hierarchii wartości, przekonani i złudzeń, czyli społeczny byt po prostu, dla historyzmu może istnieć najwyżej jako medium, punkt zaczepienia w drodze do podmiotuowego wnętrza jako realności pierwotnej. Byłby więc historyzm poszukiwaniem sensu, ale ponad rzeczywistą sensownością, ta zaś należałaby do zespołu środków umożliwiających mistycyzm w końcu, bezpośredni i arcyrajalny, kontakt poznającego i poznawanego, „adyskursywną rozmowę” (Gadamer), zrozumienie przez przeżywciowo użożsamienie.

Wprawdzie według W. Diltheya, z którego poglądami przede wszystkim związany jest przełom w myśleniu o podstawach humanistyki, kultura — ponadindywidualna realność sensu — istnieje w sposób zobiektywizowany, to jednak pogląd ten nie jest w stanie zrównoważyć ostatecznie subiektywistycznych wyników jego filozofii. Pośrednio zwrócił na to uwagę jeszcze E. Spranger, zarzucając gnoseologii Diltheya zasadniczą nierelatywizalność jej głównego celu, mianowicie — rozumienia niepowtarzalnej całości jednostkowego życia. Istotnie, jest on nieosiągalny, albowiem procedurze rozumienia można poddać tylko ten wspólny, zobiektywizowany sens, a więc to, co jednostki zawiądzają „duchowi obiektywnemu”. A ściśle rzecz biorąc — i tu już dobitnie ujawnia się Diltheyowski subiektywizm — podmiotowi dana jest szansa rozpoznania wyłącznie własnej przynależności do świata kultury, potwierdzenia osobistej, światopoglądowej z nim jedności², wspólnota sensu wyrażona „duchem obiektywnym” pozostaje bowiem wspólnotą o tyle, o ile poznający podmiot jest zdolny zrozumieć kulturowo obiektywizowane. A zatem przedmiotem poznania humanisty-

² (Porównaj E. Sprangera do założeń Diltheyowskiej koncepcji humanistyki omawia A. Paluchowa w *Przedteoretycznych postaciach historyzmu*. Warszawa-Poznań 1984

cznego w ostateczności, wbrew intencjom i ustalonym celom badawczym, pozostaje immanentny świat.

Toteż jeżeli nauki przyrodnicze miałyby być manifestacją racjonalizmu i obiektywizmu, to humanistyka w przeciwieństwie do nich swą autonomię zawdzięczać musi irracjonalizmowi i subiektywizmowi.

A historyczność podmiotowego świata? Czyż nie jest to nowatorskie odkrycie? Zachowajmy wstrzeźliwość w osądach. Byłoby takim niewątpliwie, gdyby sens pojęcia historyczności nie stanowił jedynie prostej i całkowitej negacji sensu pojęcia natury ludzkiej.

Nadto, byłoby takim, gdyby między koncepcją natury i koncepcją historyczności zachodził stosunek wynikania. Tymczasem żaden z tych warunków nie jest spełniony. Po pierwsze więc, to co historyczne jest określane jako nie-naturalne, a po drugie między naturalistyczną koncepcją ludzkiego bytu, a koncepcją jego historyczności nie ma żadnego łagodnego przejścia, żadnego wynikania. Konsekwentna desubstancjalizacja podmiotu godzi przeciw w jego ontyczną łaźność. Podmiot taki wymaga odbudowy na innym już poziomie teoretycznym. Toteż w okoliczności prostego zanegowania natury optymalne rozumienie historyczności odpowiada zmienności, płynności — nawet trudno powiedzieć czyjej. Efektom zatem nie jest wizja dziejowości ludzkiego bytu, lecz dobrze znany wariabilizm. Zmienność ta mogłaby co prawda zostać przedstawiona w chronologicznym układzie, a że zdarzeń następujących po sobie, toteż domniemyanych jako podległe wynikaniu, lecz oczywiście byłoby to powrót do sytuacji, którą przy innej okazji swoim post hoc nen est propter hoc już w osiemnastym wieku zdyskredytował Dawid Hume; ale także sytuacja pozytywistycznej, faktograficznej historiografii, co w czasach Diltheya stanowiło powód do opatrzenia jej — pogardliwym wówczas epitetem — historyzmu.

Jeśli jednak za podstawowy wyróżnik historyzmu przyjmujemy antynaturystyczną opozycję, to wypadnie przyjąć i te konsekwencje, które godzić będą w afirmację jednostkowości, pokazując przy okazji, jak łatwo skrajne rozstrzygnięcie przechodzi w samozaprzeczenie, oraz to, że forma dychotomicznej myśli jest niezłomna przewyżczyć siebie samą. Oto bowiem dyskusja z naturystyczną antropologią, prowadzona z pozycji myślenia dychotomicznego prowadzi do innego jeszcze projektu rozumienia człowieka, a mianowicie do koncepcji jednostek, jako niesamodzielnych składników, czy części ponadjednostkowego organizmu. W ten sposób program obrony indywidualności osobowej egzystencji wyraża się gwałtownie w afirmację Lewiatana. A punkt wyjścia jest ten sam — odrzucenie natury ludzkiej. W tym jednakże przypadku naturalizm znowu powrócił, w rozważaniach nad organizmem państwa, czy społeczeństwa jako całości, która przetrza sumę swych części. Pojęcie historyczności zaś stało się synonimem ewolucji, pojmowanej wszakże w zupełnej harmonii z tą, o jakiej mówią nauki biologiczne. W ten sposób historyzm rozszerzył się, obejmując kierunki organicystyczne, co stało się jego wewnętrzny obszar, a zarazem powodem do podziału historyzmu na dwie, rozumiane jako wykluczające się, odmiany. Wybór tej drugiej możliwości, czyli historyzmu na podstawach organicystycznych, bynajmniej nie należy do rzadkości, ba, w pewnych kręgach bywa nawet powodem szczególniej dumy. Ale także źródłem oskarżeń o krypionaturalizm. Oskarżenia te, dodajmy, całkowicie są uzasadnione, albowiem organicyzm świat człowieka traktuje jako naturalne przedłużenie bytu przyrodniczego, co wyraża się przede wszystkim poprzez przyjęcie jednakich praw obowiązujących w całej rzeczywistości, a więc ostatecznie w redukcji praw historycznych do

wariantu powszechnych praw bytu, czemu zupełnie nie są w stanie przeciwdziałać zapewnienia o humanistycznej genecie kultury i społeczeństwa, ponieważ w ramach tych teorii pozostają one zapewnieniami tylko.

Który zatem historyzm jest historyzmem prawdziwym? Czy ten skrajnie indywidualistyczny, czy też ten rozpraszający jednostkowość w ponadindywidualnych zależnościach? Otóż wybór jest z natury swej aktem decyzyjnym, a więc nie teoretycznym, lecz wartościującym, światopoglądowym. Stąd też i światopogląd ukryty pod fasadą filozoficznych prawd różnych orientacji określać będzie ważność dokonanego wyboru. Bezpośrednio i celnie, szlachetnie wydawałoby się zamiary uzasadnienia suwerenności ludzkiego świata, jakby niewinne w sferze czystej myśli. Podają się weryfikacji praktycznej w sferze socjotechnicznych poczyną, podtrzymując — a to już w zależności od celów politycznych — albo przekonanie o wynikłej z umiejętności przewidywania kierunku jego przemian potrzebie sterowania tym światem w imię „wyższych konieczności historycznych”, albo o obywatelskich swobodach. A więc znowu dwie skrajnie przeciwne tendencje, na wspólnym przeciw wyrosłe podłożu. Na jednym jego krańcu sytuuje się naturalistyczny determinizm społeczny (nieprzypadkowo jest flirt historyzmu z faszyzmem), a na drugim — liberalistyczna anarchia. Jednocześnie odsłaniają się nieprzekraczalne ramy kultury mieszczańskiej, wyznaczone z jednej strony przemocą panowania, z drugiej zaś — złudzeniem posiadanej wolności.

Właściwie w tej chwili można by zakończyć dotychczasowy wywód wnioskiem o ideologicznym charakterze historyzmu. I chociaż wniosek ten nie byłby przedczesny, to jednak wypada jeszcze zwrócić uwagę na, do tej pory zaledwie zasygnalizowany, rewers polemicznego wymiaru historyzmu, a więc sens afirmatywny, ten z którym zrosła się humanistyka, a którego wyrazem jest teza o swoistości ludzkiego świata.

Z pojęciem swoistości wszakże, po części jest tak, jak z pojęciem historyzmu. Wprawdzie daje się ono łatwiej określić, bo swoisty, zgodnie ze słownikiem, to tyle, co właściwy wyłącznie jednemu przedmiotowi czy zjawisku, mający odrębne właściwości, ale zrozumiała ogólność tej definicji bez dodatkowych określeń grozi nadmierną wieloznacznością. I na przykład — kosmoceentryczna myśl antyku, która nie wytworzyła filozofii człowieka, wdziała w nim naturę wśród innych natur, czyli swoistość wśród swoistości. Albo o wieki od niej oddalona ewolucjonistyczna refleksja kulturowa (Morgan, Tylor, Frazer), czy ta żyjącego współczesnie K. Lorenza chociażby, wcale nie odmawia człowiekowi swoistości, podkreślając szczegółność jego naturalnego wyposażenia. Nadto swoistość może oznaczać niepowtarzalność takich zjawisk jak np. powstanie systemu słonecznego, oddzielenie się kontynentów na Ziemi, zwycięstwo pod Płowcami czy *Sonata Księżycową*. Najlepszym chyba określeniem swoistości pozostanie to Parmenijskie rozumienie bytu, któremu — i tylko jemu — przysługuje to, że jest. Ale przecież zwolennikom historyzmu nie o to chodzi.

Ich kategoria swoistości nabiera mocy wyróżniającej w ścisłym związku ze strukturą myśli, ią samą przecież, której podlega historyzm „polemiczny”. Toteż pogląd o swoistości całego ludzkiego świata, jako pozytywna teza historyzmu, jest generowany przez jego warstwę negatywną, więcej nawet — stanowi kamuflaż owej warstwy. U podstaw tej tezy bowiem nieustannie tkwi założenie rozłączności dwóch światów — przyrodniczego i humanistycznego, utrzymywanej w ten sposób, że właściwością jednego z nich stanowią zaprzeczenie drugiego. Oba te

swoiste względem siebie rejony bytu równorzędnie tworzą Janusowe oblicze człowieka, naturalne z jednej, a kulturowe z drugiej strony. Humanistyczne jednakże intencje historyzmu zapewniły awans człowieka środowiska na środowisko nad-przyrodzone, pozostawiając natomiast naturalnemu wymiarowi nie-ludzki. Podążając dalej tropem wątku negacji, zastanówmy się na czym z kolei miałyby polegać swoistość zjawisk w obrębie swoistej ciągłości rzeczywistości kultury. Otóż na odróżnieniu ich tym razem, od typowości zjawisk przyrodniczych, które zachodzą zgodnie w ramach praw, gdy tamte, zindywidualizowane, albo żadnym prawom nie podlegają, albo jeśli już, to też swoistym. Spór w obrębie historyzmu dotyczyłby prawidłowości porządku badanej rzeczywistości, podobnie jak spór o obecność praw w naukach humanistycznych wydaje się jednak jałowy, jako że konsekwentny historyzm, a więc ten broniący swoistości kultury wobec przyrody oraz humanistyki wobec przyrodonoznawstwa powinien poniechać myślenia o prawach. (Co nie znaczy, że każda teoretyczna deklaracja na rzecz praw ma uprawniać do podejrzeń o sprzeczności, czy kryptonaturalizm, albowiem może być ona świadectwem innej orientacji filozoficznej, nie mniej zainteresowanej rzeczywistością człowieka, lecz zupełnie innej problematyzowanej i porządkowanej w granicach zupełnie innej struktury myślenia. W przeciwnym razie znaczyliby to nieuzasadnione przyjęcie założenia, że każda postać filozoficznej refleksji, o ile w ogóle dotyka problematyki kultury jest już przez sam ten fakt historyzmem).

Wprowadzić się w szczegółową dyskusję z poglądem o swoistości ludzkiego, a tamy samym i przyrodniczego świata nie mamy zamiaru. Jego rzeczywisty, to znaczy dogmatyczny charakter wystarczająco oddaje logiczna osobliwość toku historyczystycznego myślenia. Mianowicie — uzasadnienie swoistości dowolnego z tych światów musi z góry uwzględnić znajomość drugiego z nich. Żeby więc wiedzieć czym jest kultura — dualistyczna negacja przyrody — trzeba wiedzieć już czym jest przyroda. Ona zaś jest tym właśnie czym nie jest kultura — jej z kolei zaprzeczenie. A zatem, żeby wiedzieć czym jest kultura, trzeba wiedzieć czym ona nie jest. By zaś wiedzieć czym nie jest, trzeba wiedzieć czym jest. Jak więc widać, gdy właściwością przesądzającą o świecie człowieka są wykrywalne przez odróżnienie go — a więc już założona jest wiedza — od świata przyrody, gdy ten z kolei daje się uchwycić tylko przez porównanie z rzeczywistością, którą dopiero chcemy określić, to o żadnym uzasadnianiu nie ma mowy, albowiem nie sposób uniknąć błędnego koła. Teza o swoistości pełni więc funkcję jak gdyby interwencyjną, polegającą na niedopuszczeniu do logicznej niepoprawności poprzez usytuowanie się „ponad” dowodem. Nadto wnosi ona do historyzmu przymus fideistycznej ufności w słuszność swej treści. W tonie samego historyzmu jednak, potrzeba racjonalnego uzasadnienia przesłanek teoretycznych bezpośrednio nie występuje. Zaciemniło ją nie jego poczucie własnej nieomyślności, ale atrytetyk pozytywistycznego modelu nauk przyrodniczych, całkowite zaufanie dla ich kompetencji, wyników i stosowanych metod. Totóż to niemożliwe porównywanie dwóch jednakowo nieokreślonych elementów w granicach historyzmu postacią możliwego porównania z jednym elementem określonym, właśnie przez przyrodonoznawstwo, co zresztą wcale historyzmu od dogmatyzmu nie uwalnia; ale przy okazji wskazuje na niesamodzielny, zadłużony w pozytywizmie rodowód historyczystyczny refleksji.

Ale pojęcie swoistości można pojmować inaczej jeszcze, może głębiej nawet, mianowicie nie jako fundament konkurencyjnego wobec naturalizmu ontologicznego wariantu interpretacji świata, ale jako alternatywę dla filozofii dziejów, alternatywę opartą na podstawowym twierdzeniu o historii jako jedynym środowisku człowieka. Tym więc razem sensem



SADURSKI

historyzmu byłaby radykalna znów opozycja wobec pozahistorycznych wyznaczników dziejów, proste odwrócenie poglądu, że ostateczny sens ludzkiego świata od samego człowieka pozostaje niezależny, bez względu na to, czy to dowartościowanie zawdzięcza on transcendentnemu przeznaczeniu, czy też immanentnej celowości „rozumnej natury”. Byłoby to równocześnie wysiłek, ażeby kultury i historii nadać laicką oraz antypasystyczną wymowę. Niestety zamiar ten nie mógł zostać w pełni zrealizowany. Najpierw dlatego, że znów dualistyczne myślenie operujące skrajną negacją automatycznie odrzuca ewentualność spójrzania na historiozofię jako na fakt kulturowohistoryczny i jeśli podejmuje z nią dyskusję, to wynik jej przesądza z góry — jest nim tylko sprzeciw. Po wtóre zaś dlatego, że historyzm nie jest w stanie zagwarantować autonomii ludzkiego świata poglądem o jego swoistości. Antyfatalistyczne przekonanie o tym, że wyłącznym podmiotem dziejów jest sam człowiek w tych okolicznościach nie wystarcza. Pomyślemy. Oto człowiek, duma antropocentrycznej refleksji nad dziejami, wyróżniony i autonomiczny był musi w tym przypadku zostać usytuowany — gdzie? — ano zewnątrz swojego świata, poza, a raczej przed historią, która tym samym pozostaje w jednostronnej zależności od niego, jako swojego podmiotu. Jest ona równocześnie refleksem i aktualizacją jego umiejętności, technicznym potwierdzeniem sprawności, która pochodzi... no właśnie — nie wiadomo skąd — trzeba by powiedzieć. Uzasadnienie natchmiasmowej, nadanej, przedhistorycznej dyspozycyjności do wypełniania dziejotwórczej misji, czyli inaczej — nieodzwonnego dla tej działalności wyposażenia, wymaga odsyłaczy do innych dziedzin filozoficznego dyskursu — do metafizyki, czy przynajmniej antropologii, jako niezbędnego tutaj teoretycznego zaplecza. Wyjaśnieniem więc narzucającej się słopliwej wątpliwości: skąd wziął się człowiek jako gotowy, ukształtowany podmiot stała się teoria antropogenety, która racjonalności wniesionej w rzeczywistość historyczną nakazuje szukać w prehistorii. A to równa się niejako przedłużeniu dziejów w obszar bytu niehistorycznego. Efektem jest więc z powrotem przeniesienie motorycznego czynnika historii na biologiczny gatunek, albo boskie sprawstwo czyli przymus skorzystania z teologicznej, lub naturalistycznej protezy, z opowieści o tym jak dobry Bóg stworzył świat, albo jak małpa

przeobraziła się w człowieka. Ostatecznym zatem uzasadnieniem podmiotu dziejów staje się założona ogólna teoria bytu, którego człowiek i jego świat są uznawane w ten sposób za część. Dalej, jeśli historia jest skutkiem celowych czynności podmiotu, jeśli stanowi ona skutek, na podstawie którego daje się wnioskować o podmiotu tego uzdolnieniach, to wypadnie jej uznać za przyrodzone, za potencjalnie tkwiące w jego naturze, co przecież oznacza faktyczny powrót do oświeceniowego przekonania o historii jako terytorium uboeczenia przedstawianych wyznaczników rozumu. Zatem — czy rzeczywiście istnieje istotna różnica między metafizycznym i ahistorycznym poglądem, że w dziejach realizuje się natura człowieka a tezą, iż jest on tych dziejów podmiotem? Sądzę, że nie, że to tylko dosłowna, zewnętrzna warstwa tej tezy złudnie sugeruje teoretyczną jej odmienną, natomiast kontekst i konsekwencje dowodzą co najwyżej, i nie jest to zresztą bez znaczenia, chęci a i potrzeby ucieczki w inny, bardziej pożądany rodzaj racjonalności.

W praktyce pisarskiej niewystarczalność interpretacji opartej na przedstawionych zasadach, to znaczy zakładającej celowracjonalną, a więc świadomościową koncepcję przedmiotu dziejów wyjątkowo wyraźnie ujawnia się w prezentacji wydarzeń w życiu społeczeństwa przelomowych. Funkcjonujący schemat wyjaśnień przedstawia się według reguły, że dany stan społecznego bytu jest rezultatem świadomie powziętych działań. Oto grupa społeczna, dążąca do zmiany swego status quo ma gotową, jednoznaczną wizję celu, który chce osiągnąć. Ten z kolei, już jako plan działania, uruchamia walkę klasową i w elektrycznej postaci kształt społeczeństwa, nowy system produkcji. A zatem trzy następujące kolejno ognia: świadomość celu, walka klasowa, nowy sposób produkcji. Ten linearny, aprioryczny przyjęty układ nie pozwala nawet rozważyć możliwości, że owe trzy momenty procesu dziejowego realizują się równoległe, że mogą powstawać z odmiennymi przesłankami, a wcale nie wynikać z siebie. No cóż, założenie teleologicznej racjonalności odznacza się po prostu dogodnością technicznej użyteczności w opracowywaniu historycznego materiału. Uprawomocnia zasadę rozumienia w znaczeniu śródpokoleniowej komunikacji, pozwala stosować w naukach historycznych dedukcyjny model wyjaśniania, chroni przed psychologizmem (Topolski). To czy historycy w stosunku do przedmiotu swych badań postępują inaczej i czy inaczej postępować mogą — to kwestia osobna. W każdym razie postawienie historyka w roli detektywa (G. R. Collingwood) stosującego zasadę *cui bono*, czyli kto odniósł korzyść ten jest sprawcą (a to podmiotem), nad wyraz ułatwia analizę przeszłości. Tyle, że założenie celowo racjonalnego toku dziejów powzięte w ramach filozofii utrudnia, czy raczej uniemożliwia poddanie namysłowi samą tę racjonalność i jej strukturę. A więc dzieje istotnie jawią się jako racjonalne, ale racjonalnością daną, ahistoryczną, pulsującą stałą logiką przemian: motyw, działanie, cel. I już nawet nie o to chodzi, że z dorobku ludzkości, jej kultury daje się odczytać dziejowości samej racjonalności, ale o to uparcie tkwiące przesvědzenie, że człowiek jako podmiot historyczny to *homo cogitans*.

Rozciągnięty w czasie obzar celowych działań zmusza do tego, by każdy ślad ludzkiej obecności traktować jako skutek uprzednio powziętego zamierzenia, co z dziejów czyni coś na kształt koncertu spełnionych życzeń. Problem jednak stają się wydarzenia niechciane, nad którymi domniemy podmiot nie panuje, których nie planował. Historycy w takich okolicznościach odwołują się do pojęcia „racjonalności *ex post*”, co ma znaczyć, że zasadniczo racjonalne poczynania

podmiotu bywają nieskuteczne wskutek niedostatecznej jego wiedzy o warunkach w jakich działanie ma przebiegać. Zważywszy jednak, że historia w głównej mierze daje lekcje nie spełnionych oczekiwań, nie przewidywanych klęsk, zawodnych wysiłków, efektów nie na miarę marzeń; słowem — w większym stopniu rozczarowania niż satysfakcje to ow stan niedoinformowania podmiotów działań trzeba by uznać za permanentny, niepokojący trwały. Uświadamiącej ten odwieczny konflikt między wprowadzonymi w czyn subiektywnymi intencjami a uzyskiwanymi rezultatami, przez co Hegel i Marks rozumieli *irrationalność dziejów, ugramatowaną w sprzeczności ludzkości z samą sobą*. Ale też ich teorie powstawały, między innymi, z namysłu nad warunkami w jakich człowiek dopiero mógłby być podmiotem dziejów, a więc tworzącym je świadomie i zgodnie z wolą. Nie zaś jako rezultat założeń, że był nim od zawsze. Toteż to niechciane i niewiadome nie było dla nich jedynie ubocznym efektem głównego nurtu historii, ale samym jej korytem. Toteż i nie w niedobrze instrumentalnej wiedzy upatrywali oni dysharmonię między zamiarem a jego urzeczywistnieniem, i nie w „sceptycznej” wierze pokładali nadzieje na przyszłość.

Tymczasem koncepcja zasadniczej racjonalności historii, redukująca ją do poziomu teleologii zdarzeń sprawia wrażenie mechanicznego ograniczenia metafizycznej historiozofii. Nie przewzięcia jej, ale uszczuplenia przez eliminację jednego, jednego elementu, mianowicie — celu ostatecznego. Nawet została zachowana przyczyna pierwsza, ów „przyrodniczy”, albo od razu „uczulwiony” przez fakt danej przed działaniem świadomości historycznych celów — podmiot. To samo więc rozumowanie, którego zasadność została zakwestionowana w przypadku finału dziejów nie uległo naruszeniu w stosunku do obecności podmiotu. Nadal więc mamy do czynienia z idealizmem historiozoficznym i ze świadomościową koncepcją procesu dziejowego. Kolejny jednakże krok, konsekwentnie rugujący że struktury historiozofii pozostały element, z historii uczyni już pustą nazwę. W przypadku tak naturalizmu historiozoficznego, jak i providencjalizmu całość dziejów, ich racjonalny przebieg utrzymują pozahistoryczne wyznaczniki. Jeśli więc one, ten ontyczny fundament ludzkiego świata, zostaną zburzone to i świat ów ulegnie rozpadowi, bo historia przestaje już istnieć. Zniszczona została całość, przepaść czynnik jednoczący oboje immanenty i transcendentny czy immanentny, a ewentualny podmiot ostał się jedynie jako podmiot własnego życia. Wprawdzie uzyskał aktywność na tyle na ile utracił ją Opatrzność czy Przyroda, ale kosztem redukcji dziejów do własnej biografii i to jej najściślej subiektywnej, przeżytowej. To zaś co się dzieje, to jedynie płynność wymienianych się i porażenie celów. Historia przeobraża się w wieczną łaźnię szaleństwa. A zatem właściwie nie ma już żadnych dziejów, żadnego działania siły ludzkiego świata, żadnej historyczności. Panuje wszechładnie „*teraz*”. Dysponieniem czasu pozostała jedynie przyroda ze swym rytmem narodzin, dojrzałości i śmierci (Jaspers); przyroda, nad którą „człowiek historyczny” odniósł iluzoryczne zwycięstwo, mogąc dowolnie wskrzeszać w akcie przeżywania duchowość tych, których biologiczny czas już przeminął (Nietzsche, Dilthey, Genépie, Collingwood). W ten sposób ozięwość, nawet podniesiona do rangi kategorii istotnej (Dilthey), nie jest w stanie przeżytowej trwania. A przecież to właśnie historizm miał odkryć w świecie człowieka czas (Meinecke).

Można by więc zaryzykować twierdzenie, że historizm jako budowane na negacyjnym myśleniu o rzeczywistości człowieka; historizm

⁴ Por. J. Topolski: *Rozumienie historii*. Warszawa 1978, s. 162.

⁵ J. Habermas: *Między filozofią a nauką: Marksizm jako krytyka (w:) Teoria i praktyka*. Warszawa 1983, s. 333.

doprowadzony do krańcowych konsekwencji, demystyfikując historyozoficzny model dziejów poświęcił sam siebie. Poddawszy się złudzeniom wynikłym z zanegowania procesualności (ciągłości), całości i jedności zajął w stosunku do filozofii historii postawę ahistoryczną i bezrefleksyjną. Nie próbował problematyzować historyozoficznych wyznaczników dziejów, odrzucił szansę wytłumaczenia stosunku historyozofii do swego przedmiotu jako ideologicznego, czy aksjologicznego, nie dostrzegł doniosłego sensu idei scalającej ludzkość, nie zastanawiał się nad historycznością znaczeń nadawanych dziejom, a więc i nie starał się przemyslić czy te życzeniowo-historyczne treści, tam funkcjonujące jako pomyślane idee, mogłyby w określonych warunkach stać się ontyczną realnością. Ta destrukcja całości historii pokazuje, że historyzm woli rozwiązania drastycznie proste. Dylemat — sens czy bezsens dziejów rozstrzyga najpierw jednoznacznie na niekorzyść sensu. Jednakże świadomy, że świata sensów nie da się ostatecznie przekreślić — w czym, między innymi, wyraża się jego opór przeciw pozytywistycznej świadomości naukoznawczej — podejmuje środki temu przeciwdziałające w postaci: ponadhistorycznych jego hipostaz (Scheller, Hartmann), absolutyzacji (neoheglizm), związania z obiektywnym królestwem wartości (Rickert, Spranger), a przynajmniej agnostycznego przesławienia, że sens dziejów wprawdzie istnieje, lecz zna go tylko Bóg (Meinecke). Równocześnie podmiot poznania ustanawia jako podmiot dziejów. To on aktem nadania sensowności strumieniowi zdarzeń sensu pozbawionych (Spengler, Lessing, Collingwooda „a priori”) jest faktycznym kreatorem dziejów. W ten sposób luka po odniesieniach jednego rodzaju wypełnia się innymi, a historyzm po raz kolejny cofnął się na pozycje, które w antynaturalistycznym sprzeciwie chciał przeciw przezwyciężyć.

Obojętny czy weźmiemy pod uwagę odrzucenie natury ludzkiej, deklarowaną niechęć wobec psychologizmu, odmowę uznania pozahistorycznych wyznaczników dziejów; czy próbę wprowadzenia czasu historycznego lub samej autonomicznej humanistyki wynik pozostaje ten sam. Ostateczne konsekwencje obracają się przeciw powziętym zamiarom, założenia nie znajdują teoretycznego wsparcia, wnioski prowadzą ku poglądom, z których negacji wyrosła, prowadząca do tych wniosków teoria. Myśl wykonała pełny obrót, pokonując po drodze rozliczne trudności za wyjątkiem tej jednej, acj podstawowej — wiarygodnego uzasadnienia, a na dobrą sprawę — rozeznania swego faktycznego punktu wyjścia. Nie wnikając już w to, czy przypadkiem komplikacje tego rodzaju nie stanowią organicznego sposobu działania się i tworzenia ludzkiego świata, zwąwszy jednak, jak dobitnie wskazywa one na „szamotanie się” myśli, która chce coś pojęciowo ująć oraz wyrazić i zarazem nie jest w stanie ucyfnąć tego ze względu na swe formalne ograniczenia. Czy jest to możliwe, ażeby te niejawne treści wydobyć z niewiadomości ich myśli? Ależ tak. Pomocą służyć tu będzie analiza rezultatów teoretycznych przeobrażeń formacji intelektualnej, poprzedzającej przełom antynaturalistyczny. Zwróćmy się zatem ku pozytywizmowi, ażeby sprawdzić jakiego rodzaju problematykę musiał on, z powodu swoich z kolei strukturalnych ograniczeń, przekazać w spadku następnym pokoleniom.

Program pozytywizmu, filozofii uogólniającej zakreślone w poszczególnych dyscyplinach naukowych techniczno-instrumentalne osiągnięcia potoczego doświadczenia; filozofii, która miarę prawdziwości i obiektywności wiedzy ustanowiła przez absolutyzację nagiego faktu oraz zaufania dla bestronności, wiarygodności logicznych reguł, wywiedzionych tyłem z tego potoczego doświadczenia co i z psychologicznej struktury jego podmiotu — uytuwalny się ponad wartościowa-

niem. Wszelkim, jednakowo praktycznym, a więc istotnym dla procesu świadomego działania, co i teoretycznym. Nauka miała zachowywać ważność przedmiotową dzięki opisowi — jak sądzono — wiernemu faktom. A więc pozytywizm wraz z przekonaniem o szkodliwości w nauce subiektywnych treści, postępując tak jak cała (z nielicznymi wyjątkami) przynajmniej w deklaracjach, nowożytna filozofia od Bacona począwszy, miał je za przeszkodę w drodze do obiektywnej prawdy, za zaciemniającą widzę. Eliminacja subiektywnych znaczeń należała tam do warunków poznania prawomocnego. Ale już wewnątrz tego kierunku zawarta jest zupełnie inna dyspozycja, którą do poziomu dyskursywnego podprowadziła empiriokrytyczna faza rozwoju pozytywizmu. Jej przedstawicieli też o braku faktycznego zróżnicowania podmiotu i przedmiotu, a więc właściwie stwierdzeniem ich podstawowej, choć przedświadomej tożsamości zakwestionowali zarówno tę uprzywilejowaną, neutralnoopisową pozycję podmiotu pozytywistów, jak i przeciwstawiany mu jako elementarny obiekt poznania — fakt. Z teorii elementów wynika niebezpieczność, że fakty pozytywistów pierwszego pokolenia jest złożoną, syntetyczną całością, bogatszą od tego, co naprawdę daje doświadczenie, a jako taki jest już kreacją. Poznanie zatem będzie już zawsze tylko interpretacją, utylarną dodajmy, a nie ujęciem w opis odzwierciedlenia. Empiriokrytycyzm podpowiada więc: poznanie to nadawanie sensu. I odwrotnie — to, co uchwytnie w doświadczeniu czystym, a co daje się analitycznie wyodrębnić bynajmniej nie ma charakteru bezpośrednio pragmatycznego. Empiriokrytycyzm podpowiada zdów: poznanie jest wartościowaniem. Wprawdzie w ostatecznym rozrachunku twórcą praktycznie użytecznych wartościowań nie jest człowiek, ale przyroda realizująca swe immanentne cele, to nie zmienia to faktu, że orbita aksjologiczno-znaczeniowa objęła i naukę nagłym sprowadzeniem jej do wymiaru waloryzacji światopoglądowej. Jej absolutne dominium, niepodważalny jak dotąd autorytet zostały naruszone. Dla pozytywizmu było to równoznaczne z osiągnięciem martwego punktu teorii. Przeobrażenie antysubiektywistycznych w bezpośrednim wyrazie tendencji i ich sceptycjach w konsekwencjach samozaprzeczenia przyzwoliło na umowność wiedzy naukowej, hipotezytętność naukowych twierdzeń. Oto więc pozytywizm zdeksamowany. Oto jego wątpienie w obiektywny charakter utylarny w swych funkcjach nauki, w niezależność jej prawd. Oto zapowiedź niedalekiej filozoficznej krytyki poznania intelektualnego.

Empiriokrytycyzm — pierwsza krytyka pozytywizmu, dokonana jeszcze z wnętrza tego kierunku⁴, ale zarazem i jego łabędzi śpiew — wykażal strukturalny kres ewolucyjnych możliwości własnej orientacji, stawiając przed filozofią nowe zadanie. Proces rozwoju pozytywizmu — po pierwsze aktem demarkacji między faktami i wartościami, a po wtóre „empiriokrytycyzm” poruszeniem jego podstawowymi kategoriami — wyznaczył odwrót od filozofii przedmiotowej oraz wycylił (choćby już nie dla siebie) terytorium przekraczające kompetencje tamtego modułu myślenia. Stało się to przez ustanowienie problemu wartości, czy raczej wartościowania jako problemu. Totęż przełom antynaturalistyczny dokonał się pod znakiem aksjologii. Jego samodzielna bohaterką została wartość, a ściślej rzecz ujmując — wartościotwórcza funkcja ludzkiej aktywności wraz z rozumieniem jej realizacji — sensem. Godzi się jednak przypomnieć, że problem wartości to nade wszystko problem praxis. I może nie od razu wystąpił on w klarownej formule bezpośrednich wyślowień, ale też nie mogło być inaczej. Na przeszkodzie stanął bowiem radykalizm formy, narzuconej antypozytywistyczną polemiką:

⁴ Por. M. J. Siemiec: *Pozytywizm, czyli filozofia przeciw filozofii (w): W kręgu filozofów*, Warszawa 1984

ten karkołomny wysiłek utworzenia sztylu dla badań humanistycznych, równoczesność utrzymania ich naukowego wymiaru z jednej strony, ale bez pomocy pozytywistycznej metodologii — z drugiej. A dodatkowo i to, że zagadnienie wartości objawiło się w granicach refleksji naukowo-naukowej. Toteż sensotwórcza działalność niejako utknęła w kontekście wąskiej gnoszologicznej specjalizacji, dla której natychmiastowego rozstrzygnięcia domagało się pytanie: jak uczynić zadość poznaniu naukowemu, gdy wartościowanie przekroczyło granice obszaru tradycyjnie dla nich niedostępnego, gdy świeżo odkryty świat sensu niepokornie nie chce się poddać ustalonym przez pozytywizm procedurom naukowym.

Nie więc dziwne, że pierwszy odruch myśli wyzwalającej się spod kurateli pozytywizmu zaowocował prowokacyjnym z punktu widzenia jego logiki irracjonalizmem. Ten rodzaj oporu w stosunku do sterylnego modelu racjonalności scjentystycznej miał gwarantować odrębność humanistycę, ale mimowolnie stał się także wyrazem uznania dla oponenta, bo przyznaniem się do niezdolności racjonalnego ograniczenia kultury. Projekt humanistyki autonomicznej zawieszony między niezawisłością na irracjonalnych podstawach, a alternatywą jej utraty w powrocie na łono racjonalizmu pozytywistycznego dobitnie wyraża potrzebę znalezienia racjonalności innej. Próby takie zostały podjęte *jeszcze* przez rówieśników Dilthaya — Windelbanda i Rickerta, którzy dla badań nad podstawami humanistyki przywołali autorytet Kanta, mniemając, iż dopełniają jego teorie. Szkoła badawcza nie wysła jednak poza kwestie metodologiczne, czyli poza „ulepszenie” irracjonalizmu Dilthaya i zagubienie przy okazji tego, co w jego myśli było niedopowiedziane wprawdzie, ale też najcenniejsze, a mianowicie próba stworzenia ontologii kultury. Zaś spór o humanistycę toczył się nadal, powołując coraz to nowe postaci — najświetniejszych zresztą, myślicieli XX wieku. Jest rzeczą znamionną, że burzliwość tego sporu wygasa około 1930 roku. Niewątpliwie wpływ na to wywarła sytuacja społeczno-polityczna ówczesnych Niemiec, bardziej niż nauka angażująca umysły, ale też, co nie jest bez znaczenia, wystąpienie Martina Heideggera, który zupełnie przeorientował sposób myślenia o wartościach i sensie. W kształtowaniu modelu racjonalności dość pojemnego dla sensotwórczej praxis miał on poprzednika w osobie Husserla, toteż wprawdzie upraszczając nieco wniosek, można by powiedzieć, że ten nowy typ racjonalności jest wspólnym dziełem fenomenologii i hermeneutyki, zespolonych przez myśl Heideggera właśnie.

W przypadku zaś historyzmu bogactwo społeczne ważnych i teoretycznie atrakcyjnych treści, szukając odpowiedniej dla siebie formy wyrazu zostało uwięzione w niekończący się kręgu zakreślonym przez antyetyczne myślenie. Ta, fizycznie niemal odczuwalna niemoc formalnej struktury pojęciowej, która stała się przeszkodą w adekwatnej artykulacji nowych treści, ujawniła zachowawcze funkcje w stosunku do opuszczonej — ale i przez rozwój pozytywizmu wyznaczonej — problematyki. Forma myślenia zastąpiła w procesie kolejnych repetycji wytworzyła iluzję, raczej autoiluzję, że jej zdolności przekraczają rzeczywistość, że jest ona w stanie przyswoić każdą treść, znaleźć rozstrzygnięcie każdego problemu. W tym kontekście ewidentna sprzeczność między tą pojęciową formą, a w istocie rzeczy obcą, przerastającą ją problematyką nakazała dokonywać rozstrzygnięć niezadowolających z punktu widzenia tej problematyki, za to gwarantujących wiarygodność formy (dość porównać np. Dilthaya i Hegla pod kątem rozumienia przez nich czau historycznego, historyczności, ducha obiektywnego; albo Gadamerowską, tak bardzo zadłużoną w myśli Dilthaya koncepcję sensowności z ontologią sensu Heideggera). To zaś

spawilo, że problematyka, dla której tradycyjna struktura filozofii przestała być wystarczająca poczęła rozwijać się w metodologicznej formule poznania humanistycznego.

Historyzm jest więc kategorią z obszaru świadomości fałszywej¹. Nie porządkuje lecz wprowadza zamęt; nie wydobycia prawdy, lecz ją tai, pretenduje do obiektywności a poza subiektywizm nie wykracza; indywidualizmem zaciera społeczny charakter kultury; organicystyczna teza (druga odmiana historyzmu), że społeczeństwo jest czymś więcej niż swoimi częściami powoduje irytujące implikacje polityczne. Niezależnie więc od tego, czy za punkt wyjścia przyjmujemy negatywistyczną tezę, wyrażoną programowym antynaturalizmem, czy też afirmatywną jej drugą stronę, głoszącą swoistość środowiska ludzkiego, wnioski pozostaną podobnie antyhumanistyczne, a pamiętając o humanistycznych właśnie intencjach historyzmu trzeba dodać, że także samobójcze. Równocześnie jednak zza ideologicznej zasłony, a więc poprzez wspomnianą sprzeczność między humanistyczną treścią a zacierającą ją, nieadekwatną formą ujawnia się tendencja prawdziwie twórcza. Tendencja ku ontologizacji sensu, ku pomowianiu historyczności jako sposobu ludzkiego istnienia, ku koncepcji kultury jako fundamentu pojęć, struktur oraz paradigmatów (tylko przyrodoznawstwa ko humanistyki, jak i całkiem poloczego przeżywania świata, a więc form i wariantów zarazem tego samego świadomego bytu).

Izabella Gawarecka-Adamczyk

¹ Wprawdzie A. Palubacka (por. przyp. 3) przeprowadziła dystynkcję między historyzmem ideologicznym a teoretycznym, uznając jej uzasadnienie nie przekonujące. Jeśli bowiem autorka za podstawę historyzmu przyjmuje (za Kanta) założony w metodologii nauk dualizm (s. 18), to tym samym filozofii Marika, która w tej zamyśle ma być przykładem historyzmu teoretycznego, a więc metodologicznego, musi przypisać *ładowność* — i przedteoretycznego. W ten sposób historyzm teoretyczny nadal odwarza założenie zasadniczej odrębności przyrodoznawstwa i humanistyki; skrajnie omijać ewentualność, że metodologia nauk, a zatem sposób w jaki dany jest przedmiot każdej z tych dziedzin, jak i samo ich odróżnienie, są generowane przez całokształt dowiedzenia kulturowego określonego etapu rozwoju społeczeństwa.

² Marksowska filozofia, która demistyfikuje obszary fałszywej świadomości istonne i ideologiczne nie jest, i co do tego podzielam zdanie A. Palubackiej. Natomiast nie można się zawodzić na opierać: z jej manenem historyzmu, albowiem dialektyka nie jest myśleniem dysharmonicznym.

przekroje

TADEUSZ SZKOLIŃ

SENEKA, CZYLI FILOZOFIA JAKO ANTY-LOS

Los toczy ze mną walkę, nie zamierzam spełniać jego rozkaźów. Nie oddaję się w jego, a nawet zdobywam się na jeszcze większą odwagę i zręczam je z siebie. Nie wolno rozmyślać ducha: jeśli ulegną rozkośom, muszą ulegnąć bólowi, muszą ulegnąć trwodom, muszą ulegnąć ubóstwu. Podobnie też prawi do mnie będzie sobie ródzić fałszywą ambicję i gniew: zacznij mnie szarpać tyle namiętności, ile mogę wytrzymać, nie muszę się walczyć z nim, trudną się dla dalekiej nagrody. Co to wolność? — pytasz. Nie być niewolnikiem żadnej rzeczy: żadnej konieczności, żadnego przypadku. I Los wyzwał do walki. W dniu, w którym pojmy, że jestem od niego silniejszy, już niczego nie wzdora. Mam go zmosić, gdy mam władzę nad śmiercią?

Słowa te, zaczerpnięte z *Listów moralnych do Lucylia*, mogą służyć za punkt wyjścia całej filozofii moralnej Seneki, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli — obok Epikteta i Marka Aureliusza — stoicyzmu epoki cesarstwa rzymskiego (tzw. Stos młodsza). Stoicy nawiązując do najwcześniejszej tradycji greckiej myśli humanistycznej, a zwłaszcza do nauki etycznej Sokratesa, byli przeciwni, iż filozofia ma do spełnienia ważkie zadania praktyczne — ma pomóc człowiekowi w osiągnięciu szczęścia. Szczęście zaś starożytni Grecy — zupełnie inaczej niż ludzie naszych czasów — utożsamiali na ogół ze stanem wyciszenia namiętności, spokój umyślny, równowagę duchową. Już tutaj dotykamy jednak fundamentalnej kwestii, którą rozstrzygnąć musiała grecka refleksja etyczna: czy tak rozumiane szczęście jest w ogóle możliwe w świecie pełnym różnorakich zagrożeń, a świecie, w którym jednostka podlega dotkliwym ograniczeniom swej biologicznej natury, czy też nie mniej bolesnym restrykcjom społecznym? Również w tym punkcie odpowiedź jakąś udzielał medycy antycy, zasadniczo różni się od propozycji zawartych w różnych systemach etycznych współczesności. O ile człowiek dzisiejszy skłonny jest walczyć o swe szczęście na drodze zwyciężania różnych zewnętrznych, reformowania świata, w którym żyje, o tyle myślicielom starożytnym obca była tego typu postawa zdobywcza. Nie znaczy to jednak, iżby filozofia moralna stoików, czy też współczesna jej doktryna epikurejska, stały się kapitulacją wobec życia. Wprost przeciwnie, obie te szkoły filozoficzne zalecały na stanowisku, iż szczęście leży w zasnęgu ludzkich możliwości i od samego człowieka, iż jedyną i drugą potęgą życiową zależy to, czy zdola je posiadać. Rzecz jednak w tym, iż jego i drudzy mieli na uwadze aktywność skierowaną „do wewnątrz”. Skoro nie sposób uniezależnić się całkowicie od twardych realiów życia, skoro niepodobna wyzwać się spod władzy nieubłaganej konieczności, pozostać tylko jedno: należy tak przebudować własną osobowość, aby w miarę bezboleśnie zmieść ciok, jakie nieuchronnie stłukuje nam los. Innymi słowy, należy w każdej sytuacji być panem samego siebie. Droga do szczęścia wiedzie poprzez wyrzeczenie, poprzez wyzbycie się pewnych potrzeb, poprzez opanowanie szkodliwych namiętności przy pomocy rozumu.

Taką właśnie postawę mądrej rezygnacji oraz dystansu wobec przeciwności losu zaleca Seneka swemu uczniom Lucylia. *Wczynie trwanie wszechrzeczy składa się z przeciwności. Duch nasz powiń się przystosować do tego prawa. Niech go przestrzeżają i okazuje mu go... Niechże się dzieje, niech uwaga, iż tak nieważno było dźwigać się i niechaj nie żałowa mu się żyć natury. Najlepiej znoś to, czego nie jest w stanie poprawić, i bez szemrania lód w orszaku bóstwa, za sprawą, którego wszystko się tworzy. Należy być mądrym, polega zatem na tymu zgodnym z naturą. Natura bowiem woli, w przeziadaniu stoików, zapożyczonym od Heraklita, jest rozumna, i żądną się po poważach; i niezmiennie prawo (Logos), któremu podlega również człowiek. Podobne ujęcie natury jako bytu doskonałego, harmonijnego było równoznaczne z jej uobiciwieniem. Panteizm stoików jest tylko innym wyrażeniem ich boskiej czci dla rozumności, w którym również człowiek ma swój udział.*

Owa na wkraś racjonalistyczna wiara rzeczywistości stanowi fundament całej etyki stoików. Nie ugiągając do sokrateskiego intelektualizmu etycznego, stoicy, w tym Seneka, głoszili zasadę lożności prawdy i dobra, wiedzy i cnoty. Przepis do szczęścia, takli proponuje etyka filozof, jest w gruncie rzeczy bardzo prosty: aby być szczęśliwym, wystarczy żyć zgodnie z własną naturą, tzn. kierować się wskazaniami rozumu. To właśnie rozum nakazuje nam przystosowanie się do warunków, których nie możemy zmienić, zapewniam nam rzecz najmniejszą — wosoc wewnętrznej. Medoż: może w prawdziwe ulec połgde losu, lecz mimo to potrafi zachować godność i niezawisłość duchową. Przez „nieistaw medycia jest stalenie. Zgodnie ze słynną stoicką formułą, głuota to przywiązanie do dóbr, które od nas nie zależą i odwrócenie się od wartości, które zależą tylko od nas.

Jak i wpc widzimy, szczęście nie jest dla Seneki szczęśliwym obiektywną (przedmiotową), lecz subiektywną (podmiotową). Filozof nazywa szczęśliwym nie tego, kto osiągnął dobrą ocenę przez ogół (bogactwo, sławę, zaszczyty itp.), lecz tego, kto posiada dobrą wewnętrzną tzn. wartości moralne. Te pierwsze są przemijające, zależne od kapryśności losu. Te drugie są prawdziwie trwałe, bowiem zależne od nas samych. A zatem szczęście to jedynie pewen stan umyślny („rozumna świadomość szczęścia”), głęboka radość płynąca z poczucia suwerenności duchowej. *Nie jest szczęśliwym — stwierdza Seneka — kto nie ma się za szczęśliwego. I w innym sformułowaniu: Człowiek jest nieszczęśliwym tylko w tym stopniu, w jakim się za nieszczęśliwego uważa.*

W tym miejscu pojawia się nieuchronnie wątpliwość, która ma kapitalne znaczenie dla oceny poglądów etycznych Seneki. Każdy, kto choć trochę zna biografie filozofa, nie może nie zauważyć rozdziknięty między głoszonymi przez niego wniośniami naukami moralnymi, a jego niezbyt chwalebnyymi postępkami w życiu codziennym. Jest rto zażądanie, iż ten zwojenik rygoryzmu moralnego, wyrażającego się w przeziadaniu z samowystarczalności cnoty, nawet pobłażliwie odnosi się do zbrodni swego wychowanka — Nerona. Posunął się nawet do napisania kłamliwej wyzwy, którą Neron wygłosił w senacie po zabiciu się swej matki Agryppiny. Rzecznik wyzwoleń do dóbr duchowych nad materialnymi i wyraża dumnej zasady, iż wszystko, co pochodzi z wnętrza „jest wolne” był najbogatszym człowiekiem swych czasów, pięknie dworakiem, który przez kilka lat sprawował faktyczne rządy w Rzymie. Autor wrzucający konsolacji, napisanej w czasie wygnania w Koryczie i skierowanej do matki Helwii, pisze jednoznacznie porażając los i do biostajny, stara się wkraś w łaski Pobliusza, wpływowego cesarskiego wyzwoleńca, aby wyjednać odwołanie z zesłania.

Czy współczesny czytelnik pism Seneki ma przejść do porządku nad tymi faktami i traktować jeac moralnie filozofa jako wartościowe „same w sobie”, oceniac je wyłącznie pod kątem ich ponadindywidualnej „siłowności”, ich walorów ogólnoludzkich? Podobnego zdania był op. W. Tarkiewicz, który w swej książce *O szczęściu* przy okazji referowania poglądów Cycerona zauważył, iż inna to umiejętność filozoficznie pisać, a inna i... mówiac się tym, co w filozoficznej książce napisano. Jedu uemęją dobrze filozofia uszyć a woli umiaru wedle nasz żyć. Jeden umie zbierać argumenty, a drugi — oddawać im władzę nad sobą. Ci są pisarzami filozoficznymi, a inni filozofami, jeśli by filozofem to znaczy filozoficznie żyć. Cyceeron op. wziętym pismem filozoficznym, natomiast filozofem mógł być ktoś w... czytelnik, który dźwiał filozoficznych nie pisał i pozostał nieznamy, ale kół to, co przetrzyło u Cycerona, uchwili w życie. Wynika z tego, iż dzieła filozoficzne,

podobnie jak utwory artystyczne, mają w historii kultury status autonomiczny, żyją własnym życiem, niezależnym od życia ich twórcy. Składają wiadomo jednak, iż biografja artysty wywarza niekiedy wielki jego dziełowości, która pobudza zainteresowanie przyszych odbiorców, sprzyja recepcji zawartych w nich idei artystycznych. Tak samo rzecz ma się z niektórymi tekstami filozoficznymi, zwłaszcza zaś z tymi, które, jak pisma Seneki, nie są czysto dyskursywnymi traktatami, lecz stanowią rezultat bardzo osobistych odczuć, przemysłów i doświadczeń, a ich intencją jest nie tylko wypowiedzenie pewnych uniwersalnych prawd życiowych, lecz również moralne pouczenie czytelników. W tym wypadku mamy chyba prawo oczekiwać od autora większej odpowiedzialności za słowo, mamy prawo spodziewać się, iż własnym życiem potwierdzi „prawdowość” tych zasad moralnych, których realizacji domaga się od innych.

Czyżby wobec tego należało uznać, że wspomniane fakty biograficzne całkowicie dezawuuja naukę etyczną Seneki, która byłaby jedynie zbiorem konkretnych sofizmów, nie mających większego znaczenia praktycznego, skoro sam mistrz nie traktuje ich poważnie? Wniosek taki byłby jednak zbyt pośpieszny, a ponadto jawnie krzywdzący dla autora *De vita beata*. Liczne fragmenty pism Seneki świadczą bowiem o tym, iż sam filozof był niezwykle wyuczony na sprawę zgodności słowa z czynem. Refleksja moralna, która zabawia się konstruowaniem błyskotliwych paradoksów, zamiat rozstrzygać istotne problemy egzystencjalne człowieka, nie zasługuje – jego zdaniem – na imię autentycznej filozofii. I chociaż w tróscie o efektywności stylizacyjnej nasz autor nie zawsze zdążył się ustosunkować pewnej retorycznej przesady, to jednak nie można zaprzeczyć, iż dominującym motywu jego (wówczas) filozoficznej nie jest chęć zabylić talentem literackim, lecz pragnienie rozwikłania własnych dylematów moralnych. Z całą pewnością Seneka nie jest człowiekiem zakłamanym, choć jest postacią pełną sprzeczności.

Niektóre z tych sprzeczności są niewątpliwie produktem niedatych czasów, w jakich przyszło mu żyć i działać. Z tego punktu widzenia stoicyzm Seneki może być zinterpretowany jako próba usprawiedliwienia swych działań przez człowieka świadomego, że uczestniczy w polityce wymaga kompromisów moralnych. Prawdopodobnie filozof był przekonany, iż jego rada, jego przypomnienia wywarły korzystny wpływ na poczynania cesarza (dowodem rozprawa *O łagodności* dedykowana Neronowi w początkach jego panowania). Tak też ocenia jego działalność Tacyt, który wbrew wielu późniejszym krytykom filozofa, był zdania, iż w ówczesnej trudnej i niebezpiecznej sytuacji postawa Seneki zasługiwała mimo wszystko na uznanie. Jak każda filozofia, tak również stoicyzm wieloma niemi łączył się z życiem społecznym swej epoki. Jest duto racji w poglądzie, iż stoicyzm stanowił swąistą ideologię, wyraz przekonań najbardziej światłych członków arystokracji rzymskiej, usiłujących ocalić wewnętrzzną niezależność i godność jednostki w obliczu tyranijskiej władzy.

Nie tłumaczy to jednak całej złożoności filozofii moralnej Seneki, ani tym bardziej nie wyjaśnia niezwykłej popularności jego pism w wielkich późniejszych Wschodzie. Widocznie zatem musiały one zawierać również inne, bardziej uniwersalne treści. Filozofia chrześcijańska mogła odnieść w nich m.in. wiele argumentów na rzecz tezy o doskonałości świata urządnionego przez Boga, mimo nader kłopotliwego faktu, iż cierpienia i krzywdy spotykają często ludzi niewinnych i szlachetnych (Seneka rozwijał teodyceę stoicką w traktacie *O opatrności*). Humanistyczną myśl renesansową bez wątpienia pociągały racjonalistyczne i naturalistyczne wątki filozofii Seneki (wystarczy powołać się tutaj chociażby na *Proby Montaigne'a*).

Nie można, oczywiście, nie zapytać, czy Seneka ma coś istotnego do powiedzenia dzisiejszemu czytelnikowi? Odpowiedź, jak sądzę, może być tylko jedna: pisma etyczne Seneki są nie tylko wspaniałym dokumentem starożytnej mądrości, lecz zawierają również wiele spostrzeżeń na temat sensu życia, szczęścia, przyjaźni, śmierci itp., godnych gruntownego przemyślenia przez współczesnego człowieka. Wprawdzie nie zawsze udawało mu się wcielić w życie swe własne postulaty etyczne, lecz czyż szlachetna pasja samodoskonalenia, jaką był owładnięty, nie jest wystarczającym znamięm prawdziwej wielkości duchowej? *Nie czynią tego filozofowie, czego nauczają. Wiele jednak czynią już przez to samo, że nauczają, że wypracowują w swoich umysłach szlachetne idee. Gdyby jeszcze ich czyniły równały się słowom, naprawdę, kto byłby od nich szczęśliwszy? Tymczasem nie mają powodu do tego, by lekceważyć ich dobre słowa i serca przeprobione wiozłymi*

myślami. Już samo zajmowanie się szlachetnymi naukami zasługuje na pochwałę, nawet jeżeli nie poraża za sobą następstw praktycznych. Co w tym dziwnego, jeżeli nie dochodzą do szczętu ci, którzy odmawiali się wstąpić na strone zbroje? Lecz jeżeli jesteś mężczyzną, patrz: z uszanowaniem nawiń na upadek tych ludzi, którzy się wysławiają na wielkie czyny.

Słowa te można odczytać jako próbę samounprawdliwienia, ale przebiega z nich też poczucie dumy człowieka świadomego woli utłomności, a jednak nie rezygnującego z wysiłków wzniesienia się na wyższy poziom moralny, uporczywie dążącego do wyznaczonego ideału etycznego. Te właśnie zmagania z własną słabością w sposób paradoksalny przybliżają nam Senekę jako człowieka, czynią jego pisma bardziej wiarygodnymi, nadają im ton autentyczny. Jedną z najważniejszych nauk, jakie nastawiony hedonistycznie człowiek naszych czasów może wyciąć z lektury dzieł Seneki, jest przeświadczenie, że szczęście to coś więcej niż sama przyjemność. Niezbędnym składnikiem życia jest również iłk, cierpienie, śmierć. I ostatecznym sprawdzianem człowieczeństwa jest właśnie to, jak odosnuje się do tych negatywnych stron życia. Być może jakik wymagający moralista mógłby zarzucić Senecę, iż nie zawsze żył zgodnie ze wskazaniami własnej filozofii, lecz w żadnym wypadku to może nie przysądzić, że w obliczu śmierci zachował się jak przysłało na stoickiego medyka. Jak zaświadcza Tacyt, Seneka zamieszany w spisek Przona, ze spokojem przyjął wydan przez Nerona rozkaz popelenia samobójstwa, do ostatniej chwili dyktując swe myśli. W rozprawce *De brevitate vitae* Seneka dowodził, że „nie otrzymaliśmy życia krótkiego, ale czynimy je krótkim”, martwostrawąc je na bezczesność zająca. A napęczniejącym rodzem, jaki człowiek może ofiarować drugiemu człowiekowi jest własny czas. Seneka nie stawiał sobie czasu, bowiem pozostawił potonim dzieło o nieprzemijającej wartości. I największym holdem, jaki możemy złożyć wielkości rzymskiego medyka, będzie pochylene się z uwagą nad jego tekstami, wygonodowanie w naszym zabieganym życiu kilku chwil, aby wraz z nim zastanowić się nad sprawami ostatecznymi.

Uzgodnił Antoni Seneka. Mieli Wybrał, przełożył i opracował S. Szlachta. Wydawnictwo Iskrona, Kraków 1987. Wj. I, w. 40.

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

„MIĘDZY MISTERIUM A FARSA”

Książka Mariana Rawińskiego *Między misterium a farsą* Polska dramaturgia międzywojenna w kontekście europejskim wydana jest dwoma głównymi założeniami: miażdżącą koncepcją interpretacji rozwoju całej dramaturgii, koncepcją przekonującego popartą faktami oraz po drugie, bogatym zestawem informacji historycznych o dużej wartości dydaktycznej.

Książka składa się z dwu części. Pierwsza wyróżniona jest kontekstowo europejskim. W dwu rozdziałach autor charakteryzuje główne wyznaczniki tego kontekstu, po pierwsze, rolę naturalizmu, rozwój dramatu od Ibsena do Brechta, do teatru epickiego. Po drugie zaś omawia ontyczny teatr wizerunkowy od Strindberga do Artauda. Niżej powiemy do czego mu to jest potrzebne.

Część druga książki mówi o dramaturgii polskiej okresu międzywojennego. Ta właściwa część pracy składa się z trzech rozdziałów. Pierwszy poświęcony jest kontynuacjom Młodej Polski, od Żeromskiego, poprzez oddziaływanie ekspresjonizmu, do dramaturgii zwróconej w stronę historii i mitologii. Rozdział drugi charakteryzuje jedną, jak chce autor, próbę nowej formuły dramatu w polskim międzywojennym teatrze – twórczość Stanisława Ignacego Witkiewicza. Osobną uwagę poświęca Rawiński Szwem Polakom. Rozdział trzeci wreszcie omawia skromne propozycje realizmu w dramacie polskim tego okresu.

Książka mimo bogactwa oraz szeregówolnych informacji o wielu zapomnianych piśmiach jest zważy, bez dłużytn dysproporcji, napisana bardzo czytelnie i polocyście. Spojrzenie autora na ów teatr jest nowoczesne i samodzielne, nie obciążone złudzeniami krytyki z lat, które historyczne interpretuje. Autor nie przeczą tekstu erudycji, ale widać, że panuje nad literaturą przedmiotu i może z niej wybierać ważkie sądy.

Rawiński trafnie dostrzega drugorzędność polskiej dramaturgii lat międzywojennych,

ję znacznie niższy lot w porównaniu do ówczesnej powieści i poezji. Przekonywająco wyjaśnia to zjawisko brakiem istotnego (twórczego) kontaktu naszej dramaturgii z rozwojem bliższej jej w czasie dramaturgii europejskiej. Ta była znana z naszego życia teatralnego i tamtych lat. Dotarczała więc publiczności nowych ujęć, podnieć ideowych, rewelacji artystycznych. Teatr europejski, który dostatecznie głośno poprzez repertuar Ibsena, Shawa, niemieckich ekspresjonistów, Prandella przemawiał z naszych scen był nowatorami, związany z problematyką nowoczesności, przemian społecznych i obyczajowych XX w. Natomiast dramaturgia polska zwrócona była ku tradycji romantycznej, w której szukała odpowiedzi na wielkie pytania współczesne. Tych nie było, zwłaszcza w epigonizmie w stosunku do romantycznej tradycji. Nie przeszliśmy we własnej dramaturgii rozprawy z konwencjami, ze strupieżalną ideologią uświęconej tradycji, z jej hipokryzją, rozprawą na miarę Ibsena. Polaki naturalizm był wulgą, mimus Zapolskiej, zbyt przeciw jednostrotności, wagał choć śmiało rewidując tradycję. Z drugiej zaś strony nie tylko nie przemówili dość głośno obrońcy prawdy naturalistycznej, również nie zakorzenili się w naszej kulturze twórcy Strindberg i teatr snów. Nie mielibyśmy tej odnowy nierealistycznego teatru z wielkimi osiągnięciami aż po Artauda. Jedyny rzeczywisty nowator pozostał niezrozumiany, zepchnięty na margines, ośmieszony. Głos jego przyzedł dopiero w drugiej połowie wieku.

Także nasza reforma teatru związana z osobowością Schillera była inna niż nowatorstwo europejskie. Schiller odkrył wielkość artystyczną i ideową naszej tradycji romantycznej. Odkrycie to odegrało ogromną rolę w kulturze polskiej. Uświadomiło nam dramaturgię romantyczną. Uczyliło nie tradycję naszą współczesności kulturową. Ale doceniając tak zdobycie i odkrycie wartości, musimy pamiętać, że sprzyjało to wszystkim owemu zwrotowi do tradycji w dramaturgii lat międzywojennych. A przecież zwrót ten nie był żadną koniecznością, ani w zakresie żywej dramaturgii nawet nie był wartościowy. Schillerowskie teatry monumentalnie mógł również powstać i funkcjonować i w warunkach, w których w dramaturgii Witkacy byłby jednym z wielu a nie zapożyczonym wyjątkiem. Tymczasem nad dramaturgią naszą zaczęła tradycja. Głównie tradycja misteryjna. Obca realizmowi i buciom poibsenowskiego teatru. Rawiński trafnie dostrzegł jak widnokrąg naszej sceny został obtawiony miami. Sprzyjała temu poetyka ekspresjonizmu. Zważając ekspresjonizm nie aktywistyczny, ale ten akcentujący przemianę duchową, jako źródło i nosiciela przemian świata. Z tego punktu widzenia i przemiana duchowa była konwencjonalna i abstrakcyjna, i przemiana świata nie legitymowała się realiami, ich konkretnym programem, ich historycznym kształtem.

Sądzę, że ma rację Rawiński, gdy dowodzi, że misteryjna tradycja romantyczna utuliła żywy stosunek do konwencjonalnych zakłamani społecznych polskiego dramatu z lat rozkwitu w Europie poibsenowskiego teatru krytyki i walki o prawdę. Szczególnie groźne były te zwroty do tradycji w ujęciu epigonów. Wypiadki tego Dła uzasadnienia tej koncepcji interpretacyjnej rozwoju polskiej dramaturgii lat międzywojennych potrzebna była Rawińskiemu pogłębiona analiza europejskiego kontekstu, roli naturalizmu, rozwoju teatru poibsenowskiego, roli Shawa, aż do odkrycia Brechta. Losy zaś nieudanej ówczesnej reformy Witkacowskiej wymagały podobnej analizy teatru onirycznego, poczynając od Strindberga i wiodąc ten wywód aż po nadrealizm i Artauda. Dlatego też kompozycja książki Rawińskiego wydaje mi się uzasadniona. Z tej perspektywy formułowane przez Rawińskiego oceny rozwoju dramaturgii polskiej okresu międzywojennego są oryginalne, ciekawe, krytyczne.

Nie wydaje mi się, by zasada była penodazyca literatury tych lat. Autor i w sferze kontekstu europejskiego musi negać do znaczenie starszych zjawisk niż związane z latami dwudziestymi, i mówiąc o polskich tradycjach stałe musi nawiązywać do Młodej Polski. Nie ma przelomu w 1918 r. Jest ciągłość, tradycje, epigonizm. Trochę nowatorstwo. Ataki na światłość tak charakterystyczne w XX wieku, są takie same jak w końcu XIX w., w latach rewolucji, w latach wojny. Nietrafność w tych atakach tak wyjątkowa w dramacie nie mówi nic o przełomie. Więcej wady zaczynać społeczne we własnym państwie. To hamuje rozpęd krytyki. Ale przecież nie czyją ani na powieści, ani na poezji, ani na esaju. Sam Rawiński musi odwołać się do kontynuacji, po prostu kontynuacji Młodej Polski. W tej drugiej części pracy Rawiński daje, jak pisałem, informacje wiernie, prawdziwie i szczegółowo.

Krytyka Rawińskiego jest surowa, ale sprawiedliwa. Uderza nawet u Żeromskiego owo przyzrycie z tradycją szlachacką, demokratyczną, to prawda, ale szlachacką. Trudno to uznać za wartość. Trudno bronić tych nieudanych dramatów jak *Pomad Inieg...* Rawiński widzi to jasno. Widzi jasno, jak słaby ekspresjonizm polski gubi się w ogólnikach, byle tylko nie poruszać konkretnych problemów XX wieku, które już literatura rewolucji 1905 r. ostro dostrzegła i na. Nazwał je Brzozowski, Krzywicki, Marchlewski, ale i Żerent, i Żeromski prozaiści.

Autor dobrze pokazuje jak nasz dramat był obcy problematyce Shawa, rzeczywistym problemem XX w. Nie stał naszym autorów było na racjonalistyczna krytykę bohaterów. Ich dramata historycyzmy w sposób kosztownym. Nie ma w tej dramaturgii naprawdę współczesnych sztuk o wypracowanej problematyce.

Na tym też ujęciu twórczości Witkacego jest subtelne, waga głęboko. Podkreślenie, że mamy w tej dramaturgii do czynienia ze swobodnym dandyzmem, z życiem poza życiem, życiem jako sztuką, jako czymś sztucznym, że swobodnym artystyzmem politycznym, wydaje się ciekawe a trafne. Rawiński umie pokazać, że dramat Witkacego (wzorny naprawdę nowy teatr w stosunku do tradycji, której martwy ciężar szczegółowo opisał. Świątyni sztuki młodopolskiej został przeciwstawiony przybytek zabawy. Autor trafnie wykrywa w tym dramacie związki z ekspresjonizmem i związki z nadrealizmem.

Ostatni rozdział książki mówią o próbach realizmu w omawianym okresie. Jest on interpretacyjnie cenny. Nie pomija nikogo. Daje trafne interpretacje. Daje trafne oceny. Słusznie wyróżnia Gombrowicza. Surowo ale trafnie uderza w dramaturgiarstwo komediowe. Pełne stereotypów, obyczajowej sztuki. Całość jednak tego rozdziału rozsypane jest i nie jest to winog autorowi. To dramaturgiarstwo nie daje prawie żadnej śmiałej propozycji. Nie układa się w nurt postawiający i dążeń czy to społecznych, czy obyczajowych nawet, czy artystycznych. Oczywiście powstało wtedy parę dobrych sztuk Iwaszkiewicza, Słomkowskiego. Rzec jednak kończy się workiem miśkłego drobnarzu — komedyci autorów należącego do dawnego ZAD, Związku Autorów Dramatycznych, z Krzywoszewskim na czele.

Sposunek Rawińskiego do tych zjawisk jest sprawiedliwy. W sumie sądzę, że napisał on dobrą książkę, pożyteczną, a jednocześnie oryginalną, cenną informacyjnie i przy tym zwięzłą i czytelną. Rzec z całą pewnością zasługuje na reedycję w większym nakładzie dla szerszego kręgu odbiorców.

Marian Rawiński: *Między misterym a farą. Polska dramaturgia międzywojenna w kontekście europejskim*. Wyd. UMCS. Lublin 1966. ss. 266. nakład 100 egz.

ARKADIUSZ BAGAJEWSKI

WPROWADZENIE DO „NORWIDOLOGII”

Przed kilku laty pojawiła się w księgarniach dość starannie wydana, niewielkiego formatu książka *Jużefca Słowackiego oym hlystawowy*. Zawierała ciekawe szkiełki poświęcone bardziej i mniej znanym utworom twórcy liryki w pełni romantycznej (określenie Czesława Zgorzeleckiego). Adresowana była głównie do nauczycieli i starszej młodzieży szkolnej, a stanowiła doskonałe wprowadzenie w trudną sztukę rozumienia utworów lirycznych Słowackiego. Przy okazji dawała też odpowiedź, na postawione w *Ferdynandzie* pytanie, dlaczego „wielkim poetą był”. Z tym większym zainteresowaniem powitać należy kontynuację samego udanego przedsięwzięcia.

Cypriana Norwida kształtowały i milości, pod redakcją Stanisława Makowskiego, jest książeczką o podobnym charakterze i opracowaniu graficznym jak wspomniana praca o liryce Słowackiego. Szkiełki różnych autorów poświęcono tym razem liryce Norwida, starając się poszczególne analizy i interpretacje wprzeplętnić odbiorcy nieprofesjonalnemu, np. rezygnując z szczegółowej dokumentacji, czy nawet publikując nowe wersje

Jużefca Słowackiego oym hlystawowy. Red. S. Makowski. Warszawa 1980

niektórych tekstów wcześniej publikowanych w wydawnictwach specjalistycznych *Książka w temacie redaktorami pomysłami została jako poetycki drogowskaz w waskich wydróżkach przez zamknięty w literackich kształtach Norwidowski świat myśli i wyobraźni* (ze wstępu S. Makowskiego, s. 8).

Porząd wydanych w latach czterdziestych prac poświęconych Norwidowi¹, omawiana książka jest bodaj jedyną adresowaną do szerokiego grona odbiorców, przy tym opracowana została bardzo interesująco a równocześnie z uwzględnieniem aktualnego stanu badań. Występuje tutaj różnorodność stanowiska badawczego (m.in. o priorytetach strukturalno-semantycznych, widoczne wpływy hermeneutyki, orientacja komparatystyczna) układają się wazką ze sobą całość, osiągnięty dzięki zastosowaniu dyrektywy „czytania Norwida przez Norwida”. Słowo poety stanowi zatem zawsze nadrzędny układ odniesienia dla eksploracji badawczych. Treścią wszystkich szkiców jest zmaganie się z bogatym sensem Norwidowskich „Słów”. Przyjęte zasady „czytania poety przez poety” stało się okazją do ciekawej preterencji różnych warsztatów badawczych (m.in. w analizie R. Sulimy, poświęconej *Kołhece pieśni*, zauważyć można folklorystyczną orientację badacza, w szkicu E. Czapliewskiej, dotyczącym *Przeobrażeń*, dochodzi do głosu „dialogiczne myślenie o literaturze”). Rzecz jasna, powodzenie „czytania Norwida” zależne jest od wielu czynników: znajomości kontekstu historyczno-literackiego i zasad rządzących poetyką twórcy w pierwszym rzędzie, umiejętności dokonywania destryktacji, tak głęboko obecnych w twórczości autora *Fortepiana Stopnia* różnorodnych znaków kulturowych (pośród nich, co dobitnie akcentują autorzy wykrótki szkiców, głęboko przenikających to dzieło motywy, tematów, idei o promieniach chrześcijańskiej i antycznej). Wyliczać można dalej.

„Norwidologiem” zostaje się po latach trudnych prób zrozumienia tej twórczości, po wielokrotnych próbach odnalezienia właściwego klucza do ograniczenia myśli. Wazką i taką sugestią obecna jest w niektórych szkicach, że droga do Norwida, to czytanie Norwida, postulowanie właściwej metody do zrozumienia głębi sensew, a w przypadku adreata tej książki, korzystanie z pomysłów i uśledź znanych specjalistów (za prace A. Witkowskiej, T. Kostkiewiczowej, Z. Libery, K. Górnickiej, S. Makowskiego, M. Ingłota, S. Sawickiego — porzeczamy na tych kilku nazwiskach — pokazują w jaki sposób czerpie sensew poetyckich łącząc się może z precyzją i przejrzystością wywodu badacza) Inna sprawa, że stale postępujemy klucza do ograniczenia Norwidowej myśli i wyobraźni w całym jej bogactwie. Stąd, obecne także w tej pracy, polemiki, próby nowych odczytań, nowe, niejednokrotnie śmiałe pomysły interpretacyjne.

W recenzowanej książce zauważyć można próby wykorzystywania nowszych inspiracji metodologicznych, np. opia Norwidowskiej semantyki w kategoriach czasowych i przestrzennych (W. Grajewski, M. Adamiec), kategorii „dialogicznego myślenia o literaturze” (E. Czapliewskiej) czy w ujęciu komparatystycznym (tem porównawczym może być twórczość samego poety, albo kontekst myśli europejskiej — por. szkic C. Rowińskiego). Można czytać Norwida tak jak robi to Trzaska (wielokrotnie wspomniany w tej pracy), można tak jak czynią to jego opobanci, można też tak, jak to robią poeci (zob. szkice A. Kamińskiej, M. Buczkówny, M. Jastruna, M. Piechals). Podkreślić, książka daleka jest od ustalania jakiegokolwiek arbitralnego wzorca interpretacyjnego. Często pisze się wręcz (np. T. Kostkiewiczowa czy M. Jastrun) o wielu motywach (bo założonych przez twórcę) odbiorach określonej frazy czy motywu. Co ważne, szkice pokazują na konkretnych przykładach, w jaki sposób poddawano kategorie Norwidowej poetyki (np. interpretacja semantyczna, norwidowska „gra”i, rodzaj metrum) i estetyki (styma teoria mielenia) układają się w wyższe układy znaczeniowe.

Analizowane wiersze ułożone zostały w układzie chronologiczny (od *Pórn* z 1842 r. po *Dedykację* z 1866 r.), „laononcznie” arcydzieła obok kryłków mniej znanych w szerokiemu odbiornikowi, a z wielu powodów wartych poznania². Na tak dobranym materiale czytelnik może zaobserwować (oczywiście w dość ograniczonym zakresie, co wynika z

rozmiarów publikacji) proces Norwidowego zmagania się z językiem i myślą. Przyjrzyjmy się bliżej niektórym spośród interpretacji (książka zawiera ich 22).

W świetnym szkicu, poświęconym *W Weronie*, T. Kostkiewiczowa mówi o tym, jak funkcjonuje w ramach norwidowskiej poetyki ta kategoria, którą określamy mianem reinterpretacji semantycznej (różne sensy niosące przez ten sam obraz poetycki). Badaczka sugeruje, że Norwidowi chodziło tu o uruchomienie aktywności czytelnika w procesie rozumienia tekstu. Zastawione przez poety motywy „czujących cypryśków” i „nieuczonych ludzi” w pewnym momencie przechodzą w inny układ znaczeniowy, aczkolwiek zasugerowany przez twórcę, to jednak głęboko ukryty. W ten sposób wiersz odwołania czytelnikowi duży ładunek intelektualny ukryty za aluzją literacką, symbolem, przemieżeniem i ironią.

M. Busi podcza analizy *Mojego piosenki (II)* stawia tezę o ironicznym charakterze tego utworu (podjęmymy sugestię Z. Łapińskiego³). Jednocześnie oponuje przeciwko przypisanu wiersza do nurtu „nostalgicznego patriotyzmu” twierdząc, iż *Moja piosenka (II)* wprawdzie podejmuje formułę nurtu, ale zaprzecza istosć tej konwencji. Drobnozabawa analiza dokonana os sterokiem i porównawczym (zestawia autor szkicu podobne motywy, występujące w innych utworach poety, w celu ukazania ich funkcjonalnego związku) zdaje się potwierdzać postawioną wcześniej tezę. Choć, jak się wydaje, traktowanie *Mojego piosenki (II)* w kategoriach „modlitwy patriotycznej” wcale nie jest bezasadne⁴. Ujęty w prozę i bezpośrednią formę patriotyzm przemawia silnie m in dzięki przywołaniu poddanego reinterpretacji stereotypu „awoskoki”, ściśle związane z światem doznań religijnych. Dyktulować też można, że rzeczywicie ironia organizuje sensy przedostających strof, czy dochodzi tutaj także do głosu imperatyw osiatyczny zastosowan, „bez światła-ciemn”, znany także z epistolografii poety⁵.

W szkicu poświęconym utworowi *Nerwy* B. Owczarek eksponuje funkcję kontrastu, będącego podstawową zasadą konstrukcyjną wiersza. Kontrastowe przedstawienie miejsca „gdzie miz z głodu” i salonu, powiązane z interpretacją trzech symbolicznych pojęć: kryzysu, realizmu, socjalizmu, układają się w Norwidową formułę współczesnej poezji cywilizacji. Szkoła też, że autor szkicu nie wspominał o wpisanej w tę formułę „ironicznej grze” sensemi poetyckimi. Najkrócej — ironia wystrza tu konflikt, napięcie między warstwą brzmieniową a warstwą znaczeniową.

W swojej analizie Owczarek wyekspozował głównie implikacje semantyczne i egzystencjalne naczelnej idei wiersza — bezradności sił, niemożności porozumienia się.

M. Maciejewski (wiersz *Fantami* podjął się próby „osobistego zapalenia świecy” podost „wielu prób zapalenia hermeneutycznych świec” (s. 133), dokonanych przez innych „norwidologów” (Wyka, Borowy). Jak stwierdza, w szkicu chodzi o odnalezienie „motywów wyjaśniających kondycję Norwidowego Człowieka zagrożona nieustępliwem” (s. 133). Interesująca analiza elementów kompozycyjno-stylistycznych wiersza ukazuje zastosowaną w tym utworze „poetykę głębokiego paradoksu”, polegającą na przenikaniu tego, co abstrakcyjne, uniwersalne z tym, co konkretne, jednostkowe. Efekt ten osiągnął Norwid, jak pisze Maciejewski, dzięki precyzyjnie wyznaczonej sytuacji za pomocą *metafory profilaktycznej cały utwor...* (s. 134). Norwidowe *Fantami* przynosi chrześcijańską koncepcję cierpienia stojącego ze zrykiem człowieka.

Wspomniane zostało w innym miejscu o „czytaniu Norwida” przez poetów. Tak, jest to inny wariant „lekiej Norwida”, bo chociaż autorzy analiz (Kamińska, Buczkówna, Jastrun, Piechal) swobodnie posługują się narzędziami historycznoliterackimi, to szczególnie ciekawe w tych tekstach wydaje się zderzenie wyobraźni poety współczesnego z wyobraźnią wielkiego poprzednika.

Co powstaje w wyniku takiej relacji? Chyba Norwid „przepuszczony przez pryzmat” wyobraźni poetyckiej twórcy żyjącego w innym czasie i przestrzeni:

A. Kamińska (*Berna pamięci: zabawy rasopod*):

¹ Wynikami przyrępowanej książki S. Swoboda: *Norwidowski świat Antona Lada 1803*, B. Knapczyk: *Świat norwidowski Norwida* Warszawa 1981, *Norwid. Z dzieł jego recepcji redaktorów*, opier. M. Ingłota, Warszawa 1983, *Cyprys Norwid* Warszawa, pod red. S. Makowskiego Warszawa 1986; S. Swoboda: *Norwidowski świat i forma* Warszawa 1988.

² Por. np. S. Sawickiego, s. 153.

³ Z. Łapiński: *Norwid* Kraków 1971, s. 89-90.

⁴ A. Mielon: *Dziwota Norwida* (w:) *Impresje re-tyjne w literaturze*, pod red. A. Mielon Warszawa 1983.

⁵ 202-203.

⁶ Np. w książce Wł. Czarnyckiego (w:) *Cyprys Norwid. Pisma wybrane*, opier. J. W. Ciomacki Warszawa 1983.

⁷ S. 4, 22.

*Teraz naprawdę już nie tylko czujemy w sobie ten krok.
Już idziemy nim razem. Idziemy za zmatwiełym bohaterem
Idziemy w tym pochodzie, który jest wieczny, który się nie kończy (s. 41)*

M. Buczkówna (Jak...)

Nawet letnia burza, choć grzmi, jest cicha w tym wierszu, jak w śnie. (s. 83)

Dobrze się stało, że ta książka dotrze do doryc szerokiego grona odbiorców (nakład 50 000 egz.). Można sądzić, iż spełni rolę „poetyckiego drogowskazu”, pozwalającego zrozumieć bogactwo sensów i odkryć, rozmiar artystycznych dążeń Norwida

Cyżymś Norwidem kłóć się prowadzi i nakładki Amsterd. i niemieckojęz. pod red. S. Makowskiego. Wydawnictwo Biblioteczne i Poligraficzne. Warszawa 1984, s. 187, nakład 50 000, cena zł 200

GRZEGORZ FILIP

ODEJŚCIA, POWROTY...

Zdaniem autora, że z taką maestrią potrafi zatrzaskiwadł świat przyżyć w powrotnym ruchu — napisał o Bronisławie Maju Sergiusz Sierna-Wachowiak. Maj rzeczywiście kręci się wokół rzeczy. Inaczej by nie mógł: ma bowiem w rzeczach sojusznika. Ich niepowtarzalne układy związują i zatrzymują czas, a to jeden z najczystszych tematów poezji Maja. Układy rzeczy, miejsca, rytuale, w tym wiodącym ludzie — oto, co się zapamiętuje, do czego powraca, w czym szuka siebie, swojej tożsamości, a jest to drugą krąg tematów powtarzających się w twórczości krakowskiego poety. Osadzenie obrazów poetyckich w konkretnym otoczeniu i czasie nie jest więc przypadkowe. Owe plaże, ganki, łuki nad Białką czy Wkrą, krakowskie ulice staromiejskie, owo popołudnie, wieczory, sierpień i październiki — to miejsca i czasy zobaczone ponownie, to przestrzenie anamnestyczne, obrazy opowiedziane z pamięci, a więc wyobraźni. Bohater wierszy Maja przywołuje je po to, by się przekonać, że już go w nich nie ma, że odszedł.

Wraz z miotyłem odejścia pojawia się cała sfera problematyki towarzyszącej konkretność dokonania wboru, wyrzeczenia, problem obecności, dama świadeciwa i trinitenia, pozostawienia czegoś po sobie przed odejściem, które może być wynagieniem lub wyzwoleniem, odrzuceniem przez społeczność bądź odstąpieniem społeczności. Triumfalnym odjazdem wśród pieśni i uściszków lub ucieczką chylkiem albo rozplynięciem się w dymie. Alienację bądź transgresję Śmiercią lub ocaleniem. Dlaczego? Dokąd? Na jak długo? To pytanie padające w trakcie dramatycznych polegnięć. Przyczyną i kierunku bywają nierzadnie

Odejście stwarza dwa światy oddzielone od siebie nawzajem wyraźną granicą, czasem bliższe sobie, czasem bardzo dalekie: świat, który bohater opuszcza i ten, do którego się udaje. Są takie filmy, które się kończą sceną odejścia głównego bohatera (filmowaną z kamery o szerokokątym obiektywie), gdzie droga lub przez pole oddala się on, by wreszcie zniknąć wzdłuż linii horyzontu. Odechodu to zupełnie inną rzeczywistość. Odechodu w swoją przeszłość, przyszłość świata, w którym żyje, czyli świata filmowej fabuły, ale egzystującego przecież poza filmem, bo film go już nie przedstawia, nie mówi, co będzie dalej. Odechodu więc jakby w rzeczą rzeczywistość, ani filmowa ani otaczająca wtedy. Odechodu jednocześnie z ekranu i wraz z nim przesyła czas filmowej iluzji rzeczywistości. Bohater schodzi ze sceny: gdy zniknie — skończy się też i film, zamknie jeden, niepowtarzalny świat. Idzie dłużej, jakby chciał dać czas widzowi: do zamknięcia, zapamiętania, odczucia na sobie emocji pogubienia i dać czas sobie. Reżyser wybrał do takiej sceny otwartą przestrzeń z dalekim horyzontem, nieśmiotliwym do szybkiego osiągnięcia. Nie ma gdzie zniknąć w takim projektorze, schować się na chwilę, przeczekać, by potem, tuż po przesunięciu się przez projektor ostatniej klatki, wyskoczyć z ukrycia i wrócić, zostać. Tak się jednak nigdy nie dzieje. Byłoby to paszaw.

Odejścia Maja przyjmują różną formę, w różny się sposób ujawniają. Czasem wydają

się tylko krokiem wstecz, jaki robi fotograf chcąc objąć obiektywem większy fragment przestrzeni:

*Jak daleko trzeba by odejść,
aby ten spazmatyczny, wykastkowy, dygoczący
chaos zobaczyć — z jak daleka —
jako spokojny, czysty, niewzruszony
wzór.*

A więc osiągnąć dystans umożliwiający obejrzeć świat bez uczestniczenia w nim. Do tego nie wystarczy cofnąć się o krok z kamerą w rękę. Kończący okazuje się dystans znaczenie większy, przetracający już ramy naszego wyobrażenia.

*Jak daleka, wysoka, czy wystarczy
umrzeć czy jeszcze
dalej.*

Maja interesują odejścia bardzo dalekie, takie gdy porzątek podróży znany jest znacznie lepiej niż kres:

*wobny i lekki — odchodzisz
w swoją stronę: spod mrocznych kasznowodu Planu
(...)
— coraz wyżej, powoli: wstępujesz
w nieśmiertelne światło
powietrza*

To przede wszystkim odejście ze świata, jak w wierszu kręcącym obraz tragicznego gestu calopalenia. Odejście stracone, odrzucone przez niebo ofiara, odejście w „brunatny, żrący dym”, w zatracenie.

Także inny obraz, pochodu odchodzącego ku śmierci w „ostatnim powietrzu”, wraz z którym rozpływa się świat, ginie słowo, które było na początku. Odejście nabiera tu kosmicznego, apokaliptycznego wymiaru. Kolonna bez początku i końca, wędrująca przez białą pustkę ma w sobie coś z obrazów przedstawiających katorżnicę pochody syberyjskie. Tak poznamo i nisko pełnie jeszcze tylko dym spalonego ciała

Inaczej w wierszu *Módl się, aby to wmgli był tak...* w którym śmierć wyobrażona, to odejście wmyśl, pęć się labiryntem splełtanych ulic starego Paryża i starego Krakowa na przemian, to wetykalne, strzelanie wstępowanie w „nieśmiertelne światło powietrza”. Ale to tylko wariant wyobrażenia.

W tym wybrażu możliwych odejść ku śmierci jeszcze jedna stara fotografia (odmiana na ten gatunek wiejskiego dworku. Obraz przedstawiony nadmarmar powieźra, przesłiznię, słodczą odbijanej powięźra. Światło pełne w tej poezji ważną funkcję: walorowo różnicuje charakter opisywanego świata. Jasne — gdy jest on bezpieczny, przyjazny, stabilny i cienne bądź czasem złote — gdy zaburzony, niespokojny, wrogi. Obrazem przeszłości, powrotem w dziesięćto towarzyszy własnie silne białe światło — efekt jak ze starzych, zniszczonych i prześwietlonych kopii filmowych, kiedy migające ostre rozbitki zamazują kontury. Wracając do obrazu ze starej fotografii, pożegnania, młodoci, odejścia z nadzieją. Jest on niemal radosny, z narodowo-sentymentalną nutą mimo tego, że jest przecież o śmierci.

Odechodu Bliscy. W wierszu *Nadał* odejście pełni funkcję kreacyjną, tworzy pełną, zamkniętą i piękną całość życia, akrobacją i doskonałą. Żyćce — jak dzieło sztuki. Można odejść pozostawiając je po sobie.

Człowiek odchodząc na zawiesz, chce pozostać. To, co zostaje po ludziach, co nie przemija, może być dwójakiego rodzaju. Jedno ma charakter oficjalny, zewnętrzny, statystyczny. To historia zapamiętująca „kilka dni, miesiąc kłęki, nazwisk”. Drugie, to wiedza „poza historią”, poza oficjalnością. Maja interesuje to drugie i cały właściwie tonik rejestruje jego własne przypominanie zapamiętanie. Mijają epoki, odchodzą

pokołenia. Są więc dwie prawdy o czasie: przeszły, historyczna i indywidualna. Pierwsza nie powie wiele o człowieku, bo mówi statystycznie (*Tak mało umiem ci przekazać, tyle co wszyscy*). Druga jest „poza historią”, jest prawdą zmysłowej codzienności i w jej języku możliwą do przekazania.

Bohater wierszy Bronisława Maja bywa często świadkiem odejść. Jaką postawę wtedy przyjmuje? Jest obserwatorem, samotnym lub wyobcowanym z tłumem, jak w wierszu *To irwa zalewów kilka młotów...*, obserwatorem-moralistą zajmującym zupełnie osobną pozycję w ocenie wydarzenia, któremu świadkuje. W tekstach późniejszych staje się świadkiem bezamiętnym, obojętnie rejestrującym na przykład odejście w przeszłość starej krakowskiej kamienicy, wraz z którą przemija bez patosu i metafizyki dawna Polska. Za cały komentarz, jakże przez to gorzki, pozostaje konstatacja:

*ceglina pył wsiąka w błoto
ulicy, jest grudzień, wtorek. Już nudnego
wiejcia.*

W wierszu *Liść. Jeden z ostatnich...* bohater liryczny jest jedynym świadkiem odejścia, zniecierpienia, zganięcia:

*nikt nie zobaczył
tego, co ja, nikt.*

I dalej: *Jestem sam. To waność czy tylko powód. sam, bo mi było innych świadków? Jestem sam, bo nikt nie dostarcza tego, co ja. Jestem sam ze światem odchodzących liści.* Świadek-obserwator z wiersza *Wietrzem na Dworcu Głównym...* to ten, który zostaje. Nie wybiega za irójką halaliwych dzieci. Nie rozumie ich języka. Wie, że są wolne, że pochodzą z innego świata. Dlatego me może odejść wraz z nimi. Wprawdzie w wierszu *Wzrosnąć, południe...* próbuje uciecki „na chwilkę czystego zachwytu”, ale sam wie dobrze, że mu się to nie uda.

Ochodzi czas. Zabiera ze sobą także i przestrzeń, która niegdyś wydawała się trwała i niezmienna. Młodniak staje się wysokim lasem. Odejście z przestrzeni dzieciństwa okazuje się być ostateczne. Już w niej nie ma bohatera wierszy Maja, nawet gdy po latach do niej wraca. Wiersz *To miejsce, w którym iak kochałem...* zbudowany jest w całości na opożyczonych odejściach i powrotach, które rodzą z kolei dialektyki miłości przeszłych i przyszłych. Wygląda to na powierzchni tak: bohater opuścił miejsce, które kochał, teraz do niego powrócił. Widząc, że nie jest już takie jak przedtem, że odeszło wraz z czasem, przetrząsnął jego inność, chce uciec ponownie i tu się wplątuje refleksja o tożsamości miłości przeszłej i przyszłej, z której wynika konieczność powracania

*I powracam, bez lęku, przystawałam w lesie, który będzie
coraz: wylazł, pełen wilgotnego cienia, coraz pobieżniej
ciemni tych, których kochałam
jak nigdy potem, nikogo*

Było już tak wiele wierszy o powrotach, wierszy mistrzowskich, układających się w ciąg tradycji tego motywu, wychodzący gdzieś jeszcze może od Homerowego *Odysseu*, a przecież Maj odkrywa tu coś zupełnie nowego, i w jaki sposób? Zwróćmy uwagę na genialne oprowanie przetrznięcia i, charakterystyczny dla wszystkich wierszy poety, spójniczy sposób używania dwukropka (pełni on w tych wierszach znaczenie większą, a czasem zupełnie inną funkcję, niż zwykłażo mu przynależna). Maj uczynił z tego znaku swój osobisty, sobie tylko właściwy, iródek ekspresji.

Dialektyki miłości przeszłych i przyszłych wprowadza nas w zagadnienie trójczastości w poezji Maja. Zdarzenia opowiadane z perspektywy teraźniejszości, mając zawsze źródło w czasie przeszłym, rzucają na przyszłość. „Wtedy, czyż zawsze?” — powie Maj. Albo gdzie indziej: „Świat nazwany ma odstęp tylko odin czas: jest”. Czas jest jeden, przeszłość, teraźniejszość i przyszłość przenikają się wzajemnie. Z przeszłością i przyszłością — zdaje się mówić bohater wierszy — wiąże mnie moja własna osoba. Ja z

przeszłości i ja z przyszłości to wciąż ten sam ja teraźniejszy, choć — jak pisze Roman Ingarden w *Klasyfikacja a człowieku* — teraźniejszość jest najmniej uchwytna (jest właśnie przejściowa), w krótkim bowiem czasie staje się przeszłością. Tylko przeszłość i przyszłość są w stanie układać się w spójne obrazy. Obecność, to zakorzenienie w czasie minionym. Odejście, to porzucenie „dzisiaj”, to nieustanne świadkowanie odchodzeniu „tęj czas mijał — już jest!”.

To płynne uytuowanie czasowe podkreślają w wierszach Maja nagromadzenia takich wyrazów, jak: *jeszcze, nadal, ciągle* — zatrzymujące czas, zaświadczające powrót, lecz także: *już i tylko* — konstatujące odejście. Podobna płynność odnawia się w kwestii umiejscowienia przestrzennego. Metafora odejścia dzieciństwa, pod pewnym kątem obejrzana, wcale wbrew pozorom nie przeprowadza granicy między dwoma światami: przestrzeni przeszłej i obecnej. Przecież jest płynne i nieustannie przez bohatera przekraczane w serc ciągłych kłódek i powrotów.

Świat jest jednością, ma tylko jeden czas, wspólne powietrze dla pozostających i odchodzących. Czy więc wszystko odchodzi w owej zmęczonej „przejściowej epoce”, czy nie nie pozostaje? Zostaje niewiele:

*świat rozpływa się, młknie. Już nie słyszysz
słowa, które mogłoby być na początku*

czasem zał bardzo dużo, bo aż jedna „zieleno od oich kropla”, która jest w każdej rzeczy, nie przemija i jest wszystkim, całym światem. Zostaje światło, które

*będzie wciąż nieustraszenie
wytywał ciepłotom i rusanawo alinierującego
białe wieże Włecznych
Mias.*

I wreszcie zostanie człowiek, wciąż kluczący, powracający. Odchodzący zostaje przeciwstawione nie tylko to, co pozostaje, lecz także nowe, które przychodzi. Niepewne, ale czekane z nadzieją: „któl inny, kiedyś, może...”. Zostają bliscy ludzie na ganłkach, tarasach, kieżłach przysypianych igłwiciem, przy furtkach, nawet — jak mówi Maj — „choćby me wszyscy tyli: łmierz nie ma takiej władzy”. Zostanie album rodzinny, przytłacza historia że zdęć. Zostanie też tłum, który wybierze życie. Choć w innym miejscu:

*Nawet nie rozpaci albo zał: wdręjące
poczucie wsiąka, lęk, by się nie powidrzyło — to
tylko zostało*

Bohater jest świadkiem odchodzącego, świadkiem, który pozostanie. Samotny, mający nadzieję, lęk i poczucie wsiądu, mówiący *będzie wciąż, na zawsze pozostanie, rozciągając* przeszłość na przyszłość, zawiązający jak mizolów (może nawet w jego wcieleniu):

*nad fabrykąm wzrosowiskiem, dnem dolnym, z którego — nieustraszenie
wyznaczając porządek, serc i kłwanki stron
świata — rozchodzą się, na zachód
Szwarka, na północ Florióska,
na zachód Mikolóska,
na południe Grosłika.*

¹ Wiersz Maj Zmęczone, poloniste Stanisław Barańczak, Spółnotny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków 1996, s. 68, nakład 5000 egz. cena zł. 120 —

FOTOGRAF NA DACHU

Nie, powieć Piotra Szewca, młodego autora znanego (jako poeta i recenzent) czytelnikom „Twórczości”, „Odry”, „Akcentu” i innych czasopism, nie dzieje się przecież na dachu! Nie na dachu też znajduje się główny punkt obserwacyjny narratora, o – wazeli był on tam (na dachu) i porzucił serca, po czym zszedł, stając się „jednym z nas”. Ale jednak coś z marzenia o byciu „ponad tym wszystkim”, choćby i na dachu, pozostało i nieustannie przemyka przez karty *Zagłady*. Ma się niekiedy wrażenie, że narrator zadrzota Kopule Magistratu, że tak wykosz zaszła (nie – że taka kragla!) i tyle widzi A tu – w powieści – najwłaściwszą rzecz to widzieć, być, „zapamiętywać: urwał od skrupulatnie (s. 100). Myśle, że Kartezjańska formułę „Cognito ergo sum”, odczytał autor *Zagłady* jako „Video ergo sum” (widzę, więc jestem).

Zastąpieniu poprzez widzenie towarzyszy intensywnie przytycie siebie. A ponieważ za to cały świat zobaczył, więc nieustanna troska, by ze świata, czyli z siebie, niczego nie uronił. *Widzieć. Być. Zapamiętywać. Urwał od skrupulatnie* (s. 95). *Być czasowym. Rejestrować pilnie, by niczego nie zabrakło* (s. 85, 86). I owszem, on więcej mnie się ujawni, tym bardziej zaintryguje.

Jak więc, fundament *Zagłady* jest zdecydowanie indywidualistyczny, i mimo że narrator ubrał się tu w gramatyczną formułę „my”, ani przez moment nie wajpimy, że chodzi tu o mnóstwo formuły (pluralis maiestatis *My – z Bogaś łaski – Narrator*), nie zaś mnóstwo świadomości, świadomości narratorki (nie tu całkowicie pojedyncza, bezwzględnie jednostkowa, totalnie osobista, żadne tam „wzrastać swój klasy” (słusznie czy nieśluszenie) czy inne dogmatyczne zbiorowości. Wym Narrator, On i Widz ostateczną miarą rzeczy jesteśmy, zamknięci oczy lub odwrócić pióro od kartki, i cały świat zniknie, cały świat zawisi na ostrzu naszej sztalówki, obowią, na kulec długiopisu. Przeszanie widzieć – przesztanie pisać i nastanie kres, zagłada.

A przecież *Zagłada* jest prozą; jest – o dżwo – autentyczną epiką, prawdą – debiutancką, ale już dojrzałą i znaczącą artystycznie. Ta kuźka, mimo potrzebnych fal liryzmu, które kołyszą całym światem przedstawionym, jest przecież wypowiedzią powieściową; ku powieściowości tęskni, ku epickości zmierza, a choć do portu nie dotyka, wie, w którą stronę należy płynąć.

Paradoksalnie postawiona – antypowieściowo, chociażby się rzec – jest zorganizowana w sposób epicki: obcyemu tu ze światem opowiadany, odsłanianym dzięki nieustannej kragtynie narratorki, który wprawdzie uzbudził się „po owocownemu” w aparat fotograficzny, ob. trochę mu on zawadza, może dlatego że to stary typ – chyba stara „Leica” – z mieszkaniem, na statywie, pewnie z wielkim czarnym wiewem, w który trzeba wsadzić głowę i ramiona wykonując ekspozycję; prócz tego strasznie niewygodna w użyciu magnetyza (na boku dodam: po kiego licha – nawet przy maksymalnej werności „realizm”, i „kolorytów lokalizacji” – używać magnetyzji w bardzo słoneczny lipcowy dzień, choćby to nawet był rok 1934?), odtąd nasz narrator zabawia się (i nas) „przykucaniem” zdjęć (jest niebywale pracowity i ciekaw przypomina, że fotografuje), ale tego stanu nastawionego materiału nie można całkowicie układać, stanowi bowiem spójny epicki własnie – świat solidnie zakreślony w trwaniu. To prawda – trwanie jest tu zależne niemal całkowicie od woli demisura-fotograf, powidmy ściśle – zależne od niego do czasu naciśnięcia spustu kamery, gdy się to stanie, nie temu, co zainstalował, już nie grozi: zostało zobaczone, nastświetlone i wywołane, nie ma zawzięte utracone, narrator-operator może co najwyżej wydziać teraz od tematu „prawdy ostatecznej”, jak np.:

Bura zderza do ręki, przybliżając do oczu. I co? Tu ktoś podnosi kufel albo szklankę, a może co innego (...) tu jakaś kobieta trzyma w ręce nieśmiertelny przedmiot, trudno powiedzieć co. A tam w lewym górnym rogu czarna plama – co to? (s. 9).

To jednak kokietaria. No nawet w detalach – i nawet w zupełnie drobnych – rządzi prawo „Video ergo sum”!

*Widano wszakże, że pewnie jest to tylko, co nastąpiło (s. 65). Tak jest w *Zagładzie*, nastąpiło tu wiele, choć zdawać się może, że nie się nie dzieje. Od czasu do czasu mucha przelazi (s. 98).*

No więc co się tu dzieje? Gdzie się dzieje? Z kim?

Nie dzieje się nic. Spojrzenia, z których zrobiony jest album Piotra Szewca, obejmują setki, może nawet tysiące ujęć, w których „zakadrowały się” rzeczy tak mało istotne, że aż prawie nie istniejące, bo i cóż takiego może się zdarzyć w małym prowincjonalnym miasteczku (jego prototypem – mało skrywanym – jest „przedwojenny” Zamość – rodzinne miasto autora) w ciągu jednego lipcowego dnia? No cóż się może zdarzyć godnego epopu? Wszystko to, co było, co jest i co będzie! No, niezupełnie, bo tu – pewnie jest to tylko, co nastąpiło.

Przez krzyżując siebie przesuwa się słone, na podwórku państwa Blaumów padają lipcowe jabłka, z browaru ulatują zapachy jęczmiennego siodu, panna (czy może pani) Kazimiera M. czeka na Tomasza Romanowskiego (przez niekiedy zwanego Romanikiem), a tymczasem zjawia się nieco nudniejszy mecenasz Walerji Daniłowicz (jako jedyny bohater odobrzany „życiem przyszłym”), która żąda zielone jabłka, pogłęb Herzego Blaumów wśluzują w niebo lub można na dachu, „od czasu do czasu mucha przelazi” itd, itd – „provincia dzień”, dodać można by po Czechowiczowemu.

Co epicko stabilizuje tę liryczną „masę przetworową”? Przede wszystkim miejsce (sposób umiejscowienia obrazów): Piotr Szewc ukazuje nazywa je „Centrum-Wszystko” (s. 57); widać, że Mircea Ebadé i nowocześnie semiotyka były dla autora *Zagłady* nie tylko lekturami obowiązkowymi polonisty, lecz także zapalczyki korzenie w samym centrum osobowości – w ksiadomości siebie (czyli świadomości; wiata, skoro już jesteśmy konsekwentni). Mały, prowincjonalny Zamość raz po raz ma obrotu stać się czymś innym, istotnie – „pekkiem świata”, ale światotulca pamięć nie pozwala na zbyt abstrakcyjne wloty, na odwrękanie się od realności; mały więc miejsce powieściowo (tworzone trochę po Chagalowemu, trochę po Joyce’owemu, może w stylu (co naturalne) w prowincjonalny zbiedzności) Schulza. Ale najgłębsze doświadczenie autora *Zagłady* to chyba Robbe-Grillet i w ogóle szkoła nouveau roman, przepraszam – najgłębsze w sensie „technicznym”, gdy ostateczny korzeń świata to doświadczenie własnej tożsamości w świecie, z którego się wyrosło, a którego nie można opuścić od tak, trzaskający drzwiami.

To prawda, z oddalenia, przez filtry świadomości, czasu i przesłrzeni rzeczy jawić się mogą jako „równe sobie”; tak samo znaczące jest gryzione przez kotkę Blaumów zielone jabłko, jak odwołki marowej przeczoli zamordowanej przez mecenasa Daniłowiczego, jak kilka włosków wokół sutków pani Kazimieri i ona sama rzecz... Obiektywizm narratorka-fotograf podziżył jest intensywnym liryzmem (nie gryzie się jednak z owym „obiektywizmem”) – liryzmem doznawania rzeczy, przetywania ich „materialności”, przywiązania do nich, co rzętaż raz po raz zaprzęta samej tożsamości świata (wchłanianego przez „czarną dziurę” subiektywnej uwagi obserwatora).

W tym doznawaniu centralności Miejsca równie istotne jest doznawanie ważności osób (jak miejsce – mało przecież ważnych i niewiele znaczących). Ciekawe: lokatorowie tego Miejsca nie tworzą grupy powiązanej w sensie przyczynowo-skutkowym (czy podobnym, wykorzystywanym w tradycji powieściowej), a jednak są wzajemnie przez siebie warunkowani – „sobie potrzebni”, to prawda: gołębie, słotce, policjanci, dnieci Blaumów, „panowie dorozkarcy” itd. są sobie równi, ale przecież nie ubywa przez to panom policjantom na znaczeniu (dają się tu nawet lubić), ani nie przybývá znaczenia kotce Blaumów. Jak na fotografii – znaczenie jest podobną umiejscowienia i oświetlenia, nie zaś rangi „właściwej” przedmiotów. I coż jeszcze: znaczenie rzeczy wzrasta wprost proporcjonalnie do sztuki eksponowania. W tej powieksi raz po raz okłędzą jest wznęszuje od oczu Marusza Mrora czy Gertrudy Blaum.

Także i zdarzenia nie wyróżniają bohaterów, bo przecież jest to powieksi o niechędzeniu się (a to wytrwuje totalnie wszystko i wszystko); to powieksi przedstawiająco po prostu istnienie. Znaształt, być – oto co najważniejsze: narrator *Zagłady* pomaga rzeczom, ludzkom, błałym zdarzeniom spełnić to marzenie (powołanie!).

Mam wątpliwości, czy powieksi totalnie trafnie ziatulowana (jakby podzyszte obcą ideologia czyszy jedwab życia); „zagłada” to brzmie groźnie; i nasuwa niezdrowe skojarzenia. A przecież temu światu – tu zobrazowanemu i utrwalonemu – już nie grozi, żadna „zagłada” – no, co najwyżej taka, że kiedyś nie znajdzie się nikt, kto będzie uiał czy chciał przewrócić karty tego albumu (pomniejszając czy pogubując niektóre „fotografy” niczego istotnego wszak nie naruszy...)

Gdybym umiał wróżyć z ręki, tak jak Cyganka Róża w powieści Piotra Szewca, powiedziałbym pewnie: czeka nas wiele pasjonujących przygod epicko-licyznych, które obcuje pomysłowość, wiedza, fantazja i czuła uwaga dla świata autora *Zagłady*.

Plan Sarny: *Zagłada*. Czystań. Warszawa 1967, s. 164, nakład 18 000 egz., cena zł. 2,90.

plastyka

LECHOSŁAW LAMENSKI

Kto to jest Szczepan Sadurski?

Czy fakt, że młody, bardzo młody człowiek wrażliwy na rzeczywistość potrafi wydobyć z niej momenty najbardziej typowe, prozaicznie codzienne, a zarazem niezwykle śmieszne i przedstawić je w postaci interesujących rysunków humorystycznych, może budzić zdziwienie i zakłopotanie? Okazuje się, że tak! W gąszczu biurokratycznych absurdów, w ustawicznej pogoni za nieosiągalnym jutrem, w świecie gdzie o losie jednostki decyduje przypadek albo słowo, gest kogoś ważnego i zaufanego, coraz trudniej wybić się ludziom o bogatych osobowościach a przy tym — o groźno — zupełnie młodym, kilkunastoletnim i na dodatek bez „układów w branży”. I chociaż jeszcze kilkadziesiąt lat temu było to zjawisko zupełnie naturalne i w gruncie rzeczy powszechne, to obecnie udana próba zaistnienia i pozostania na artystycznym parnasie Polski (bez względu na uprawianą dyscyplinę sztuki) przed ukończeniem dwudziestego roku życia jest niemal nie do pomyślenia.

Tymczasem w Lublinie, przy ul. Dąbrowskiego, na II piętrze wyniosłej XIX-wiecznej kamienicy, w przestronnym pokoju o wyszorowanych do białości deskach starej, skrzypiącej podłogi, mieszka i tworzy Szczepan Sadurski, bezprzeznacznie najmłodszy (rocznik 1965) członek elitarnej grupy polskich rysowników satyryków, którzy — jak Stańczyk przed wiekami — uczą i bawią całe rzesze Polaków, wytykając kolejnym pokoleniom rodaków ich wady i przywary, notując w trafnym skrócie to wszystko, co dzieje się obok nas na ulicy, w szkole, fabryce i w domu.

Sadurski, wysoki, szczupły blondyn w okularach o niewinnym spojrzeniu ośeska, garnał się do rysowania prawie natychmiast po odstawieniu go od smoczka i butelki. Gdy koledy z podwórka grali w piłkę, strzelali z procy lub chodzili na śliwki do księdza, Szczepan nie tracił czasu, zasiadał do stołu i zarysowywał systematycznie drwiwnymi stworami kartkę po kartce, ku przerażeniu rodziców, którzy z coraz większym niepokojem obserwowali poczynania syna. Jeszcze jako dziecko w wieku przedszkolnym wymyślał Sadurski pierwsze historyjki obrazkowe — kocha komiksy do dziś — które następnie wysyłał (przy pomocy mamy) do redakcji „Świerszczyka”. Niestety nigdy nie zostały one opublikowane ponieważ redaktorom nie mieściło się w głowie, że ich autorem może być kilkuletni zaledwie chłopiec z prowincji.

Chcąc nie chcąc, musiał więc Sadurski zacząć na pierwszy ogólnopolski sukces do lata 1979 roku. Wówczas to „Świat Młodych” ogłosił konkurs na rysunek w ramach akcji: „Zapraszamy na łamy”. W gronie trzech laureatów, których prace opublikowano, znalazł się także

Książki nadesłane

Państwowe Wydawnictwo Naukowe 1987

Hanna Dziechcińska: *Ogłodynie i słuchanie w kulturze dawnej Polski*. Ss. 276 + 20 ilustr., nakład 1500 egz., cena zł. 280.—

Karen Horney: *Nowe drogi w psychoanalizie*. Przetłumaczył Krzysztof Mudyń. Ss. 304, nakład 30 000 egz., cena zł. 450.— Seria „Biblioteka Kłasyków Psychologii”

Krzysztof Konarzewski: *Podstawy teorii oddziaływań wychowawczych*. Wyd. II, Ss. 296, nakład 5150 egz., cena zł. 340.—

Bartłomiej Syndler: *Psyjuszki*. Ss. 204, nakład 20 000 egz., cena zł. 280.— Seria „Logos”

Dejeje teatru polskiego pod redakcją Tadeusza Siveria, tom IV: *Teatr polski w latach 1890-1918. Zabór austriacki i pruski*. Ss. 496, nakład 5000 egz., cena zł. 680.—

Syefan Kiewiewicz: *Historia Polski 1795-1918*. Wyd. VII, Ss. 616, nakład 30 000 egz., cena zł. 760.—

Alfred de Musset: *L'ormance*. Redigé par Kalikut Morawski. Ss. 166, nakład 2200 egz., cena zł. 170.— Odczytana seria „Biblioteka Kłasyków Literaturnych”

Eric Berne: *W co grają ludzie? Psychologia stosunków międzyludzkich*. Przetłumaczył Paweł Izdebski. Ss. 208, nakład 13 000 egz., cena zł. 240.—

Krytyczne szkice o współczesnych teoriach socjologicznych. Praca zbiorowa pod redakcją Leona G. Iona i Cienradu W. Orpowa. Przekład Krystyna Krzymowska, wybór tekstów dokonał Aleksandra Jasinska-Kama. Ss. 480, nakład 1500 egz., cena zł. 440.—

Antoni Czubiński: *Najnowsze dzieje Polski 1914-1983*. Ss. 464, nakład 50 000 egz., cena zł. 1200.—

Słownik etymologiczny: *Terminy ogólnie*. Pod redakcją naukową Zofii Staszczak. Ss. 464, nakład 10 000 egz., cena zł. 1400.—

Symbol i poznanie. W poszukiwaniu koncepcji integracyjnej. Praca zbiorowa pod redakcją Teresy Kostytko. Ss. 228, nakład 1400 egz., cena zł. 360.— Seria „Metodologia Humanistyki”

komiks kosmiczny, dzieło blondynka z Lublina. Redakcja pisma zamieściła także komentarz autorski 14-letniego Sadurskiego, w którym czytamy: *Rodziec twierdzi, że nie powinienem zajmować się rysowaniem tych historyjek obrazkowych i skierować moje zainteresowanie w inną stronę, ale rysowanie jest moim hobby. Po prostu rysuję odpoczywam. Mój ulubiony rodzaj komiksu to science-fiction ze zwróceniem oka oraz horror-komedia. Uważam, że takich właśnie komiksów jest u nas stanowczo za mało (...). Zanim zacznę rysować opracuję dokładny i oparty na jakims pomysł scenariusz. Uważam, że dobry scenariusz: to w dziedzinie komiksu połowa sukcesu.*

Jak na absolwenta 7 klasy szkoły podstawowej to bardzo konkretna, w pełni świadoma deklaracja artystyczna. Świadomość potrzeby dobrego scenariusza (w przypadku komiksów) oraz pomysłu (w rysunkach pojedynczych), cechuje całą dotychczasową twórczość rysunkową Sadurskiego. Naturalnie rysunki z okresu dzieciństwa oraz lat nauki w szkole podstawowej wykazują siłą rzeczy niedostatkі, uchybienia warsztatowe, ale widać w nich także coraz bardziej udane próby syntetycznego ujmowania postaci i przedmiotów, sprawdzania ich do czytelnych na pierwszy rzut oka znaków i symboli. I chociaż nie zawsze — w tym czasie — piórko, kredka czy flamaster są całkowicie posłuszne woli młodocianego, pełnego fantastycznych pomysłów autora, to jednak cenić należy jego żelazną konsekwencję w konstruowaniu dramaturgii poszczególnych historyjek okraszonych z reguły zabawną pointą. W okresie nauki w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych, Sadurski wykonał kilkanaście komiksów, w tym około 200 rysowanych wyłącznie dla siebie (do tzw. szuflady), których bohaterami obok kosmitów i ufoludków byli także horrorowaci Wam i Pir oraz znany dzieciom na całym świecie Ali Baba i... 39 rozbójników. Fragment tego ostatniego komiksu opublikował w 1980 roku „Świat Młodych”. Oczekującemu publicznego potwierdzenia słuszności obranej drogi twórczej Sadurskiemu, już to nie wystarczyło. Dlatego też — niemal równocześnie — bierze udział w ogłoszonym przez redakcję pisma konkursie na dziwne ptaszki, rzecz jasna wygrywa go, a następnie nawiązuje stałą współpracę z „Kurierem Lubelskim”, publikując na łamach działu harserskiego „Na tropie” kolejne komiksy i coraz częściej pojedyncze rysunki.

Pięć lat spędzonych w liceum (1980-1985), konieczność spełniania określonych wymogów, poddawanie się rygorom i zasadom obowiązującym wszystkich uczniów, nie zabiły rodzącej się osobowości Sadurskiego. Osobowości rysownika, który świadomie rezygnuje z uprawiania malarstwa sztalugowego na rzecz rysunku piórkim lub pisakiem, wierząc głęboko, że sukces artystyczny (marzenie każdego absolwenta uczelni plastycznej) i to sukces szybki — można osiągnąć jedynie na polu rysunku, chociaż zmusza on do ustawicznej pracy nad własnym stylem (własną kreską) oraz do rozwiązywania ciągle nowych problemów formalnych i treściowych w każdej, absolutnie każdej kompozycji.

W tym właśnie okresie — wczesne lata osiemdziesiąte — rysunki Sadurskiego zaczynają dotyczyć spraw bliskich wszystkim Polakom. Tematów dostarcza mu zarówno wnikliwa obserwacja życia ulicy dużego miasta, wydarzenia mające miejsce w zamkniętej enklawie jaką jest szkoła czy fabryka, coraz częstsze wizyty w urzędach, a zwłaszcza działalność wspaniałomyślnych reporterów telewizyjnych z ich zadziwiająco umiejętnośćią zadawania prostych pytań i wyciągania skomplikowanych wniosków z uzyskiwanych odpowiedzi. Poruszając problemy aktualne, Sadurski stara się jednocześnie wydobyc z nich to co najistotniejsze, a zarazem ponadczasowe, tak aby rysunek żył, oddziaływał na widza nawet wówczas, gdy nie będzie już sprawy.



Chociaż Szczepan Sadurski uprawia zarówno rysunek satyryczno-polityczny, jak i humorystyczny (przede wszystkim), nie dzieli go prywatnie w ten sposób, rozróżnia jedynie rysunek dobry i zły. Dlatego tak wielką wagę przywiązuje do kompozycji. W jego pracach nie ma elementów przypadkowych, podanych jakby nieopatrznie, wszystko jest starannie przemysłane i wykonane. Sadurski tak długo pracuje nad rysunkiem aż stanie się on — w jego mniemaniu — syntetycznym obrazem myśli. Po kilku lub kilkunastu minutach pracy w całkowitym skupieniu, pozostają na kartce papieru (bristolu) tylko te kreski i plamy, których obecność jest absolutnie niezbędna. Stałym i niezwykle istotnym elementem większości rysunków są także teksty w „dymkach”, których treść, maksymalnie zwarta, stanowi logiczne dopełnienie przedstawionych sytuacji. Sytuacji, w których coraz częściej pojawiają się zaczęły — na początku lat osiemdziesiątych — śmieśni ludkowie o krągłych głowach z dużymi kluskowatymi nosami i wylupiającymi galkami oczu.

Wytężona praca nad pogłębieniem własnych możliwości warsztatowych, rozszerzenie współpracy o „Sztandar Ludu”, zaczyna przynosić oczekiwane efekty. W 1982 roku dochodzi do udziału Sadurskiego w Ogólnopolskiej Wystawie Humoru i Satyry w Klubie Środowisk Twórczych „U Sołtyków” w Kiełcach oraz w World Cartoon Gallery w Skopje (Jugosławia). W przełomowym dla artysty — zdaniem niżej podpisanego — roku 1983, rysunki Szczepana Sadurskiego pojawiają się — niemal równocześnie — na łamach dwóch poczytnych pism o

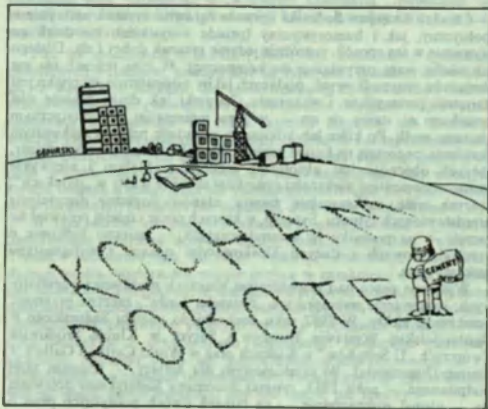
zasięgu ogólnopolskim: w „Radarze” i „Szpilekach”. Szczepan staje się ich stałym współpracownikiem dostarczając systematycznie prac do kolejnych numerów obu pism. Niemal z dnia na dzień wiele tygodników pocztytuje sobie za punkt honoru publikowanie Sadurskiego. Dochodzi do kontaktów i współpracy z redakcjami: „Polityki”, „Tygodnika Kulturalnego”, „Karuzeli”, „Kamieni”, „Kultury”, „Kurierza Polskiego”, „Anteny”, konsumenckiego „Veto” i innych tygodników.

Sadurski będąc „na fali” urządza kolejne wystawy indywidualne w Lublinie, Kielcach i Warszawie (jak na razie doszło do sześciu pokazów autorskich), uczestniczy w zbiorowych wystawach rysunku satyrycznego w Polsce (kilkunastu), a także coraz częściej bierze udział w pokazach zagranicznych (m.in. w Cartoonfestival w Amstelveen — Holandia 1983-84, 1984-85; Salone Internazionale dell'Umorismo w Bordighera — Italia 1984; Uluslararası simavi karikatur yarışması w İstambule — Turcja 1985).

Jego prace reprodukuje już nie tylko pisma krajowe ale także specjalistyczne periodyki zagraniczne (głównie z krajów socjalistycznych): „Rohac” (Czechosłowacja), „Sluota”, „Krokodyl”, „Niangi” i „Džadza” (wszystko ZSRR); „Pavliha” (Jugosławia); „Ludas Matyi” (Węgry); „Stryszczel” (Bulgaria); „Urzica” (Rumunia) oraz „Pól żarłem, pól serio” (USA, wydanie pirackie w języku polskim, głównie przedruki ze „Szpilek”).

W 1985 roku zdaje Sadurski maturę i bezskutecznie próbuje zostać studentem: raz na grafice w ASP w Warszawie, gdzie odrzucono mu tezkę, nie dopuszczając tym samym do egzaminów; drugi raz na wychowaniu plastycznym w Instytucie Wychowania Artystycznego UMCS, gdzie zdaniem egzaminatorów fatalnie wypadł z malarstwa oraz trzeci raz także na wychowaniu plastycznym w PWSSP w Łodzi, gdzie dla odmiany bardzo dobrze zaliczył malarstwo ale do przyjęcia zabrakło punktów z innych przedmiotów.

Nie zrażony niepowodzeniami w uzyskaniu dyplomu i tytułu magistra oraz niespodziewaną służbą wojskową (kwiecień-październik



1986), Sadurski z jeszcze większym zapałem oddaje się bez reszty jedynej i największej pasji: rysowaniu, rysowaniu i jeszcze raz rysowaniu swoich ludzików oraz ich małych i wielkich spraw. Mimo braku doświadczenia i rutyny nie próbuje naśladować innych, bardziej uznanych — jak dotychczas — kolegów po fachu: Mleczki, Flisaka, Krauzego, Lutczyna lub Ziomeckiego. Zdaje sobie sprawę, że aby zaistnieć musi być sobą, dysponować własną — silną — osobowością plastyczną. W efekcie, w 1986 roku otrzymuje prestiżową nagrodę „Srebrnej szpilki” (przynawaną przez redakcję „Szpilek”), za rysunek humorystyczny: *Kocham robotę*. Jednocześnie w lokalu „Szpilek” przy Placu Trzech Krzyży otwarto dużą wystawę indywidualną ubiegłorocznego maturzysty, która cieszyła się zasłużonym uznaniem kolegów po flamastrze oraz życzliwym przyjęciem ze strony wymagającej publiczności warszawskiej.

Sadurski nie spoczywa na laurach. Wyostrza jeszcze bardziej spojrzenie na otaczający go świat, kreśli coraz śmielej i pewniej — zdecydowaną kreską — we własnej, typowej tylko dla niego manierze kolejne kompozycje. Obok „klasycznych” rysunków czarno-białych pojawia się sporo prac kolorowych (malowanych temperami) i drukowanych następnie na pierwszej stronie okładki wielu numerów „Szpilek”. Jakby dla odprężenia, a może dla sprawdzenia sił i inwencji twórczej w innej technice, wykonuje cykl interesujących fotomontaży (pierwsze próby jeszcze w liceum) oraz zwarty blok ilustracji walorowych o wyraźnych związkach z nadrealistycznym widzeniem świata do książki Tadeusza Kwiatkowskiego-Cugowa *Muszardówka* (w druku). Prace te będące czymś zupełnie nowym w krótkiej ale błyskotliwej



kariere artystycznej Sadurskiego wskazują, że drzemią w nim duże, jeszcze nie w pełni wykorzystane możliwości wypowiedzi plastycznej. Zresztą sam rysownik pragnie rozwijać swój talent możliwie wszechstronnie. Nie chce, aby zaszufladkowano go, przypisano wyłącznie do rysunku satyrycznego, dlatego interesuje się również projektowaniem plakatów, okładek i katalogów, jednym słowem grafiką użytkową w szerokim tego słowa znaczeniu.

Tymczasem sukcesy przynosił mu jak dotychczas rysunki humorystyczne. Za kolejny, z przedstawieniem dyrektora wולającego do sekretarki: *Proszę mnie połączyć z proletariuszami wszystkich krajów*, otrzymał w 1987 roku „Złotą szpilkę”. I chociaż jak słusznie zauważył Witold Filler (autor krótkiego wstępu do autorskiej książeczki Sadurskiego, w druku), *nie zaskakuje on (rysunek) wystrojem graficznym lecz urzeki swym pomysłem, który sięgał granic filozoficznej metafory. I jej to polot zaniósł go na strony tytuł pism satyrycznych Europy.*

Jestem przekonany, że Szczepan Sadurski wypłynie na jeszcze szersze wody. Musi jednak w dalszym ciągu pracować nad formą plastyczną swoich rysunków (sądzę, że mogłyby być jeszcze bardziej syntetyczne, a zwłaszcza znacznie bardziej wysmakowane), gdyż dla osiągnięcia uznania i sukcesu nie zawsze wystarczy dobry pomysł. Dla własnego dobra powinien Sadurski znacznie starannie dobierać pisma, w których zamierza publikować oraz ograniczyć ich liczbę, aby ta sama praca nie była reprodukowana w zbyt wielu tygodnikach, a tym samym aby nie „opatrzyła się” zbytwno. Nawet arcydzieła należy dozwagać.

I na koniec powróćmy do pytania postawionego w tytule: kto to jest Szczepan Sadurski? Odpowiedź brzmi: przyszłość i nadzieja polskiego rysunku satyrycznego.

Lechosław Lamenski



teatr

ZOFIA ZIELIŃSKA

PRZYRODA SŁOWA

Moim zdaniem, powstawiłby widzieli mogące jako ucieleśnienie najwyższej formy nadszrei, która jak dotąd była najlępszą sztuką „dużo-kręgo charakteru”.

Bronisław Malinowski

Tytuł Międzynarodowego Sympozjum zorganizowanego w dniach 25 — 28 czerwca 1987 r. przez Stowarzyszenie Teatralne „Gardzieniec” we współpracy z Polskim Ośrodkiem ITI brzmiał „Przyroda słowa w kulturach teatralnych”. Zainteresowania uczestników lubelskiej sesji — naukowców, twórców, twórców teatralnych, dziennikarzy — obracały się wokół podstawowych problemów dotyczących języka i mówienia

Masowa i coraz szersza wymiana słów degraduje język i mowę. Słowo jest przedmiotem transakcji, w podobny sposób, w jaki przedmiotem handlu jest pieniądź — to stwierdzenie pojawiało się na liście tematów wprowadzających w sferę sympozjum. Tylko nieletni uczestnicy podjęli problem szukania sposobów odrodzenia hamowanego i hamującego słowa. Grzegorz Godlewski w komunikacie *Składając echo upstruje bródeł obecnego kryzysu słowa w jego nadprodukcji, która zniszczyła porządek języka — zniknęły słowa święte i świeckie. Działaj można powiedzieć wszystko bez żadnej odpowiedzialności i nadziei, gdyż słowa przestają tworzyć i niszczyć, ranić i pocieszać.*

Jak ożywić słowo? Grzegorz Godlewski radzi, aby zejść poniżej słowa i przyrzeczyć się sytuacji mówienia. Powrót do tradycyjnych form porozumiewania niesie szansę odnowy. W trakcie mówienia ciągle dodawamy wyboru między mówieniem od siebie, a poszukiwaniem siebie, między strategią Ulissesza (zamknięcie, odwrócić od tego, co już przywołajone), a strategią Kolumba (otwarcie, poszukiwanie nowych dróg). W wyniku sprzeczności między projekcją a utopisami unikamy kontaktu ze światem. Człowiek zbudował w sobie wieżę Babel, stając się niewolnikiem słowa — przedmiotu wymiany. Nie udało się oswoić mowy. Musi uwolnić słowo, znaleźć jego pierwotny kształt. Powinien zacząć od słuchania — mówić i słuchać jednocześnie, dotąd, aż usłyszy echo wypowiedzianych słów — swoich i innych. W echu można odczytać bródeł uniwersalnych słów, które pomogą odnaleźć pierwotną postawę ku mowie, zachowaną jeszcze w rytuałach, w których realizuje się jednokół w odzwierciany świat bez podziału na to co duchowe i co materialne. Rytuały mnożą echo słów, wywołują słowa spod władzy codziennych, poślednich zobowiązań. Poszukiwanie echa to poszukiwanie mowy świata.

Bronisław Malinowski w swoich historycznych dziełach pracach wyodrębnił w każdej społeczności pierwotnej dwie odróżniające się dziedziny: rzeczy Świętych czyli Religie i Magię oraz rzeczy Świeckich czyli Naukę. Nauka, nawet w formie prymitywnej wiedzy człowieka pierwotnego, opiera się na uniwersalnym doświadczeniu życia codziennego, doświadczeniu zdobywanym w procesie walki człowieka z przyrodą a byci i bezpieczeństwa, opartym na obserwacji i utraconym przez rozum; Magia natomiast opiera się na specyficznym doświadczeniu stanów emocjonalnych, obserwacji nie przyrody, ale samego siebie — *Przypada poznawana jest nie przez rozum, ale przez uczucie!* Nasze społeczeństwo tym różni się od pierwotnego, że przeważa w nim zdecydowanie typ poznania naukowego

— emocjonalne podkręcenie mowy jest źle widziane, preferuje się rzeczowy, beznamiętny sposób wyrażania. Koncentrując się na znaczeniu słów, zapominamy o emocjach, które stanowią ich naturalne tło, gdyż mówienie zrodziło się z przelicy i działania — jedną możliwością przywołania matki przez niemowlę jest krzyk. Tylko w ten sposób mały człowiek może zaspokoić swoje potrzeby — działając głosem pełnym emocji.

Wiekoszko prac przedstawianych na sympozjum dotyczyła słowa, które funkcjonuje w dziedzinie „rzeczy Świętych”, jak gdyby ich autorzy chcieli uzupełnić lukę, która cagle pojawia się w rytmie współczesnej mowy. Nazwa mowa, wyprawa z uczuć nie jest melodyjna. Brakuje jej na przykład miękkości, nie przewa, ale miękkości, które dalszym ciągiem, bądź też początkiem melodii słowa. *Idem mitema zrodzila powstal tego sympozjum* — powiedział w swoim wystąpieniu Włodzimerz Stanisławski — dyrektor Ośrodka Teatralnego w Gardzienicach, który doświadczył rangi miękkości m.in. podczas pobytu w klasztorze Kamiedulów. Słowa, które mogą złamać miękkość powinny być wymawiane głosem donośnym i dynamicznym. Zdaniem Włodzimerza Stanisławskiego wartości wypowiedzanych słów zależy od drogi, jaką przebyły we wnętrzu człowieka. Miękkość daje szansę na odnalezienie właściwych myśli. Wartość słów odbitych od zębów i języka mówiącego małe proporcjonalnie do drogi, jaką odbyły.

W niektórych mowach istotną rolę pełnią słowa, nie zaś znaczące. O funkcji takiego słowa „war”, wywodzącego się z nadsładowania szekspiraś ma mówić profesor Yamaguchi Masao z Tokijskiego Uniwersytetu Badań Zagranicznych w referacie zatytułowanym *Głosowe elementy ekspresji w tradycyjnym teatrze japońskim*. Rodowód tego dźwięku jest głęboko zakorzeniony w kulturze japońskiej. Początkowo poprzedzał opuszczenie palca przez któregoś z ówczesnych dygnitarzy. Pojawił się również podczas procesji rebotajnej, której kulminacyjnym punktem było zaproszenie bostwa poprzez wydawanie dźwięków przypominających szekspiraś słowa. Znalazł się także w obżarce światyni, przed rozpoczęciem wielkiej ceremonii, kiedy to odbywa się wywoływanie ducha demona. Z tego obrzędu wywodzi się teatr *no*, w którym wejście aktora odgrywającego demona jest zawsze poprzedzone dźwiękiem głosu grającego na bębnieku Kontynuacja dźwięków i słów nie znaczących w teatrze kabuki są kolatki i dźwięki wydawane przez członka zespołu w momencie, w którym główny aktor atakuje się do zastąpienia w punkcie kulminacyjnym akcji — inny aktor wprowadza ten moment głosem. Słowa pojawiające się w tekście mają swój kontekst (przeszłość, brzemień, czas), ale na zewnątrz tego wszystkiego znajduje się jeszcze to, co nie jest narwane — źródło energii, impuls bezpośredniego działania w przekazie. Te dopełniające przestrzeń symbolizują dźwięki nie zaś znaczące.

Wszystkie teorie mistyczne dotyczące języka przyjmują założenie, że język ma swoją wewnętrzną i zewnętrzną manifestację. Miękkość i słowa nie są znaczące symbolizując wewnętrzną stronę języka. Mistycy żydowski uważają, że również słowo posiada wewnętrzną wartość, uścisnącą poza zewnętrzną powłoką słowa.

Czym jest owe istota słowa? Profesor R. J. Zwi-Werblowski z Hebrew University of Jerusalem w Izraelu w referacie zatytułowanym *Słowo u mistyków: żydowskich* rozpoczął swoją wypowiedź od postawienia pytania: W jakie związki wchodzi nasz język z językiem Boga? Nieokreślone wchodzą w to, co skończono, dlatego można wyrażać się tylko symbolem. Prowadzi to do stwierdzenia, że istota słowa jest język, który w swych wieloletnich przejawach jest rozwinięciem jednego słowa, pełniącego centralną rolę — nie nazwanego imienia Boga. Nasz język jest polczyony od prawdziwego języka boskiego, dlatego jest symboliczny, gdyż o Bogu możemy mówić tylko przez analogię. Słowo wywołuje się ze sfery transcendentalnej, a nie z umowy społecznej ma nadprzyrodzoną moc. Na tym założeniu oparta jest magia. Słowo magiczne — słowo święte ma moc twórczą. Magiczny element jest wzbudowany w mistycznej teorii języka Cegluna mistycznego światła są litery, które są elementami światła słów — jednego prawdziwego światła. Bóg jest nie tylko pierwszym mówcą, ale także archetypicznym pisarzem. Jego słowo jest obecne w każdej cząstki stworzenia. Profesor Zwi-Werblowski podsumował swoje wystąpienie w czterech punktach. 1. Imię Boga jest istotnym zasadniczym językiem. 2. Cały język pisarzy w ródnych permutacjach to werwia imienia Boga. 3. Imię Boga jest źródłem całego języka. 4. Imię boskie nie ma żadnego znaczenia, ponieważ przekracza wszelkie znaczenia, ale udziela znaczenia każdemu językowi, gdyż język odbija od, co przekracza wszelkie znaczenie. Prelegent zakończył stwierdzeniem, że nie wie czy ten

rodzaj mistycyzmu możliwy jest do uprawiania w naszych czasach, ale możliwa jest wiara w istnienie tajemnicy, która może stać się słyszana poprzez język.

Włodzimerz Pawluczak w referacie *Mówienie jako modlitwa*, zwracając uwagę na afirmatywną funkcję języka doszedł do podobnych wniosków. Stwierdził on, że każde mówienie jest modlitwą. Człowiek w świecie pojawia się poprzez słowo. Mówimy me tylko po to, aby coś przekazać (uważa się, że funkcja komunikatywna jest podstawową funkcją języka), ale po to by istnieć. Współczesna teologia i sztuka poszukują technik do osiągnięcia społeczności, rozumianej jako akt otwarcia się na drugiego człowieka. Zmęczenie się z Bogiem. Poszukiwanie to rzadko okazuje się płodne. W wielkich filozofach życie codzienne traktuje się jako upadłą formę życia — uczucie przed aktem mistycznego pojmanego społeczności. Włodzimerz Pawluczak uważa, że jedynym dostępnym sposobem życia jest codzienność, w której realizujemy się przez mówienie potoczne, będące modlitwą, ponieważ w paplaninie funkcje afirmatywne przeważają nad komunikacyjnymi. Najbardziej popularną formą mówienia społeczności jest gawędzenie biesiadne. Do cech gawędzenia należy mówienie synchroniczne, które jest sprzeczne z teorią komunikacji, w której się stwierdza, że nie można nadawać na dwóch kanałach jednocześnie. Daje się tak dlatego, że biesiadnicy rozmawiają po to, aby zainicjować, a nie po to, by coś zakomunikować. Analiza wielu wystąpień politycznych, zgodna z teoriami informacyjnymi, wykazała ich zerową wartość informacyjną. Przykładem paplaniny, w której funkcje afirmatywne górą nad informacyjnymi są „zgrzyoty” — najbardziej popularna w Polsce forma sztuki i zarazem forma modlitwy. Narzekając na świat ekstenzywny zgrzyoty, wyrażając je na zewnątrz rzeczywistości je obserwowanej i twórcy narzekającego w sferze prawdy i sprawiedliwości. Podobnie jest ze sztuką, która dla Włodzimerza Pawluczaka nie istnieje bez czynności egzystencyjnej. Co staje się sztuką tylko dlatego, że ludzie mówią o tym, że jest sztuką. Mówiąc o sztuce chcemy wyjść poza paplaninę ku mowie istotnej, chcemy wystać się z popołodni. Wszelkie próby wzruszenia się ku estetyce napotykać na nurt przeciwny podążający ku nieociekanej codzienności, w której można odnaleźć prawdę o ludzkiej egzystencji. Również każde mówienie o sztuce nieuchronnie podąża ku paplaninie. Ten fakt jest optymistyczny, gdyż wielkie treści estetyczne i mistyczne są obecne w tym co trudno dostrzegalne i trudne do analizy — w ludzkiej codzienności i najbardziej banalnej paplaninie.

Warto tu zwrócić uwagę na fakt, że afirmatywna funkcja języka ma wiele wspólnego z językiem magicznym, którego twórcza moc potwierdza istnienie zaklinających. Mówienie o zgrzyotach biesiadzie jest sobą ich unicestwienie, mówienie o sztuce jednocześnie jej stwarzanie. Ukrytym bohaterem lubelskiego sympozjum było, jak sądzi, słowo magiczne. Powojnę nie tylko w pracach, w których musiało się pojawić, ponieważ dotyczy roli języka i słowa w ceremoniach szamanów: jakuchich, o których mówił dr. Malgorzata Labacka-Koccher i tybetańskich, których dziesięć rodzajów języka opisał Michael Opatz w wystąpieniu na temat *Konwercji nieświeżących języków w rytuałach szamanickich* Tybetańczyka (przedstawia on także film realizowany podczas długoletniego pobytu w Tybecie). Słowo magiczne pojawiło się w komunikacie Grzegorza Godlewskiego w konkluzji końcowej, mówiącej o jego utraconej jedności, która jeszcze zachowała się w rytuałach Magia słowa, jak wykazał profesor Zwi-Werblowski jest składową mistycyzmu żydowskiego. Można również nazwać magicznym sposób rozumienia słowa, jaki pojawia się w halbach robotycznych sympozjum, zaproponowanych przez Włodzimerza Stanisławskiego. *Tematem. Jaki proponujemy jest „słowo”, traktowane jako żywota, siła sprzączka, która może dzielić ludzi, ażeściecie, a może też łączyć bez reszty.*

Słowo magiczne używane dzisiaj przeważnie — „dziej magii”, degraduje nasz język, nie jest równorzędny pariterem dla słowa racjonalnego i informacyjnego, którego przewaga w naszej cywilizacji stała się zbyt dookazywa, przypominamy tu „prawo Lema”: *Nikt nie wie czyja, jeśli czyja, nie nie rozumie; jeśli rozumie, natychmiast zapomina, ze względu na powszechny brak czasu, nadmiernej podażi książek oraz zbytniej doskonałości reklamy. Reklama jako Nowa Utopia jest przedmiotem kultury”. Symptomem działania „prawa Lema” są „nieuchwyty” — grupa pisarzy, odłuków, którzy usunęli się w cień, nie pozwalając się fotografować, nie udzielając wywiadów, nie pokazując się publicznie, schronieni w świecie*

¹ W. Pawluczak, *Zgryoty jako forma słowa*, „Akcent” 1986, nr 4, s. 132

² S. Lema, *Powstanie Kraków* 1984, s. 28

swojej prywatności. Jak gdyby nie chciał mrozić więcej słów, poza tymi, które chcą i muszą umieścić w swoich księgach. Podkreślając przeciętność swojego zawodu nie chcą czytelników przyciągnąć się reklamy Grupy „nieuchwytnych” tworzą między innymi: Jerome David Salinger, Julian Gracq, Ken Kesey, Eudora Welty, Donald Barthelme, Thomas Pynchon, Joyce Carol Oates, James Baldwin’.

Sfera kulturowej działalności człowieka realizująca się głównie poprzez język ulega rozkładowi. Nieustanny potok informacji masie ze sobą silny nurt dezinformacji. Słowa klamliwe były używane od początków kształtowania się języka, ale prawdopodobnie człowiek ich nie kierował przeciwko członkom swojej rodziny, plemienia i tym wszystkim, którzy posługiwali się takim samym językiem. Słowa fałszywe były przeznaczone dla wroga — pełnią funkcję obrony; podobnie jak to się dzieje w świecie zwierząt, w którym fałszywa informacja nie jest skierowana do współplemiennicy. Jak wykazuje obecna sytuacja kłamstwo jest bronią obocznią.

Przywoływany tu już Bronisław Malinowski pisząc o rodowodzie magii tłumaczy jej powstanie prostą reakcją, którą nazywa „rozwinęta manifestacja uczuć w czyn i słowie”. Wyobrażenie celu, którego człowiek w danej chwili nie może osiągnąć uspokaja go do tego stopnia, że może zacząć myśleć i w sposób już racjonalny próbować dotrzeć do tego, co było jego pragnieniem. Najistotniejszym elementem tego działania jest jednak wyobrażenie celu, stanowi ono siłę motoryczną całej reakcji, organizuje słowa i czyny i skierowuje je na określony zamiar. Działanie substytutywne wynikające z bezsilności i tylko wywołujące uczucia ma w odczuciu działającego wartość rzeczywistego działania, które byłoby realizowane w sposób naturalny, gdyby człowiek nie napotkał określonej przeszkody⁴.

Gdyby spróbować odrzucić tłumaczenie uspokajania w rytuale magicznym za pomocą wybuchu emocji i przyjąć, że śpięcie emocji może prowadzić do uwolnienia postarzonemu mechanizmu „postarzania postaci”, którego wyniki „zdają się człowiekowi objawieniem; samym rozumem nie byłby nigdy do nich dotarli”⁵, wtedy magię należałoby traktować nie jak pseudonaukę, bądź też pierwotną formę nauki, poprzedzającą właściwą, lecz jako inną formę poznania — dopełniającą poznanie naukowe.

Zepchnięcie magii we współczesnym społeczeństwie do srodka dopingującego w handlu sprawiło, że jej rola polega głównie na przymuszaniu potencjalnych nabywców do kupna towaru. Magiczny świat marzeń każdego człowieka jest systematycznie wypierany w codziennym rytuale mas-mediów. Stąpienie się różnorodności w wyizolowaną uniwersalną jednostkę podczas szesnastu telewizyjnych wywarza potrzebę ucieczki w inny rytuał, rytuał, w którym uczestniczy niebyle duża liczba osób, w którym można odnaleźć wspólnotę uczuciową z innymi ludźmi, w którym odczuwalna jest jedność świata i ludzi spleta się w harmonię. Tym tłumacząc kierunek poszukiwań teatralnych Stowarzyszenia „Gardzienice”. W swoich spektaklach usiłuje ono odnaleźć współczesną, żywą formę rytuału, brzmiejącego harmonią zjednoczonego słowa; słowa, którego znaczenie nie jest najistotniejsze, gdyż w każdym zawarto jest tajemnicą nieмого świata. Obawiam się, że owym tajemniczym, milczącym światem jest świat Natury, zniszczonej już przez człowieka — chyba ostatnia twardza naturalnego ekosystemu — dżungla nad Amazonką — już została zaatakowana przez ludzi. Pojęcie „przyroda słowa”, zawiera w sobie zagubioną drogę porozumienia, dzięki której człowiek wie tyle rozumiał, co czuł naturą. Odnalezienie tej drogi, której ślad przebiega obok drogowakazu: „Na początku było słowo...”, może zapobiec przerwaniu rozwoju człowieka; na końcu zostało tylko słowo.

Zofia Żelazka

⁴ R. Cassinotti: *Z dzieła od ogrybła*, „Forum” 1987, nr 26, s. 18

⁵ K. Lorenz: *Artyzm człowieka*, Warszawa 1968, s. 186

⁶ A. K. Paluch, *tamże*, s. 243

⁷ *Tamże*, s. 245

⁸ K. Lorenz, *tamże*, s. 94

muzyka

KRYSZTOF KARPINSKI

MIECZYSLAW KOSZ

Roztocze. Tutaj we wsi Tarnawatka, niedaleko rodzinnej Antoniówki znajduje się grób pianisty i kompozytora Mieczysława Kosza. *Cmentarz na wzgórzu. Nie szukałem długo, w blasku dnia, świętego grobu z wibłą w ziemię labirynt.*

Mieczysław Kosz
muzyk jazzowy
żył lat 29

zm. 31 V 1973 r.

...na błękitnie roziane były tu tam białe nimbusy, jak synkopy w jazzowych tematach granych szcypułymi palcami Mieczysława Kosza (Edward Stachura — *Wszystko jest poezją*, 1984).

Szkoda, że prasa pomimo upływu czterdziestu lat od śmierci artysty nie pisze o nim, a przecież był on największym jak dotąd, obok Adama Makowicza, pianistą jazzowym występującym solo. Wydaje się, że warto ocalić od zapomnienia i przybliżyć jego sylwetkę przede wszystkim młodym ludziom, którzy zainteresowali się jazzem już po śmierci Kosza. Nie wątpię, że bywalcy sal koncertowych doskonale pamiętają jego niepozorną postać i znakomitą muzykę.

We wspomnianej Tarnawce istnieje szkolna drużyna harcerska im. M. Kosza. Lekcje wychowania muzycznego prowadzi Barbara Nowacka, młoda nauczycielka, która w ramach zajęć mówi także o jazzie, uwzględniając przy tym twórczość artysty. Najciekawsze jest to, że lekcje takie odbywają się także na cmentarzu, obok pomnika pianisty! Harcerze pielęgnują grób, odwiedzają w pobliskim Suminie rodzinę muzyka i pragną zdobyć o nim jak najwięcej informacji, co wcale nie jest proste. A przecież było to tak niedawno. Działalność artystyczna Kosza przypada na lata 1967-1973. Jest to wprawdzie krótki, sześćdziesięcioletni zaledwie okres, ale za to czas bardzo intensywnej pracy pianisty, który dal szereg koncertów w kraju i za granicą, dokonał wcielu nagrań dla radia i telewizji, nagrał także płytę.

Mieczysław Tadeusz Kosz urodził się 10 II 1944 r. w miejscowości Antoniówka niedaleko Tomaszowa Lubelskiego. Ojca nie znał — zmarł on w 1947 r., jego wychowaniem zajmowała się matka. Wychowywał się w bardzo trudnych warunkach. Wystarczy wspomnieć, że w domu składającym się z jednej izby mieszkali aż trzy rodziny — w sumie 16 osób! Te warunki życia miały niewątpliwie wpływ na jego zdrowie i być może także na ujawnienie się — w późniejszym okresie — choroby oczu, która ostatecznie spowodowała utratę wzroku. Najbliżsi Kosza

twierdzą, że przyczyną była katarakta i związana z nią nieudana operacja u małego dziecka, a następnie jaskra, na którą zachorował jako uczeń, między 12 a 14 rokiem życia. Jako pięcioletnie dziecko, a więc w 1949 roku, umieszczony został w przedszkolu Zakładu dla Niewidomych w Łaskach, gdzie przebywał dwa lata. Odpowiednia komisja po przeprowadzeniu testów wytypywała go do szkoły muzycznej i w ten sposób w 1952 r. znalazł się w Państwowej Szkole Muzycznej dla Niewidomych w Krakowie, która wówczas powstała.

Początkowo uczył się gry na fortepianie u prof. Olgi Axell, a następnie od 1955 r. u prof. Romany Witeszczakowej, która była jego nauczycielką aż do ukończenia edukacji muzycznej (wspomnieć trzeba, że wcześniej uczyła ona Andrzeja Kurylewca). W 1959 roku został przyjęty do Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej dla widzących, którą ukończył z wynikiem bardzo dobrym w 1964 r. Z relacji jego kolegów wynika, że już wtedy zdradzał zainteresowanie muzyką rozrywkową, a szczególnie jazzem. Oto wypowiedź mgr Zofii Dudrówny — wykładowcy Akademii Muzycznej w Krakowie: *Z Miciem zetknąłem się w szkole muzycznej dla dzieci niewidomych i miałam okazję podziwiać talent rozwijający się pod kierunkiem tak wytrawnego pedagoga, jakim była pani prof. Witeszczakowa. Już wtedy jako kilkunastoletni chłopiec potrafił przepięknie improwizować, dobierając z największą łatwością przejścia harmoniczne zaskakująco oryginalnie, co świadczyło o jego nieprzeciętnej muzykalności i wyobraźni. W niedługim czasie otrzymywał za pośrednictwem UNESCO zaproszenie na wyjazd do celu wymiany doświadczeń do największego Instytutu dla Niewidomych we Francji — „Institution National pour les jeunes aveugles”. W tym celu zebrałam materiał by zapoznać z nim Francuzów. W krakowskim radio został nagrany chór i orkiestra z naszej szkoły, a jako najważniejszy punkt programu na zakończenie Miecio Kosz jako uczeń ostatniej klasy wykonał Impromptu As dur Schuberta. Do Paryża wyjechaliśmy w 1960 r., gdzie prezentowaliśmy zebrany materiał. W utworze gramym przez Micię ujawniła się cała głębia jego talentu. Grał tak pięknie, że trudno go było słuchać bez wzruszenia. Dyrektor paryskiego instytutu uznał ten materiał za bardzo interesujący, wszyscy byli zachwyceni... A oto co usłyszałem od prof. R. Witeszczakowej: *W mojej pracy pedagogicznej z Miciem starałam się zapomnieć o jego kaleczwie i nie stosować taryfy ulgowej, a raczej stawiać wymagania na równi z programem zawodowych szkół muzycznych I i II stopnia. Lekcje z Miciem były interesujące, nacechowane dyskusją odnośnie interpretacji niektórych utworów, które on inaczej słyszał. Nie narzucałam mu swojego punktu widzenia, szanując jego indywidualność.**

Bezpośrednio po ukończeniu PSSM, jeszcze w 1964 roku, zmuszony trudnymi warunkami materialnymi oraz śmiercią matki, Kosz podjął pracę zarobkową jako pianista w kawiarni „Literackiej” w Krakowie, grywał czasem także w restauracji „Cyganeria”. W tym czasie odwiedzał kluby „Helicon” i „Pod Jaszczurami”, gdzie grywał w trio z Bogdanem Welsem oraz Wiktorem Perellmütemerem — były to jego pierwsze kontakty z muzyką jazzową. W 1965 r. otrzymał propozycję pracy w Zakopanem i wkrótce został zaangażowany jako pianista w kawiarni „Europejska” a następnie w restauracji „Morskie Oko”. Niebawem postanowił przenieść się do Warszawy, gdzie od I IV 1967 podjął pracę w kawiarni „Nowy Świat”. Grał tam w trio z Mieczysławem Robakowskim i Bogdanem Halickim. W tym też czasie wzbudził swoją grą zainteresowanie środowiska jazzowego i instytucji z nim związanych. Wiosną 1967 r. dokonał pierwszego nagrania radiowego a jesienią

¹ Cytat pochodzi z listu do autora artykułu

wziął udział w festiwalu Jazz Jamboree. W grudniowym numerze „Jazzu” ukazał się pierwszy wywiad z Koszem przeprowadzony przez K. Brodackiego zawierający wiele szczegółów z jego biografii. Podczas kolejnych festiwali Jazz Jamboree w latach 1968-1971 ani razu nie zabrakło muzyki Kosza, a każdy jego występ był wydarzeniem. Pisano, że trio Kosza to synonim najwyższego poziomu, że jest to muzyk dużego formatu, wrażliwy na barwę dźwięku, kształtujący własny styl pianistki jazzowej bardzo intymnej i refleksyjnej. Poza festiwalami Jazz Jamboree Kosz koncertował niemalże na terenie całego kraju nie tylko w filharmoniach i salach koncertowych, ale także i w klubach.

Oddzielną kartą w działalności koncertowej Kosza to występy zagranicze i zdobyte tam nagrody. Powszechnie znany jest jego pierwszy zagraniczny występ w Wiedniu (marzec 1968), gdzie odbywał się VII Osterreichisches Amateur Jazz Festival. Ze swoim triem (J. Ostaszewski i S. Perkowski) zdobył I nagrodę w kategorii międzynarodowej. Mniej natomiast są znane inne zagraniczne występy Kosza, a w 1968 r. wyjeżdżał jeszcze trzykrotnie 4 maja wystąpił na Festiwalu Jazzowym w Monchengladbach, gdzie za solowy występ zdobył II nagrodę. W dniach 8-11 maja zaprezentował swoje umiejętności na dorocznym Alba Regia International Jazz Festival, który jest jednym z ważniejszych wydarzeń w życiu węgierskiego jazzu. W czerwcu wziął udział w II Festiwalu de Jazz Montreux w Szwajcarii, gdzie został wyróżniony III nagrodą. Wystąpił wtedy z R. Dylagiem i S. Perkowski wykonując parafrazę *Preludeum C moll F. Chopina, Autumn Leaves* — J. Cosmy i *Milestones M. Davisa*. Oto fragment recenzji z koncertu zamieszczonej w „Feuille d’Avis de Vevey” z 17 VI 1968 r.: *...następnym zespołem było trio polskiego pianisty M. Kosza, dysponującego uderzeniem i techniką prawie tak doskonałą jak Bill Evans, którego wpływ wyraźnie ulega. Kosz, natychmiast improwizator dą do prawdziwej odwagi w śmiałej parafrazie *Preludeum C moll Chopina*. Dzięki doskonałej współpracy pełnego wigoru kontrabasisty R. Dylaga warszawski pianista dał swobodny popis swojej wyobraźni rytmicznej, ograniczonej jedynie przez czas potrzebny na wykonanie utworu... Dodać trzeba, że na tym festiwalu wystąpiło także trio Billa Evansa, którego muzykę Kosz tak uwielbiał.*

Świadectwem dużego uznania dla Kosza było zaproszenie na występ do Paryża, gdzie w dniach od 29 maja do 12 czerwca 1969 r. z powodzeniem koncertował w znanym klubie jazzowym „Cameleon”. W historii klubu, Kosz — poza kilkoma Jugosłowianami — był jedynym przedstawicielem krajów socjalistycznych. Grał z towarzyszeniem muzyków francuskich (Alby Cullaz i Bernard Lubat), uzyskując bardzo dobre recenzje w miejscowej prasie. W 1970 r. występował w Budapeszcie na festiwalu radiowym a w 1971 roku na festiwalu Jazz Het Week, odbywającym się także w stolicy Węgier. We wrześniu 1971 r. koncertował wraz z B. Suckhaniem i J. Stefańskim na festiwalu Jazz in der Kammer w Berlinie, akompaniując także Mariannę Wróblewską.

Ostatnie zagraniczne koncerty Kosza to występy w klubach Pragi na przełomie 1971/72 w duecie z B. Suckhaniem. Na początku 1973 r. austriacka agencja Musik Unlimited Company zainteresowana była zaproszeniem Kosza na występy klubowe do Wiednia, ale do ich realizacji już nie doszło.

Lata 1968-1972 to okres bardzo pracowity, bo przecież poza koncertami nagrywał dla radia i telewizji, udzielał wywiadów, występował także w takich audycjach radiowych jak *Gwiazda siedmiu wieczorów*, *Reminiscence M. Kosza*, *Kosz przed mikrofonem* czy *Team w jednej osobie*. Brał udział w nagrywaniu programów telewizyjnych, między innymi audycji A. Trzaskowskiego *Spotkania z jazzem*. Nie można przy

tym zapominać, że stale komponował, musiał przygotowywać się do występów, a był przecież człowiekiem samotnym, potrzebującym pomocy innych osób.

Dla radia dokonał kilkudziesięciu nagrań głównie solowych i w trio, ale także w kwartetach (Piaszyna Wróblewska i Remigiusza Filipowicza), a nawet w składzie większego zespołu kierowanego przez Piaszynę. Były to opracowania standardów jazzowych, parafrazy dzieł takich kompozytorów jak Chopin, Brahms, Liszt, Borodin, Schumann czy Gershwin, a także kompozycje własne m.in. *Przed burzą*, *Relaks*, *flegmatyka*, *Jest już za późno*, *Złudzenie*.

Najdłużej współpracował z kontrabasistami J. Ostaszewskim, J. Kozłowskim i B. Suchankiem, perkusistami S. Perkowski, J. Stefaniskim i J. Trzcinińskim, a także z wokalistką Marianną Wróblewską. Nagral właściwie tylko jedną płytę i to dosyć późno, bo w marcu 1971, a więc zaledwie na dwa lata przed śmiercią. Jest to płyta z serii Polish Jazz XL 0744 vol 25 *Reminiscence* z B. Suchankiem i J. Stefaniskim. Pisał o niej K. Brodacki — *Kosz jest skupionym i wrażliwym łowcą klimatu. Buduje własny świat dźwięków, których blask jest przycimiony, zasnuty typową dla muzyki Kosza mgłą melancholii*. Muzyka Kosza znajduje się także na płycie stanowiącej kronikę J'69 pt. *New Faces in polish jazz* (XL 0579) oraz na płycie *Marianna Wróblewska* (XL 0847), której artysta akompaniował w dwóch utworach. Już po śmierci Kosza Klub Płytowy PSJ wydał dwupłytową antologię. Łącznie nagrano tam 18 utworów poczynając od *Sygnalów* (Kosza), a na *Grenadzie* (A. Lara) kończąc.

Rok 1973 był niestety ostatnim rokiem jego działalności artystycznej. Na przełomie marca i kwietnia wziął udział w imprezach towarzyszących X festiwalowi Jazz nad Odrą we Wrocławiu, a następnie 28 kwietnia w Poznańskich Muzykaliach. W dniu 31 maja przebywał w swoim wynajętym pokoju na III piętrze przy ulicy Pięknej w Warszawie. W godzinach wieczornych wskutek nie ustalonych bliżej przyczyn wypadł z okna ponosząc śmierć na miejscu. Pogrzeb odbył się w kilka dni później w miejscowości Tarnawatka k. Zamościa. Marianna Wróblewska zaśpiewała *Sometimes, I feel like a motherless child* zaś Sławomir Piwovar wykonał na gitarze kolesyankę *Komedy znaną* z filmu *Rosemary's baby*. Później o Koszu pisał już tylko Edward Stachura.

Kosz pomimo krótkiej działalności legitymuje się pokaźnym dorobkiem artystycznym, zapewniającym mu trwałe miejsce w historii polskiego jazzu. Rozpoczął działalność artystyczną wtedy, kiedy wielu muzyków wychowało za granicę głównie w celu polepszenia swojej sytuacji materialnej (W. Karolak, K. Sadowski, W. Gulowski, A. Jędrzejowski, R. Dyląg, M. Urbank). Jednak był to okres kiedy na scenę jazzową wkraczało wielu młodych utalentowanych muzyków, z którymi przyszło mu współpracować (J. Ostaszewski, J. Bednarek, S. Perkowski, J. Stefanisk, B. Suchanek a także M. Wróblewska). Wówczas swoje kariery rozpoczęli także Wl. Nahorny i Zb. Seifert.

Lata sześćdziesiąte upłynęły pod znakiem free jazzu, nieco później pojawiają się zalążki jazzu elektrycznego. Muzyka jazzowa znacznie poszerza swoje granice, na jej obszarze znajduje się miejsce dla wielu stylów. Niektórzy jak np. Keith Jarrett w USA czy A. Makowicz u nas koncentrują się na graniu jazzu akustycznego nawiązując do tradycji koncertowej wielkich wirtuozów XX wieku. Kosza interesowała właśnie taka muzyka. Zainteresowanie nią wyniósł zapewne jeszcze ze szkoły. Wszystko to co zwykło się mówić o dziedziczności uzdolnień muzy-

cznych i ich wpływie na późniejsze zamiłowania, w przypadku Kosza nie znajduje żadnego potwierdzenia. Jest to samorodny talent, nie mający na polu muzyki żadnych tradycji rodzimych. Talent zauważony przez wychowawców w przedszkolu, umiejętnie pielęgnowany przez nauczycieli szkoły muzycznej i poparty pracowitością ucznia. Odnaczał się wyraźną osobowością artystyczną, a jest to cecha jednostek wybitnych. Jego twórczość nawiązuje do muzyki dawnych mistrzów, świadczy to także o solidnym przygotowaniu do rzemiosła. Kosz to niewątpliwie talent osadzony w tradycji. Można powiedzieć, że charakteryzuje go dbałość o jakość dźwięku, inteligencja muzyczna i talent improwizatorski. W swoich własnych kompozycjach główny nacisk kładł na barwę dźwięku i środki wyrazowe co dotyczy zresztą wszystkich granych przez niego utworów. Cechą charakterystyczną jego interpretacji było sygnalizowanie oryginalnego tematu za pomocą krótkich motywów, czy też charakterystycznych współbrzmień, a następnie rozbudowana improwizacja. Nigdy nie kopiował, miał bardzo różnicowane i łatwo rozpoznawalne uderzenie oraz oryginalną harmonię. Mówiono również o malarstwie muzycznym Kosza. Oto przykładowo kilka głosów na temat jego muzyki:

Janusz Szprot — ...*można społkąc pewne współbrzmienie charakterystyczne dla harmoniki neoromantyzmu i impresjonizmu Debussy'ego, chociaż bliższym wzorem wydaje się tu być Bill Evans. Siad predylekcja do skali calotonowej, akordyki paralelne i dźwięków „obcych”, dobarwiających tradycję współbrzmienia. Z pewnością poczucie barwy muzycznej odgrywało tam ważną rolę i często powodowało osłabienie precyzji konstrukcji — w rezultacie ta muzyka niewyrozumowana, antycerebralna, służyła przede wszystkim do ewokowania pewnego nastroju*.

Mateusz Świącicki — ...*Kosz posiadał ową niemalże muzyczną, intuicyjną zdolność dawkania muzyki, zdolność pauzowania i wyszukiwania wybrzmień. Jego gra miała pełny oddech i relaks a jego ekspresja była silna, lecz niewymuszona, naturalna, bliska tej, jaką spotykamy w grze kolorowych muzyków...*¹

Edwin Kowalik — *Kosz miał dar tworzenia. Każdą niemal tematykę bez trudu brał na improwizacyjny warsztat — harmonizacja, rytmika, kolorystyka, błyskotliwe tryady biegników, metamorfozy stylów w różnorodnych jego kompozycjach, pozorna szorstkość brzmienia, przerażająca się nagle w bogactwo rozwiązań tonacyjnych — oto co charakteryzowało ten niebiały, jedyny w swoim rodzaju talent!*

Sam Kosz o swoich zainteresowaniach muzycznych mówił: *W swojej grze nie próbuję odzuczać wszystkich reguł, ale przynajmniej zignorować niektóre z nich. Kiedy gram, zwykle odchodzę daleko od tematu, traktując go bardzo luźno, rozciągając go, ale nie rezygnując z harmonii. Nie lubię tworzenia na żywo bez założonych podstawowych zasad. Oczywiście coś czasami może się zdarzyć, coś bardzo ciekawego, ale jest to muzyczny loteria, a nie wystarczająco świadomą twórczością, która przeciw pozwala na pewną dąż do czegoś nieoczekiwanego, ale zawsze jest pod jakąś kontrolą. Jestem całkowicie za swobodną atmosferą, ale tylko wtedy jeżeli nie zatracą się zamierzonego klimatu...*²

Kosz lubił koncertować, zył muzyką. Podczas koncertów był ogromnie skupiony i bardzo spokojny. Był niezrównanym solistą i dzięki niemu jazz zyskał wielu zwolenników. Miał ogromne plany, wiele chciał. dużo koncertował. Był muzykiem uniwersalnym i takiego go

¹ Wydawnictwo dotyczące Międzynarodowych Festiwalu Pianistów Jazzowych im. Mieczysława Kosza, Kalisz 1983

² „Jazz Forum” 1973, nr 25.

³ Opinię Edwina Kowalika przekazaną w czasie rozmowy z autorem zliko

⁴ Zob. wywiad udzielony K. Brodackiemu na łamach „Relaks” 1967, nr 12

¹ Cytat z okładki płyty.

ceniono. Jest to przywilej muzyków wybitnych. W gąszcz free jazzowych eksperymentów wniósł spokój, ład. Niewielu jest pianistów grających wyłącznie dobrze. Apogium sukcesów artystycznych Kosza przypadło na koniec lat sześćdziesiątych. Wtedy to ukazywało się wiele entuzjastycznych recenzji z jego koncertów, głównie w kraju, ale także i za granicą. Szeroka reklama w tym okresie spowodowała, że Kosz chyba nie udźwignął ciężaru sukcesów i początek lat siedemdziesiątych był dla niego spokojniejszy. Mniej koncertował, rzadziej wyjeżdżał za granicę. Z drugiej jednak strony wtedy właśnie uwalniał się od wszelkich wpływów i zaczęła kształtować się wyraźnie jego osobowość artystyczna — jego indywidualność.

Odszedł nie wyczerpawszy swoich możliwości i zgodzić się należy z Cz. Gładkowskim, który napisał: *...jeżeli nawet i zrobiono dla Kosza bardzo wiele, to w sumie i tak zrobiono za mało. Oto wypowiedzi, jakie otrzymałem od muzyków dobrze go znających. Janusz Kozłowski — Dosyć dużo pracowałem z Koszem. To muzyk o olbrzymiej wrażliwości i bardzo dobrym sluchu, rozróżniający barwy tonacji. Grałymi głównie standardy, które wspólnie opracowywaliśmy. Byliśmy zakochani w Billu Evansie. Janusz Muniak — Mietka poznałem w „Heliconie”. Wiele razy spotykałem go w klubach, między innymi w piwnicy Wandy Warszawskiej. Pytał mnie wtedy jak oceniam jego grę, czy robi postępy i me zadowalał się ogólnikami. Trzeba było odpowiadać szersze i wyczerpująco. Był to zdolny muzyk, szokujący towarzystwo absolutnym sluchem. Potrafił rozpoznać, że fortepian nastrojony jest o 1/4 tonu za nisko. Odbierałem go jak barwę. Tomasz Stańko — Kalectwo odbierało mu siłę. Miał zał do świata. Trudności życia jazzmana są duże, on nie mógł sobie z tym poradzić. Był zbyt wrażliwy, miał trudny start. Nie zdążył się całkowicie spełnić, ponieważ zbyt krótko grał. Muzyka Kosza to miękkie evansowskie romantyczne trio fortepianowe, to zaduma, to oczekiwanie na piękno. Remigiusz Filipowicz — Moje ostatnie spotkanie z muzyką Mietka to jego solowy występ w Sali Kongresowej na 11/70. Do dziś pamiętam pełzające brzmienie Steinwaya, improwizacje od libitum, które wygrywał z taką oczywistością i naturalnością, a w których zawarte było tyle głębi muzycznej i autentyczności. Mietek był tego wieczoru jeszcze „dalej” niż wszystko to, co poprzednio o jego muzyce wiedziałem. Był w wymienionej formie technicznej, ale przede wszystkim był wyjątkowo natchniony. Na sali panowała absolutna cisza. Pianista, instrument, jego sylwetka i brzmienie — tworzyli jedną całość. Wtedy słuchałem i widziałem Mietka po raz ostatni nie wiedzząc o tym...*

M. Kosz należy dziś do wielkich nieżyjących twórców polskiego jazzu, podobnie jak Krzysztof Komeda czy Zbigniew Seifert. Co nam po nim zostało? Kilka płyty, na których możemy odnaleźć jego muzykę, parę artykułów prasowych, festiwal pianistów jazzowych jego imienia w Kaliszu, klub jazzowy „Kosz” w Zamósćcu, film nakręcony o nim w 1982 r. oraz kilka wierszy poświęconych jego pamięci. Nie wiem czy to dużo, niewątpliwie natomiast jest, że Kosz na stałe pozostanie w historii jazzu.

Krzysztof Karpinski

ZBIGNIEW PUCHALSKI

Order Orła Białego

Obserwująca wjazd posłów polskich do Paryża w 1645 r. pani de Moteville pisała: *W dzisiejszym zdarzeniu moda francuska... za największą ozdobę mająca tylko wstążki okazała się lichą i śmiezną. Po huścach wojennych pokazali się panowie polscy, każdy z swoim dworem ubrani w lamę złote i srebrne. Materie te były tak bogate i piękne, farby ich tak żywe, iż nic na świecie piękniejszego widzieć nie można było. Na strojach tych mnóstwo diamentów błyszczało. Wjeżdżający do Paryża Sarmaci zaszokowali francuską obserwatorkę przepychem błyszczących strojów. Może zatem wydawać się nieco dziwne, iż opowieść o losach orderu Orła Białego zaczniemy od stwierdzenia, iż szlacheczka Rzeczpospolita nie lubiła „świecidel”. Nie tych jednak, które w postaci błyszczących brosz, guzów i zapinek zdobyły odświętny strój bogatszego szlachcika. Te były w cenie. Inne „świecidla” drażniły nawykły do równościowych ideałów stan szlachcika. Mianem tym określano wówczas ową szczególną formę wyróżnienia, jaką były znane wcześniej na Zachodzie ordery. Dla przeciętnego szlachcika, który uważał się za „równego wojewodzie” instytucja orderów była czymś, co godziło w zasadę szlacheckiej równości, była po prostu nie do przyjęcia. Toteż kiedy kilkanaście lat przed owym pamiętnym wjazdem polskiego poselstwa do Paryża król Władysław IV podjął próbę ustanowienia pierwszego polskiego orderu wobec powszechnego sprzeciwu musiał z niej czym prędzej zrezygnować. Aż do końca XVII w. szlachta nie dopuszczała do realizacji jakiegokolwiek inicjatywy, która mogłaby naruszyć (w jej zrozumieniu) ideał równości.*

Dopiero chaos wewnętrzny, jaki wprowadziła tocząca się również w granicach Rzeczpospolitej wojna północna, stał się sprzyjającym czynnikiem dla orderowego przedsięwzięcia. W dniu 1 listopada 1705 r. na tajnym zjeździe w Tykocinie, podczas spotkania z carem Piotrem I August II Mocny rozdał kilku swoim zwolennikom owalne, czerwone emaliowane medale posiadające na awersie wizerunek białego orła oraz łaciński napis „PRO FIDE REGE ET LEGE” (Za wiarę, króla i prawo), na rewersie natomiast inicjał królewski „AR”-August Rex. Medale te zawieszane na niebieskiej wstążce stanowiły według opinii większości badaczy pierwowzór orderu Orła Białego. Pierwszy polski order narodził się więc w bardzo trudnych warunkach, bo po pierwsze właściwie w konspiracji, po drugie zaś, ustanowił go człowiek nie będący aktualnie pełnoprawnym władcą kraju. W kwietniu tegoż 1705 r. August II został zdeponowany przez popieranego przez Szwedów

Stanisława Leszczyńskiego i ten ostatni był właściwie królem Polski August II odniósł jednak, dzięki poparciu Piotra Wielkiego zwycięstwo nad Stanisławem Leszczyńskim. Ta odmiana losu uratowała order Orła Białego, przypuszczając bowiem należy, że Stanisław Leszczyński nie podtrzymałby odznaczenia ustanowionego przez swego adwersarza.

Umocnienie władzy przez Augusta II i jego plany prawowania rządów w absolutystycznej formie sprawiły, że skromny awany medal z 1705 r. przedzierzgnął się w prawdziwy order wysokiej, europejskiej klasy. Około 1710 r. wprowadzona zostaje bowiem odznaka w formie krzyża z nalozonym na jego powierzchni orlem, zawieszana początkowo na wstędze białej z czerwonymi paskami na brzegach a od 1713 r. na niebieskiej. Główny motyw odznaczenia — krzyż z dodatkiem wizerunku orla nie był jednak czymś oryginalnym. Francuski order św. Ducha z 1578 r. miał na krzyżu nalozony wizerunek białej gołębicy, symboliczne przedstawienie Ducha Świętego, pruski order Orła Czarnego z 1701 r. miał z kolei 4 czarne orły umieszczone między ramionami krzyża. Najprawdopodobniej August II wzorował się na orderze francuskim.

Ostateczny wygląd orderu Orła Białego ukształtował się następująco: główna odznaka — krzyż czteroramienny, ośmiorożny, pokryty czerwoną emalią z pozostawieniem złotych obrzeży. Między ramionami krzyża cztery pęki złotych promieni. Na krzyż nalozony biało emaliowany orzeł. Nad górnym ramieniem krzyża znajdował się pierścien służący do przewlekania wstęgi orderowej. Krzyż orderowy wykonywany był ze złota i bogato zdobiony brylantami, które wprawiano na końcach ramion oraz na poprzecznych promieniach i kółku do zawieszania. Na odwrotnej, gładkiej stronie krzyża znajdował się pośrodku inicjał królewski „AR” pod nim mały krzyżyk i dwa skrzyżowane miecze (herb saski Wettynów). Bardzo bogato prezentowała się również gwiazda



Gwiazda orderu Orła Białego z epoki saskiej

orderowa w kształcie ośmiopromiennym wykonana ze złotych nici. Na stronie licowej gwiazdy znajdował się haftowany srebrną nicią krzyż tzw. kawalerski, posiadający na ramionach napis, stanowiący dewizę orderu Orła Białego: PRO FIDE REGE ET LEGE, przy czym na gwieździe królewskiej wyraz „Rege” zastąpiony był wyrazem GREGE (dosłownie „trzoda” co oznaczało „naród”). Gwiazdy orderowe w czasach saskich były niejednolite, różnej wielkości i rozmaicie zdobione. Gwiazdy królewskie lub szczególnie zamownych kawalerów orderu posiadały przyszyte na powierzchni brylanty. Niebieska wstęga, którą przewlekano przez pierścien nad górnym ramieniem, zakładana była przez lewe ramię do prawego boku. Według ówczesnej symboliki kolor niebieski oznaczał m.in. pokojową politykę, moc, rzutkość. Był to kolor popularny dla wstęg wielu znanych orderów europejskich (rosyjski order św. Andrzeja, dński order Słonia, angielski order Podwiązki, francuski order św. Ducha). Król, najwyższy zwierzchnik orderu, w szczególności uroczystych momentach miał krzyż orderu zawieszony nie na wstędze ale na złotym łańcuchu, składającym się z trzech kolejno po sobie następujących ogniw przedstawiających: orla białego, inicjał królewski AR i wizerunek Matki Boskiej z Dzieciątkiem Jezus.

W okresie panowania Augusta II rozdano order około 30 osobom, za panowania jego następcy Augusta III aż około 330 osobom. Brak oficjalnych, urzędowych spisów kawalerów nie pozwala na dokładniejsze dane. Najpełniejszy wykaz odznaczeniych znajduje się w niezmiernie cennej pracy Stanisława Łoży *Historia orderu Orła Białego*. Podczas pierwszej (tej jeszcze konspiracyjnej) dekoracji w 1705 r. odznaki orderu otrzymali m.in. hetman wielki koronny Hieronim Lubomirski, który w swej młodości był uczestnikiem wiedeńskiej wiktorii króla Jana III oraz hetman wielki litewski Grzegorz Ogiński. Obok nich udekorowany został wtedy również rosyjski feldmarszałek Aleksander Mieższczykow, którego osoba może posłużyć jako przykład zawrotnej kariery osobistej i politycznej. Prosty chłopak z ludu, sprzedawca pierogów, w młodości był towarzyszem zabaw przyszłego cara Piotra. Niewykształcony, właściwie analfabeta, ale inteligentny i sprytny, był przez wiele lat najważniejszą osobą po carze, a w latach 1725-1727 faktycznym władcą Rosji. Również w 1705 r. order otrzymał słynny hetman kozacki Jan Mazepa, jedna z najbarwniejszych postaci epoki, rozslawiona przez najwybitniejszych romantyków europejskich. Wśród kawalerów orderu w latach późniejszych spotykamy wiele nazwisk na trwałe związanych z historią naszego kraju.

W r. 1733, ostatnim roku panowania Augusta II, odznaczenie otrzymał osławiony minister saski hr. Henryk Brühl, kierownik polityczny państwa, właściciel ogromnej fortuny, której dorobił się m.in. na sprzedaży urzędów i... orderów Orła Białego. Książę Jędrzej Kitowicz świętym pamiętnikarzem z połowy XVIII w. tak pisze o nim: *Ku końcu panowania Augusta III zagęścili się ordery, które graf Brühl minister królewski, pod przykrywką wycieczonych wojną pruską skarbów królewskich, przewadzał, od możnych i pragnących tej błyskotki biorąc po dziesięć i więcej tysięcy czerwonych złotych. I dalej: kądrego taksu była sto dwadzieścia czerwonych złotych, lubo nie miał tyle waloru wewnętrznego, będąc tylko kawalkiem złota, choćby dwadzieścia czerwonych złotych wziętym, z jednej strony bialo posmzelcowanym i otmia djamencikami oblozonym, co wszystko i z rzemieślnikiem nie wynosilo więcej nad czerwonych złotych sześćdziesiąt. Henryk Brühl mógł istotnie dorobić się ogromnej fortuny sprzedając ordery Orła Białego za 10 tys. złotych czerwonych kiedy oficjalna taryfa zwrotu jego kosztów do skarbu państwa wynosiła tylko 120 zł. Książę Kitowicz bystry obserwator epoki a jednocześnie przecięt reprezentant opinii „szarych*

mas" szlacheckich nie ukrywa swej głębokiej niechęci do tego „świecidda” tak nieznośnego dla równości „panów-braci”. Na kartach jego pamiętnika odnajdujemy wiele fragmentów będących komentarzem do historii orderu. Są one niewątpliwie subiektywne, często bardzo żłośliwe, ale trudno odmówić im trafności i znajomości psychiki ludzkiej.

Godny przypomnienia jest fakt, iż wśród ponad 150 osób odznaczonych orderem w ostatnim dziesięcioleciu rządów Augusta III znalazł się w 1756 r. 23-letni wybitnie inteligentny i wykształcony młodzieniec Stanisław Poniatowski, przyszły król Polski. Rok później odznaczenie to otrzymał m.in. Karol Radziwiłł „Panie Kochanku”, niewykształcony, rubaszny pijanica. Trudno o bardziej sprzeczny typ charakteru. Znaczny procent kawalerów orderu Orła Białego stanowili w latach 1705-1763 cudzoziemcy, a w ich gronie nie zabrakło monarchów, m.in. Piotr III, Elżbieta I Piotrowna, król duński Fryderyk IV. Najmłodszymi kawalerami u schyłku czasów saskich byli ks. Józef (1755) i ks. Maksymilian (1762) — wnukowie Augusta III. Pierwszy z tych kawalerów miał w momencie dekoracji roczek a drugi trzy lata. Święto orderowe i związane z nim uroczystości dekoracji przypadły w imieniny Sasów 2 lub 3 sierpnia. Miejscem dekoracji był pałac saski w Warszawie lub rezydencja Wettynów w Dreźnie, ewentualnie w Moritzburg pod Dreznem. Kandydaci świeccy do odznaczenia mieli obowiązek występować w strojach czerwonych, duchowni zaś w szatach duchownych. Uroczystość dekoracji kończyła wstawna uczta, a dzień ceremonii uroczaiły zawody strzeleckie i pokazy ogni sztucznych.

W czasach panowania ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego (1764-1795) order Orła Białego pozostał najwyższym odznaczeniem Rzeczypospolitej, choć nie był już jedynym orderem. W 1765 r. zostaje ustanowiony order św. Stanisława a w 1792 r. order zasługi wojskowej Virtuti Militari.

Order Orła Białego pozostał podobnie jak w poprzedniej epoce odznaczeniem elitarnym, dostępnym w praktyce jedynie dla magnaterii. Stanisław August najwyższy zwierzchnik orderu czyli wielki mistrz wprowadził w wyglądzie odznaki kilka zmian. Ze środka rewersu krzyża usunięto monogram „AR” zastąpiony teraz wyrazem „MARIA” ułożonym w specjalny inicjał. Ta zmiana dotyczyła też jednego z ogniw łańcucha orderowego. Łańcuch ten, przechowywany obecnie w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie, miał na sobie król po raz pierwszy w dniu koronacji — 25 listopada 1764 r. Najważniejsza jednak zmiana wizualna orderu polegała na usunięciu z krzyża i gwiazdy orderu ozdób brylantowych, co naturalnie zubożyło odznaczenie i znacznie zmniejszyło jego wartość materialną. Od 1770 r. Stanisław August nadal orderowi znaczenie prawnoprawistwo polecając wypisywanie nadań do ksiąg kancelaryjnych. Odznaczeni otrzymywać zaczęli odgą obok insygniów orderu, patenty wydawane przez kancelarię królewską. Pierwsza dekoracja zmienionym Orłem Białym odbyła się w Warszawie w dniu koronacji Stanisława Augusta, a udekorowano wtedy tylko 3 osoby. Jedną z nich był książę Adam Czartorski — najwybitniejszy chyba polityk polski tej doby. Wzrost popularności to bardzo niefortunny (jesli można użyć takiego określenia) kawalerowie orderu. Pierwszy z nich, brat króla, przyszył prymas Michał Poniatowski, okazał się w 1794 r. zdrającą i szpiegiem pruskim a od haniebnego śmierci na szubienicy uratowało go samobójstwo. Drugi, poseł rosyjski Michał Reppin, stał się już wkrótce po dekoracji symbolem obcej, brutalnej przemocy, kiedy na jego rozkaz porwano i zesłano na Sybir czterech polskich posłów.

Spółród ogromnej liczby odznaczonych orderem Orła Białego (około 550 osób) w ciągu 30 lat panowania Stanisława Augusta,

przynajmniej kilka nazwisk znane jest zapewne każdemu Polakowi. W wykazach kawalerów orderu spotykamy bowiem takie nazwiska jak: Stanisław Kostka Potocki, Stanisław Malachowski, Hugo Kollątaj, Ignacy Krasiński czy ks. Józef Poniatowski. Postacie te niewątpliwie chlubnie zapisały się w dziejach narodowych. Ponieważ jednak los i historia lubią płatać figle, można z wykazów kawalerów wybrać co najmniej tyle samo nazwisk, które dla potomnych stały się synonimem zdrady i zaprzędania. Oto trzy nazwiska chyba najbardziej znanych targowiczan: Stanisław Szczepny Potocki, Szymon Rzewuski, Józef Ankiewicz. Dwaj pierwsi otrzymali order Orła Białego w 1775 r. a trzeci w 1784 r. a więc na kilkanaście lat przed wydarzeniami, które zdecydowały o negatywnej o nich opinii.

Podobnie jak w czasach saskich, spory odsetek odznaczonych stanowili cudzoziemcy, głównie wysoce urzędnicy dworu rosyjskiego. Kandydatury ich wysuwała Katarzyna II, a Stanisław August, który zawdzięczał carcy tron polski, nie mógł odmówić — spłacał dług. W jednym z listów król zalił się ze wstydem, że Katarzyna II zrobiła z orderu Orła Białego stopień gradacyjną dla swoich kochanków. Po otrzymaniu jej listu faworyci honorowani byli orderem Orła Białego a następnie najwyższym orderem rosyjskim św. Andrzeja.

Za panowania Stanisława Augusta order Orła Białego był już tak popularny i modny, że stał się przedmiotem pożądania dla coraz liczniejszego grona szlachty. W korespondencji królewskiej z lat 1784-1792 znajdujemy odbicie jej często natrętnej „walki o ordery”, nie pozbawionej przy tym, ze względu na argumentację, pewnej dozy humoru. Proszono więc m.in. króla o order, by się nim choć pochwalił chociaż na napisie nagrobkowym, lub też żeby przez posiadanie orderu zwiększyć swe szanse na małżeństwo z posażną panną. Stanisław August, który był ponoć niezwykły miłym i łagodnym człowiekiem, nie lubił odmawiać prośbom. ulegał więc często natrętom. W niecodzienny również sposób order Orła Białego otrzymał gen. Kajetan Miączyński, znany powszechnie karciarz i szuler. Jedną z jego „ofiar” w roku 1785 był nasz przyszły bohater narodowy a podówczas 26-letni młodzieniec — ks. Józef Poniatowski. Szambelan królewski Bartłomiej Michałowski tak pisze o tym wydarzeniu: *Międzyński pospółu ze starostą Niechorskim na pewno wygrali u księcia Poniatowskiego kilkadziesiąt tysięcy złotych naturalnie na słowo. Książę wpadł w taką desperację, iż nie miał czym uiszczyć się z długu honorowego, że omal życia nie odebrał. Przysłą sytuację bratanka uratował Stanisław August, który udekorował Orłem Białym Miączyńskiego wzamian za zwrot rewersu na przegraną sumę. General Miączyński chwalił się później, że nikt tak tanio (bo bez żadnych zasług) ani tak drogo (bo kwota kilkudziesięciu tysięcy czerwonych złotych była na owe czasy prawie fortuną — dla porównania roczna pensja lekarza szpitala Dzieciątki Jezus wynosiła 60 zł czerwonych) nie zapłacił za order Orła Białego!*

Najbardziej obfite w nadania orderu Orła Białego były lata 1789-1792. W tym okresie odznaczono 200 osób, co stanowiło blisko 40% wszystkich nadań. Tę lawinę orderową można chyba jednak wytłumaczyć. Sejm Czteroletni, którego ukoronowaniem była Konstytucja 3 Maja, był okresem ciężkiej walki politycznej króla i stronnicwa reform z opozycją magnacką. Zwolenników trzeba było szukać, niekiedy kokietować, natomiast przeciwników starać się wszelkimi sposobami przynajmniej zneutralizować. Modny i poszukiwany order był bardzo przydatnym narzędziem przy realizacji królewskich planów.

W czasach stanisławowskich miał miejsce pierwszy w Polsce (ale nieśledy nie ostatni) przypadek odebrania orderu. Osiół w sierpniu 1790 r. sąd sejmowy wydał wyrok na Adama Poninskiego, „nieprzyja-

ciela ojczyzny", odzegnując go od czci, szlachectwa, tytułu książęcego i imienia Poniniskich, od urzędów, zaszczytów skazując na wieczne wygnanie. Księciu Poniniskiemu odebrany został m.in. nadany w 1763 r. order Orła Białego, a kara ta, tak jak i inne cytowane powyżej, spotkała go za wysługiwanie się mocarstwu, które dokonały rozbioru Polski i za łapownictwo.

Natomiast kilka lat później miał miejsce przypadek zgola odwrotny. W 1793 r. Stanisław August pod naciskiem targowiczian zarządził od swego bratanka ks. Józefa zdjecia orderu Virtuti Militari, który książę publicznie nosił wbrew nakazom Rady Nieustającej. Urażony książę odesłał stryjowi z Brukseli Virtuti Militari dołączając na znak protestu order Orła Białego.

Bardzo smutnie, w jakimś sensie adekwatnie do losów konającej Rzeczypospolitej, było zakończenie dziejów orderu Orła Białego w XVIII stuleciu. Tak oto pisze o „dekoracjach” tym odznaczaniem w okresie pobytu króla w Grodnie szambelan Michałowski: *W kantorku króla było mnóstwo przywilejów gotowych na dygnitarstwo, urzędy*



Awers orderu Józefa Wybickiego

województwie i powiatowe i ordery orla białego i świętego Stanisława, z pieczęciami gotowymi, tak, że tylko imię i nazwisko, obdarzonego pozostawalo napisac. Odtąd znalazło się dwóch zauszników, co umieli wymóc na nim, że im te przywileje z okienkami powierzyl i z tego ciągnęli korzyści, bo przypuścić nie mogą, żeby król w tak brudnych korzyściach miał mieć udział. Takim to sposobem kilku pojawiło się raptownie orderowych orla białego. Pozostawmy ten opis bez komentarza.

Po kilkunastu latach w 1807 r. kiedy powstało Księstwo Warszawskie artykułem 85 konstytucji nadanej przez cesarza Napoleona przywrócony został również order Orła Białego. Zwierzchnikiem odznaczenia został elektor saski i książę warszawski Fryderyk August. Odznaki orderu uległy minimalnym zmianom (nieco inny rysunek orla na krzyżu, gwiazda orderowa często wykonana z metalu), natomiast nadawanie tego odznaczenia zostało w praktyce bardzo ograniczone. W ciągu kilku lat udekorowano orderem Orła Białego zaledwie 10 osób. Pierwszym kawalerem został w grudniu 1807 r. Józef Wybicki,



Rewers orderu Józefa Wybickiego

podczas senator i wojewoda, autor napisanego 10 lat wcześniej tekstu mazurka Dąbrowskiego. Jego odznaki Orła Białego eksponowane są w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Odznaka główna — krzyż z orłem, ma wymiary 71 x 71 mm i waży 73 gramy. Krzyż wykonany jest ze złota próby 583, nałożony na krzyż orzeł ze złota próby 800.

Kawalerami orderu z czasów Księżstwa Warszawskiego byli m.in. Stanisław Breza — sekretarz stanu, Jan Łuszczewski — minister spraw wewnętrznych, Ignacy Sobolewski — minister polityki.

Kiedy w 1815 r. na mocy postanowień Kongresu Wiedeńskiego powołano do życia Królestwo Polskie nowa konstytucja nadana przez Aleksandra I utrzymała w mocy dawne polskie odznaczenia, w tym również order Orła Białego. Nowy król wjeżdżając jesienią 1815 r. do stolicy miał na mundurze odznaki najwyższego polskiego orderu. Było to posunięcie obliczone na aplauz społeczeństwa, podobnie jak pierwsza dekoracja Orłem Białym w grudniu 1815 r., kiedy to Aleksander I odznaczył osiem wybitnych Polaków, niedawnych swoich przeciwników. Order otrzymało 5 generałów, dowódców z epoki napoleońskiej: Jan Henryk Dąbrowski, Stanisław Mokronowski, Karol Sierakowski, Józef Wielhorski i Józef Zajacek oraz ks. Antoni Radziwiłł — namiestnik Wielkiego Księstwa Poznańskiego, Tadeusz Mostowski — działacz polityczny i znany krytyk literacki i ks. Adam Jerzy Czartoryski — wybitny polski polityk pierwszej połowy XIX w. Wraz z końcem liberalnej polityki kara wobec królestwa niemal w postępie geometrycznym malała ilość Polaków dekorowanych tym odznaczeniem. Np. w latach 1819-1823 wśród kilkudziesięciu odznaczonych znalazł się już tylko jeden Polak — biskup płocki: Adam Prażmowski. Dopiero w 1829 r. Mikołaj I z okazji swej koronacji na króla Polski okazał większą łaskawość — Orła Białego otrzymało wówczas 9 Polaków. W tej liczbie znalazł się m.in. prymas i zarządcą poeta Jan Paweł Woronicz, autor poczytnej w tym okresie *Sybilli*. Ubonorowano wtedy również 3 generałów wojska polskiego: Aleksandra Różnieckiego, Wincentego Krasieńskiego i Maurycego Hauke. Dwaj pierwsi należeli w 1831 r. do najbardziej zagorzałych przeciwników powstania listopadowego. Trzeci z nich Maurycy Hauke miał w przeszłości piękną kartę żołnierską; uczestnik insurekcji 1794 r. i Legionów Polskich we Włoszech a później dzielny oficer w czasach napoleońskich. W epoce Królestwa Polskiego wiceminister wojny, lojalny wobec cara. Z nim los obszedł się najokrutniej — poległ od kul podchorążych 29 XI 1830 r., próbując zatrzymać ich w czasie marszu na warszawski arsenał. Trzej synowie Maurycego bardzo dzielnie spisywali się w czasie walk w powstaniu 1830-1831 r. Jako ciekawostkę można również dodać, że rodzina Hauke za sprawą córki Maurycego Julii i jej dzieci weszła poprzez małżeństwa i koligacje w skład kilku panujących w Europie rodzin królewskich. Obecny król Hiszpanii Juan Carlos i następcą tronu angielskiego ks. Karol są praprawnukami kawalera orderu Orła Białego — gen. Maurycego Hauke.

Wybuch powstania i jego klęska zamknęły polską kartę Orła Białego w XIX stuleciu. Od listopada 1831 order wszedł do hierarchii odznaczeń imperium rosyjskiego. Zmianie uległ wygląd odznak oraz przepisy określające jego funkcjonowanie. Główną odznaką orderu stanowił odąd dwugłowy czarno emaliowany orzeł rosyjski, zwieńczony u góry diademem, na którego pierś umieszczony był dotychczasowy motyw odznaczenia tj. krzyż z białym orłem. Jeżeli odznaczenie nadawane było za czyny bojowe między orłem carskim a koroną znajdowały się dwa skrzyżowane miecze. Tym nicpolskim już orderem Orła Białego odznaczono w latach 1832-1916 również 66 Polaków: generałów,

senatorów i ministrów będących w służbie mocarstw zabornych; głównie zaś Imperium Rosyjskiego. M.in. w 1871 r. odznaczenie to otrzymał gen. inż. Stanisław Kierbedź — twórca pierwszego stalowego mostu na Wiśle, a w latach 1896/97 dwaj Polacy, ministrowie monarchii austro-węgierskiej Kazimierz Badeni i Agnór Gólurowski. Ostatnim kawalerem rosyjskiego orderu Orła Białego był również Polak, gen. Eugeniusz de Hennig-Michaelis w 1916 r.

Odzyskanie niepodległości w 1918 r. otworzyło nową rozdział w historii polskich odznaczeń. W sierpniu 1918 r. zgodnie z potrzebami nagradzania czynów bojowych w toczącej się walce o granice państwa reaktiwny został order *Virtuti Militari*. W tym też czasie podjęto próby wznowienia najstarszego polskiego odznaczenia — orderu Orła Białego, ale propozycje z lat 1919 i 1920 nie doczekały się realizacji. Interesujący był projekt z marca 1920 r., który zakładał odnowienie orderu w nowej pięcioklasowej postaci. Odznaczenie miało być noszone na wstępie białej z tkana czerwonymi paskami na brzegach (wstęga więc miała być taka sama jak ta z około 1710 r.). Innym elementem tego projektu było ustanowienie dożywotniej rocznej pensji dla kawalerów orderu, zróżnicowanej w zależności od klasy. Przewidywano, że część kwoty tego dodatku orderowego odznaczeni wypłacaliby na cele wychowawcze młodzieży.

Jednak dopiero projekt opracowany na przełomie 1920/21 r. zaowocował w formie oficjalnej ustawy uchwalonej przez sejm w dniu 4 lutego 1921 r. Wskrzeszono order Orła Białego w celu nagradzania *znamienitych zasług cywilnych, jak wojskowych, położonych w czasie pokoju lub wony dla chwały i pożytku Rzeczypospolitej*. Natomiast § 2 ustawy głosił: *Order „Orla Białego” jest najwyższą odznaką honorową Rzeczypospolitej i będzie nadawany osobom, które istotnie i wybitnie przyczyniły się do odczyszczenia lub utrwalenia niepodległości i zjednoczenia Polski albo do jej rozkwitu*. Przywrócone odznaczenie zachowało wygląd zewnętrzny nie odbiegający wiele od wzoru z XVIII i XIX wieku. Główną odznakę stanowił czerwono emaliowany krzyż z nałożonym białym orłem. Rewers odznaki, gładki posiadał na ramionach wytłoczony napis „ZA OJCZYZNĘ I NARÓD”, który zastąpił dawną łacińską dewizę. W środku rewersu na biało emaliowanej trzce, zamkniętej liśćmi dębowymi znajdował się monogram „RP” (Rzeczpospolita Polska). Takie same napisy i monogram znajdowały się na krzyżu (już bez orła) umieszczonym na drugim elemencie odznaczenia — srebrnej gwiazdce orderowej. Trzeci element stanowiła wstęga orderowa z błękitnej mory, służąca do przewieszania Orła Białego przez lewe ramię do prawego boku.

Projekt plastyczny orderu Orła Białego przygotował artysta malarz Mieczysław Kotarbiński, natomiast odznaki wykonała pracownia grawersko-złotnicza Wiktora Gontarczyka z Warszawy. Wario dodać, że w zbiorach Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie znajduje się m.in. egzemplarz orderu Orła Białego nadany gen. Józefowi Hallerowi w 1921 r. Może on służyć jako przykład sztucznej roboty jubilerskiej. Krzyż posiada wymiary 71 x 71 mm i waży około 88 g z tego ponad 50 g przypada na złoto, resztę stanowi srebro i emalia. Według ustawy z 1921 r. na czele instytucji orderu stało Zgromadzenie Kawalerów, które tworzyli wszyscy obywatele polscy odznaczeni Orłem Białym oraz wyłoniona z tego gremium Kapituła, mająca stać na straży honoru orderu, zarządzając jego sprawami a przede wszystkim opiniować wnioski o nadania. Natomiast wnioski o odznaczenia cudzoziemców nie podlegały Kapitułe. Prawo nadawania orderu do grudnia 1922 r. przysługiwało Naczelnikowi Państwa Józefowi Piłsudskiemu, który z racji zajmowanego stanowiska piastował w Kapitułe najwyższą godność

— Wielkiego Mistrza. Później funkcje te pełnili kolejno prezydenci Rzeczypospolitej. Najwyższym zwierzchnikiem państwa z urzędu, a więc niejako automatycznie przysługiwał order Orła Białego. Ustawa przewidywała dla nich złoty łańcuch orderowy.

Osoby odznaczone orderem obowiązane były zwracać koszt odznaki do skarbu państwa (w 1925 r. wynosił on 200 zł.), ale przepis ten dotyczył tylko obywateli polskich. Order mógł być odebrany osobie pozbawionej praw obywatelskich na mocy wyroku sądowego, lub za czyny niehonorowe na podstawie orzeczenia Kapituły.

W latach 1921-1939 najwyższym odznaczeniem Rzeczypospolitej uhonorowano jedynie 24 obywateli polskich. Najwięcej, bo 11 nadań ustanowiono w r. 1921. Otrzymali wtedy order Orła Białego marszałek Polski Józef Piłsudski, Aleksander Osuchowski (za działalność filantropijną), prof. Kazimierz Morawski — prezes polskiej Akademii Umiejętności, gen. Zygmunt Zeliński, Ignacy Paderewski — wybitny kompozytor i polityk, Wojciech Trąpczyński — marszałek Sejmu, prof. Oswald Balzer — historyk, gen. Józef Haller, kardynał Edmund Dalbor — prymas Polski, Wincenty Witos — działacz ludowy i premier, Zygmunt Łoziński — biskup piński. W następnych latach (do 1930 r.) order Orła Białego otrzymało jeszcze 5 Polaków: trzej kolejni prezydenci — Gabriel Narutowicz, Stanisław Wojciechowski i Ignacy Mościcki oraz w 1924 Stanisław Grabski — wybitny ekonomista, reformator ustroju pieniężnego a w 1926 kardynał Aleksander Kakowski. W latach trzydziestych order Orła Białego otrzymało jeszcze ośmiu obywateli polskich. W 1932 r. Kazimierz Bartel — wybitny matematyk, trzykrotny premier oraz kardynał August Hlond — prymas Polski. W 1934. pośmiertnie odznaczono zamordowanego przez nacjonalistów ukraińskich ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego, a w 1935 r. odznaczony został Walerj Sławek, ówczesny premier. W 1937 r. order otrzymali: Edward Rydz-Śmigły — marszałek Polski oraz arcybiskup Adam Sapiecha. W roku 1938 przyznano Polakom dwa ostatnie już ordery w II Rzeczypospolitej: Stanisławowi Carowi — marszałkowi Sejmu (pośmiertnie) oraz Józefowi Beckowi, ministrowi spraw zagranicznych.

W stosunku do 24 obywateli polskich ilość odznaczonych cudzoziemców była blisko trzykrotnie większa. Dużą grupę stanowili Europejczycy królowie. Z zamorskich, egzotycznych władców order Orła Białego otrzymał ostatni cesarz Japonii — Hirohito i znany z wizyty w Polsce cesarz Etiopii — Heile Selasie. W gronie odznaczonych prezydentów najbardziej znane postacie to Tomasz Masaryk z Czechosłowacji, Wodrow Wilson z USA, Raymond Poincaré z Francji. Order ten otrzymali również znani marszałkowie Francji: Ferdynand Foch, Joseph Joffre, Philippe Petain. Ten ostatni niechlubnie zapisał się w historii Francji jako szef kolaboracyjnego rządu w Vichy.

Jeśli późniejsza postawa polityczna Petaina trudna była do przewidzenia, to z całą pewnością nie da się tego powiedzieć o innym kawalerze Orła Białego — Benito Mussolinim, twórcy włoskiego faszyzmu, dyktatorze Włoch. Na usprawiedliwienie tego faktu można stwierdzić jedynie, że z państwem włoskim utrzymaliśmy w okresie międzywojennym dobre a właściwie przyjazne stosunki. Kawalerem orderu Orła Białego był także król włoski Wiktor Emanuel i nuncjusz apostolski w Polsce Achilles Ratti — późniejszy papież Pius XI. Przedstawiciele Francji, Rumunii i Włoch, państw, z którymi Polska utrzymywała w okresie międzywojennym przyjacielskie stosunki, zdecydowanie przeważają wśród cudzoziemców-kawalerów orderu Orła Białego. Ostatnim cudzoziemcem udekorowanym tym orderem był rumuński minister spraw granicznych Grigore Gafencu. Dekoracja



Dekoracja trumny gen Sikorskiego orderem Orła Białego

miała miejsce na pół roku przed najazdem wojsk hitlerowskich na Polskę. Godny uwagi jest fakt, że orderu Orła Białego nie otrzymał ani jeden przedstawiciel Niemiec, zarówno w okresie Republiki Weimarskiej, jak i później, w okresie III Rzeszy.

Order Orła Białego nie przetrwał II wojny światowej. „Z urzędu” nosił go wówczas prezydent Władysław Raczkiewicz, zaś dwaj inni kawalerowie tego odznaczenia — Herman Lieberman (1941) i gen. Władysław Sikorski (1943 r.) wyróżnieni zostali dopiero po śmierci. Tradycję najstarszego polskiego odznaczenia usiłował podtrzymać Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, który dekretem z 22 grudnia 1944 r. zatwierdził order Orła Białego. Jednak wobec wątpliwości jakie ponoszące to wzbudziło wśród niektórych członków ówczesnej ekipy rządzącej (o czym wspomina w swych pamiętnikach marszałek Marian Spychalski) dekret ten nie wszedł w życie.

Zbigniew Puchalski

Fotografie orderów: Mironław Ciunowicz

Postawa korpusu oficerskiego armii carskiej na Węgrzech w 1849 roku

Zarówno w historiografii radzieckiej, jak i w węgierskiej spotykamy się z poglądem, iż część kadry oficerskiej oraz żołnierzy carskiej armii interwencyjnej, która zdławiła węgierską walkę o wolność w latach 1848-1849, sympatyzowała z Węgrami. *Szczególnie niepopularna była ta kampania w kręgu postępowych oficerów (...). Postępowa część armii rosyjskiej widziała haniebny cel wyprawy i sympatyzowała nie ze swymi sojusznikami Austriakami, ale z walczącymi o wolność i niepodległość Węgrami* — tak pisał np. radziecki monografista węgierskiej walki narodowowyzwoleńczej R. A. Awerbuch¹. Podobne sformułowania znajdziemy też w pracach N. G. Wierzbickiego, A. S. Nifontowa, A. W. Fiodorowa, Gy. Spirya, E. Andics, E. Waldapfel, J. Varadiego-Sternberga i innych. Zacytujmy Györgya Spirę: *Po przekroczeniu granicy potępienie ingerencji i sympatio do narodu węgierskiego dochoǳily coraz bardziej do głosu, zarówno pośród żołnierzy armii rosyjskiej jak też ich dowódców*².

Stwierdzenia historyków radzieckich oparte są na źródłach archiwalnych i na wspomnieniach carskich oficerów, którzy brali udział w kampanii węgierskiej. Na polu badań źródłowych gruntowną pracę wykonał Awerbuch i do węgierskiej literatury historycznej przedostały się głównie wyniki jego badań. Równie rozległe badania archiwalne przeprowadził później Wierzbicki, który opublikował kilka godnych uwagi dokumentów, dotyczących procesów i wyroków sądu wojskowego³. On właśnie był tym historykiem, który przestudiował cały dotychczasowy materiał źródłowy znajdujący się w archiwach Moskwy, Leningradu, Wilna i Mińska i dotyczący sprawy Gusiewa. Na tej podstawie stwierdził, że w źródłach nie ma śladu dokumentów procesu wytoczonego kapitanowi Aleksandrowi Gusiewowi i jego piętnastu towarzyszom, procesu zakończonego wyrokiem skazującym ich wszystkich na śmierć. Mimo to jednak Wierzbicki poświęca nieco miejsca tej sprawie (która na Węgrzech stała się powszechnie znana, przede wszystkim dzięki utworom Beli Illésa), opierając się głównie na źródłach literackich i wydawnictwach o charakterze popularnym⁴. Oprócz dokumentów archiwalnych na postawę korpusu oficerskiego armii carskiej sporo światła rzucają pamiętniki oficerów. Kilkadziesiąt pamiętników, wspomnień i dzienników (pośród których można nawet znaleźć prace próbujące dać całościowy obraz i ocenę kampanii), to niezwykle cenny

materiał źródłowy do poznania ostatniego okresu walki narodowowyzwoleńczej Węgrów. Ciekawe, że ten bogaty zestaw pamiętników ogłaszanych w drugiej połowie ubiegłego stulecia w czasopiśmiech petersburskich i moskiewskich, a także w osobnych tomach, nie zwrócił dotychczas uwagi historyków węgierskich⁵. Badacze radziecy wykorzystali większość owych pamiętników dla poparcia swych tez, a cytowane przez nich fragmenty przenikły do prac węgierskich. Trzeba jednak przyznać, że Janos Varadi-Sternberg dostrzegł znaczenie owych pamiętników jako materiału źródłowego⁶.

Przybliżyliśmy pomoc Austriakom, no i pomogliśmy im, ale nasza sympatia zwróciła się zdecydowanie w stronę tych, przeciw którym walczylismo. To zdanie Michaila Dormidontowicza Lichutina, oficera sztabowego IV korpusu piechoty jest wielce symptomatyczne: 'Szczególnie godne uwagi jest współzucie wobec Węgrów, które objawilo się pośród naszych, w przeciwieństwie do antypatii jaka zrodzila się w nich względem Austriaków — na te słowa, wyjęte z dziennika barona Leontia Pawłowicza Nicolasa, carskiego fliegeladutanta, wskazywał Awerbuch⁷, wymieniając jednocześnie jako sympatyzujących z Węgrami innych postępowych oficerów rosyjskich: Aleksiejkę, któremu zamponawla odwaga Węgrów oraz ich wiara w słusznosc sprawy, Wierukowskiego, który wzmiankuje o owacji z jaką stajonującymi w Kassa oficerowie rosyjscy przyjęli eskortowanego w stronę Klagenfurtu Gorgeya, dalej Fatiejewa, który ze zgrozą mówi o kapitulacji Węgrów pod Vilagos i Bogdanowskiego, który ze współzuciem wspomina uwiezionego przywódcę zamku w Munkacs

Wedlug Wierzbickiego z kolei przekonanie o niepopularności interwencji oraz sympatia wobec narodowowyzwoleńczej walki, zywione w postępowych kręgach armii rosyjskiej, znalazly wyraz na kartach pamiętników, których autorami są oficerowie biorący udział w kampanii: A. I. Dclwig, M. D. Lichutin, P. Alabin i inni⁸.

Zobaczyć zatem jak wyglądają te konstatacje w świetle znajomości pełnych tekstów, w czym można cytowane wyżej ustalenia historyków uściślić bądź dopełnić.

Przede wszystkim pragniemy zwrócić uwagę na to, że wszystkie cytaty z pamiętników oficerów rosyjskich, mające świadczyć o ich sympatii do Węgrów odnoszą się do okresu, który nastąpił bezpośrednio po kapitulacji pod Vilagos i owa sympatia nie miała nic wspólnego z poparciem walki narodowowyzwoleńczej czy jej społecznego programu. Było to raczej współzucie wobec oficerów i żołnierzy węgierskich, którzy — wierząc we wspaniałomyślność cara — w sytuacji bez wyjścia złożyli bezwarunkowo broń i stali się jencami zdanymi na cudzą łaskę i pozbawionymi środków do życia. Lichutin wspominając swe nagbyradzkie przeżycia napisał owo, często cytowane zdanie: *W Nagyvarad wszyscy odpoczywali i w miarę możliwości zabawiali się... Węgrzy natomiast, każdy z czako na głowie, siedzieli smutno w milczeniu, w dodatku bez grosza w kieszeni; ugościli ich oficerowie rosyjscy, nawet bardzo hojnie, bo niektórzy z nich czuli się jak gąbry zobowiązani, by okazać im sympatię i szacunek*⁹. Cytat pochodzący z dziennika barona

¹ Nowe dane, dopełniające aktualny stan wiedzy, przyniesie obszerny wybór z pamiętników rosyjskich, przygotowany obecnie dla węgierskiego wydawnictwa Europa.

² Varadi-Sternberg: *A citri hadarógy beartokozásának orozozsági viszonylaja*. (w) *Szabadok Értelmeje*, Budapest 1981, s. 124.

³ M. D. Lichutin: *Zapiski o posuchie w Węgrygu w 1849 roku*. Moskwa 1875, s. 247.

⁴ L. P. Nikołaj: *Dzennik barona L. P. Nikołaja uwodzonyj im wo wremja węgierskoj kampanii 1849 g.* „Russkaja Starina”, nr 9-12, s. 199.

⁵ Wierzbicki: *Socuzsawrie pieredowich oficerow...*, s. 121.

⁶ Lichutin: *Zapiski...*, s. 246-247.

¹ R. A. Awerbuch: *Revolucija i nacjonabno-oswoboditelnaa borba w Węgrygu 1848-1849*. Moskwa 1965, s. 311, 323.

² Spirę Gy.: *A magyar forradalom 1848-1849-ben*. Budapest 1959, s. 534-536.

³ W. G. Wierzbicki: *Socuzsawrie pieredowich oficerow i soldat ruskoi armii węgierskoj revoluciji 1848-1849 g g.* „Istoczeckij Archiw” 1962, t. 4, s. 121-133; także *Revolucyjonne dziszenije w ruskoi armii*. Moskwa 1964, s. 242-259.

⁴ Wierzbicki, *Revolucyjonne dziszenije...*, s. 248-249.

Nicolaia także odnosi się do tych dni, dokładnie do 15 sierpnia. Zdania Delwiga (który był kuzynem znanego poety Antona Antonowicza Delwiga, należącego do kręgu Puszkina i który jako inspektor ruchu i transportu na drogach wykorzystywanych przez wojsko trafił w charakterze inżyniera wojskowego do kwatery głównej), na które powołuje się Wierzbicki, również potwierdzają nasze spostrzeżenia: *Wojna wszeźta przez cara Mikolaja z zamiarem niesienia pomocy Austriakom byla niepopularna w Rosji, co nie moglo byc bezplywu na nasza armie. W czasie calej kampanii nasi żołnierze odnosili się do Austriaków z chłodną uprzejmością, okucując jednoczesnie wspolczucie jeńcom i litosc rannym żołnierzom węgierskim. Uczucia te doszly do głosu zwłaszcza po zlozeniu przez Górgeya broni; oficerowie rosyjscy i nizsi rangą żołnierze zaprzyznili się z Węgrami, wgaszczali ich jadłem i napojem, nie zalując na to nawet ostatnie kopiejki¹¹.*

Drozdów, który był osobistym adiutantem szefa sztabu generalnego generała Frolowa, pertraktującego przed kapitulacją z wyslannikami węgierskimi i przebywającego przez jakiś czas nawet w obozie Górgeya, pisze po zlozeniu broni przez Węgrów: *Widok oddzialu zdyscyplinowanego, silnego i walecznego byl niewypowiedzianie wzruszajacy. Wszak tenze oddzial jeszcze przed kilkoma miesiacami byl postrachem Austriaków, a teraz stal tu bez broni, zdany na własny los i jak skazany na smierc oczekiwal wykonania wyroku¹².*

Z politowaniem i pogardą oficerowie rosyjscy traktowali swych austriackich sojuszników za to, że nie potrafili oni zapoznać nad buntem Węgrów, a ponosząc z ich ręk klęskę za klęską zmuszeni byli wystąpić do cara o pomoc zbrojną. Mimo to po stłumieniu węgierskiej walki o wolność zachowywali się butnie i mściwie, jakby zwycięstwo zawdzięczało wyłącznie samym sobie. Nie wątpię, że w każdym uczestwym Rosjaninie z gniewu krew się burzyła, kiedy natychmiast po zakończeniu kampanii okazało się, jak Austriacy oceniają naszą rolę w odniesieniu do sprawy węgierskiej i rzeczywistości, czy me bylo to normalne, że bolalo nas, kiedy rozpowiadali, iż my byliśmy ich zoddakami, choć przeciw chwala zdobytą w tej kampanii kosztowała nas wiele przelanej krwi i wiele milionów. Przypko też bylo czytać to, co austriacki general dywizji Haynau napisal w swoim biuletynie. Calą zaslugę zdławienia buntu Węgrów przypisal sobie i armii austriackiej, o pomocy rosyjskiej i oddziale Rosjan walczących obok niego, bez którego Górgey by go z pewnością pobil, nawet nie wspominal¹³.

Antypatia, a nawet pogarda, jaką Rosjanie żywili wobec Austriaków, zwiększała współczucie względem jeńców węgierskich: *Wszystko, czego życzył tym biednym ludziom, i co byloby pozytywne także dla samej Austrii, to ogłoszenie amnestii... ale gdzie! — nie uważam Austrii za zdolną do takiej wielkoduszności i dlatego można się obawiać, iż będzie kontynuować właściwą jej dwulicową politykę, będzie wszystkich podstępnie karać i przesładować — tak pisał baron Nicolaia¹⁴.*

Carska kadra oficerska byla niezmiernie dumna, iż kapitulacja Węgrów nastąpiła właśnie przed oddziałami rosyjskimi. Współczucie okazywane jeńcom przez Rosjan, w tym także spektakularne poniesienia jak pozwolenie oficerom honwedów na zachowanie szabel, czy obiad

wydany 14 sierpnia w Kisjeno przez generała Rüdigera na czesc generalów węgierskich, z toastem wygłoszonym przez generała, kludy w oczu austriackich sojuszników, którzy nie omisskali dać wyraz niezadowolnienia i nieuczynności¹⁵. Trzeba też dodać, że postawa carskich oficerów wzbudzała podstawne iluzje w generacji i kadrze oficerskiej honwedów. W listach Górgeya, pisanych już po kapitulacji i adresowanych do dowódców zamku oraz dowódców oddzialow stawiających jeszcze opór, można znaleźć świadczenia ufnosci do Rosjan: *Wszyscy, którzy byli po moim rozkazaniu... zlozyl bezwarunkowo broń i teraz doświadczamy takiego traktowania, że jesteśmy zaskoczeni, a moze i zawstydzeni, bo kiedy próbuję sobie wyobrazic sytuację odwrotną, nie wiem, czy mógłbym dad gwarancję, że każdy nasz oficer będzie tak samo uprzejmie i rycersko postepował z pojmanymi do niewoli przeciwnikami — tak pisal 14 sierpnia w Kisjeno do Janosa Damjanicza, dowódcy zamku w Arad¹⁶. Zluzdenia szybko się jednak rozproszyly. Górgey pozbył się ich w Nagybárad 15 sierpnia po południu, kiedy to książę Paskiewicz, główny dowódca carskich sil zbrojnych, zakomunikował mu, iż jedynie na jego życie może dać gwarancję. Reszta oficerow węgierskich przejrzała na oczy 23 sierpnia w Gyula, gdzie pobawiono ich szabel i przekazano Austriakom.*

Spośród oficerów rosyjskich, którzy spisali swe wspomnienia, tylko Lichutin szuka wyjaśnienia tego zjawiska. Oto jak widzi przyczyny współczucia okazywanego Węgom: *moglo to być wielkoduszność, litosc w stosunku do zwyciężonego, ale odnoszącego się do nas z sympatią przeciwnika. Chcieliśmy jak gdyby wynagrodzić temu przeciwnikowi wyrządzone mu krzywdy i niesprawiedliwość względem niego popelnioną, i w ogóle zatrzeć wymowę naszej ingerencji, co do której wielu malo wątpliwości. Moglo to być także konsekwencją bujnej postawy niektórych oficerów austriackich, ale moglo to być też pozorny liberalizm etc. Dalej czytamy: Doprawdy, co moglo tak pojednać oficerów rosyjskich i węgierskich? Jeśli się dobrze tej sprawie przypatrzeć, okaże się, że chyba to, iż w armii rosyjskiej sluzylu bardzo wielu Polaków i wywodzących się z ziem polskich Niemców, którzy jakkolwiek uczucie wypelniali swiętym obowiązkiem i zachowali wierność swemu sztandarowi, nie potrafili, choćby w pewnym stopniu, nie współczuć Węgom, w których szeregach walczyl również liczni Polacy oraz Niemcy pochodzący z różnych części dawnej Galicji¹⁷.*

Wydaje się, iż tą uwaga Lichutina trafił w sedno. Z pamietników bowiem i ze źródeł ogłoszonych przez historyków radzieckich wynika, że zawsze gdy spotykamy się z przejawami politycznej czy ideowej sympatii żywionej wobec Węgrów, mowa jest o tych członkach kadry oficerskiej wojska carskiego, którzy byli z pochodzenia Polakami. Mówiąc dokładniej, w takich przypadkach chodzi nie tylko o współczucie okazywane walczącym o niepodległość Węgom, ale także o to, że począwszy od jesieni 1848 roku Polacy uważali ziemię węgierską za miejsce, na którym mogą rozpocząć nieustającą walkę o przywrócenie niepodległości własnej ojczyźnie. Na postawie oficerow polskiego pochodzenia nie mogli nie wiedzący również i ten fakt, że na czelę oddzialow węgierskich stali legendarni przywódcy powstania listopadowego Henryk Dembinski i Józef Bem, a potród honwedów walczylo okolo 2500 ochotników polskich, częśc z nich — w powstaliem oficjalnie w maju 1849 roku Legionie Polskim

Znaczenie trudniejszym i bardziej ryzykownym przedsięwzięciem bylo

¹¹ A. I. Delwig: *Pobinek russkoj cziny (1820-1870)*. Moskwa 1930, t. I, s. 516. Powołuje się nań Wierzbicki: *Rewulucyjnosije dżewienije...*, s. 242.

¹² I. Drozdów: *Sadaca węgierskiej armii russkom wojskom pod Wologosom 1-go augusta 1849 r.* „Wojennyj Sbornik”, 1970, t. 9, s. 137. W języku węgierskim Rosończy I: *Przywieliczenie a zyczo szemleje*, „História”, 1965, nr 2, s. 12.

¹³ F. W. Rüdiger: *Ze wspomnieniami o węgierskiej kampanii 1849 roku*, „Russkaja Starina”, 1898, s. 521. W języku węgierskim: Rosończy I: *Oras fozraja a szabadságharc węgynajáról*, Rüdiger: *Tabornak seregdiszternek risszarulekezese* HK 1984, nr 4, s. 785.

¹⁴ L. P. Nicolaia, op. cit., s. 405.

¹⁵ L. Steier: *Harmaz és Paszkierics*. Budapest 1926, t. II, ss. 329-333; A. P. Szerzbátov: *Paszkierics Magyarországon*. Budapest 1984, ss. 158-161, 3-8-340.

¹⁶ T. Katona: *Ar. aradi vertanok*. Budapest 1979, t. II, ss. 26-27.

¹⁷ Lichutin, op. cit., s. 247-248.

przejście z szeregów rosyjskich na stronę Węgrów, aniżeli przedarcie się z Galicji na Węgry — za to ostatecznie w przypadku niepowodzenia groziła bowiem kara najwyżej kilku miesięcy więzienia.

Wiemy o jednym zaledwie oficerze carskim, który w czasie toczonej na ziemi węgierskiej walk przeszedł na stronę honwedów. Był to jeden z chorążych wzniesieńskiego pułku ulanów należącego do 4 korpusu piechoty. Nazywał się Rulikowski, pochodził z Podola. O tym, że 23 lipca 1849 roku w Poroszló nad Cisą 50 huzarów węgierskich nie przypadkowo otoczyło jego patrol wędrujący liście Rulikowskiego wysłany za pośrednictwem kogoś z miejscowych (może księdza z Poroszló) do dowódcy węgierskiej straży przedniej w Tiszafured. Oslonej przejścia pomiędzy Poroszló a Tiszafured zabezpieczył wówczas oddział specjalny składający się z około 3000 osób, częściowo powstańców chłopskich, dowodzony przez pułkownika Jánoša Korponaya. We wspomnianym liście Rulikowski powiadamia o zamiarze przejścia na stronę Węgrów, chcąc uniknąć kary w przypadku niepowodzenia prosi, by wojsko węgierskie otoczyło jego patrol w czasie pojenia koni. Patrol ów, złożony z 2 podoficerów i 10 szeregowców bronił się, podoficer i siedmiu żołnierzy doznało ran (jeden z nich zresztą wkrótce zmarł). Rulikowski znalazł się w Legionie Polskim w randze porucznika. Po rozbiu oddziałów węgierskich, w Orsowie w czasie ucieki legionistów postanowił nie udawać się na emigrację, tylko wrócić do swej jednostki i zgłosić się tam jako były jeńiec wojenny. Jednakże list jego wraz z częścią dokumentów armii węgierskiej trafił do rąk dowódcy wojskowego. Spowodowało to zgubę Rulikowskiego. 23 sierpnia zameldował się w kwatery głównej III korpusu w Simand, natychmiast został uwięziony, a 29 sierpnia 1849 r. wyrokem sądu wojskowego — rozstrzelany przy ścianie cmentarza w Várard.¹⁴

Generał dywizji Paweł Krzysztofowicz Grabbe, dowódca samodzielnej kolumny armii rosyjskiej, której powierzono ochronę północnych komitatów Węgier i zachodniej części Galicji, odnotował w swoim dzienniku następujący przykład: *Urban i Korsak, obaj Polacy, kadeci pułku nizowskiego, rozmawiając po pijanemu z Węgrami podburzali ich, jednemu z nich dali nawet naboje. Kazalec obydwoh zamknął i wszczął przeciwko nim śledztwo. W tych oddziałach, w których jest wielu Polaków trzeba karać dla przykładu.¹⁵*

O późniejszym losie kadeta, potem chorążego Aleksandra Korsaka oraz podoficera Aleksandra Urbanowskiego dowiadujemy się z dokumentów opublikowanych przez Wierzbickiego. W wyniku dochodzenia sądu wojskowego okazało się, że w karczmie w Alsókubin Korsak pił zdrowie Bema i Dembińskiego, a następnie powiedział, że jeśli w bitwie znajdzie się naprzeciw oddziałów węgierskich, nie będzie do nich strzelał. Swoim towarzyszom, czeskiemu gajowemu i Węgrowi — sprzedawcy pierników zaproponował, by o świcie dołączyli do walczących Węgrów, a jeżeli chcą on uczyni to samo razem z nimi. Wówczas to właśnie podarował im 25 naboji. Urbanowski został przez sąd wojskowy uznany za winnego z tej przyczyny, że o postępku Korsaka nie powiadomił swego przełożonego.

Wyrok był rzeczywście surowy: śmierć. Jednakże główny dowódca, książę Paskiewicz, biorąc pod uwagę młody wiek obwinionych oraz wierząc, że złagodzenie kary obudzi w nich skruchę i chęć naprawy nieprzemyslanego czynu (który zresztą pozostał bez żadnych konse-

¹⁴ Zródła do sprawy Rulikowskiego przytacza Wierzbicki: *Soczniz-zwroty pierwodowych oficerow...*, s. 124-125. Z członków Legionu Polskiego wspomina o Rulikowskim T. T. Jek: *Od Halebki przez życie*. Kraków 1936, t. I, s. 345, 363-364. S. Schnür-Peplowski: *Polacy i Węgrzy*. Lwów 1896, s. 275.

¹⁵ P. H. Grabbe: *Is zaptajnoj knizki grafa...*. Moskwa 1888, s. 417.

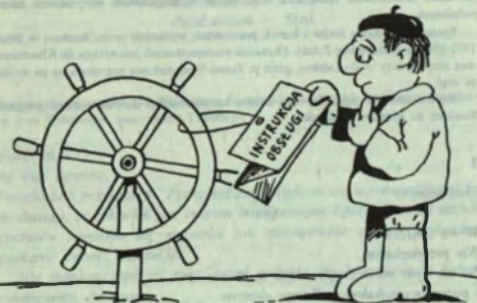
wencji) zdegradował ich do szeregowców i odesłał do służby na Kaukazie. Tym sposobem trafili jako szeregowcy: Korsak do tbilskiego pułku strzelców, Urbanowski zaś — do mingrejskiego.¹⁶

Wierzbicki ogłosił wiele materiałów źródłowych dotyczących podobnych spraw, m.in. listy oficerów z III i IV korpusu piechoty, przeciw którym wszczęto dochodzenie, bądź którzy znaleźli się w więzieniu w wyniku stwierdzenia ich nielegalnej postawy podczas kampanii węgierskiej. Ze spisów tych wszelako nie można wyciągnąć daleko idących wniosków. Sam Wierzbicki stwierdza np.: *źródła świadczą o tym, że do niegodnych zaufania zaliczano nie tylko tych, którzy stali się podejrzanymi poprzez swój sposób myślenia, ale również tych, którym zarzuczano lenistwo, których uważano za złych organizatorów, bądź też takich, którzy z powodu tępoty umyslowej i całkowicie ograniczonej zdolności pojmowania okazali się nieprzydatni.¹⁷*

Z meldunków dołączonych do owych list wynika, że zaledwie w przypadku dwóch oficerów można przypuszczać, iż stali się niegodnymi zaufania ze względów politycznych. Chodzi o Dionizego Rybińskiego i Pawła Sierakowskiego — chorążych olwipolskiego pułku ulanów, należącego do IV korpusu lekkiej kawalerii. Generał dywizji Paskiewicz donosi carowi Mikołajowi, że — zgodnie z meldunkami ich dowódcy — wspomniani chorążowie podczas stanowienia we Lwowie zachowywali się w teatrze „w sposób niegodny oficera”, następnie zawarli znajomość z podejrzanymi wedle rządu austriackiego elementami, zresztą i oni sami także z powodu swoich przekonań stali się podejrzanymi.

Osobnych badań wymagają przypadki carskich oficerów i żołnierzy, którzy przeszli na stronę węgierską w czasie walk w Siedmiogrodzie. Nie możemy wszakże zapominać, że część spośród nich przy pierwszej porażce wojsk interwencyjnych, w lutym bądź marcu 1849 roku dostała się do niewoli i korzystając z możliwości, jakie się wytworzyły, bez żadnego ryzyka zaciągnęła się pod sztandary węgierskie.

Przełożył Jerzy Snopek



SADURSKI.



archiwum

Listy Stachury
do Kluczkowic i Lublina

Wiosną 1970 r. Edward Stachura wrócił do Polski po rocznym pobycie w Meksyku, w 1971 r. odbył podróż na Bliski Wschód do Damaszku i Bejrutu; w tym samym roku wysłał *Siekurczada*; na wiosnę 1972 szykował się Stedowi jego pierwszy wyjazd do Norwegii i właśnie wówczas, marcu 1972 r., otrzymał w Warszawie list od Władysława Zosela z Kluczkowic pod Opolem Lubelskim z zaproszeniem na wieczór autorski i spotkanie z młodszą miejscowego Technikum Ogrodniczego.

Władysława Zosel był dawną znajomą Stachury, jeszcze z lat studenckich na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie od 1958 do 1960 r. Stachura studiował romanistykę. Z wykształcenia — polonista, w 1967 r. osiedlił się w Kluczkowicach i w tamtejszej szkole ogrodniczej uczył języka polskiego, prowadząc także szkolny zespół recytatorski. Wielbicielka twórczości autora *Calej jaskrawości* i *Duto ognia*, często podziwiała swoim wychowankom jego utwory — do czytania i do wykonania na estradzie. Mieszkała wraz z matką w obrębie szkoły, mieszczącej się w dawnym majątku Kleniewskich — w pałacu stojącym w rozległym parku, w pobliżu wielkich stawów, nad którymi znajduje się letni ośrodek wypoczynkowy Letą Kluczkowice w pięknej okolicy, osiem kilometrów na południe od Opola, przy szosie wiodącej do Józefowa, i dalej — do Annopola.

List z Kluczkowic zapoczątkował kilkuletnią korespondencję pomiędzy Edwardem Stachurą i Władysławą Zosel, dom w Kluczkowicach stał się dla Steda jednym z tych miejsc, gdzie mógł zawsze liczyć na gościnę i szczerze przyjaźni. I chociaż poeta odwiedził Kluczkowice tylko dwa razy, darzył je miejscową sentymentem niemal rodzinnym.

Spokród czterdziestu listów i kartek pocztowych wysłanych przez Stachurę w latach 1972-1978 do Władysława Zosela, dwanaście zaadresowanych jest właśnie do Kluczkowic, dwa ostatnie listy — do Lublina, gdzie p. Zosel-Wojtyłaówna przeniosła się po wyjeździe za mąż.

Siedem listów z początkowego okresu korespondencji dotyczy sprawy przyjazdu Stachury na spotkanie autorskie

I

(Brak koperty)

W-wa 29.III.72.

Nie przyjechałem.

bo nie było mnie onego czasu w W-wie, a i potem wyjechałem i dlatego dopiero teraz odpisuję.

Zaluję, że nie mogłem przyjechać.
MOGĘ PRZYJECHAĆ 3 maja lub 4 maja.
Ale 3 maj — to jest ładna data.
Jadę teraz do Norwegii i wracam z końcem kwietnia.

500 zł. za „spotkanie z pisarzem”
się przyda, bo choć jest u mnie ultrabarakowo,
ale nie jest ultrajfinansowo.

Pozdrawiam serdecznie i życzę
WESÓLYCH ŚWIĄT

Mój adres:	Będzie w W-wie kilka dni
Edward Stachura	7,8,9, kwietnia (Do Norwegii jadę 10.IV.)
Warszawa 5	Może będzie jakiś list od Ciebie
ul. Miodowa 1	w tej sprawie.
Poste Restante	

2

(Koperta zaadresowana: Pani Władysława Zosel, Technikum Ogrodnicze, P-ia Wrzeliwicz, Powiat Opole Lubelskie)

W-wa 24.IV.72

Dziękuję za list i zaproszenie;
oficjalnego me trzeba.

Wyjadę rano do Opola Lubelskiego, tam się
prześiądę na autobus do Kluczkowic. Autobus do Opola
jest, zdaje się, przed ósmą rano. Myślę, że około 13 lub
14 godz. będę na miejscu.

Dziękuję za życzenia wszystkiego dobrego w Norwegii.
Także było. Bardzo cudownie. Wróciłem dzisiaj. Zmęczony,
ale „słoneczny i rozjaśniony”.

Do zobaczenia 3 maja
Pozdrawiam — Sted.

3

(Koperta zaadresowana: Pani Władysława Zosel, Kluczkowice 10, Technikum Ogrodnicze, P-ia Wrzeliwicz, pow. Opole Lubelskie)

W-wa 10.V.72.

No więc fatalnie.

Nawaliłem z przyjazdem. Przepraszam. Mogłbym się usprawiedliwić i to
nie dlatego, że człowiek jest tworem inteligentnym i potrafi nie od takich
wyrzutów sumienia się wyzwolić jak niestawienie się na umówione
spotkanie zwane: autorskie.

Nie mogłem spać tej nocy przed podróżą do Kluczkowic i byłem
wykończony. Po prostu.

Pozdrawiam i jeszcze raz bardzo przepraszam
E. Stachura

4

(Koperta zaadresowana: Władysława Zosiel Kluczkowice 10, Technikum Ogrodnicze p-ta Wrzeliwicz, pow. Opole Lubelskie List — nadany jako „ekspres”).

W-wa 29.IX 72

Władka,

Milczałem, bo wydawało mi się, że napisałem i że pisałem o tym, że chcę bardzo zrehabilitować się wobec Twojej młodzieży i wobec Ciebie oczywiście. I na ten list nie miałem odpowiedzi. Wynika, że go nie otrzymałaś lub nie wysłałem go, napisałem i nie wysłałem, wątpię, ale wszystko możliwe.

Plakat otrzymałem. Piękny. W-ruszający.

Przykro mi bardzo, że tak zawiadłem. Nie miałem sił. Nie udało mi się zasnąć i rano byłem kruchutki, bo tak było, że (nie pierwsza to — skreślone: przyp. M. D.) wtedy mało spałem, nerwy i demony bardzo mnie szarpały, gnębiły, poniewierali i co tylko chcesz. No, nie ma o czym mówić, choć może jest, ale po co?

Ja w stolicy od pewnego czasu rzadko przebywam. Teraz jestem i będę jakiś czas, bo mam sprawy różne i wiele ich. Chętnie przyjadę i odwrócę w głowach Twojej młodzieży, której, jak mówisz, przewróciłaś w głowie moją osobą. Albo, kto wie, może jeszcze bardziej przewrócę, bo przyjechałbym z niespodzianką.

Napisz mi czy można załatwić w Twojej miejscowości jakies spanie, bo najchętniej, i to by było najpewniejsze, przyjechałbym jednego dnia, a następnego zrobilibyśmy w Twojej szkole spotkanie. W ten sposób nie trzeba się umawiać na konkretny dzień tylko przyjeżdżam pewnego dnia, a następnego robimy spotkanie.

Co Ty na to?

Pozdrawiam serdecznie

Sied

5

(Kolorowa widokówka ze zdjęciem wrocławskiego Rynku, zaadresowana: Pani Władysława ZOSSEL, Kluczkowice 10, p-ta Wrzeliwicz powiat Opole Lubelskie woj. lubelskie.)

16.X.72 W-w

Dziękuję za list

Przyjadę pod koniec miesiąca tego wariko bieżącego.

Przepraszam, że odpisuję dopiero teraz.

Pięknie pozdrawiam
i do zobaczenia

Sied

6

(Koperta zaadresowana: Władysława Zosiel Kluczkowice 10, Technikum Ogrodnicze poczta Wrzeliwicz, Powiat Opole Lubelskie woj. lubelskie.)

W-wa 3.XI.72

Władysławo,

Nie dojechałem do Kluczkowic.

W sobotę pojechałem rano do Lublina, gdzie

chciałem pobyć do 1.XI i 2.XI ruszyć

do Opola Lubelskiego, skąd do Kluczkowic.

Ale przydarzyło mi się w sobotę, pod Lublinem

gdzie byłem z kolegami, że spadłem

z drzewa i potlułem się bardzo mocno.

W niedzielę poszedłem na pogotowie ratunkowe

na Sławińskiego, obwiązali, zabalsamowali

mnie bandażami, ręka na temblaku;

powiolekłem się na dworzec i ani razu

nie mdlejąc dojechałem do stolicy.

Teraz liżę rany i potrwa to jeszcze

z tydzień chyba, 10 dni.

Pozdrawiam Cię.

S.

(strzałka, oznaczająca: „verse”, na drugiej stronie kartki)

Co Ty na to wszystko?

Na listopad miałem różne zamiary

i plany, ale jeśli uważasz, że mój

wieczór w technikum jest nadal aktualny

to jak tylko wyzdrowieję skoczyłbym

na dwa dni w Twoje okolice.

Dziwne to wszystko. Dojechałem

na drugi koniec świata już, na drugą

poilkulę, a nie mogę dojechać do

Kluczkowic.

Ale do trzech razy sztuka.

Jeszcze raz pozdrawiam

i czekam na możliwie błyskawiczną

odповідź.

7

(Brak koperty)

Chelmono n/Wisłą 18.XI

Władka,

powoli zdrowieję. Siedzę w kawiarni PDK

w Chelmie, patrząc na Raiusz i myślę sobie

Kim jesteś.

Bo muszę Ci powiedzieć, że nie potrafisz

sobie tego uzmysłowić to znaczy

unaocznic.

Szukam w kinie pamięci i nic.

Pewnie jak Cię zobaczę to już wszystko

będę wiedział. I może zrozumieć niektóre zwroty w Twoich listach. Wszystko na razie jest bardzo pięknie tajemnicze.

Przyjadę w tym miesiącu na pewno
Przepraszam raz jeszcze "ten nieszczęsny upadek i „twarde lądowanie" jak to precyzyjnie nazywasz.

Pozdrawiam
Sied.

Pamiętam, że 25-27 nie.
Więc zaraz potem.

Ostatecznie wieczór autorski Stachury odbył się w Kluczkowicach 30 listopada 1972 r. Przez prawie siedem miesięcy od pierwszej, ustalonej przez samego Sieda daty wzięci oś ustalano na przeszło dziesięć dni doprowadzeniu do tego spotkania.

Autor *Siekierzydy* był w tym okresie w Lublinie. Wpadł tutaj na krótko, m.in. po to aby odwiedzić zaprzyjaźnionego z nim Kazimierza Grzeźkowiaka, z którym znał się od roku 1966, kiedy to Saza (jak go kiedyś popularnie w Lublinie nazywano), rozpoznawszy któregoś dnia na lubelskiej ulicy Stachurę, przedstawił mu się jako ktoś wieloletni jego wierzny i opowiadał, po czym udali się obaj na studencką siacną piękno *Pamięć z Chłobina* gdzie przez dwie doby śpiewali w różnej wierze giary mającej znieść za towarzysza — butelkę. Lubili potem razem wspólnie włożyć się na starym cmentarzu przy ulicy Lipowej i kiedyś znaleźli na jakimś omalże nagrobnym pomniku długie wierszowane epitafium, według którego Sied zamierzał napisać słowa piosenki dla Grzeźkowiaka. Póki co, nastawał aby autor *Chłop żywym nie przepuści* wykonywał na estradzie jego *Ralliały dla Polowego*.

Latem 1972 r. pojawiły się na łamach lubelskiej „Kamery” piosenki Edwarda Stachury (w numerze 12 — *Zycie to nie wieczer, Nowy detektyw...*, Na błękit jest polana, a w numerze 15 — *Jestem nieszczęsny, Błogo bardzo sławić będąc tu dzień i Co waro!*), był to ponowny kontakt z tym piśmie po siedmiu latach przerwy, i chyba nawet latem Stachura złożył towarzyszką wizytę w redakcji.

Wrazem, w końcu października, w połotonych o kilka kilometrów od Lublina Jakubowicach Murawianych — podczas zakrapianej, raczej obficie, biesiady przy ognisku w stóp ruin jakubowickiego zamku, a w towarzyszy Grzeźkowiaka i dwóch jeszcze innych znajomych — wydarzył się ów niebezpieczny wypadek, o którym pisał Stachura w liście z 3 listopada 1972 r.

W podobny sposób zwierniał się zresztą — Grzeźkowiakowi na kartce pocztowej wysłanej do Lublina, tuż po powrocie do Warszawy: *w niedzielnym hyrnie na pogotowiu na Sławickiego, Zabulastanowany zastaniem, to zmoczy zębami i ręką na temblaku. Spodem w „Lubianiec”, noc miastem straszliwą. Dzień nie lepszemu. Cudem dojechałem na sąpę na Rępkowickiej street i m. 13 (dłwa warszawskiego mieszkania Stachury — przyp. M. D.) Teraz leży i ląd rany. To trochę patrosu.*

Zaistniał w Twoim wozie zielony zweni gruby. Przyjły albo wód do sąjy, a ja go przy najbliższej okazji odbiorę. W wydany w 1975 r. tomie *Wszystko jest porcja* Sied jeszcze raz miał wrócić do wypadku w Jakubowicach Zapadni na podniebrzeżnym domenie pod Lublinem wzmiany zmerczek kałosa października, który może było tylko rozbitnie żywym ogniem. Bezładny wkłokłóg elektryczności Okna stojącego opadał zamku (ci nie rwałyśki blaski tyżące świec odbijających się w krystalowych lustrach. Lustra doszczętnie potuchzone, zżyby w oknach wybite, świeże wypalone, handełaby pokrądziane, wszystko skochczone — ponurym smakiem i piasku oczodolów zionęły ruiny dawnej świetności tego miejsca. Ognisko więc. Dado ognia. Skochyłem na drzewo, by nakazać galezi (...)

A potem, po powrocie do Lublina z okropnym bólem w ramieniu i klacie pierświowej, po pokoleganiu się z towarzyszykami biesiady

Na pogotowiu ratunkowym przy Sławickiego obchwalali mi zebra bandażami, na lewą rękę z wewnętrzny wytworem krwi okład z wody borowej i temblak. Przypomniała mi się

jedna noc, na tym samym pogotowiu, w tym samym miejscu, naprzeciw akademika KUL-u. W ogóle wulcha opadał mnie ponurych wspomnień. (...) Nie dobrego mnie tu nigdy nie spokoilo Nieszczęsne dla mnie to miasto, które widzielo narodziny Emilia Młedziona i śmierci Józefa Czechowicza (za dwa dni Święto Zmarłych, chłerałem półkę tej nocy na grób Czechowicza, by odparwić ak! piosenki; specjalnie po to przyjechałem do tego miasta, i jak teraz?) Są takie miasta, które trzeba nie tylko porzucić, ale jeszcze z daleka unikać, nie zachodzić do nich nawet przejechać, bo nie ci się w nich nie wędzić.

Również na kartach *Wszystko jest porcja* — znajduje się refleksa wieczoru autorskiego Edwarda Stachury w Kluczkowicach. A także — jego późniejszej wdrówki wzdłuż Winy, do Annapola.

Tę nadwilańską podróże rozpoczął Stachura gdzieś w rejonie Chelma, w połowie listopada 1972 r. Dążył przez Inowrocław, Włocławek do Warszawy, gdzie w klinice na ul. Lindleya odwiedził czekającą na operację poetkę Barbarę Sadowską, potem ruszył do Opola Lubelskiego. Opole Lubelskie. Wiatu medalierko. Dwadzieścia kilometrów. Restauracja „Opolanka” na Starym Ryнку. Grzane piwo z cukrem (...) Jesi 30 listopada 1972 r. (...) Dalej żyć rękami w rękach. Na piechotę do Kluczkowic. Do autobusu, na który tłumny szurm, nie dostanę się. Nie chłerałem narostat giary. I — narezacie, ten me mogący od wielu miesięcy dojść do skutku, w tyłu listach zapowiadany, wieczór autorski Stachury w Kluczkowicach

Spotkanie autorskie w Technikum Ogrodniczym w Kluczkowicach — ciągnie swą opowieść Sied we *Wszystko jest porcja* — dawnym pałacu Kłiniwarków (powinno być, oczywiście: Kłiniwskich — przyp. M. D.) Pierwsze spotkanie autorskie po siedmiu miesiącach w *Weniewie mam do odbrania nagrodę, trzy tyżące zwyczajarskich franków* (Stachura otrzymał Nagrodę Kościelskich — przyp. M. D.) ale tu potrzebne mi są złożniki. Ale nie mómłem na spoikaniu wierzty Rozmawiałymy, a potem zaspieraniem kilka moich piosenek Dwie noce spię w internecie. W ciągu dnia chodzę po lasach nadleśnictwa Nierzdów. Gradzieli, a pogodna nurybnyła. Niebysławie carpo. Zena jak z Vivaldrego. Niebysławie też karu mnie najwyszyższymi potrawami pani Zazel, mama Władki — koleżanki z lat uniwersyteckich. Niejawnie noce jak zwykle prawdziwie koszarne a jawne dnia jakby nieprawdliwe, jak prawdziwy cudowny sen. Co tu jest prawdziwe?

Dalej Do Winy, Pod Annapolem!

Zachowała się taśma magnetofonowa z nagraniem tamtego spotkania autorskiego Stachury w Kluczkowicach Sied — śpiewa przy gitarze piosenki, młodzież — pyta kto to jest „Galęzka Jabłoni” z *Siekierzydy*, o to, jakie miał „mocne” momenty w życiu... Stachura, z koleś, mówi: jak jedździ w Bieszczady końce trawy; i że za taką właśnie ciężką pracę jak koszenie trawy, płacę bardzo mało i, że włąkwiwie, on nie powinien brać pieniędzy za to tutaj, w Kluczkowicach, spotkanie, bo to jest dla niego łatwa praca w stosunku do tamtej, w Bieszczadach, przy koleś. Mówi też, że według niego — biedni są i ci „silni” i ci „słabi” ludzie. Ci pierwsi — dlatego, że tak dużo muszą wycierpieć aby stać się i pozostać silnymi.

„Dla mnie, zawsze fascynująca była jego apoteoza życia” — powie po latach, wręczając mi przeznaczony dla „Akcentu” pakiet listów Stachury — Władysława Zośki. „To mnie najbardziej pociągało w jego twórczości. I dlatego tak wielkim stożkiem było potem, że on, taki silny, on właśnie, ugrnął się na drodze życia”.

Z Kluczkowic wyruszył Stachura w dalszą wdrórkę wzdłuż Winy. Przez Wólkę Kuligowską, Józefów, Anapolę do połotonych obok Jakubowic. Do Jakubowic, do domosna Rychebertów w górce, na samym brzegu Winy, nie opodal nowego mostu czyli do celu tego podróznego dnia (...) przybyłem idealnie o zachodzie słońca.

To właśnie w obężku Rychebertów mieszkał Stachura w tamte gorące lato 1963 r., gdy żołnierze budowali nie opodal drewniany most na Wiśle, gdy on sam pomagał gospodarzom w żniwach, i gdy zaczął w jego wyobraźni kilkołomowy umiejscowionego właśnie tutaj, „Pod Annapolem”, opowiadania, które później dostał nagrodę w lubelskim konkursie literackim, i zostało wydrukowane w 1964 r. w „Kamery”. A potem

Jeszcze, kiedy przyjechał do Lublina po odbiór nagrody, wybrawszy się na opustoszały — ze względu na lato i wakacje... KUL, natknął się przypadkowo na błądząc, tak jak i on po jasnych, chłodnych korytarzach, kolektankę ze studenckich lat, Władysławę Zosel Posiedzieli przez godzinę na ławce pod oknem (a może — na dziedzińcu, przy bucznej alejce, od strony Zakładu Romanistyki?), pogadał i rozstali się...

Autobusem, przez Kraśnik i Lublin, wracał Stachura ze swej nadwiślańskiej podróży — do Warszawy. Przed wyjazdem — kupił w Annopolu kilka czarno-białych widokówek z panoramą miasteczka, widząc od dołu, od strony Wisły.

W Lublinie — wysiadł z „pekaczu”; poszedł na LSM, do Grzelkowiaka, po pozostawiony w jego „Trabancie” — podczas powrotu z mało szczęśliwie zakończoną biesiadą w Jakubowcach Murowanych — zielony sweter. „Swetra nie odzyskałem” napisał później we *Wszystko jest poją*.

Jeszcze z Lublina, przesyła Stachura kartkę do Kluczkowic, które opisał przed trzema dniami. Jest to czarno-biała widokówka, jedna z tych, kupionych w Annopolu

8

Pani Władysława Zosel. Kluczkowice 10. p-1a Wrzeliwiec. powiat Opole Lubelskie. Technikum Ogrodnicze.

Lublin, 4 XII 72

Pozdrowienia i podziękowania najlepsze za najlepszą gościnę. Te śniadania i obiady Mamy będą mi się śniły.

Pan Wawer był bardzo sympatyczny. Proszę go pozdrowić.

Edek S.

Taka sama widokówka, bez daty i miejsca nadania, pochodzi — sądząc z treści — z okresu Świąt Bożego Narodzenia 1972 r.

9

Pani Władysława Zosel & Mama. 24-333 Kluczkowice 10. poczta Wrzeliwiec. woj. lubelskie.

Najlepsze pozdrowienia przesyłam.

I do zobaczenia.

W co nie wątpię.

Dziękuję Ci, Władka, za list i życzenia. Co do sórz jamnych, to niech i Ciebie strzegą i Twoich bliskich.

Sied.

Następna kartka pocztowa, barwna widokówka przedstawiająca czernastowieczną Wież Zegarową w Plocku i stojący na skwerze obok — pomnik Ludwika Krzywickiego.

ale nadana w Warszawie — o czym świadczy stempel pocztowy — 6 kwietnia 1973 r., pochodzi z okresu kiedy Stachura wybierał się ponownie do Norwegii.

10

Pani WŁADYSŁAWA ZOSSEL. 24-333 KLUCZKOWICE, poczta Wrzeliwiec. powiat Opole Lubelskie.

Dziękuję za uznanie niebывале.

Cieszę się, że Twoja Mama zadawolona.

Zagubiła mi się Twoja karteczka

z adresem W. I nie podałaś

mi Jej nazwiska. Ja, wstydzę się,

nie mogę sobie przypomnieć.

Będę w Szczecinie z pocztątkiem

maja. Będę się tam okrętował

do Oslo.

Pozdrawiam Cię serdecznie:

jak również Mamę

i Twoich chłopaków z klasy.

Sted.

Jesienią 1973 r. Stachura kolejny raz zawitał na Lubelszczyznę. Jechał tym razem z południa, od strony ziemi rzeszowskiej, gdzie swoim zwyczajem uczestniczył w żniwach. W polojnej między Tomaszowem i Zamościem, słynnej z ostatnich walk podczas kampanii wrzeliwskiej 1939 r., Tarnawatce — znajdował się na małym wiojskim cmentarzu grób niedawno zmarłego tragicznie, w wieku dwudziestu dziewięciu lat, ościnnego muryka jazzowego Mieczysława Kosza. Sted zajął w te strony właśnie dlatego by odwiedzić mogiłę Kosza, który teraz pod ziemią, a przedtem locał w pomieszczeniu, z nim na ziemę rmił. *A przedtem grał muzykę jazzową na fortepianu. Może to wówczas właśnie, w Tarnawatce, zakiełkowała w umyśle Stachury myśl, aby pójść śladem tego genialnego wiojskiego chłopaka, który nie potrafił znaleźć swojego miejsca w świecie — mimo sukcesów i sławy...?*

Na początku 1974 r. wysłał Stachura do Kluczkowic noworoczne życzenia z Torunia. Kolorowa pocztówka z reprodukcją obrazu Piotra Pawła Sevin (1650-1710), przedstawia „Polkie poselstwo do Stambulu w 1977-78 r. Obiad wydany przez wielkiego wozyrza na cześć polskiego posła, gwazd. 30 X 45 c. 1679 r.” Oryginał znajduje się — jak głosi dodatkowa informacja — w Muzeum Narodowym w Krakowie, w Zbiorach Czartoryskich. Sted pisał:

11

Władysława Zosel. 24-333 Kluczkowice. p-1a Wrzeliwiec. powiat Opole Lubelskie — woj. lubelskie —

Toruń 15.1.74.

Bardzo dziękuję za życzenia i ja Wam Życzę, Tobie i Matuli, wszystkiego lepszego w Nowym Roku i we wszystkich latach Następnych. Zdrowia!

*Minął już rok jak u Was nie
gosiłem w gościnnych progach.
Czas by Was odwiedzić i okolicę.*

*Pozdrowienia dla Chłopaków ze szkoły,
jeśli jeszcze sobie nie poszli w świat.
Sted.*

Chyba to latem 1974 r. przyjechał Stachura w odwiedziny do domu pań Zosel. Matka Władysława gościła go serdecznie pod nieobecność córki. Sted przesiadł trzy dni, w końcu — wyjechał nie doczekawszy się swej koleżanki ze studiów. Nie miał więcej czasu; wybierał się wkrótce w wielomiesięczną podróż na kontynent amerykański — w ciągu ośmiu miesięcy, na przełomie 1974 i 1975 r., miał przemierzyć część Kanady, Stanów Zjednoczonych i Meksyku.

Już po wyjeździe z Polski, wysłał do Kluczkowicz kilka słów z Hamburga. Kolorowa widokówka ze zdjęciami statków pasażerskich w hamburskim porcie i napisem „HAMBURG — Deutschlands grösser Hafen” nadana pocztą lotniczą, zaadresowana: WP. Władysława Zosel 24-333 Wrzeliwice Kluczkowice, powiat Opole Lubelskie POLEN — POLSKA, brzmia

12

*Hamburg 2.IX.1974
Drodzy,*

*Dziękuję za ostatnią
gościńnię i za telegram
od Władki.*

*Z Hamburga do Londynu
i potem prosto do Kanady.*

*Do zobaczenia w Polsce,
jeżeli nie w Kanadzie.*

*Pozdrawiam serdecznie.
Proszę pozdrowić Janusza W.
Edward Stachura*

Wzmianka na temat ewentualnego spotkania w Kanadzie jest związana z projektowanym przez Władysława Zosel odwiedzeniem ciotki mieszkającej w Kanadzie. Janusz W. — kłóczy Stachurę pozdrawia, to ratownik z kąpieliska w Kluczkowicach, lubimianin, Janusz Wilczyński. Sted zaprzyjaźnił się z nim podczas ostatniego pobytu u p. Zosel.

W 1974 r. Władysława Zosel przeniosła się do Lublina, podejmując pracę w młodszym Muzeum Józefa Czechowicza. Kolejna korespondencja Stachury zaadresowana jest: „Pani Władysława Zosel ul. Narutowicza 10. Muzeum Józefa Czechowicza. 20-004 LUBLIN”. Na widokówce do koperty kolorowej pocztówce przedstawiającej „Łomżyńską koronę kłockową z lat 1880-1914”. Sted napisał

13

W-wa 15.8.76.

Droga Władko,

*Dziękuję za Twoją
wielką przyjaźń. Zawsze
mnie dobroślawisz.*

Dziękuję. Jak zapewne wiesz, nie zawsze jest „leiko”.

I a (tak w tekście — przyp. M. D.) dobrym słowem można celnie trafić demona.

W Kluczkowicach było mi bardzo wspaniale, tak za pierwszym, jak i za drugim razem, kiedy to gościła mnie Twoja Mama, którą ode mnie serdecznie ucałuj i pozdrów.

Ciebie oczywiście też bardzo pozdrawiam i na pewno odwiedzę, kiedy zdarzy mi się zawadzić o Lublin.

*Bądź dzielna, czego i sobie
życzę.*

Sted

Ostatni list, jaki został przez Edwarda Stachurę wysłany do Lublina, to chyba ten — adresowany do Władysławy Zosel-Wojtyśiakowej, w odpowiedzi na jej kartkę świąteczną; list z 12 stycznia 1978 r.:

14

*Pani Władysława Zosel, ul. Narutowicza 10. 20-004 LUBLIN
Muzeum J. Czechowicza.*

W-wa 12.1.78

Władko,

Piszesz, życząc noworocznie: „Jasnej Gwiazdy dla mroków ciała.”

*Ciało nie zna mroków; ciało i jasna gwiazda — to jest to samo.
Mrokiem jest to, co zamieszkuje ciało. Co to jest?*

Się to nazywa. JA.

*Bądź zdrowa. Pozdrowienia dla Mamy i uśmiech dla malarstwa.
Tylko nie mów, że to najpiękniejsze dziecko świata. A jeżeli tak mówisz,
to bądź świadoma tego, że to nie o dziecku mówisz, lecz o sobie (w
domyśle: „jestem matką najpiękniejszego dziecka świata.”)*

List był bez podpisu.

Do listu dołączył Stachura maszynową kopię dokonanego — wraz z Michałem Deguy — francuskiego przekładu wiersza Józefa Czechowicza — *deszcz w concarnesu*

In pluie à concarnesu

tout bas sur la terre les nuages roulés poing
la fille plonge le seau blanc dans le golfe
les vagues haissent une part de l'horizon
les voiles ont caché l'autre devant l'œil scrutateur

derrière le roc couleur cerise le vent s'abrouit
j'ai essayé mes mains à la feuille d'un arbre
l'orage approche il est temps que je m'en aille
lorsque la barque ballotée pressurait l'écume
ses voiles se gonflèrent jeune fille

un lointain combat détonait dans le toit de l'immeuble
c'était le vent qui jouait dans les toles mal jointées

les contours des choses s'affaiblissent puis soufflent soudain
et la pluie comme un rideau tombe dans des plis elliptiques

traduit du polonais
par e.s. et michel deguy

Ze starszym od niego o siedem lat francuskim poetą Michélem Deguy, autorem licznych zbiorów wierszy, redaktorem — w latach 1964-1971 — pisma „Revue de poésie”, wykładowcą literatury francuskiej na Uniwersytecie Paryż 8, Stachura pozostawał od kilku lat w przyjaźni. W 1977 r. wyjechał w Polsce, w przekładzie Edwarda Stachury, tomik będący wyborem poezji Michéla Deguy, zatytułowany *Wiersz i jego wznoszenie z kolei* — Deguy miał tłumaczyć na francuski *Fabula nase* Stachury. Czy wspólny przekład *deszczu w concourneau* był manifestem przyjaźni dwóch poetów, czy też — wyrazem ich wspólnego holdu dla talentu Czechowicza?

W 1930 r. Józef Czechowicz wyjechał do Francji na kilkumiesięczne stypendium i wówczas otrzymał od miast Związek Nauczycielstwa Polskiego. W Bretanii, odwiedził m.in. Concourneau, kilkutygodniowe, malownicze miasteczko z otoczonym XIV-wiecznym murami, położonym na małej wyspce — starym Ville Cloez, z rybackim portem i pięknymi plażami w morskich zatokach. Napisany później, najprawdopodobniej już po powrocie do Lublina, *deszcz w concourneau* jest jednym z refleksów tamtych francuskich wędrowek Czechowicza.

nisko nad łędem chmury zwinęte w pięć
dzwierzyna białe wiatrdo zanurza w żółte
trzępcze się falami horyzontu czerń
zagle zakryły drugą przed patrzącym okiem

spozza skały widnionej wiatr przychyl jak zwierzę
obtarłem o liść rpece burza czas mi odejść
gdy burza rozchudzana gnioła w pianach wód
plótka jej się wydepłdy dzwierzewico i świeło

niby daleka bitwa na budynku gremiał dach
to w źle przybitych blachach i krokwiach wiatr zgrał
znikły kontury rzeczy zaszumiało z nagła
deszcz spadł niby kurytyna w eliptycznych faldach

Czytając ten francuski przekład wiersza spoczywającego od czterdziestu już lat na lubelskim cmentarzu Józefa Czechowicza, na którego grobie spał niedługo, za lubelskich studenckich czasów, początkujący wówczas poeta Edward Stachura, sam przed laty czterdziestu we Francji urodzony, czytając ten wiersz w liście przesyłany, był formą poścignania Siedza z Lublinem — przed ostatecznym poścignaniem się ze światem?

W półtora roku później, 24 lipca 1979 r., Stachura odebrał sobie życie.

Mirosław Derech:



MAREK ZDROJEWSKI-AREMI

WSZECHSTRONNY RAMIGANI (Wspomnienie o Janie Lawrusiewicz)

Pewnych zabawnych zdarzeń, znanych z autopsji a dotyczących osób znanych, nie sposób zapomnieć. Pomimo upływu czasu, jawią się ze szczegółami, niczym żywe, na ekranie naszej pamięci. Oto dwa z nich, związane ściśle z właścicielem dwójgłównie brzmącego i nieco egzotycznego pseudonimu „Ramigani” (realnie: Jan Lawrusiewicz, ur. 17 sierpnia 1907 w Krakowie, zm. 8 czerwca 1982 w Poznaniu). Choć prawdziwie, jednak z posmakami anegdoty.

Było to we wrześniu 1970 roku. Po obejrzeniu w Kutowie k. Puław strasznego programu estradowego pt. *Pod gwiazdami Południa* w wykonaniu zespołu gitar hawajskich „Marimba” Jana Lawrusiewicza, półdnym wieczorem powróciliśmy we trzech — mistrz iluzji „Ramigani”, sympatyczny entuzjasta jego różnorodnych talentów, Czech Vlastimír S. z Prag i pizycy ze słowa — do Lublina. Znajdowaliśmy się w pokoju nr 104 miejscowego „Motelu”, zajmowanym przez mistrza, który uległ uciążliwym próbom Vlastimíra S. (mistrzowie lubią być proszeni) i wyraził zgodę na zademonstrowanie triku z dziedziną ciagle frapującej swą tajemniczością telepatii. W tym celu poprosił uradowanego takim obrotem sprawy Czech, aby — po opuszczeniu przez mnie i „Ramiganiego” pokoju — napisał na kartce papieru w jego odczytym języku dowolnie, lecz możliwe do zrealizowania życzenie, a następnie po kilkakrotnym złożeniu kartki schował ją w dłoni.

Gdy ponownie weszliśmy do pokoju z „Ramiganem”, mistrz chwycił jedną ręką za przegub (okolice pulsu) tej dłoni Vlastimíra S., w której wierzchu spoczywała kartka, zaś drugą za jego kark. Po niepełna dwóch minutach, podczas których Czech intensywnie myślał o treści napisanego przez siebie życzenia, „Ramigan” poprosił o idące przez Vlastimíra S. i autora tych słów marynarek, po czym w moją ubrał Czech, a w jego marynarek — mnie. Tym samym, bez zagładania do kartki, bezbłędnie i co do jedy spełnił życzenie Vlastimíra S., na którego twarzy w tym momencie czyste były bezbrzeżne zdumienie i zachwyty. Niechcemy zostaliśmy zaproszeni przez prażanina na kolację. W ten sposób chciał okazać swą wdzięczność wobec mistrza za doznane przeżycia. Propozycja była kusząca, a i poza na ostatni tego dnia posiłek najwyższa, bo akurat zbliżała się północ. I wtedy dopiero postawiona została przyłowiwo „kropka nad i” do niedawnego eksperymentu telepatycznego. Otóż nasz znajomy Czech tak głęboko zadumał się nad absolutnie niezrozumiałym dlań efektem pokazu „Ramiganiego” z pokoju nr 104, iż w naszej obecności przy restauracyjnym stole zjadł połowę jajka faszerowanego razem ze... skorupą. Najwidoczniej nadal działały magiczne siły mistrza, ubawionego setnie tą parafakirską konsumpcją.

Mięsło kilkanaście dni. W lubelskim klubie „Nora” (obecna nazwa: „Pod Strzechą”) odbywał się solowy występ „Ramiganiego”. Jeden z trików iluzjonistycznych mistrz wykonywał m.in. z użyciem straszaka. Strzał z niego miał podkreślić końcowy efekt enigmatycznego triku. Widzowie w napięciu śledzili niezwykle sprawnie manipulację artysty, aż w ulamek sekundy po oddaniu głownego strzału raptemnie odwrócili głowy w

stronę barku w kącie sali. Tam bowiem, wywołując rumor, spadł ze stołka jeden z miejscowych dziennikarzy. I w tej zupełnie niespodziewanej sytuacji „Ramigan” wykalil znakomity refleks, mówiąc — niemal natchniętym po upadku niefortunnego wielbicela Bachusa — „nie wiedziałem, proszę państwa, że tak celnie strzelam”. Widzowie gruchnęli śmiechem, czemu towarzyszyły huczące owacji: A po zakończeniu imprezy „Ramigan” pozostawił autora tego tekstu następującą sentencję K. Radzkiego: *Nie ten wyrywał, kto pierwszy strzela, tylko ten, kto strzela celnie.*

Jan Ławrusiewicz otrzymał staranne wykształcenie muzyczne w krakowskim Konserwatorium Muzycznym. Pobierał tu lekcje gry u ścisłkach u prof. Władysława Syrewicza, jako dodatkowy instrument wybierając fortepian.

W 1924 r. pierwszy sprowadził do Polski trzy egzotyczne instrumenty: gitarę hawajską, wibrafon i marimbę. Na wszystkich tych instrumentach był pierwszym u nas solistą. W latach 1931-1936 współpracował ze znanym podówczas zespołem muzycznym w skład którego wchodził m.in. Zygmunt Katarciński, Szymon Katarzek i Tadeusz Kwociński. Z tym zespołem wzięł udział w popomieszczeniowym tournée po Syrii, Palestynie, Egipcie i Włoszech. Można było go rozpoznać jako muzyka w emitowanej przez Telewizję Polską w programie I (w grudniu 1979 i marcu 1985) komedii filmowej z 1933 r. pt. *Każdemu wolno kochać* (reż. Mieczysław Krawicz, Janusz Warnecki). W 1958 r. nasza prasa ochrzciła Jana Ławrusiewicza wyrobniaczką, manem „Polskiego Kuczyrny”. Trudno byłoby wskazać polskie miasto, gdzie nie przedstawiłoby się jego programu *Pod gwiazdami Poludnia*, w którym wylansował m.in. głosem w swoim czasie estradowe duo wokalne, Zofię i Zbigniewa Framarów. Jeszcze do dzisiaj wielu byłych słuchaczy-widów wspomina, nie szczędząc przy tym superlatywów, gorące rymy muzyczne zespołu „Marimba” Jana Ławrusiewicza oraz wkomponowany w ten program mimiczny iluzji w wykonaniu „Ramiganego”.

Jan Ławrusiewicz przepracował wiele lat w charakterze realizatora akustycznego Rozgłośni Warszawskiej Polskiego Radia, przy której od 1949 r. przez pewien okres kierował również zespołem gitarzystów. W programie I Polskiego Radia (10 czerwca 1985) transmitowano słuchowisko dla dzieci *O miotył, który tupeł nąłęg*, według opowiadania Rudyarda Kiplinga. Audycję tę opracował akustycznie m.in. Jan Ławrusiewicz. Wykonywania zawodu „ładowca” zaniechał w 1953 r., chociaż umiejętności techniczne z zakresu akustyki w dalszym ciągu wykorzystywał zarówno przy realizacji własnych programów muzycznych, jak i spektakli iluzji.

W dziedzinie sztuki iluzji Jan Ławrusiewicz był samoukiem. Nie znaczy to, iż nie korzystał, zresztą w różny sposób, z doświadczeń sławnych mistrzów magicznej paleczki. Z iluzją zetknął się w wieku 12 lat, gdy jako uczeń IV Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Krakowie obejrzał występ renowanego wówczas iluzjonisty wiedeńskiego o pseudonimie „Alfredo Uferini” (recte: Alfred Uferl 1863-1934). Niektóre jego tajemnicze magiczne rozsyfrował sam, większość jednak — jak przyznał się po latach — podpatrzył z niemałym trudem i w osobliwych warunkach. Iluzjonista przed osobami strzeżonych sekretów repertuariowych i w ogóle tajemnic magicznych przewodził osobami postronnymi. Nic tedy dziwnego, że „Alfredo Uferini”, występując na scenie operetki krakowskiej (podówczas przy ul. Rajskiej), utył specjalnego parawanu, umożliwiającego podglądanie pracy artysty od strony kulis. I dlatego młodzieńki Janek Ławrusiewicz musiał przekleść nieruchocho na dwóch deskach nad sceną przez 6 godzin, by pewne rozwiązania skomplikowanych zagadek iluzjonistycznych stają się także jego własnością. Innym razem podpatrywał „Uferiniego” z budki suflera. Postępował zatem w myśl przysłowia kambodżańskiego, głoszącego że: *Jezeli chcesz wszystko zobaczyć, musisz sam postać niezamiatanym.* Wielokrotnie zresztą mu się to udawało.

Pierwsze amatorskie występy iluzjonistyczne dawał na wesołkach gimnazjalnych. Po czterech latach dysponował już 25-minutowym repertuarem. W tym czasie w Krakowie miał okazję oglądać (i podglądać) oprócz „Uferiniego” również innego sławnego wiedeńcyka, Freda Rohnera oraz niemieckiego mistrza iluzji o nazwisku Alois Kasaner (1887-1970). Wróbaczono o reżykwy magiczne odzupione od pracownika krakowskiego Teatru Miejskiego im. J. Słowackiego, Władysława Hemciszca, jednego z najwybitniejszych scenotechników w Polsce (zm. w 1951 w Krakowie), po kilku latach twórczej i amatorskiej występów zdał w 1926 r., w znanym poważnie wiedeńskim varietà „Ronacher”, egzamin i uzyskał legitymację iluzjonisty zawodowego.

Prawo do wykonywania profesji iluzjonisty w Polsce otrzymał po egzaminie, zdanym 25 stycznia 1927 r. przed Komisją Polskiego Związku Artystów Wiedokowych w stołecznym kino-teatrze „Mewa”. Miał wtedy 19 lat (nb. wnek u nas dla artysty estradowego w specjalności iluzjonisty, jak dotąd, bez precedensu). Jeden z członków tej komisji egzaminacyjnej, najwybitniejszej europejskiej klasy polski iluzjonista „Jacobini” (w rzeczywistości: Kazimierz Kantorowicz, 1870-1930) zaproponował mu współpracę. Z tej oferty, mie głaszczącej próbkę młodego iluzjonisty, „Ramigan” — jednak nie skorzystał. Pragnął być sam sobą — autorem, zeglarzem i odkrywcą.

Od tego czasu coraz szerzej stawało się znane jego nazwisko sceniczne — „Ramigan”. Pewien znany indolog powieździł mu, że „Ramya ganiya” znaczy „urocza pieśń”. Sam zaś mistrz, który posługiwał się tym pseudonimem artystycznym wyłącznie jako iluzjonista, twierdził iż przybrał go od nazwiska jednego z jogówu indyjskich z zamierzalicy przeżyci. Nie był to bynajmniej wybr przypdykowi, długo przed jego program miał oprawę sceniczną w stylu orientalnym. „Ramigan” występował też w streju przedmówczych magów oraz z kalkowiec dalekowschodnim programem magycznym pt. „Mandaryn Chung-Foo”, jeszcze po drugiej wojnie światowej, m.in. w krakowskiej kawiarni „Cyganeria” przy ul. Szpitalnej.

Jednocześnie Jan Ławrusiewicz zajmował się działalnością muzyczną, również zaprawioną w poważnej mierze egzotyką. Grał miedzy innymi na tak ekskucywnym „instrumencie”, jak pila do cięcia drewna, którą zarazem — już jako „Ramigan” — poróżił „przećcią” na estradzie żywą kobietą na dwie części.

Postawa — stara miłość nie rdzewieje”, nigdy nie rozstał się na dłużej z uprawianiem profesji iluzjonisty. Także pod koniec drugiej wojny światowej pracował w tej branży w Zakopanem, Krakowie i Warszawie, aczkolwiek nierby często i tylko na porankach dla polskiej publiczności. Jest cześćą godną uwagi, że w 1943 r. na scenie Teatru Romantyki w Warszawie pokazywał „Zniknięcia konia” (tytułowy), co demonstrował to po wywołaniu w salach zakopaneńskiego „Morskiego Oka” (1946-1947) i w Krakowie, Jak doitychczas, żaden inny polski iluzjonista nie miał tego numeru w programie. W pewnym sensie był więc „Ramigan” — acz porównanie nie jest równaniem — „półkami Kasanerem”, który wykonywał taki numer również ze słowem.

Zniknięcie konia na scenie, według relacji ustnej samego „Ramiganego” (przekazanej mi telefonicznie 17 czerwca 1977), przebiegało mniej więcej tak: orkestra grała uwerturny *Lehka kawalerie* Franza von Suppého i w tym czasie właściciel konia, każdorazowo wypytanego odplanie do przedstawiawia, wprowadzał przytrzymywane za udey zwierzę na scenę; następnie iluzjonista, przy pomocy swojego asystenta przykrywał konia białym płóciem w taki sposób, że widowie mogli dostrzec wyraźne kontury jego pracującego czworonożca, potem „Ramigan” wypowiadał tajemniczo brzmiące „zaklęcie” magiczne oraz przedko zdymował płótno, a na scenie konia już nie było. Numer „Ramigan” w rozmowie ze mną nadmieniał żartem, że oczywiście nie od tego numeru magicznego wywodził się popularne powiedzenie: „Widzowie zostali zrobieni w konia”. W sytuacji iluzji, odróżniał się uniwersalnością. Jego repertuar obejmował triki z wszystkich dziedzin iluzji: tak zwanej dużej (np. numer ze zniknięciem konia), magii salonowej (prezentowanej dla kameralnego grona odbiorców), manipulacji, tzn. iluzji główicze (prezentowanej (np. doskonale w jego wykonaniu kilkakrotnie pomniejszanie dużych rozmiarów karti do gry), mentalizmu (czyli eksperymentów telepatycznych i im podobnych) z pogranicza rzeczywistości oraz mikromagii, tj. inknow demonstrowanych zazwyczaj przy lub na stołku.

O wszechstronności w iluzji świadczą też różnorodność jego występów — bądź to pantomimicznych, z ornamentacją muzyczną i bez słów, bądź to z komentarzem słownym, ale oszczędnym i dowcipnym, me oszczędnym publiczności. Pracował na perkietkach lokali rozrywkowych, na scenach teatralnych i estradach, od 1954 r. przed kamerami telewizyjnymi, dobiegając wiedzy do programu najbardziej — jak powiedział — „fotogenicznego” triki, oraz krótko na arenie „Cyrku Wielkiego” w Gdańsku i Szczecinie, chociaż przez iluzjonisty w cyrku w zasadzie uważał za nieortodoksyjne. Występował głównie w kraju, ale także za granicą (w Austrii, Bułgarii i Niemieckiej Republice Demokratycznej).

Po wojnie przez długi czas współpracował z krakowskim „Artosem”, dając recitale iluzji cieszące się niebawym powodzeniem. Na przykład w Warszawie miał 48 imprez słowych z tym samym programem przy szczelnie wypełnionej publicznością sali. Latem

1952 r. pokaz iluzji w wykonaniu „Ramiganiego” obejrzały dzieci Polone zagraniczej podczas ich spotkania z ówczesnym prezesem Rady Ministrów, Józefem Cyrankiewiczem. W tym samym czasie apogeum rozgłosu osiągnął w naszym kraju najprzedziejszy po wyzwoleniu (w latach 1947-1953) pełnospektaklowy program ductu iluzjonistów „Nemo” (reżis: Juliusz Konecny) kontra „Ramigan”, noszący tytuł: *To nie bajki i nie czary*. Nie był to zresztą pierwszy kontakt obu indywidualności, albowiem „Nemo” nawiązał z „Ramiganim” współpracę artystyczną już w okresie międzywojnia.

Wertując drukowane programy iluzjonistyczne mistrza, znajdujemy w nich nazwy również oryginalnych trików magicznych „Ramiganego”, np. *Kalendarz Ramiganiego*, *Tablica Lotis*, *Iluzja internacjonalna* czy *Taniec zaklętości*. Niektóre triki wykonywał w sposób przez siebie udoskonalony i z własnym komentarzem.

W jego niezwykłym życiorysie są też ślady działalności organizacyjnej. Był m. m. członkiem Państwowej Komisji Egzaminacyjnej dla artystów estradowych — iluzjonistów oraz jednym z członków-zaloźców Krajowej Sekcji Artystów Iluzji przy Zarządzie Głównym Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki (or legitymacji i odznaki: 4), która istniała w latach 1973-1981.

Jan Lawruszewicz vel „Ramigan” reprezentował pogląd, że iluzja „przedawana” rzeczmiennie stanowi zaprzeczenie jej istoty, a quasi-iluzjoniści, którzy właśnie tak czynią, dają „koncertry” nie magiczne, lecz tragiczne. Holdował maksymie Stanisława Jerzego Leca: *Strzeżyciamy się, byś nie był przepelnion słowami*. Imperatyw ten stosował — jak się rzekło — w swoich programach, w których było ok. 70 procent pantomimy oraz ok. 30 procent słów, jędrnych, klarownych, koniecznych. Jako długoletni praktyk utrzymywał, iż najtrudniej przetrzeć się nie wady, lecz nawyki. O jasnowadzach wypowiadał się z przekąsem, że są to przeważnie ciemne typy. Radził wszystkim iluzjonistom na świecie, aby unikali tak zwanej „lewitacji pospolitej”, czyli — unoszenia się... gniewem. A największa jego tajemnica magiczna była z gatunku tych, których nie można — jak mawiał — powierzyć nikomu. Iluzjoniści przecież żyją z tajemnic.

W środowisku polskiej rozrywki był „Ramigan” osobowością dostrzeganą i cenioną. W na wpół żartobliwej publikacji książkowej o charakterze leksykonu pt. *Alfabet polskiej rozrywki* (Warszawa 1974) jej autorzy — Witold Filler, Ryszard Marek Groski, Jerzy Witlin — zamieścili hasło „Ramigan” (Lawruszewicz Jan) — jedyne zresztą dotyczące się iluzjonistów. Należy załować, że inny autor, Wacław Panek w książce podobnego rodzaju pt. *Maly słownik muzyki rozrywkowej* (Warszawa 1986) pominał nazwisko Jana Lawruszewicza.

Niedawno, w niedzielną 15 lutego 1987 r., tuż przed północą, widziałem w akcji na estradzie Jana Lawruszewicza (tak, to prawda!) w telewizyjnej retransmisji kabaretowego programu *Z wizytą u Bohdana Smoleńca* (TVP, progr. I), gdzie występował jako docent. Można by rzec, iż w sztuce iluzji — o której dobrze imię dbał przez ponad 50 lat — reprezentował poziom profesorski.

Jeżeli ma słuszną rację Mark Twain, mówiąc: *He posiada się zawodowo, tyle razy jest się człowiekiem*, to Jan Lawruszewicz alias „Ramigan” był nim po trzykroć. Legitymował się bowiem szczerymi kwalifikacjami i umiejętnościami w trzech profesjach — estradowego muzyka, realizatora akustycznego i — a raczej przede wszystkim — iluzjonisty. I w każdym z tych zawodowych wcieleń osiągał sukcesy.

Marek Zdrojewski-Aremi